

**FRITZ LEIBER**

**Mąż czarownicy**  
**Wielki czas**

Przełożył  
Dariusz Kopociński

2010



Mąż czarownicy / Wielki czas  
tyt. oryginału: *Conjure Wife / The Big Time*

ISBN 978-83-89951-87-8

Wydanie I  
2008

Agencja „Solaris”  
11-034 Stawiguda, ul. Warszawska 25 A  
tel./fax (0-89) 541-31-17  
e-mail: [agencja@solarisnet.pl](mailto:agencja@solarisnet.pl)  
sprzedaż wysyłkowa:  
[www.solarisnet.pl](http://www.solarisnet.pl)

---

**NSB eBook 2010**

# MAŻ CZAROWNICY

# 1

Norman Saylor nie był typem faceta, który myszkuje w garderobie żony. W pewnej mierze dlatego właśnie to zrobił. Święcie wierzył, że nic nie zniszczy jego związku z Tansy.

Oczywiście wiedział, co się przytrafiło ciekawskiej żonie Sinobrodego. Kiedyś nawet dość wnikliwie badał psychologiczne aspekty tej niesamowitej historii o kuszeniu damulek. Nigdy jednak nie przyszło mu do głowy, że podobna niespodzianka może spotkać męża, i to w dzisiejszych czasach. Czyżby za tymi kremowymi, połyskliwymi drzwiami miało wisieć na hakach sześciu przystojniaków? Pomysł wydawał mu się śmieszny mimo dogłębnej znajomości kobiecej psychiki – jak również błyskotliwej analizie podobieństw między prymitywnymi przesadami a naukowym podejściem do psychozy, dzięki której zdobył uznanie w środowisku zawodowym.

Nie wyglądał na znanego etnologa – przede wszystkim był na to za młody – a już z pewnością nie na profesora socjologii kolegium w Hempnell. Brakowało mu wydętych ust, przestachu w oczach i szczęki tyrana – atrybutów typowego wykładowcy w tej małej, lecz szanującej się uczelni. Zarazem czuł, że jakoś tam nie pasuje, co go nawet bardzo cieszyło.

Tuż obok przez okno wlewały się promienie wiosennego słońca i wpadał pieszczotliwy powiew wiatru. Po raz ostatni z pasją zabębnił po klawiszach, wypisując na z dawną gnuśniejącym papierze: *Spoleczne podłoże dzisiejszych praktyk voodoo*. Odsunął się od biurka z radosnym westchnieniem, świadom, że osiągnął ów punkt w nieprzerwanym cyklu szczęścia i nieszczęścia, kiedy sumienie zasypia i świat się jawi w jasnych kolorach. W takich chwilach człowieka niedojrzałego lub emocjonalnie rozchwianego czekałby gwałtowny upadek w otchłań przygnębienia, lecz on nauczył się przechodzić łagodnie do następnego etapu, w porę znajdować sobie nowe zajęcia, żeby stłumić nieuchronną chandrę.

Co wcale nie znaczyło, że w tym szczytowym momencie nie powinien radować się życiem, wyciskać ostatnich soków z ułudnego wrażenia bezgranicznej szczęśliwości. Wyszedł z gabinetu i z werwą otworzył powieść w kolorowej okładce... by zaraz o niej zapomnieć, gdy jego wzrok napotkał dwie diabelskie maski z Chin, powieszona na ścianie. Rażnym krokiem minął drzwi sypialni i uśmiechnął się na widok kredensu, gdzie trunki – był przecież szacownym profesorem – trzymano „całkiem z tyłu”. Nie miał jednak ochoty na

kieliszek, więc tą samą drogą wrócił w pobliże sypialni.

W domu panowała niczym niezmacona cisza. Tego popołudnia uspokajała go nieprzesadna wielkość mieszkania, panująca w nim ciasnota, a nawet leciwe sprzęty. Mieszkanie dzielnie upychało w sobie bezmiar książek, czasopism i płyt z muzyką, ów nieodzowny rynsztunek średnio zamożnego inteligenta. Odporna na zmywanie farba przykryła kwieciste plamy grzyba, pamiętającego jeszcze poprzednie stulecie. Ślady swobody intelektualnej i miłości do życia ginęły w zderzeniu z profesorską powagą.

Za oknem sypialni syn sąsiadów ciągnął dziecięcy wózek pełen gazet. Po drugiej stronie ulicy dziadunio okopywał szpadlem krzewy, uważając, żeby nie podeptać młodej trawy. W stronę uczelni potoczyła się z turkotem ciężarówka z pralni. Norman na chwilę zmarszczył czoło. Ale zaraz się rozchmurzył: w przeciwną stronę lekkim krokiem szły dwie studentki w spodniach i wypuszczonych koszulach, ubrane niezgodnie z uczelnianymi przepisami. Uśmiechnął się. Akurat był w nastroju do gorącego kibicowania zabawnej kulturze, kwitnącej na ulicy – kulturze ciasnej i surowej, zamkniętej w skorupie zakazów, która z zjadłą wrogością podchodziła do seksu, zagrzewała do nieustających zmagania z monotonią przedsiębiorczości i wyteżonej pracy, a do tego pielęgnowała wszelkie rytuały niezbędne do wskrzeszenia martwych ideałów. Niczym grono znachorów w swej ponurej, kamiennej warowni: potężnie rozbudowanym Hempnelli.

Aż dziw, pomyślał, że udało im się z Tansy wytrwać tak długo, że się nie poddali. Żadne nie czuło się jak ryba w wodzie w kameralnej uczelni. Zwłaszcza Tansy, którą początkowo wszystko wyprowadzało z równowagi: a to nieeleganckie potyczki między wydziałami, a to schlebianie wszelkiej maści szyszkom i figurom, a to bezczelny wymóg (który doprowadziłby robota do białej gorączki) nakazujący żonom wykładowców pracować na rzecz uczelni z czystej lojalności, a to męczące obowiązki towarzyskie, a to wreszcie nieustanne niańczenie dwulicowych lizusów (Hempnell należał bowiem do uczelni, które oferują zatroskanym rodzicom alternatywę wobec nieutemperowanych swobód w „siedliskach komunizmu i wolnej miłości”, jak się wyraził jeden z miejscowych polityków, mając na myśli czołowe wielkemiejskie uniwersytety).

Należałoby się spodziewać, że jeśli razem z Tansy nie uciekną do jednego ze wspomnianych siedlisk komunizmu, to albo się uwikłają w meandry uciążliwej egzystencji (tu zgrzyt w kwestii wolności akademickiej, tam bitwa o podwyżkę), albo oddadzą się pisarstwu czy innym samotniczym zajęciom. Tansy zdołała jednak, czerpiąc siłę z nieznanych źródeł, podjąć rękawicę rzuconą przez uczelnię, ugiąć się bez oddania pola i wziąć na ramiona nie tylko swoje brzemie, tak iż – rzecz by można – wyrysowała wokół Normana magiczne koło, co ułatwiło mu kontynuowanie ważniejszej pracy, prowadzenie badań i pisanie artykułów, dzięki którym miał szansę w przyszłości uniezależnić się od Hempnella i obowiązujących w nim zasad. I wcale nie w mglistej przyszłości, ale wkrótce, bo odejście na emeryturę Reddinga dawało mu awans na kierownika katedry socjologii. A potem to już

kwestia miesięcy, nim z atrakcyjną ofertą zgłosi się renomowany uniwersytet.

Na krótką chwilę zatracił się w nagłym, bezbrzeżnym podziwieniu dla żony, jakby po raz pierwszy w życiu uzmysłowił sobie jej wyjątkowe przymioty. Rety, tyle dla niego robiła, i to bez narzucania się! Usłużnie i niestrudzenie pomagała mu w badaniach, przy czym robiła to tak, że jego poczucie wdzięczności nie zostało nigdy zmaćcone poczuciem winy. A przecież nie był doskonałym materiałem na męża: flegmatyczny młody nauczyciel, bynajmniej nie geniusz, z kłopotliwą awersją do akademickiego życia, w swej próżności uwielbiał szokować statecznych kolegów i przejawiał samobójcze skłonności do wyolbrzymiania spornych kwestii w dyskusjach z uczelnianą śmietanką. Ba, w ciągu pierwszych lat nauczania kilka razy zawisł nad przepaścią zawodowej degradacji; ilekroć jednak groził mu nieodwracalny konflikt z władzami, zawsze potrafił się wywinąć i prawie zawsze – widział to teraz z perspektywy czasu – ze sprytną, dyskretną pomocą Tansy. Odkąd się pobrali, na każdym kroku dopisywało mu szczęście!

Do diaska, jak ona to robiła?! Przecież, tak samo jak on, miała naturę leniwą i skrajnie buntowniczą. Była humorzastą i nieodpowiedzialną dziewczyną, córką nierozgarniętego wiejskiego pastora, w dzieciństwie samotną i krnąbrną, oddającą się dzikim fantazjom. Bardzo mało w niej było tej wyważonej układności, która pomagała sprostać wyzwaniom Hempnella.

Na przekór wszystkiemu dawała sobie radę, dzięki czemu – co za ironia losu! – mówiło się o nim: „porządny, dojrzały pracownik Hempnella”, „chluba kolegium”, „mierzy wysoko”. Był dobrym przyjacielem dziekana Gunnisona (nie taki diabeł straszny, jak go malują) i człowiekiem, na którym „polegał” bezbarwny rektor Pollard, a także ucieleśnieniem siły w porównaniu z Herveym Sawtelleem, swoim nerwowym, gamoniowatym kolegą z wydziału. Z obrazoburcy przedzierzgnął się we wzór do naśladowania, a jednak – co zakrawało na cud – ani razu nie sprzeniewierzył się swoim najświętszym zasadom, ani razu nie ugiął się pod jarzmem reakcyjnej władzy.

Skoro już promienie słońca wprowadziły go w ten nastrój medytacji, zaczynał sobie uświadamiać, że w jego sukcesie na uczelni jest coś przedziwnego, coś magicznego i niepokojącego. Jakby był młodym wojownikiem, a Tansy indiańską squaw, która zapuszcza się z nim do krainy zamieszkałej przez duchy przodków i wmawia ponurym widmom, że oni też są członkami starszyny plemiennej, stosownie pogrzebanymi, zdolnymi już władać nadprzyrodzoną mocą. I zawsze udawało się zachować w tajemnicy ich cielesną naturę, chociaż setki razy groziło jej zdemaskowanie. Tak się bowiem składało, że Tansy знаła odpowiednie zaklęcia ochronne. Oczywiście, wracając do rzeczywistości, chodziło o to, że oboje byli dojrzałymi i pragmatycznymi. Każdy musi poukładać sobie życie, poskromić dziecięce odruchy, inaczej przepadnie z kretesem. Mimo to...

Promienie słońca pojaśniały, nabrały wyrazistej pozłoty, jakby kosmiczny elektryk przekręcił gałkę stopień dalej. W tym samym momencie jedna z luźno ubranych dziewczyn,

zanim znikła za rogiem sąsiedniego domu, buchnęła wesołym śmiechem. Norman odwrócił się od okna i zobaczył, jak Totem, urocza kotka, podnosi się na wygrzany jedwabnym szalu i z tytanicznym rozmachem zaczyna przeciągać się i ziewać; wydawało się, że wszystkie kości w sobie poprzestawia. Norman z zapalem, choć nie aż tak wielkim, poszedł w jej ślady. O tak, dzień był przepiękny – jeden z tych dni, kiedy rzeczywistość składa się z szeregu jasnych, ostrych obrazów, co do których zachodzi obawa, że w ich zachwycającej materii powstanie wyrwa, a w wyrwie pokaże się bezkres czarnej niewiadomej pustki. W takim dniu wszystko wydaje się przyjazne i prawidłowe, tak iż człowiek drży ze strachu, że nagle jakaś przenikliwa, porażająca myśl ujawni ogrom grozy, nienawiści, okrucieństwa i ignorancji, nieodłącznych składników życia.

Przestał ziewać i pomyślał sobie, że jeszcze przez chwilę pozostanie w swoim sielskim nastroju. Równocześnie zahaczył spojrzeniem o drzwi do garderoby żony.

Świadomie zapragnął coś zrobić jeszcze przed odpoczynkiem lub dalszą pracą, coś niepotrzebnego i nie wymagającego wysiłku, ewentualnie trochę dziwnego, może też ciut dziecinnego i naganego, co kiedyś będzie wspominał z zażenowaniem i rozbawieniem.

Rzecz jasna, gdyby Tansy była w domu... No ale jej nie było, zatem garderoba mogła posłużyć jako substytut jej słodkiej osoby.

Pokusą były uchylone drzwi, za którymi widniał skraj wątego krzesła z przewieszoną niedbale halką; spod niej wyglądał konik z kosmatymi pęciami. Za krzesłem zastawiony słoiczkami blat z kości słoniowej pogrążał się w nastrojowym półmroku; garderoba była zwykłą komórką bez okien, niewiele większą od zwykłej dużej szafy.

Nigdy dotąd nie szpiegował Tansy, nigdy też poważnie o tym nie myślał. I podobnie ona, jak przypuszczał, nie zamierzała szpiegować jego. Była to jedna z tych rzeczy, w których oboje upatrywali podstawę udanego małżeństwa. Niemniej nie nazwałby szpiegowaniem tego, co go tak korciło. Najwyżej swawolną igraszką miłosną, może drobnym wykroczeniem. Poza tym nie ma ludzi idealnych, a nawet ze wszech miar dorosłych, którym całkowicie przeszła ochota do figli.

Mało tego, od pierwszego spojrzenia w osłoneczone okno nurtowała go zagadka Tansy, sekret jej umiejętności oddychania, a nawet skutecznego funkcjonowania w dusznej atmosferze drapieżnego Hempnella. Nie była to, oczywiście, zagadka w dosłownym tego słowa znaczeniu, a już z pewnością nie taka, do której klucz mógłby się znajdować wśród jej ubrań. Mimo to...

Zawahał się. Kot, z białymi łapkami podwiniętymi pod czarny kubraczek, patrzył na niego badawczo. Wszedł do garderoby. Kot zeskoczył z łóżka i podążył za nim.

Włączył lampkę z różowym abażurem. Obejrzał wieszaki z sukienkami, a potem szuflady z butami. Wszystko w lekkim nieładzie, kontrolowanym i uroczym. Nikła woń perfum przywoływała na pamięć miłe wspomnienia.

Przyglądał się fotografiom na ścianie wokół lustra. Jedna z nich przedstawiała jego i

Tansy w częściowym stroju Indian – wykonana przed trzema laty, gdy badał plemię Jumów. Oboje wyglądali poważnie, jakby ze wszystkich sił starali się upodobnić do prawdziwych Indian. Na drugiej, dość wyblakłej fotografii mieli na sobie kostiumy kąpielowe z 1928 roku; stali na starym moło i uśmiechali się ze zmrużonymi oczami, oślepieni słońcem. Przeniósł się wspomnieniami na wschód do Bayport i do lata tuż przed ich ślubem. Na trzeciej uwiecznili teatralny chrzest w nurtach rzeki. Był wówczas przewodniczącym Bractwa Hazelton i gromadził materiały do swoich prac: *Wzorze społeczne czarnoskórych mieszkańców Południa* oraz, późniejszej, *Pierwiastek żeński w przesądach*. Wsparcie Tansy okazało się bezcenne w ciągu półrocza żmudnej pracy, kiedy kładł podwaliny swojej reputacji. Towarzysząc mu w terenie, spisywała barwne, rozwlekłe wspomnienia sędziwych jasnookich mężczyzn i niewiast, którzy dobrze pamiętali czasy niewolnictwa, ponieważ sami ongiś byli niewolnikami. Pamiętał, jaka wydawała mu się chłopcą, filigranowa i energiczna, poniekąd nawet rozhukana owego lata, kiedy opuścili Gorham College przed przybyciem do Hempnella. Od tamtej pory Tansy znacznie spoważniała.

Na czwartym zdjęciu stary czarnoskóry czarownik z pobrużdżoną twarzą chował swe dumne, wysokie czoło pod wysłużonym filcowym kapeluszem. Stał z wyprostowanymi plecami i roziskrzonym wzrokiem, jakby przyglądał się zgnilej, zniewieściałej kulturze i odżegnywał się od niej, obdarzony jakąś sekretną, głęboką wiedzą. Strusie pióra i pocięte bliznami oblicze robiły ogromne wrażenie. Norman dobrze pamiętał tego jegomościa, jednego z jego najcenniejszych i zarazem najbardziej kapryśnych informatorów; potrzeba było kilku wizyt, żeby zapełnić notatnik.

Spojrzał na toaletkę i bogaty zbiór kosmetyków. Tansy jako pierwsza z żon wykładowców z Hempnella używała szminki i malowała paznokcie. Nie obeszło się bez szeptania na boku i krytycznych uwag o dawaniu złego przykładu studentom, ale postawiła na swoim. Po pewnym czasie Hulda Gunnison pojawiła się na przyjęciu pracowników wydziału z niestaranną, lecz rzucającą się w oczy czerwienią na ustach. Lody zostały przełamane.

Obwarowane zimnymi, kremowymi słoiczkami, stało jego własne zdjęcie, a przed nim leżał stosik drobnych monet, dziesięcio- i dwudziestopięciocentówek.

Wyprostował się. Nie było to już tylko nieprzyzwoite szpiegowanie, jak to sobie założył. Wysunął pierwszą lepszą szufladkę, pośpiesznie przegrzebał zwinięte pończochy, po czym zamknął ją i chwycił białą gałkę następnej.

Tu się wstrzymał. Trochę to niemądre, przyszła myśl. Równocześnie zauważył, że właśnie uleciała resztką jego szampańskiego nastroju. Podobnie jak wtedy, gdy odwrócił się od okna, tyle że w bardziej złowieszczy sposób, czas stanął w miejscu, jakby jego prawdziwy świat, cała przeszłość do chwili obecnej, wyszła na jaw w świetle błyskawicy, która zaraz zgaśnie wśród atramentowych ciemności. Huczało mu w uszach, wszystko wydawało się aż nadto realne.

W progu drzwi obserwował go kot.



Wszelako jeszcze głupsze byłoby roztrząsanie tak błahej zachcianki, jakby w ogóle coś od niej zależało. Aby więc udowodnić, że nic konkretnego z tego nie wyniknie, postanowił otworzyć kolejną szufladkę.

Zacięła się, lecz szarpnął mocniej i w końcu ustąpiła.

Zaciekawiło go leżące w głębi tekturowe pudełko. Uniósł pokrywkę i wydobył jedną z buteleczek ze szklanym korkiem. Cóż to za kosmetyk? Zbyt ciemny, jak na puder do twarzy. Bliżej mu do próbki gleby z pracowni geologa. Składnik maseczki błotnej? Wątpliwe. Tansy miała ogród zielny; czy tędy droga?

Kiedy obracał buteleczkę, suche ciemnobrązowe drobiny przesypywały się niczym piasek w klepsydrze. Pojawiła się etykieta, a na niej słowa pisane wyraźnym pismem Tansy: „Julia Trock, Roseland”. To nazwisko nic mu nie mówiło. I czemu nazwa miasteczka budziła w nim niechęć? Strącił pokrywkę i sięgnął po drugą buteleczkę. Nie różniła się od pierwszej, choć zawartość miała lekko czerwony odcień, a na etykietce napisano: „Phillip Lassiter, Hill”. Trzecia buteleczka. Zawartość taka sama jak w pierwszej i napis: „J. P. Thorndyke, Roseland”. A potem kolejne, pochwycone z werwą: „Emelyn Scatterday, Roseland”, „Mortimer Pope, Hill”, „Wielebny Bufort Ames, Roseland”. Kolory odpowiednio brązowy, czerwony i brązowy.

Cisza w mieszkaniu rozbrzmiała hukem gromu, nawet słońce w sypialni zdawało się syczeć i skwierczeć, gdy gorączkowo główkował nad rozwiązaniem zagadki. Roseland i Hill, Roseland i Hill, pojechaliśmy do Roseland i Hill... Zupełnie jak wierszyk z przedszkola, który nagle stał się nie do zniesienia. Dotyk buteleczki wywoływał odrazę. Pojechaliśmy i zostaliśmy...

Już miał gotową odpowiedź. Dwa miejscowe cmentarze. Ziemia z mogiły. A więc trafił w sedno: próbki gleby. Garść ziemi z określonego grobu, nieodzowny element murzyńskich praktyk magicznych.

Kot wylądował na stoliku z cichym stuknięciem i z ciekawością zaczął obwąchiwać buteleczki. Kiedy Norman włożył rękę do szufladki, czmychnął. Za dużym pudełkiem namacał mniejsze. Pociągnął z impetem szufladkę, aż spadła na ziemię. W jednym z pudełek znalazł pogięte kawałki zardzewiałego żelaza: gwoździe do podków. W drugim odkrył torebki foliowe z kosmykami włosów, również stosownie opisane. Tym razem znał większość nazwisk: Hervey Sawtelle, Gracine Pollard, Hulda Gunnison... Torebka z napisem „Evelyn Sawtelle” zawierała ścinki paznokci z czerwonym lakierem.

Trzecia szufladka okazała się pusta, lecz w czwartej natknął się na cenne znalezisko: paczuski z suszonymi listkami i sproszkowanymi warzywami. A więc takie oto rzeczy pochodziły z ogródka zielnego oprócz przypraw kuchennych... Werbena, przestęp, diabelskie ziele... Kawałki magnetytu z wczepionymi opiłkami żelaza. Gęsie pióra, z których przy potrząsaniu kapą rtęć. Flanelowe gałganki, służące szamanom do szycia woreczków na magiczne składniki. Pudełko ze srebrnymi monetami i opiłkami srebra, skutecznymi w

zaklęciach ochronnych. Wyjaśniło się, co robiły srebrne monety przed jego zdjęciem.

Ale przecież Tansy stąpała twardo po ziemi. Wróżenie z ręki, astrologię, numerologię i tym podobne przejawy nedorzecznego zabobonu miała w głębokiej pogardzie. Trzeźwo myśląca obywatelka Nowej Anglii. Dzięki pracy z nim doskonale obeznana z psychologicznym podłożem przesądów i prymitywnej wiary w magię. Doskonale obeznana...

Zaczął przerzucać pozaginane stronicie książki własnego autorstwa: *Psychoza a przesąd. Podobieństwa*. Chyba ten właśnie egzemplarz zawieruszył mu się w domu jakieś osiem lat temu. Na marginesie przy jednej z magicznych receptur Tansy napisała: „Nie działa. Zamiast mosiężnych opiłków miedziane. Spróbować w czasie nowiu, nie przy pełni”.

– Norman...

W drzwiach stała jego żona.

## 2

Czasem się zdarzy, że człowiek, którego znamy najlepiej, wyda się nam zupełnie obcy. Przez chwilę znajoma twarz będzie przypadkowym zbiorem kolorowych płaszczyzn, pozbawionym chociażby tej ułudnej osobowości, jaką przypisujemy bezimiennej twarzy spotkanej na ulicy.

Norman Saylor miał wrażenie, że nie patrzy na żonę, lecz na obraz. Jak gdyby magiczny Renoir lub Toulouse-Lautrec namalował Tansy, posługując się powietrzem w charakterze płótna: śmiało obrysował płaskie policzki bladoróżowym kolorem z delikatnym odcieniem zieleni i spiął je poniżej w kształt ostrego, dumnego podbródka; machnął w poprzek z artystyczną niedbałością czerwone zadumane usta, zielonoszare oczy chyba zdolne do okazania wesołości i przedzielone jedną zmarszczką wąskie, skośne brwi; jednym uderzeniem pędzla naniósł czarną, zadziorną grzywkę; pośpiesznie pokolorował obszar przydymionej bieli gardła i szkarłatu sukienki; perfekcyjnie nakreślił łokieć, zgięty na paczce od krawca, gdy drobne nieforemne dłonie unosiły się, żeby zdjąć kapelusik – drugą szkarłatną plamę, tym razem rozjaśnioną ozdóbką ze srebrzonego szkła.

Bał się, że jeśli wyciągnie rękę, chcąc jej dotknąć, farba spłynie na ziemię niczym z jakiegoś chodzącego, siostrzanego portretu Doriana Graya.

Wpatrywał się w nią błędnym wzrokiem, z otwartą książką w dłoni. Nie rzekł nic, choć wiedział, że gdyby teraz z jego ust wyszły słowa, własny głos wydałby się mu głosem innej osoby, pewnie jakiegoś głupiego profesorka.

Wtem bez komentarza czy widocznego grymasu na twarzy Tansy obróciła się na pięcie i szybko wyszła z sypialni. Pakunek od krawca upadł na ziemię. Dopiero po chwili Norman mógł się poruszyć.

Dogonił ją w salonie. Kierowała się do drzwi wyjściowych. Gdy zrozumiał, że nie obróci się ani nie przystanie, chwycił ją w ramiona. Tym razem zareagowała. Szamotała się niby dzikie zwierzę, lecz z odwróconym obliczem i rękami przyciśniętymi do ciała, jakby była związana.

– Nie dotykaj mnie! – warknęła ochryple przez zaciśnięte zęby.

Wyteżył siły i zaparł się nogami. Było coś przerażającego w tym, jak rzucała się na boki,

by wyrwać się z jego objęć. Wyobraził sobie kobietę w kaftanie bezpieczeństwa.

– Nie dotykaj mnie! – powtarzała wciąż tym samym tonem.

– Ależ Tansy... – próbował ją hamować.

Nagle przestała się szarpać. Opuścił ramiona i zrobił krok do tyłu. Wcale się nie uspokoiła. Stała sztywno z twarzą skrzywioną w bok oraz, jeśli dobrze widział, mocno zaciśniętymi powiekami i ustami. Jakaś pokrewna sztywność odezwała się w nim i ścisnęła go za serce.

– Kochanie! – powiedział. – Wstyd mi za to, co zrobiłem. Nieważne powody; było to głupie, podłe i haniebne. Ale...

– Nie o to chodzi!

Zawahał się.

– Czyżbyś zareagowała w ten sposób, bo... że tak powiem... sama się wstydzisz tego, co odkryłem?

Nie odpowiedziała.

– Proszę cię, Tansy. Musimy porozmawiać.

Nadal nie odpowiadała. Nerwowo przebierała palcami.

– Jestem pewien, że wszystko będzie dobrze. Jeśli tylko mi powiesz... Tansy, proszę cię...

Nie zmieniając pozy, wykrzywiła usta i wyrzuciła z siebie:

– Może mnie zwiążesz i pokłujesz szpilkami? Tak właśnie robiono.

– Kochanie, w życiu bym cię nie skrzywdził! Po prostu musimy się i porozmawiać.

– Nie mogę. Jeszcze jedno słowo i zacznę krzyczeć!

– Kochanie, niby jak mam przestać? To jedna z tych spraw, które trzeba sobie wyjaśnić.

– Wolę umrzeć.

– Musisz mi powiedzieć, musisz! – upierał się podniesionym głosem.

Wyglądała tak, jakby miała zemdleć. Wyciągnął ramię, żeby ją podtrzymać, lecz nic jej nie było, po prostu raptownie osłabła. Podeszła do krzesła, rzuciła kapelusz na stoliczek i usiadła bezwładnie.

– No dobrze – powiedziała. – Możemy porozmawiać.

\* \* \*

Godzina 18:37. Ostatnie promienie słońca, ślizgając się po biblioteczce, musnęły czerwone zęby diabelskiej maski. Tansy siedziała na brzegu wersalki, podczas gdy on ją obserwował z drugiego końca, z nogą zgiętą na siedzeniu.

Odwróciła się i szarpnęła głową z poirytowaniem, jakby wokół niej kłębił się nieznośnie gęsty dym słów do wypowiedzenia.

– No więc dobrze, niech ci będzie! Próbowałam na poważnie posługiwać się magią. Robiłam to, czego nie powinna robić nowoczesna kobieta. Próbowałam rzucać zaklęcia na

ludzi i przedmioty. Próbowałam zmienić przyszłość. Próbowałam... wszystkich sztuczek.

Norman sztywno pokiwał głową. Tak samo kiwał na konsultacjach ze studentami, ilekroć po – zdawałoby się – godzinach mozolnej dyskusji na zasepionej twarzy obiecującego młodziana pojawiały się pierwsze przebliski zrozumienia. Pochylił się w jej stronę.

– Ale po co?

– Chroniłam ciebie i twoją karierę – odparła ze spuszczonego wzrokiem.

– Doskonale wiesz, skąd się biorą zabobony. Jak mogłaś uwierzyć?... – Nie mówił już głośno. Raczej chłodno, niczym prawnik.

Wzdrygnęła się.

– Nie wiem... Z jednej strony masz rację. Ale jeśli pragniesz z całego serca, żeby coś się stało lub nie stało komuś, kogo kochasz... Robiłam to samo, co miliony przede mną... Nawiasem mówiąc, Norm, moje działania odnosiły skutek. Na ogół.

– Zrozum – ciągnął rzeczowo – właśnie te wyjątki dowodzą, że twoje działania do niczego nie prowadzą. Że to czy tamto udaje ci się tylko przez przypadek.

– Nie byłabym tego taka pewna – odpowiedziała z lekkim zniecierpliwieniem. – Mogły działać siły przeciwne... – Odwróciła się do niego z werwą. – Sama już nie wiem, w co wierzyć! Nie miałam dowodów na to, że zaklęcia naprawdę działają. Nie dało się tego stwierdzić. W dodatku bałam się przestać, kiedy już zaczęłam.

– Parałaś się tym przez te wszystkie lata?

Kiwnęła głową markotnie.

– Odkąd przyjechaliśmy do Hempnell.

Wpatrywał się w nią świdrującym wzrokiem. Wręcz nie mieściło mu się w głowie, że gdzieś we wnętrzu tej poukładanej, nowoczesnej osoby, którą znał od najintymniejszej strony, zachował się rozległy, niezbadany obszar – terytorium przynależne opisywanym w książkach pradawnym gusłom, żywcem wzięte z epoki kamiennej, najzupełniej mu obce, pogrążone w mroku, opanowane przez strach, targane nieujarzmionymi wichrami. Próbował sobie wyobrazić, jak Tansy mamrocze zaklęcia, szyje flanelowe woreczki w blasku świec, a w poszukiwaniu składników zapuszcza się na cmentarze i jeszcze w Bóg wie jakie miejsca. Wszystko to przechodziło ludzkie pojęcie, a jednak działo się... tuż pod jego nosem.

Jedyną lekko podejrzaną rzeczą, którą zauważył w zachowaniu żony, były jej samotne „spacerki”. Jeśli kiedykolwiek myślał o niej w związku z przesądami, zawsze dochodził do wniosku – nie bez cienia dumy – że jak na kobietę ma wyjątkowo racjonalne podejście do życia.

– Norm, czuję się taka rozbita i nieszczęśliwa – odezwała się. – Nie wiem, co powiedzieć i od czego zacząć.

– Opowiedz, jak do tego doszło, wszystko od początku – zaproponował z profesorską logiką.

\* \* \*

Godzina 19:54. Nadal siedzieli na wersalce. W pomieszczeniu panował półmrok, w którym majaczyły wydłużone owale diabelskich masek i odcinało się bledością oblicze Tansy. Norman nie widział rysów twarzy, ale po głosie poznał, że się ożywiła.

– Czekaj no – przerwał. – Chcę mieć pewność. A więc bardzo się bałaś, kiedy przyjechaliśmy do Hempnell, żeby omówić warunki pracy, zanim ruszyłem na południe z Bractwem Hazelton?

– Dokładnie tak było. Okropne miejsce, myślałam. Ludzie patrzą wilkiem i zadzierają nosa. Dali mi odczuć, że nie sprawdzę się w roli żony wykładowcy. Sama nie wiem, kto bardziej mi dopiekał: czy Hulda Gunnison, kiedy mierzyła mnie tym swoim pogardliwym wzrokiem, mówiąc chłodno: „Ujdzie w tłumie”, czy stara pani Carr, kiedy głaskała mnie po rękę ze słowami: „Wiem, że będziesz tu z mężem szczęśliwa. Jesteście młodzi, ale u nas się lubi młodych, miłych ludzi”. Wobec tych kobiet czułam się bezbronna. I martwiłam się o twoją karierę.

– No tak. A kiedy zaciągnąłem cię na południe, w najbardziej zabobonny region w całym kraju, gdzie w dzień i w nocy miałaś kontakt z magią, z otwartymi ramionami przyjąłś obietnicę łatwiejszego życia.

Zaśmiała się bez przekonania.

– Nie wiem, czy z otwartymi ramionami, w każdym razie byłam pod wrażeniem. Czerpałam pełnymi garściami. Cały czas siedziało mi gdzieś w podświadomości, że kiedyś będę tego potrzebować. Jesienią, po powrocie do Hempnell, pozbyłam się wątpliwości.

Pokiwał głową. To by pasowało. Czy nie wydawało mu się dziwne, że po ślubie oddała się nudnym zajęciom sekretarki bez słowa skargi, z absolutnym entuzjazmem?

– Ale chyba nie posługiwałaś się zaklęciami – ciągnął – póki wtedy zimą nie zachorowałem na zapalenie płuc?

– Nie. Wcześniej był to jedynie zbiór mało konkretnych wyobrażeń. Jakieś bzdety, które wygadywałam, budząc się w środku nocy, i rzeczy, których instynktownie unikałam, bo przynoszą pecha. Nie zamiatałam schodów przed zmierzchem, nie krzyżowałam noży i widelców. A potem, kiedy dostałeś zapalenia płuc... Sam wiesz, kiedy ukochana osoba może umrzeć, chwytasz się wszystkiego.

– Oczywiście. – Na chwilę w jego głosie pojawiło się współczucie, lecz zaraz powrócił ton zapożyczony z sali wykładowej. – Chociaż przypuszczam, że dopiero po mojej wygranej klótni z Pollardem o wychowanie seksualne, a zwłaszcza po tym jak w 1931 roku świetne recenzje zebrała moja książka, naprawdę uwierzyłaś, że twoja magia działa.

– Zgadza się.

Odchylił się na oparcie.

– Boże...

– O co ci chodzi, kochanie? Chyba nie sądzisz, że ta książka zawdzięcza swój sukces tylko mnie?

Na poły się zaśmiał, na poły prychnął. –

– Ależ skądże znowu... – Zastanowił się. – No dobrze, zawędrowaliśmy do roku 1930. Co było dalej?

\* \* \*

Godzina 20:58. Norman sięgnął do kontaktu i zapalił światło. Musiał zmrużyć oczy. Tansy spuściła wzrok. Wstał i roztarł ścierpnięty kark.

– Wkurza mnie to – oświadczył – że stopniowo zawładnęło to całym twoim życiem. Teraz już nie zrobisz najmniejszego kroku, to znaczy nie pozwolisz mi zrobić kroku bez użycia jakiegoś ochronnego zaklęcia. To zakrawa na jakąś... – Paranoję, miał zamiar dodać.

A Tansy ciągnęła ściszym, ochryplym głosem:

– Nie zapinam się na zamek, tylko haczyki z pętelką, bo na haczyk łapią się złe duchy. A lustreczka na kapeluszach, torebkach, sukienkach... Słusznie się domyślasz. To tybetańska magia, służąca ochronie przed nieszczęśliwymi wypadkami.

Staął z nią twarzą w twarz.

– Powiedz mi, ale tak szczerze, co cię do tego skłoniło?

– Właśnie ci powiedziałam.

– Wiem, ale czemu to ciągnęłaś przez te wszystkie lata? Przecież podejrzewałaś, że to urojenia. Innej kobiecie może bym się nie dziwił, ale tobie...

Zawahała się.

– Wiem, co o mnie pomyślisz: staroświecka romantyczka. Tak czy owak uważam, że kobiety są bliżej natury niż mężczyźni, że ciągle w nich drzemią pierwotne uczucia. – I dalej bez chwili wytchnienia: – Dochodzą do tego wspomnienia z dzieciństwa. Dziwaczne, poronione pomysły, pojawiające się po kazaniach ojca. Historie, które opowiadała nam pewna stara babka. Płatki.

Prowincjonalna mentalność? – zastanawiał się Norman. Odpowiednie warunki do zdrowego rozwoju psychicznego, akurat!

– I jeszcze... jeszcze tysiąc innych rzeczy. Opowiem ci o nich.

– Fajnie. – Położył jej rękę na ramieniu. – Ale może byśmy w tym czasie coś przegryźli?

\* \* \*

Godzina 21:17. Siedzieli zwrócenii do siebie w sympatycznej biało-czerwonej kuchni. Na stole nietknięte kanapki i opróżnione do połowy filiżanki czarnej kawy. Od razu widać, że role się odwróciły. Teraz Norman uciekał wzrokiem w bok, a ona badawczo śledziła rysy jego

twarzy.

– Co o tym sądzisz? – zapytała w końcu. – Że jestem idiotką albo mi odbija?

Czekał na to pytanie.

– Ależ skąd – odrzekł poważnie. – Choć Bóg raczy wiedzieć, jak zareagowałby ktoś postronny na wieść o twoich poczynaniach. Nie zwariowałaś, ale pewne jest to, że tak jak każdy masz zaburzenia psychiczne, tyle że twoje, do diaska, przybrały niezwykle formę. – Nagle dokuczył mu głód, więc porwał kanapkę i zaczął obgryzać ją naokoło. – Posłuchaj, wszyscy mamy swoje osobiste zwyczaje, szczególnie sposób jedzenia, picia, spania i chodzenia do łazienki. Nie zdajemy sobie sprawy z ich istnienia, ale gdyby je poddać analizie, wydałyby się nam osobliwe. No wiesz, idziesz chodnikiem i omijasz szpary między płytami. Tego typu rzeczy. Otóż, moim zdaniem, z powodu pewnych okoliczności życiowych twoje przyzwyczajenia wymieszały się z praktykami magicznymi, i to do tego stopnia, że nie jesteś w stanie odróżnić jednego od drugiego. – Zamilkł na moment. – I teraz najważniejsze. Dopóki tylko ty wiedziałaś, co robisz, nie podawałaś w wątpliwość swoich ciągotek do magii, tak samo jak szary człowiek nie zastanawia się nad swoją magiczną formułą zasypiania. Nie istniał konflikt społeczny. – Jedząc kanapkę, zaczął się przechadzać. – Boże drogi, przez większą część życia badałem, jak i dlaczego rozmaici ludzie ulegają przesądom, a nie zauważyłem, że moja praca ma na ciebie zgubny wpływ. I czymże są przesady, jeśli nie błędną, fałszywą nauką? A skoro tak się rzeczy mają, to czy należy się dziwić, że ludzie uciekają w zabobon w świecie wypełnionym nienawiścią, zmierzającym do zagłady? Bóg mi świadkiem, że zanurzyłem się w najgłębszą otchłań czarnej magii, gdybym tylko mógł unieszkodliwić bombę atomową!

Tansy wstała. W jej nienaturalnie rozszerzonych oczach płonęły ogniki.

– W takim razie nie czujesz do mnie nienawiści? Nie myślisz, że zwariowałam?

Wziął ją w ramiona.

– No coś ty!

Zaniósł się płaczem.

\* \* \*

Godzina 21:33. Znowu siedzieli na wersalce. Tansy przestała płakać, ale nadal miała głowę wspartą na ramieniu męża. Przez chwilę nic nie mówili.

W końcu odezwał się Norman, obłudnie łagodnym tonem, jakim posługuje się lekarz, mówiąc pacjentowi, że konieczna będzie druga operacja:

– Oczywiście, musisz teraz z tym skończyć.

Momentalnie uniosła głowę.

– Nie, Norm, tylko nie to.

– Czemu? Dopiero co przyznałaś, że to nie ma sensu. Dziękowałaś, że otworzyłem ci



oczy.

– Wiem, ale mimo to... Nie zmuszaj mnie, Norm.

– Bądź rozsądna, Tansy. Wykazałaś się dojrzałym podejściem do sprawy i jestem z ciebie dumny, ale zrozum, nie możesz zawrócić w pół drogi. Skoro postanowiłaś zwalczyć w sobie tę słabość, musisz być wytrwała. Wywal cały ten kram z garderoby, te amulety, które tam pochowałaś, wszystko bez wyjątku.

Pokręciła głową.

– Nie zmuszaj mnie, Norm – powtórzyła. – Daj mi czas. Czułabym się naga.

– Wcale nie. Poczujesz się silniejsza, bo okaże się, że rzekoma magia jest niczym innym jak twoim wrodzonym talentem i zdolnościami.

– Nie, Norm. Czemu mam z tym kończyć? Co to zmieni? Sam powiedziałeś, że to tylko nieistotne przyzwyczajenia.

– Od kiedy się o nich dowiedziałem, nie są już wyłącznie twoją sprawą. Ponadto – dodał groźnym tonem – są to dość niezwykle przyzwyczajenia.

– Ale czemu nie mogę z tym skończyć etapami? – błagała niczym dziecko. – No wiesz, na początek przestanę tworzyć nowe zaklęcia, zostanę przy starych.

Pokręcił głową.

– Nic z tego. To jak zrywanie z nałogiem picia. Trzeba się całkowicie odciąć od przeszłości.

– Norm, nie wymagaj tego ode mnie – sprzeciwiła się podniesionym głosem. – Nie dam rady.

Zaczynał wierzyć, że ma do czynienia z dzieckiem.

– Nie masz wyboru, Tansy.

– Ale czy stało się coś złego z powodu mojej magii? – Dziecięcy upór był podszyty strachem. – Nigdy nikogo nie skrzywdziłam, nie prosiłam też o rzeczy niemożliwe, na przykład żebyś z dnia na dzień stał się rektorem uczelni. Chciałam cię tylko ochraniać.

– Tansy, a jakie to ma znaczenie?

Oddychała ciężko.

– Pamiętaj, że nie biorę odpowiedzialności za to, co ci się przydarzy, jeśli każesz mi przestać.

– Tansy, pomyśl logicznie. Po kiego licha mi taka ochrona?

– Aha, wydaje ci się, że wszystko, co w życiu osiągnęłaś, zawdzięczasz samemu sobie? Nie widzisz, że zawsze miałaś łut szczęścia?

Zdenerwował się, bo przypomniał sobie, że nie tak dawno też się nad tym zastanawiał.

– Słuchaj, Tansy...

– Łudzisz się, że wszyscy cię lubią i życzą ci jak najlepiej, co? Myślisz, że ci krwiożercy w Hempnelli to potulne kiciusie z przyciętymi pazurkami? Lekceważysz ich zawiść i intrygi jak coś banalnego, niegodnego twojej uwagi. A zatem, wiedz...

\_ Tansy, po co od razu krzyczeć?

– Wiedz, że są tu ludzie, którzy życzą ci śmierci. Którzy ukatrupiliby cię już dawno temu, gdyby mieli okazję!

– Tansy!

– Jak ci się zdaje, co czuje do ciebie Evelyn Sawtelle, skoro poniżasz jej męża strachając w wyścigu o stanowisko kierownika katedry socjologii? Myślisz, że chce ci upiec ciasto? Tort czekoladowy z wiśniami? A Hulda Gunnison, czy cieszy się z twojego wpływu na jej męża? Głównie przez ciebie nie jest już kierowniczką dziekanatu dla mężczyzn. A pani Carr, ta obleśna żołą. Czy podoba jej się, jak twoja polityka swobody i szczerości w kontaktach ze studentami wyszydza jej świętoszkowość? Seks to takie brzydkie słowo, ciągle mówi. Nie wiesz, jak te babska wspierają swoich mężów?

– Boże, po co wałkować ten temat uczelnianych przepychanek?

– Myślisz, że ograniczają się do samej ochrony? Myślisz, że kobiety tego pokroju przestrzegają granic białej i czarnej magii?

– Tansy! Co ty wygadujesz? Jeśli chcesz powiedzieć... Wiesz co, kiedy tak cię słucham, mam wrażenie, że jesteś czarownicą!

– Doprawdy? – Rysy tak się jej zbiegły, że na chwilę uwypuklił się zarys czaszki. – Może i nią jestem. I może powinienes mi za to dziękować.

Złapał ją za rękę.

– Cierpliwie słucham twoich niedorzecznych argumentów, ale to już przesada. Przydałoby się wreszcie trochę zdrowego rozsądku!

Skrzywiła usta z jadowitą miną.

– Rozumiem. Do tej pory były kwiatki, teraz przywalisz mi doniczką. Jeśli ci się sprzeciwię, wywożę mnie do wariatkowa, mam rację?

– Oczywiście, że nie! Ale musisz się pozbierać.

– W życiu!

– Tansy...

\* \* \*

Godzina 22:13. Złożona kołdra aż podskoczyła, gdy Tansy rzuciła się na łóżko. Łzy znówu pociekły po zaczerwienionej twarzy, ale w końcu obeschły.

– Dobrze – oznajmiła zduszonym głosem. – Będzie, jak sobie życzysz. Spalę wszystkie rzeczy.

Kręciło mu się w głowie. Dziwił się, że tyle dokonał bez pomocy psychiatry.

– Nie raz i nie dwa próbowałam z tym skończyć – dodała. – Tak samo jak chciałam przestać być kobietą.

Następne wydarzenia były dziwnie prozaiczne. Najpierw nastąpiło przeczesanie

garderoby w poszukiwaniu wszelkich ukrytych przyborów i amuletów. Norman przypomniał sobie stare komedijki, w których wypada z jednej taksówki tłum ludzi. Wydawało się niemożliwe, by zawartość kilku pudełek na buty i płytkich szufladek wypełniła tyle koszyków na makulaturę. Na wierzch ostatniego rzucił pozaznaczany egzemplarz... *Podobieństw* i sięgnął po pamiętnik w skórzanej oprawie. Skinęła głową zachęcająco, lecz on po krótkim wahaniu odłożył go na miejsce.

Przyszła kolej na resztę mieszkania. Tansy zwijała się jak w ukropie: śmigła z pokoju do pokoju, wyciągając flanelowe woreczki z tapicerki w krzesła, spod stołowych blatów, z wazonów. Norman zachodził w głowę, jak to się stało, że w ciągu ponad dziesięciu lat, odkąd tu mieszkali, nie znalazł ani jednego.

– Jak na wyprawie po skarby, co? – powiedziała ze smutnym uśmiechem.

Także na zewnątrz były amulety: pod schodami u drzwi z dwóch stron domu, w garażu i w samochodzie. Z każdym przedmiotem ginącym w ogniu, który rozpałił w salonie, Norman odczuwał większą ulgę. Na koniec Tansy rozpruła jego poduszki i wyłowiła z pierza dwa skołtunione twory ze związanych nitką piórek.

– Widzisz? To serce, a to kotwica – wyjaśniła. – Dla bezpieczeństwa. To powszechnie czary w Nowym Orleanie. Od lat gdziekolwiek się ruszyłeś, byłeś w zasięgu moich zaklęć ochronnych.

Figurki z piórek wpadły w ogień.

– I już – powiedziała. – Poczujesz różnicę?

– Nie, a powinienem?

Pokręciła głową.

– To były ostatnie. Jeśli moje zaklęcia naprawdę przeciwstawiały się wrogim siłom...

Zaśmiał się pobłaźliwie, lecz spytał twardym tonem:

– Na pewno poszły wszystkie? A może coś przeoczyłaś?

– Nie przeoczyłam. Nie zostało nic w domu ani przed domem. Dalej zaś niczego nie chowałam, bo bałam się... zakłóceń. Policzyłam wszystko w pamięci z dziesięć razy. Skończyło się. – Popatrzyła w ogień. – Puf i nie ma. A teraz jestem skonana – dodała. – Zaraz się kładę. – Nagle wybuchła śmiechem. – Ale najpierw muszę zszyć poduszki, bo będziemy mieli pierze w całym domu.

Otoczył ją ramionami.

– Już w porządku?

– Tak, kochanie. Mam do ciebie tylko jedną prośbę: nie wspominajmy o tym przez parę dni, nawet jednym słowem. Jestem jeszcze za słaba. Obiecujesz, Norm?

Przytulił ją mocniej.

– Z całego serca, najdroższa.

### 3

Siedział pochylony na skraju wysłużonego skórzanego fotela. Bawiąc się szczątkami w palenisku, drapał zębem pogrzebacza rozżarzoną deskę, aż rozpadła się na migoczące węgielki, nad którymi kołysały się prawie niewidoczne niebieskie ogniki.

Na ziemi obok niego, z głową między wyciągniętymi łapami, przyglądał się płomieniom kot.

Czuł się zmęczony. Dawno powinien się położyć za przykładem Tansy, ale chciał pobyc sam na sam ze swoimi myślami. Czasem wydawał mu się uciążliwy ów zawodowy nawyk, polegający na gruntownym rozpatrywaniu każdej sytuacji, skrupulatnym rozważaniu wszelkich plusów i minusów, docieraniu do najgłębszych zakamarków jak w sklepowym koszu na ubrania. Podczas gdy ona wyłączyła myśli jak światło i bachnęła się do łóżka. Cała Tansy! A może po prostu lepiej zestrojony, intensywniej pracujący kobiecy organizm?

Tak czy inaczej, postąpiła mądrze i z wyczuciem. I znowu: cała Tansy. Zawsze umiała właściwie ocenić sytuację. Zawsze prędzej czy później słuchała głosu rozsądku. Czy w podobnych okolicznościach odważyłby się na rzeczową dyskusję z inną kobietą? I twardo stąpała po ziemi... tyle że raz jej odbiło i zboczyła na manowce.

Należało za to winić uczelnię w Hempnell, wylęgarnię chorób psychicznych. Żona wykładowcy miała ciężki żywot. Że też już przed laty nie uświadomił sobie, ile na siebie wzięła! Trzeba było działać wcześniej. Z drugiej strony, świetnie udawała. A on zapomniał, że kobiety na uczelni muszą sobie radzić z najgorszymi intrygami. W przeciwieństwie do swoich mężów nie mogą się schronić w obojętnym, poukładanym świecie matematyki czy mikrobiologii.

Uśmiechnął się. Cóż to za niezwykłą myśl wypowiedziała Tansy pod koniec rozmowy? Evelyn Sawtelle, stara pani Carr oraz żona Harolda Gunnisona miałyby praktykować magię, i to jej najczarniejszą, morderczą odmianę? No tak, kto je znał, nietrudno by w to uwierzył. Bystry satyryk mógłby wziąć na tapetę ten pomysł. Nawet go rozwinąć: przedstawić ród niewieści jako oddane magii wiedźmy, prowadzące swą bezpardonową wojnę na złowrogie czary i przeciwzaklęcia, gdy tymczasem ich zatopieni w przyziemnej codzienności mężulkowie beztrudnie zajmują się swoimi sprawami. Spójrzmy: Barrie napisał sztukę *Co wie*

*każda kobieta*, by pokazać, że mężczyźni nie mają pojęcia o udziale żon w swych sukcesach. A skoro są tacy ślepi, czy zauważą, że żony pomagają sobie czarami?

Uśmiech Normana nie był już taki pogodny. Uzmysłowił sobie, że Tansy nie powiedziała niczego niezwykłego, że ona naprawdę wierzy lub częściowo wierzy w takie rzeczy. Nerwowo zagryzał wargę. Z pewnością jeszcze nie jeden raz obudzi się w nim jakieś dawne, nieprzyjemne wspomnienie. Po dzisiejszym dniu był na to skazany.

Tak czy owak, najgorsze miał już za sobą.

Pogłaskał kota, który wpatrywał się w żar jak zahipnotyzowany.

– Pora spać, sierściuchu, już pewnie dwunasta. O, nawet kwadrans po pierwszej.

Kiedy wsuwał zegarek z powrotem do kieszeni, namacał medalion na łańcuszku. Zważył w dłoni złote serduszko, które dostał w prezencie od Tansy. Czy nie było odrobinę za ciężkie w stosunku do swoich rozmiarów? Otworzył paznokciem wieczko. W żaden normalny sposób nie dało się zajrzeć pod zdjęcie Tansy, więc po chwili wahania wziął ołówek i ostrożnie wydłubał miniaturową fotografię. Odnalazł malusieńki woreczek z delikatnej flaneli.

Typowa kobieta, pomyślał zaraz zgryźliwie. Niby składa broń, ale coś tam chowa w zanadru.

A może zapomniała?

Ze złością wrzucił woreczek do kominka. Razem z nim pofrunęła fotografia; nim zdążył ją uratować, zapaliła się na rozpalonym podłożu i zamieniła w popiół. Twarz Tansy zwinęła się i szerniała.

Woreczek nie poddał się tak od razu. Żółte ogniki rozpełzły się po zwęglonym meszku, a dopiero potem wysoko strzelił chybotliwy płomyk.

W tym momencie przeniknął go chłód, chociaż ciągle czuł żar bijący z kominka. W pokoju jakby pociemniało. Huczało mu w uszach; miał wrażenie, że gdzieś z głębi ziemi dobiega odległy warkot silników. I to przeczucie, że stoi nagi i bezbronny, oko w oko z jakąś obcą, nieprzyjazną istotą.

Kot odwrócił się. Obserwował bacznie cień w kącie. Nagle z wściekłym sykiem dał susa w bok i czmychnął z pokoju.

Norman zadygotał. Zwyczajny nerwowy odruch, pomyślał. W sumie mocno spóźniony.

Ogień przygasł i znów w palenisku była tylko skrząca się kupa węglików.

Wtem rozdzwonił się telefon.

– Profesor Saylor? Raczej pan nie przypuszczał, że się jeszcze odezwę, prawda? Otóż dzwonię dlatego, że mam zasadę mówić wprost, wszystkim bez wyjątku, co leży mi na wątrobie! Nie każdy jest zdolny do tego!!!

Norman odsunął słuchawkę od ucha. Słowa, wprawdzie nieskładne, mogłyby ująć jako wstęp do rozmowy, lecz na pewno nie ton, jakim je wypowiedziano. Zazwyczaj trzeba bluzgać z pół godziny, nim głos osiągnie taki pułap wycia i, nie ma co ukrywać, histerycznej złości.

– Wie pan co, panie Saylor? Nie zamierzam siedzieć cicho, gdy dzieje mi się krzywda. Nie dam się wywalić z uczelni. Będę się domagał zmiany ocen i pan już wie czemu!

Norman rozpoznał głos. Ujrzał w wyobraźni bladą, niespotykane wychudzoną twarz, nabrzmiałe wargi, wybałuszone oczy i szopę rudych włosów.

– W takim razie, Jennings, skoro uważasz, że źle cię potraktowano, czemu się nie odwołałeś dwa miesiące temu, po wystawieniu stopni?

– Czemu? Po zamydlił mi pan oczy! Bezstronny profesor Saylor! Dopiero później zrozumiałem, że nie zwracał pan na mnie należytej uwagi, że na konsultacjach zwodził mnie pan i robił w konia. Nie uprzedził mnie pan, że mogę wylecieć. Na sprawdzianach dostawałem podchwytliwe pytania z wykładów, które opuściłem. Dyskryminował mnie pan za poglądy mojego ojca i dlatego, że nie jestem tak dobrym studentem jak Bronstein. Wtedy właśnie...

– Uspokój się, Jennings. Oblałeś jeszcze dwa przedmioty w semestrze.

– Tak, bo pan knuł, napuszczał na mnie innych i wygadywał o mnie niestworzone historie, żeby wszyscy myśleli...

– I twierdzisz, że rozumiałeś to dopiero teraz?

– Tak. Myślałem i myślałem, i nagle mnie oświeciło. Nie lada spryciarz z pana. Płaszczyłem się przed panem, przyjmowałem wszystko bez zmrużenia oka, bałem się. Aż przyszły wątpliwości i nagle przejrzałem cały spisek! Wszystko się zgadza, wszystko wskazuje na pana, wszystko...

– Łącznie z tym, że usunięto cię z dwóch uczelni, nim przyszedłeś do nas?

– Aha! Od samego początku był pan do mnie źle nastawiony!

– Nie będę tego dłużej słuchać, Jennings – odparł Norman zmęczonym głosem. – Możesz pójść ze skargą do dziekana Gunnisona.

– To znaczy, że nic pan nie zrobi w tej sprawie?

– Dokładnie.

– Ostateczna decyzja?

– Ostateczna.

– No cóż. W takim razie strzeż się, Saylor! Strzeż się na każdym kroku! Mówię ci, uważaj!

Trzasnęła odkładana słuchawka. Norman wolno odłożył swoją na widelki. Do diabła z rodzicami Theodore'a Jenningsa! Nie dlatego, że byli zarozumiałymi, konserwatywnymi hipokrytami, ale że mieli w sobie tyle chorej dumy, by wypchnąć na studia drażliwego, samolubnego, pyskatego, lekko zbzikowanego chłopaka – tak samo jak oni ograniczonego, lecz dziesięć razy mniej sprytnego. I niech diabli wezmą rektora Pollarda za to, że jak ostatni głupiec ukorzył się przed ich bogactwem i politycznymi wpływami, choć doskonale wiedział, że chłopak nie da rady.

Postawił przesłone przed kominkiem, wyłączył światło w salonie i w mdłym żółtym

blasku płynącym z korytarza ruszył do sypialni.

Znów się rozdzwonił telefon. Przyjrzał mu się ze zdziwieniem, po czym podniósł słuchawkę.

– Halo? – Nikt mu nie odpowiedział. Odczekał chwilę. – Halo? – powtórzył. Wciąż brak odpowiedzi. Już miał przerwać połączenie, gdy raptem wydało mu się, że słyszy czyjś oddech: nierówny, zduszony, podniecony. – Kto tam? – zapytał ostro. – Profesor Saylor z tej strony. Proszę się odezwać.

Nadal miał wrażenie, że słyszy czyjś oddech. I nic więcej. Aż wreszcie z czarnej, tajemniczej czeluści telefonu wydobyło się jedno słowo, wypowiedziane wolno i z trudem, głosem głębokim, lecz nabrzmałym niemalże baśniowym erotyzmem:

– Kochanie...

Przełknął ślinę. Nie poznawał tego głosu. Nim zdążył cokolwiek wykrztusić, szybko popłynęły następne słowa. Ich ton się wcale nie zmienił.

– Nie masz pojęcia, Norman, jak się cieszę, że zebrałam się na odwagę, by powiedzieć to, co sam dawno powinienes zaproponować. Jestem gotowa, skarbie, naprawdę. Tylko przyjdź...

– Poważnie? – Norman nie posiadał się ze zdumienia. Głos wreszcie wydał mu się jakiś znajomy; właściwie nie jego barwa, a rytm i budowa zdania.

– Przyjdź, mój luby, nie zwlekaj. Zabierz mnie gdzieś w ustronne miejsce, gdzie będziemy tylko my sami. Będę twoją kochanką, twoją służebnicą. Uczyni mnie swoją niewolnicą. Zrób ze mną to, na co masz ochotę.

Norman najchętniej śmiałyby się na całe gardło, lecz serce w nim łomotało. Całkiem fajna sprawa, jeśli to prawda, ale czy nie ma w tym jakiegoś komedianctwa? A jeśli to żart? – zadał sobie pytanie.

– Gdy mówisz do mnie, kochany, leżę rozebrana. Przy łóżku pali się różowa lampka. Zabierz mnie na maleńką wysepkę w tropikach, będziemy się tam kochać do utraty tchu. Zadasz mi ból i ja ci zadam ból. Pójdziemy pływać w świetle księżycy, wśród białych płatków kwiatów.

Żart, jakżeby inaczej, stwierdził nie bez cienia żalu. Aż nagle pomyślał o jednej jedynej osobie, zdolnej spletać mu takiego figla.

– Przychodź prędko, Norman, i zaprowadź mnie w mrok.

– Dobrze, zgoda – odpowiedział ochoczo. – A kiedy już się skończy chwila namiętności, zapalę światło i powiem: Mona Utell, ty wstydu nie masz!

– Mona? – Tym razem głos był ostrzejszy. – Mona!?

– A coś myślała? – potwierdził ze śmiechem. – Jesteś jedyną znaną mi aktorką, mało tego, jedyną znaną mi kobietą, która byłaby w stanie z takim mistrzostwem wykręcić mi ten stary jak świat numer. Co byś zrobiła, gdyby odebrała Tansy? Udawałabyś Humphreya Bogarta? Co słyszać w Nowym Jorku? Jak przyjęcie? Co pijecie?

– Co pijemy? Nie poznasz mnie, Norman?

– Nazywasz się Mona Utell. – Opadły go jednak pierwsze wątpliwości. Przedłużanie żartu nie leżało w naturze Mony.

A tymczasem ów dziwny głos, dźwięczący irytująco swojską nutą, odzywał się coraz natarczywiej:

– Naprawdę nie wiesz, kim jestem?

– Nie, chyba nie – odpowiedział dość szorstko, rozzłoszczony tonem pytania.

– Naprawdę!?

Wyczuł, że to słowo jest niczym lont prowadzący do ładunku gniewu, ale miał to w nosie. Zniecierpliwiony, podpałił lont:

– Nie!

Głos z drugiej strony zamienił się w krzyk. Kot, który akurat przemykał obok, odwrócił głowę z ciekawością.

– Ty bydlaku, ty cholerny bydlaku! Po tym co mi zrobiłeś! Po tym jak z premedytacją doprowadziłeś mnie do wrzenia! Sto razy rozbierałeś mnie wzrokiem!

– Proszę cię...

– Numer stary jak świat?! Ty... ty nauczycielska świno! Wracaj do Mony! Albo do swojej zołzowatej żoneczki! Obyście się w piekle smażyli, cała trójka!

Po raz drugi wysłuchał ciszy w telefonie. Z kwaśnym uśmiechem odłożył słuchawkę. Sielankowe życie profesora na uczelni, nie ma co... Daremnie zachodził w głowę, która kobieta pała do niego skrywaną namiętnością. Oczywiście, pomysł z Moną Utell wydawał się jak najbardziej słuszny. Bezsprzecznie dla kawału mogłaby zadzwonić aż z Nowego Jorku – żeby ożywić przyjęcie po wieczornym przedstawieniu. Ale żart nie miałby takiego zakończenia. Mona lubiła się pośmiać z ofiarą swego dowcipu.

Pewnie kto inny sobie z nim pofiglował. Nawet ktoś zupełnie obcy.

Wzruszył ramionami. Zwariowany świat. Trzeba powiedzieć Tansy. Będzie wesoło. Ruszył do sypialni.

W tym momencie dotarło do niego wszystko, co zdarzyło się tego dnia. Dwie denerwujące rozmowy oderwały go od rzeczywistości.

Zatrzymał się przed drzwiami. Odwrócił się powoli i spojrzał na telefon. Nic nie zmąciło ciszy.

Pomyślał sobie, że z pewnego punktu widzenia oba incydenty stanowiły dość nieprzyjemny zbieg okoliczności. Czyli coś, co jako naukowiec powinien traktować z dużym sceptycyzmem.

Usłyszał cichy, regularny oddech Tansy. Wyłączył światło w korytarzu i poszedł spać.



## 4

Kiedy nazajutrz rano przemierzał ostatni odcinek drogi do Hempnella, zobaczył z niezwykłą wyrazistością, że gotycki styl nijak nie przystaje do charakteru uczelni. Wyrafinowana architektura skrywała w sobie zadziwiająco mizerny potencjał intelektu i zarazem morze złości na niskie zarobki i rosnące koszty administracyjne. A w gronie studentów jak mało było pędu do wiedzy, tak wiele zdrożnej ochoty do szaleństw, napędzanej reklamą i przykładami z filmów. Ale może właśnie to miały symbolizować te fantazyjne, szare elementy architektoniczne już za dawnych klasztornych czasów, kiedy łuki i przypory spełniały określoną funkcję?

Z rzadka tylko i gdzieniegdzie przemykali ludzie, lecz za trzy, cztery minuty z kaplicy miała się wysypać zgraja studentów, rwący potok kolorowych swetrów i kurtek.

Kiedy przechodził na drugą stronę ulicy, zza rogu wypadła furgonetka dostawcza. Cofnął się na chodnik z dreszczem obrzydzenia. W świetle oświetlenia na punkcie benzyny nie raziły go specjalnie auta osobowe, jednakże ciężarówki, ohydny produkt motoryzacyjnej megalomanii, działały mu na nerwy.

Zanim ponownie wszedł na jezdnię, rozejrzał się pobieżnie. Zdało mu się, że dogania go studentka mocno spóźniona na mszę w kaplicy albo też nie zamierzająca jej w ogóle odwiedzać. Zaraz jednak zorientował się, że to pani Carr. Począł, aż się zrównają.

Łatwo było o pomyłkę. Wprawdzie miała na karku siedemdziesiąt lat, siwowłosa kierowniczką dziekanatu dla kobiet szczyła się wyjątkowo młodą i gibką figurą. Maszerowała zawsze żwawym, sprężystym krokiem. Dopiero z bliska znać było pociemniałą skórę na szyi i siateczkę głębokich zmarszczek. Szczupłą sylwetkę zawdzięczała wyłącznie starości. Jej zachowanie nie wynikało z ukochania dziewczęcości czy żalosnych prób zachowania seksapilu (nawet jeśli tak, były to bardzo subtelne próby), ale raczej z żarłocznej żądzy młodości, rzeškości i niewinności – tak wielkiej, że elektryzowała w jej ciele wszystkie komórki i połączenia nerwowe.

Wykładowcy naszych uczelni wyznają kult młodości, pomyślał, pewną odmianę wszechobecnego amerykańskiego kultu urody. Z zachłannością wampirów pasożytują na młodych, energicznych uczuciach...

Nadejście pani Carr przerwało tok jego rozmyślań.

– Co u Tansy? – zapytała z tak ujmującą troską, że przez chwilę zastanawiał się, czy nie poznała prywatnego życia pracowników uczelni lepiej, niż się komukolwiek zdawało. Ale tylko przez chwilę. Bądź co bądź, ujmująca troska była niezbędnym narzędziem w jej pracy. – Tęskniliśmy za nią na ostatnim spotkaniu – ciągnęła pani Carr. – To taka wesoła duszyczka, a ostatnio mamy mniej powodów do wesołości. – Chłodne poranne promienie słońca połyskiwały w grubych szklach okularów i skrzyły się jak szron na rumianych policzkach. Położyła mu dłoń na ramieniu. – Tansy ma na uczelni bardzo dobrą markę, profesorze Saylor.

Już miał wypalić: „Takie to dziwne?”, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie.

– To miło, że się na niej poznaliście. – Niezły dowcip, bo jeszcze dziesięć lat temu pani Carr była czołową aktywistką klubu zwalczania niemoralnych Saylorów.

Jej srebrzysty śmiech poniósł się daleko w chłodnym powietrzu.

– Spieszę się na rozmowy ze studentami – dodała. – Proszę pamiętać, że pan również cieszy się na uczelni dobrą reputacją.

Patrzył, jak się szybko oddala, zastanawiając się, czy jej ostatnia uwaga nie oznacza, że wzrosły jego szanse na stanowisko kierownika katedry socjologii. Skierował się w stronę Morton Hall.

Kiedy dotarł do gabinetu, akurat zabręczał telefon. Dzwonił Thompson, odpowiedzialny na uczelni za kontakty z mediami. Pełnił chyba tę jedyną funkcję administracyjną, której ze względu na jej wagę nie chciano powierzyć zwykłemu wykładowcy.

Powitanie okazało się nadzwyczaj ciepłe. Jak zawsze, Norman widział w nim człowieka, który byłby szczęśliwszy jako sprzedawca mydła. Może psycholog odkryłby tę osobliwą rzecz, która kazała Thompsonowi uparcie krążyć na obrzeżach życia akademickiego. Choć wiadomo, że było w tym światku wielu urodzonych sprzedawców.

– Sprawa ma charakter dosyć delikatny – mówił Thompson. Delikatne sprawy były jego specjalnością. – Przed chwilą dzwonił do mnie człowiek z zarządu. Wygląda na to, że doszły do niego dziwne wieści (źródła informacji nie chciał podać), dotyczące pana i pani Saylor. Podobno w czasie ferii świątecznych w Nowym Jorku bawił się pan na przyjęciu u dość znanych osób związanych z teatrem, a przy tym bardzo... ee... frywolnych. Nie powiedział, gdzie dokładnie miało to miejsce, bo uczestnicy przyjęcia włączyli się po całym mieście. Prawdę mówiąc, brzmiało to wszystko nieprawdopodobnie. Była mowa o improwizowanym przedstawieniu w nocnym klubie, profesorskiej todze i... hm... tańczącej striptizerce. Obiecałem, że zbadam sprawę. Oczywiście, pomyślałem sobie... zastanawiałem się... czy nie mógłby pan...

– Oficjalnie zaprzeczyć? Niestety, musiałbym skłamać. W tym, co pan słyszał, jest sporo prawdy.

– Rozumiem – odparł po chwili. – W takim razie nie mam więcej pytań. A tak dla pańskiej wiadomości: Fenner z zarządu okropnie się pieklił. Głędził i głędził, jak to aktorzy

teatralni propagują pijaństwo i rozwiązłość.

– W pierwszym przypadku miał rację, w drugim nie. Mona i Welby Utell na swój sposób są sobie wierni. Fajni ludzie, kiedyś przedstawię ich panu.

– O, byłoby mi miło. Do widzenia.

Rozbrzmiał dzwonek, zwiastujący początek zajęć lekcyjnych. Norman przestał się bawić obsydianowym nożykiem, służącym do rozcinania kopert, odwrócił się od stołu i rozparł wygodnie na krześle, poirytowany i jednocześnie rozbawiony polityką przemilczania wstydliwych faktów. Sam nie zamierzał robić tajemnicy ze swojego udziału w przyjęciu Utellów, które miało co prawda dość szalony przebieg. Mimo to na kampusie nikomu o nim nie wspominał. Jeszcze nie upadł na głowę. W końcu, po miesiącach, i tak się wszystko wydało.

Ze swojego miejsca widział krawędź dachu Estrey Hall, która równo po przekątnej przecinała zarys okna gabinetu. Przy kalenicy nieruchomo przycupnął nieduży cementowy smok. Po raz dziesiąty tego ranka uprzytamniał sobie, że co się stało nocą, stało się naprawdę. Niełatwo było się z tym pogodzić. W gruncie rzeczy jednak przypadek Tansy, jej powrót do średniowiecza, wcale nie był dziwniejszy od architektury gmachu uczelni, chmary gargulców i baśniowych potworów, mających odpędzać złe moce.

Gdy rozbrzmiał drugi dzwonek, wstał.

Grupa przybyła na wykład o społecznościach pierwotnych powoli się uciszyła. Jednemu ze studentów kazał wyjaśnić rolę więzi rodowych we wspólnocie plemiennej, a sam przez pięć minut zbierał myśli, notując spóźnienia i nieobecności. Kiedy wypowiedź studenta, poparta na tablicy schematami grup małżeńskich, stała się tak zawikłana, że prymas Bronstein wreszcie raczył okazać chęć zabrania głosu, Norman poprosił o krytyczne uwagi, co zaowocowało początkiem ożywionego sporu. Aż w końcu odezwał się przemądrzały przewodniczący bractwa studenckiego z drugiego rzędu:

– Dawne założenia organizacji społecznej opierały się na niewiedzy, tradycji i zabobonach. Inaczej niż w dzisiejszym społeczeństwie.

Norman teraz mógł zabłysnąć. Z radością wdał się w dyskusję, miażdżąc obrońcę nowoczesnego społeczeństwa porównaniem – punkt po punkcie – studenckich bractw i pierwotnych „domów młodych mężczyzn”, z uwzględnieniem takich szczegółów jak rytuały inicjacyjne, które opisywał ze znanstwem i swadą. Następnie przedstawił dogłębną analizę współczesnych obyczajów, przedstawiając je z perspektywy hipotetycznego etnologa z Marsa. Mimochodem, z humorem, wspominał o analogii między żeńskimi stowarzyszeniami a izolowaniem dojrzewających dziewczyn u ludów prymitywnych.

Czas szybko płynął, kiedy podawał przykłady kulturowego opóźnienia, od zachowania przy stole po systemy miar. Nawet samotny śpioch w ostatniej ławce ocknął się i nadstawił ucha.

– Oczywiście, dokonał się znaczący postęp, przede wszystkim w posługiwaniu się

metodami naukowymi – rzekł w pewnym momencie – lecz coś z pierwotnych czasów pozostało do dzisiaj i nadaje ton naszemu życiu. Jesteśmy człekokształtnymi małpami, które uczęszczają do nocnych lokali i pływają na okrętach wojennych. Kim innym mielibyśmy być?

Ze szczególną uwagą spotkał się temat małżeństw i zalotów. Bronstein szczerzył zęby, kiedy Norman wymieniał współczesne odpowiedniki małżeństwa na drodze wymiany handlowej, małżeństwa będącego skutkiem porwania czy symbolicznego poślubienia bóstwa. Oznajmił, że próbne małżeństwo nie jest nowoczesnym wymysłem, ale ugruntowanym starożytnym zwyczajem, z powodzeniem praktykowanym między innymi przez Polinezyjczyków.

Wtem zauważył czerwoną jak burak twarz wściekłej Gracine Pollard, siedzącej w głębi sali córki rektora. Przeszywała go wzrokiem, nic sobie nie robiąc z tego, że siedzący obok studenci z zaciekawieniem patrzą na jej rumieńce.

Teraz pewnie mała świruska poskarży się tatusiowi, że profesor Saylor namawia do wolnej miłości, pomyślał. Ze wzruszeniem ramion kontynuował dyskusję, aczkolwiek skierował ją na bezpieczniejsze tory. Przerwał mu dzwonek.

Był wkurzony na siebie. Uwag i pytań zadowolonych studentów, na czele z Bronsteinem, słuchał jednym uchem.

U siebie w gabinecie znalazł wezwanie do dziekana Gunnisona. A ponieważ miał teraz okienko, wyruszył przez dziedziniec w stronę budynku administracji. Bronstein pełził za nim, przedstawiając jakąś własną teorię, on jednak wciąż się zastanawiał, jak mógł się na wykładzie tak zagalopować. Niektóre z jego spostrzeżeń były troszkę nie na miejscu, to fakt. Dawno już nauczył się prowadzić wykład zgodnie z uczelnianymi standardami, a zarazem bez odbiegania od istoty rzeczy, tym bardziej więc drażniła go dzisiejsza wpadka.

Obok bez słowa przemknęła pani Carr z ostentacyjnie odwróconym wzrokiem. Wystraszony, szybko domyślił się przyczyny: z roztrzepania zapalił papierosa. Co gorsza, Bronstein poszedł w jego ślady; widać cieszył się, że wykładowca łamie surowy zakaz. Grono pedagogiczne mogło palić wyłącznie w ponurej świetlicy lub w ciszy gabinetów.

Zasepił się, ale nie zgasił papierosa. Najwyraźniej nocne wydarzenia wywołały zamęt w jego głowie. Niedopałek zgniółł butem dopiero na schodach budynku administracji.

W drzwiach sekretariatu zderzył się z korpulentną, acz elegancką panią Gunnison.

– Na szczęście mocno trzymam aparat – burknęła, gdy pochylił się po wypchaną torebkę.  
– Wkurzyłabym się, gdybym miała teraz wymieniać obiektyw. – Odgarniając z czoła zabłąkany kosmyk rudych włosów, zapytała: – Pan się czymś martwi? Co u Tansy?

Odpowiedział zdawkowo i ruszył przed siebie. O tak, to babsko z pewnością mogło być wiedźmą. Narzucone byle jak drogie ciuchy; snobizm, arogancja i tupet. Ta na pozór dobrotliwa osóbką potrafiła bezceremonialnie zdeptać cudze pragnienia. Tylko w jej obecności autorytet dziekana wydawał się mizerniutki.

Harold Gunnison przestał rozmawiać przez telefon. Gestem ręki poprosił Normana, by

ten usiadł i zamknął za sobą drzwi.

– To sprawa delikatnej natury – zagał z marsową miną.

Norman stał się czujny. Kiedy Harold Gunnison mówił, że sprawa jest delikatna, w przeciwieństwie do Thompsona nie przesadzał. Grali razem w squasha i dobrze się ze sobą dogadywali. Jediną rzeczą, jaką miał za złe dziekanowi, to ustawiczne nadskakiwanie rektorowi Pollardowi, żeby w zamian za schlebianie jego poglądom politycznym i demonstracyjne ekscytowanie się jego przyjaźnią z prominentnymi politykami otrzymać czasem na piśmie wylewne podziękowania.

Harold zaznaczył jednak, że sprawa jest delikatna. Należało się spodziewać, że będzie mowa o dziwnym, nieodpowiednim, może nawet przestępczym zachowaniu Tansy. Nagle wydało mu się to oczywiste.

– Pracuje dla pana dziewczyna ze studenckiego biura karier zawodowych? Margaret van Nice?

Norman uświadomił sobie raptownie, kto dzwonił do niego wczoraj w nocy. Kryjąc zdumienie, odczekał chwilę i stwierdził:

– Dość cicha, rzekłbym. Obsługuje powielacz. – I dodał ze szczerym wyrazem olśnienia:  
– Zawsze mówi szeptem.

– Chwilę temu wpadła w histerię u pani Carr w gabinecie. Twierdzi, że pan ją uwiódł. Pani Carr natychmiast przekazała sprawę w moje ręce.

Norman miał ochotę opowiedzieć o nocnym telefonie, ale się powstrzymał.

– No więc? – spytał.

Gunnison zmarszczył czoło i spojrzał na niego ze smutkiem.

– Wiem, że takie rzeczy się zdarzają – ciągnął Norman. – Nawet na naszej uczelni. Ale nie tym razem.

– Rozumiem.

– Oczywiście, było mnóstwo okazji. Kilka razy pracowaliśmy do późna w Morton Hall.

Gunnison sięgnął po teczkę.

– Przy okazji zabrałem wyniki jej testów psychologicznych. Ma się czym pochwalić. Cała masa kompleksów. Musimy postępować ostrożnie.

– Chcę usłyszeć jej oskarżenia, i to jak najszybciej.

– Naturalnie. Umówiłem was na konfrontację w gabinecie pani Carr. O czwartej po południu. A tymczasem spotka się z doktorem Gardnerem. To ją powinno ostudzić.

– Czyli czwarta. – Norman wstał. – Pan też przyjdzie?

– Oczywiście. Przykro mi, że tak się to potoczyło. Szczerze mówiąc, pani Carr pokpiła sprawę. Spanikowała. Nic dziwnego, to podstarzała dama.

W pokoju recepcyjnym Norman przystanął i obejrzał niewielką gablotkę, poświęconą dokonaniom Gunnisona w dziedzinie chemii fizycznej. Tym razem wystawiono na pokaz krople księcia Ruperta i inne gotowe do eksplozji cudemka. Wpatrywał się zadumany w

ciemne, połyskliwe kuleczki ze sztywnymi, powyginanymi ogonkami. Bez zainteresowania zerknął na karteczkę z opisem wkraplania ciekłego szkła do rozgrzanego oleju. Wydawało się, że Hempnella coś łączy z kroplami księcia Ruperta. Uderz w korpus młotkiem i najwyżej zaboli cię ręka, lecz trąc paznokciem delikatne zakończenie ogonka, a całość wybuchnie prosto w twarz.

Trafne porównanie.

Spojrzał na pozostałe przedmioty, między innymi na maleńkie lustro, które – jeśli wierzyć objaśnieniu – rozsypywało się w proszek przy najlżejszym zadrapaniu lub nagłej różnicy temperatur na powierzchni.

A jednak, gdyby się nad tym głębiej zastanowić, porównanie budziło niepokój. W każdej pedantycznie zorganizowanej, nadętej i nieco sztywnej instytucji, takiej jak małe kolegium, pojawiają się wrażliwe miejsca. To samo dotyczy człowieka i jego kariery zawodowej. Draśnij bolesny punkt w umyśle psychopatki, a wybuchnie tysiącem niewiarygodnych oskarżeń. Nawet on, uważający się za zrównoważoną osobę, mógł być przez kogoś w tajemnicy podglądany; a nuż ktoś szuka w nim śladu słabości i już podnosi palec?

Tu go na pewno ponosiła wyobraźnia. Udał się w pośpiechu na ostatnie poranne zajęcia.

Kiedy wyszedł z sali, zaczepił go Hervey Sawtelle. Jego kolega z wydziału robił wrażenie odpychającej karykatury akademickiego wykładowcy. Niewiele starszy od Normana, miał mentalność siedemdziesięciolatka... albo wystraszonego gołowąsa. Zawsze dokądś gnał, dygotał z podenerwowania, zdarzało mu się też chodzić z dwiema teczkami. Norman uważał go za jedną z ofiar przerośniętych ambicji. Najprawdopodobniej w czasach szkolnych przemądrzali nauczyciele wbili mu do głowy, że powinien wiedzieć wszystko o wszystkim, znać zdanie ekspertów na każdy możliwy temat – jak średniowieczna muzyka, równania różniczkowe czy współczesna poezja – umieć błyskawicznie i trafnie skomentować wszelkie filozoficzne spostrzeżenia, poczynione w językach obcych bądź martwych... tudzież nigdy, pod żadnym pozorem, nie zadawać pytań. A kiedy poszedł na marne jego wyteżony wysiłek, by sławą przyćmić nawet dawnego Bacona, pogodził się z myślą o swej intelektualnej niemocy, którą próbował ukryć, może i przed samym sobą, poprzez szalenie drobiazgowo wykonywanie obowiązków.

Wszystko to znajdowało swoje odzwierciedlenie w szczupłej, wysuszonej twarzy z wąskimi ustami i wysokim czołem. Codzienne zmartwienia wyryły na niej wyraźny ślad.

Jednakże w tej chwili podniecał się jak dziecko.

– Słuchaj, Norman, zdziwisz się mocno! Grzebałem rano w zbiorach biblioteki i przypadkowo znalazłem starą pracę doktorską z 1930 roku. Pisał ją ktoś, o kim w życiu nie słyszałem. Tytuł: *Psychoza a przesąd*. – Wydobył oprawiony maszynopis, wyglądający tak, jakby nigdy go nie otwierano. – Tytuł niemalże identyczny do twojego: *Psychoza a przesąd. Podobieństwa*. Niesamowity zbieg okoliczności, co? Przejrzę to sobie dziś wieczorem.

Raźnym krokiem skierowali się w stronę stołówki, mijając na dróżce trajkoczących,

rozbawionych studentów, którzy z uśmiechem ustępowali im z drogi. Norman ukradkiem zezował na Herveya. Pewnie cymbał pamiętał, że... *Podobieństwa* wyszły drukiem w 1931 roku, co skłaniało do paskudnych podejrzeń o plagiat. Wszelako jego wesoło rozdziawione usta nie miały wyrazu chytryści.

Korciło go, by zaciągnąć Herveya gdzieś na bok i powiedzieć mu, że w grę wchodzi coś dziwniejszego niż zbieg okoliczności, co jednak żadną miarą nie wpływa na jego metody nauczania. Ale w tym miejscu nie wypadało mu tego robić.

Tak czy inaczej, całe to zdarzenie budziło obawy. A przecież już od wielu, wielu lat nie zaprzętał sobie głowy tą durną historią z pracą Cunninghama. Należała do przeszłości... niczym niedostrzegalny słaby punkt, czekający tylko, żeby ktoś go tknął.

Znowu ta chora wyobraźnia! Wszystko da się łatwo wyjaśnić w wolnej chwili, Herveyowi czy komukolwiek innemu.

Tymczasem Hervey przypomniał sobie o swoich troskach.

– Wiesz, że powinniśmy omówić na zebraniu program socjalno-naukowy na następny rok. Z drugiej strony, chyba lepiej poczekać, aż... – Urwał, zażenowany.

– ... aż zapadnie decyzja, który z nas zostanie kierownikiem katedry socjologii? – dokończył za niego Norman. – To bez znaczenia, bo i tak będziemy współpracować.

– Oczywiście, nie chciałem niczego sugerować...

Na schodach prowadzących do budynku stołówki spotkali innych nauczycieli. Kiedy zajęli miejsca w strefie dla pracowników uczelni, ogłuszający brzęk naczyń w części dla studentów nieco zelżał, choć nadal był zgiełk.

Rozmowy koncentrowały się wokół starych, oklepanych tematów, podszyte spekulacjami co do tego, jakie zmiany personalne i organizacyjne przyniesie nowy rok. Wspomniano o politycznych ambicjach rektora Pollarda; Harold Gunnison wyjawiał, że pewna silna grupa polityczna namawia go do kandydowania na stanowisko gubernatora. Zamiast otwartej krytyki tu i ówdzie przy stole zapadło wymowne milczenie. Herveyowi aż grdyka chodziła, kiedy ktoś wspominał o nie obsadzonej funkcji kierownika katedry socjologii.

Norman uciął sobie dość ciekawą pogawędkę z Holstromem z wydziału psychologii. Cieszył się, że konsultacje i zajęcia ze studentami zajmą mu czas do godziny czwartej. Spokojnie mógłby pracować o połowę ciężiej niż ktoś pokroju Herveya, aczkolwiek bałby się brać na siebie choćby ćwierci jego problemów.

Okazało się jednak, że na spotkaniu o czwartej nie będzie iskrzyło. Ledwie dotknął drzwi gabinetu pani Carr – zupełnie jakby to zapoczątkowało eksplozję – rozległ się płaczliwy, świrdrujący głos:

– Kłamałam! Wszystko zmyśliłam!

Gunnison siedział pod oknem z przekrzywioną głową i skrzyżowanymi rękami; wyglądał jak nieco znudzony i zakłopotany słoń. Na krześle ustawionym na środku gabinetu kuliła się filigranowa, jasnowłosa dziewczyna. Po wychudzonych policzkach ciurkiem ciekły łzy,

ramionami wstrząsało histeryczne szlochanie. Wokół niej kręciła się nerwowo pani Carr, próbując ją uspokoić.

– Sama nie wiem, co mnie podkusiło – łkała żałośnie dziewczyna. – Kochałam się w nim, a on nawet na mnie nie spojrzał. W nocy chciałam się zabić, ale pomyślałam sobie, że lepiej będzie, jak mu zrobię na złość...

– Posłuchaj, Margaret, musisz wreszcie ochłonąć. – Ręce pani Carr kołysały się gdzieś nad ramionami dziewczyny.

– Momencik – odezwał się Norman. – Panno van Nice...

Odwróciła się i podniosła wzrok, dopiero teraz świadoma jego obecności.

Odczekał chwilę. Nikt się nie poruszył.

– Panno van Nice – powiedział w końcu – czy w nocy pomiędzy tą chwilą, gdy zdecydowałaś się popełnić samobójstwo, a chwilą gdy postanowiłaś mi zaszkodzić, zrobiłaś coś jeszcze? Czy przypadkiem gdzieś nie dzwoniłaś?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Niebawem na jej zażawionych policzkach pokazał się rumieniec, który następnie rozrósł się na całą twarz, spłynął pod sukienkę i bladą czerwienią zafarbował dłonie.

Gunnison okazał zaniepokojenie.

Pani Carr pochyliła się i przeszła wzrokiem Margaret. Normanowi zdało się, że w jej świdrującym spojrzeniu czai się jad. Zapewne było to złudzenie, które potęgowały grube szkła okularów, często nadające oczom pani Carr rybi wygląd.

Dziewczyna nie zareagowała, gdy ręce pani Carr spoczęły wreszcie na jej ramionach. Ciągle patrzyła na Normana, w tym momencie z miną wyrażającą śmiertelny wstyd i błaganie.

– Nic się nie stało – rzekł łagodnie Norman. – Nie ma się czym przejmować. – Obdarzył ją miłym uśmiechem.

W dziewczynie zaszła przemiana. Wyrwała się spod pieczy pani Carr i raptownie stanęła na nogach.

– Nienawidzę pana! – krzyknęła. – Nienawidzę!!!

Gunnison wyszedł za nim z gabinetu. Ziewnął, pokręcił głową i zauważył:

– Dobrze mieć to za sobą. A tak przy okazji: Gardner powiedział, że nic sobie nie zrobiła.

– Stale coś się dzieje – odparł Norman, zamyślony.

– A, byłbym zapomniał. – Gunnison wydobyl z wewnętrznej kieszeni sztywną, białą kopertę. – Mam tu list dla pani Saylor. Hulda prosiła, żebym go panu oddał.

– Widziałem się z Huldą dziś rano, kiedy wychodziłem z pańskiego gabinetu – odpowiedział Norman, choć myślami błędził zupełnie gdzie indziej.

Nieco później, już u siebie w Morton Hall, usiłował uporządkować te myśli, lecz okazały się wyjątkowo niepokorne. Smok na kalenicy Estrey Hall rozpraszał jego uwagę. Zabawne, że człowiek przez lata nie dostrzega drobiazgów, które niespodziewanie wybijają się na



pierwszy plan. Kto jest w stanie opisać szczegółowo bodaj jeden element architektoniczny budynku, w którym pracuje? Najwyżej jedna osoba na dziesięć. Gdyby jeszcze wczoraj pytano go o smoka, nie wiedziałby nawet, o którego chodzi.

Oparty o parapet, przypatrywał się gadziej i zarazem groteskowo człekokształtnej sylwetce, skapaniej w żółtym blasku zachodzącego słońca, mającej symbolizować, jak mu się przypomniało, przejście dusz zmarłych do świata podziemnego. Poniżej, spod gzymsu, sterczała rzeźbiona głowa jednego z naukowców i matematyków, których podobizny zdobiły belkowanie. Dostrzegł nazwisko Galileusza, opatrzone niewyraźnym napisem.

Kiedy się odwrócił, żeby odebrać telefon, gabinet wydał mu się nagle bardzo ciemny.

– Saylor? Chcę tylko powiedzieć, że masz czas do jutra...

– Posłuchaj, Jennings – uciął Norman. – Przerwałem wczoraj rozmowę, bo wrzeszczałeś do słuchawki. Nic nie zwojujesz tymi pogrózkami.

Głos w telefonie, nie dając za wygraną, osiągał niebezpieczny pułap hysterii:

– Masz czas do jutra, żeby wycofać zarzuty i przywrócić mnie w prawach studenta!

Nastąpił potok ordynarnych, wulgarnych inwektyw – tak głośnych, że wciąż brzęczały mu w uszach, kiedy odłożył słuchawkę.

Ani chybi obłąkany, pomyślał. I nagle zamarł w krześle. O godzinie pierwszej dwadzieścia w nocy spalił talizman, rzekomo mający odganiać od niego złe moce. Ostatni z woreczków Tansy. Mniej więcej o tej samej porze Margaret van Nice postanowiła wyznaczyć mu miłość w pełnych pasji słowach, a Theodore Jennings obwinił go za udział w urojonym spisku. Rankiem świętoszkowaty Fenner z zarządu zadzwonił do Thompsona z wieściami na temat przyjęcia u Mony Utell, zaś Hervey Sawtelle myszkował w magazynach, aż znalazł...

Bzdury! Rozweselony własną infantylnością, parsknął śmiechem, wziął kapelusz i ruszył do domu.

## 5

Tansy była w wyśmienitym nastroju i wydawała się piękniejsza niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich miesięcy. Czasem uśmiechała się do siebie, co dostrzegł dwa razy, zerkając znad talerza.

Dał jej list od pani Gunnison.

– Pytała o ciebie również pani Carr – rzekł. – Trochę mi dopiekle, chociaż miała nienaganne maniery. No, a później... – Urwał w pół zdania, bo już miał opowiadać o papierosie i niemej reprimendzie pani Carr, a także o przejściach z Margaret. Wołał jednak nie martwić Tansy swoimi kłopotami, które mogłyby wynikać z pecha. Nie wiadomo, jaką wysnułaby interpretację.

Przejrzała list i mu go oddała.

– Widać w tym znajome piętno Hempnella, nie uważasz? – zauważyła.

Zaczął czytać:

*Droga Tansy, gdzie ty się podziewasz? W tym miesiącu nie widziałam cię w kampusie więcej niż dwa razy. Jeśli zajmujesz się czymś wyjątkowo ciekawym, chętnie posłuchamy. Może w sobotę wpadniesz na herbatkę i małe pogaduchy?*

*Hulda*

*PS*

*W następną sobotę masz dostarczyć cztery tuziny ciastek na powitanie żon naszych byłych absolwentów.*

– Trochę groch z kapustą, ale cięte pióro pani Gunnison od razu można poznać. Była dzisiaj jakaś podminowana.

Tansy się roześmiała.

– Tak czy owak, od paru tygodni izolujemy się od ludzi. Chyba zaproszę ich na partyjkę brydza jutro wieczór. Niezręcznie tak z dnia na dzień, ale w środy zwykle mają wolne. Zaproszę także Sawtelleów.

– Wszystko, byle nie ta jędza.

Znów się zaśmiała.

– Nie wiem, co ty byś zrobił beze mnie... – Szybko zmieniała ton wypowiedzi: – Raczej będziesz musiał ścierpieć towarzystwo Evelyn. Bądź co bądź, Hervey jest po tobie drugą figurą na wydziale. Jeśli kilka razy spotkacie się poza pracą, będzie to mile widziane. Dla pełnej obsady dwóch stolików zaproszę Carrów.

– Trzy straszliwe kobiety. Jeśli to typowe żony profesorów, miałem szczęście, że trafiłaś mi się ty.

– Czasem to samo myślę o mężach żon profesorów – odparła Tansy. A gdy zaczęli ćmić papierosy nad filiżanką kawy, dodała z wahaniem: – Mówiłam ci, że nie chcę rozmawiać o tym, co było w nocy. Ale jest coś, o czym chciałabym ci teraz powiedzieć.

Skinał głową.

– Kiedy paliliśmy... te rzeczy, nie dałam po sobie poznać, jak bardzo się boję. Miałam wrażenie, że wybijamy dziury w ścianach, które przez lata budowałam, i że nic już nie powstrzyma...

Siedział nieruchomo, bez słowa.

– To trudno wytłumaczyć – ciągnęła – ale odkąd zaczęłam się zajmować... tymi rzeczami, wyczuwałam czyjś napór z zewnątrz. Dręczył mnie nieokreślony, chorobliwy lęk, podobny do twojego strachu przed ciężarówkami. Obawiałam się, że coś się do nas przedziera, zbiera się do ataku. Musiałam się bronić, napierać z mojej strony... Jak facet, który siłuje się na rękę. Ale nie o tym chciałam rozmawiać. Poszłam spać wystraszona i zdruzgotana. Przygważdżała mnie zewnętrzna siła, a nie miałam czym odpowiedzieć, bo wszystko spaliłam. Aż nagle, gdy leżałam w ciemnościach, gdzieś tak po godzinie, doznałam przewspaniałego uczucia ulgi. Napór zniknął, jakbym wypłynęła na powierzchnię wody sekundy od utonięcia. Dopiero to mnie przekonało, że... odzyskałam zdrowy rozsądek. Dlatego jestem taka szczęśliwa.

Z trudem się powstrzymał od wypowiedzenia swoich myśli. Oto zbieg okoliczności, który przyćmił wszystkie wcześniejsze. Mniej więcej wtedy, gdy spalił ostatni talizman, doświadczając uczucia strachu, Tansy poczuła wielką ulgę. W temacie przypadkowości musiał się jeszcze wiele nauczyć.

– Bo w pewnym sensie, kochanie, byłam głupia – mówiła dalej. – Niejeden na twoim miejscu zachowałby się inaczej.

– Nie byłaś głupia, co zresztą jest określeniem dość ogólnikowym. Każdego można tak nazwać. Po prostu denerwowała cię uparta natura pewnych rzeczy.

– Uparta natura?

– Tak. Wyobraź sobie gwoździe, w które walisz młotkiem, a te się uparcie krzywią, jakby rozmyślnie stawiały opór. Albo urządzenie, które niespodziewanie odmawia posłuszeństwa. Złośliwość rzeczy martwych. Większe skupiska materii słuchają się praw fizyki, ale gdy rzecz dotyczy pojedynczego atomu, ba, samotnego elektronu, pewną rolę odgrywa przypadek, zachcianka... – Rozmowa przybierała niechciany obrót, toteż ucieszył się, kiedy na stół

wskoczył Totem i zwrócił na siebie ich uwagę.

Ten wieczór okazał się dla nich najmiłszy od niepamiętnych czasów.

Wszakże nazajutrz rano, przybywszy na uczelnię, Norman zadał sobie pytanie, po co w ogóle wspominał o złośliwości rzeczy martwych. Teraz nie dawało mu to spokoju. Roztrząsał najbzdurniejsze drobiazgi, takie jak usytuowanie tego durnego cementowego smoka. Wczoraj zdawało mu się, że przycupnął dokładnie pośrodku pochyłej kalenicy. Teraz zaś widział, że smok znajduje się w jednej trzeciej wysokości, dość blisko architravu nad absurdalnie olbrzymią gotycką bramą między Estrey Hall i Morton Hall. Socjolog powinien mieć lepszy zmysł obserwacji!

Brzęczenie telefonu zbiegło się z dzwonkiem obwieszczającym godzinę dziewiątą.

– Profesor Saylor? – odezwał się Thompson skruszonym głosem. – Przepraszam, że jeszcze raz zakłócam spokój, ale znowu dzwonili z zarządu. Tym razem Liddell w sprawie nieoficjalnego przemówienia, jakie podobno wygłosił pan w czasie tych... hulank. Na temat ułomności systemu szkolnictwa wyższego.

– Co w tym dziwnego? Twierdzi pan, że system szkolnictwa wyższego jest idealny? A może to temat tabu?

– Ależ nie, nic z tych rzeczy. Ten człowiek jednak twierdzi, że krytykował pan Hempnella.

– Owszem, krytykowałem niewielkie uczelnie pokroju Hempnella. Ale nie samego Hempnella.

– On chyba się boi, że w przyszłym roku możemy mieć problemy z naborem. Wspomniał o paru kolegach mających dzieci w wieku szkoły średniej, którzy po usłyszeniu pańskiego przemówienia byli niemile zaskoczeni.

– W takim razie są przewrażliwieni.

– Ponadto miał wrażenie, że odnosi się pan z politowaniem do... działalności politycznej rektora Pollarda.

– Przepraszam, ale muszę już iść na zajęcia.

– Rozumiem – odrzekł Thompson i odłożył słuchawkę. Skrzywił się. Złośliwość rzeczy martwych dokuczala o wiele mniej niż złośliwość osób żywych.

Zerwał się z krzesła i pognał na wykład o społecznościach pierwotnych.

Brakowało Gracine Pollard, co zauważył ze skrywaną radością. Prawdopodobnie jego wczorajszy wykład podrażnił jej zwichrowane poczucie nieostosowności. Tym niemniej nawet córki rektorów powinny czasem usłyszeć jakąś życiową prawdę.

Co do pozostałych, wspomniany wykład w niezwykle sposób pobudził ich wyobraźnię. Kilku studentów niezwłocznie wybrało pokrewne tematy prac semestralnych. Przewodniczący bractwa studenckiego postanowił zbić kapitał na swojej wczorajszej porażce, planując zamieścić w gazetce „Bufon” humorystyczny artykuł o pierwotnym znaczeniu rytuałów inicjacyjnych. Ogółem, wykład minął błyskawicznie.

Będąc wreszcie w dobrym humorze, rozmyślał o niezrozumieniu, z jakim spotykali się studenci ze strony otoczenia. W powszechnym mniemaniu przedstawiali sobą typ niebezpiecznego buntownika i radykała o szokująco bezkompromisowym podejściu do moralności. Zaiste, przedstawiciele niższych warstw społeczeństwa uważali ich za bezecne, zdegenerowane monstra, potencjalnych morderców małych dzieci oraz stałych bywalców czarnych mszy. Gdy tymczasem studenci byli znacznie lepiej ułożeni niż dzieciaki ze szkół średnich. A co się tyczy eksperymentów z seksem, pozostawali daleko w tyle za tymi, których edukacja utknęła na podstawówce. Zamiast buńczucznie podrywać się z ławki i głośnić wywrotowe orędzia, woleli zasłaniać się tanią hipokryzją – mówić tylko to, co pragnie usłyszeć nauczyciel. Mało prawdopodobne, żeby wymknęli się spod kontroli. Wprost przeciwnie, należało im powoli i subtelnie ukazywać prawdę, poszerzać ciasne horyzonty myślowe i uwalniać od wyniesionych z domu zakazów. Co było nie lada wyzwaniem, wymagającym stanowczych działań, skoro żyło się w epoce zachwianej moralności, kiedy służba dla kraju i wierność małżeńska oddawały pole szerzej pojętej służbie i nieskrepowanej miłości. Albo ginęły przygniecione samolubstwem, wyścigami szczurów i zagrożeniem wojną atomową, jeżeli duch człowieka dał się stłamsić, złamać i spętać więzami tradycyjnych zahamowań i obaw.

Nauczyciele akademicy byli odbierani z tą samą rezerwą co studenci. Stąd brała się ich bojaźń i przesadna wrażliwość na społeczną krytykę. Tym większy szacunek należał się każdemu, kto publicznie bronił swego zdania.

Naturalnie, wszystko to odzwierciedlało jeszcze niewygasłą w społeczeństwie skłonność do widzenia w nauczycielach nie propagatorów wiedzy, ale – rzecz by można – niepokalanych opiekunów ognia westalskiego, ofiary na ołtarzu przyzwoitości, zakwaterowane w stosownie surowych mieszkaniach i oceniane w oparciu o dużo ostrzejszy kodeks moralny niż biznesmeni czy pokojówki. Przy czym niepokalana natura nauczyciela miała o wiele większe znaczenie od jego troski o wątyły płomyk zdrowej ciekawości i szczerego zaangażowania w zajęcia. Co gorsza, ludziom byłoby wszystko jedno, gdyby ów płomyk wygasł... byleby nauczyciele trwali w swych świątyniach – bez skazy i zmayı, z grobową miną, zastygnięci w bezruchu, żywy dowód na to, że jest na tym świecie ktoś, kto przestrzega zasad moralnych.

Ha, pomyślał ironicznie, oni wręcz chcą z nas zrobić czarownice i czarowników, tyle że nieszkodliwych. A ja kazałem się nawrócić Tansy!

Ta myśl go rozbawiła. Dobry nastrój nie opuszczał go aż do popołudnia, kiedy to po ostatnich zajęciach przy wejściu do Morton Hall napotkał Sawtelle'ów.

Evelyn była paniusią udającą wielką intelektualistkę. Swoim zachowaniem starała się podkreślać, że poświęciła wspólną karierę na deskach teatru, aby wyjść za Herveya. W rzeczywistości nigdy jej się nie udało zostać kierowniczką studenckiego koła teatralnego i musiała się zadowolić drugorzędną funkcją na wydziale retoryki. Miała pretensjonalne manieri i nieco rażący gust w doborze garderoby, co w połączeniu z płaskimi policzkami i

beznadziejną czarną fryzurą upodobniało ją do osobników, którzy dumnym krokiem przecinają hol w czasie przerwy w koncercie lub balecie. Pozbawiona artystycznej duszy, Evelyn – najgorliwiej ze wszystkich kobiet związanych z uczelnią – stała na straży konwenansów i walczyła o dobre imię Hempnella. Wobec braku oglądy jej starania często przynosiły odwrotny skutek.

Męża trzymała pod pantoflem. Kierowała nim jak firmą: trochę chaotycznie i nadgorliwie, a mimo to z dość dużym powodzeniem.

– Henrietta zaprosiła mnie dzisiaj na lunch... To znaczy pani Pollard – oznajmiła wyniośle, jakby podejmowała ją rodzina królewska.

– Posłuchaj, Norman... – zaczął z wigorem Hervey, unosząc neseser.

– Ucieliśmy sobie ciekawą pogawędkę – przerwała mu żona. – Rozmawialiśmy także o tobie, Norman. Wygląda na to, że Gracine błędnie tłumaczy sobie pewne rzeczy, które opowiadasz na zajęciach. To taka wrażliwa dziewczyna.

I fiu-bǳdziu w głowie, dodał w duchu Norman.

– Tak? – zapytał z udawaną grzecznością.

– Nasza droga Henrietta nie bardzo sobie z tym radzi, chociaż, trzeba powiedzieć, jest oświeconą osobą, nad podziw tolerancyjną. Wspominam o tym, bo wiem, że cię to zainteresuje. Bądź co bądź, nikomu nie zależy na tym, żeby mówiono źle o wydziale. Nieprawdaż, Hervey? – dodała ostro.

– Co, skarbie? A tak, tak. Posłuchaj, Norman, co odkryłem w sprawie tej pracy doktorskiej, o której rozmawialiśmy wczoraj. Niesamowita rzecz! Główne tezy niemal w całości pokrywają się z tym, co zawarłeś w swojej książce! Zadziwiające, jak czasem dwóch niezależnych badaczy dochodzi do tych samych wniosków. To jak Darwin i Wallace albo...

– Nic mi o tym nie mówiłeś, kochanie – wtrąciła jego żona.

– Zaraz, zaraz... – Nie uśmiechało mu się usprawiedliwiać w obecności Evelyn, lecz nie miał wyboru. – Wybacz, Hervey, ale ten intrygujący zbieg okoliczności ma całkiem prozaiczne wytłumaczenie. To się zdarzyło w 1929 roku, kiedy zaczynałem tu wykładać. Pewien student o nazwisku Cunningham, z którym się wtedy przyjaźniłem, zapoznał się z moimi poglądami i włączył je do swojej pracy doktorskiej. Pracę przeczytałem już po tym, jak zdobył doktorat, bo przez dwa miesiące chorowałem na zapalenie płuc. Zresztą, zależnościami między psychozą a przesądami zajmowałem się wtedy na boku.

Hervey zmrużył oczy i przybrał swoją zwyczajową zatroskaną minę. W czarnych oczach jego żony mgliście odbijał się wyraz rozczarowania, jakby przed usłyszeniem wyjaśnienia wołała wczytać się w pracę doktorską, rozważyć każdy akapit, rozbudzić w sobie błogą podejrzliwość.

– Zdenerwowałem się i chciałem na niego donieść – ciągnął Norman. – Aż usłyszałem, że umarł. Dopatrywano się samobójstwa. Zawsze wydawał się niezrównoważony. Nie wiem, jak mógł sądzić, że takie oszustwo ujdzie mu płazem. Tak czy inaczej, ze względu na jego

rodzinę postanowiłem milczeć. Jeszcze by kto pomyślał, że jego samobójstwo miało związek ze studiami.

Evelyn przyglądała mu się z niedowierzaniem.

– Nie wiem, Norman, czy to było najmądrzejsze – zauważył jej mąż. – To, że milczałeś. Nie bałeś się ryzyka? Mogła ucierpieć twoja reputacja.

W zachowaniu Evelyn zaszła nagła zmiana.

– Odnieś to do magazynu, Hervey, i zapomnij o sprawie! – nakazała szorstko. Potem uśmiechnęła się łobuzersko do Normana. – Zapomniałam, że mam dla ciebie niespodziankę. Tylko zejdź ze mną do salki akustycznej. To nam zajmie sekundkę. Idziesz, Hervey?

Norman nie miał na podorędziu wymówki, więc udał się ze Sawtelle'ami do sal wydziału retoryki na drugim końcu Morton Hall. Po drodze zastanawiał się, jakim cudem znalazło się na wydziale retoryki miejsce dla osoby obdarzonej tak osobliwym, nosowym akcentem jak Evelyn, nawet jeśli przypadkiem była żoną pracownika uczelni i niedoszłą bohaterką teatralnych tragedii.

Salka akustyczna, cicha i przyciemniona, była w zasadzie pudłem o dźwiękochłonnych ścianach i podwójnych szybach. Evelyn wyciągnęła z szufladki płytę, położyła ją na jednym z trzech gramofonów i nastawiła kilka pokręteł. Norman aż się wzdrygnął. Wystraszył się, że w jego stronę z hukiem pędzi ciężarówka, która zaraz przebije się przez ścianę. Po chwili jednak koszmarny ryk głośnika przemienił się w dziwny pulsujący odgłos – ni to wycie, ni to szum, jakby wichur próbował sforsować mury domu. W jego skotłowanej pamięci poruszyła się jakaś zapomniana struna.

Evelyn skoczyła i ruszyła pokrętłami.

– Pomyliłam się – powiedziała. – To jakaś awangardowa muzyka czy coś w tym stylu. Hervey, włącz światło. – I po chwili: – No, mam tę płytę. – Umieściła ją na drugim gramofonie.

– Cokolwiek to było, brzmiało okropnie – rzekł jej mąż.

Norman wyteżył pamięć. Przypomniał sobie australijską czuringę, którą niegdyś zademonstrował mu kolega. Zakrzywiona deszczulka, wirująca na sznurku, wydawała dokładnie ten sam dźwięk. Aborygeni używali jej podczas rytualnego przywoływania deszczu.

„... jeżeli jednak w czasach waśni i nieporozumień świadomie i beztrosko zapominamy, że każde słowo i myśl musi mieć zakorzenienie w realnym świecie, jeżeli pozwalamy rzeczom urojonym i nieistniejącym załęgnać się w naszych umysłach...”

Norman ponownie się wzdrygnął, albowiem z głośnika płynął teraz jego własny głos. Miał dziwne wrażenie, jakby dał susa w przeszłość.

– Zaskoczony? – spytała kpiąco Evelyn. – To wykład o semantyce z zeszłego tygodnia. Umieściliśmy mikrofon przy mównicy. Pewnie myślałeś, że dla polepszenia słyszalności. Zrobiliśmy, jak to się mówi, potajemne nagranie. Tutaj zostało obrobione. – Wskazała ciężki

gramofon z betonowym cokołem, służący do nagrywania. Przez chwilę majsterkowała przy pokrętłach. – Możemy tu robić różne rzeczy – paplała. – Miksować wszelkie dźwięki, głos i muzykę.

„Słowa mogą nam zaszkodzić. Pewnie się zdziwicie, ale właśnie słowa, które odnoszą się do nierealnych zjawisk, szkodzą nam najbardziej. Dlaczego...”.

W tej sytuacji Norman nie potrafił nawet udawać zadowolonego. Jego opinia, miał tego świadomość, była równie subiektywna co lęk dzikusa przed tym, że ktoś pozna jego sekretne imię, a mimo to nie podobał mu się sposób, w jaki Evelyn bawiła się jego głosem. Bo świadczyło to, podobnie jak jej złośliwe oczka osadzone w wąskich oczodołach, że poszukuje w nim słabych punktów.

I raptem podskoczył po raz trzeci, ponieważ z głośnika buchnął, tym razem zmiksowany z jego głosem, warkot aborygeńskich instrumentów, zaprawiony diabelnym rykiem nadjeżdżającej ciężarówki.

– Jejku, znowu wpadka – rzekła pośpiesznie Evelyn, dopadłszy pokręteł. – Zlepiłam twój cudowny głos z tą okropną muzyką. – Skrzywiła się. – Z drugiej strony, jak właśnie powiedziałeś, dźwięki nie wyrządzają nam krzywdy.

Jak zwykle, błędnie cytowała, lecz jej nie poprawił. Przez chwilę wpatrywał się w nią uważnie. Stała zwrócona doń twarzą, z rękoma za plecami. Jej mąż, kręcąc nosem, podreptał do ciągle jeszcze obracających się talerzy i ostrożnie szturchał je palcem.

– Nie, nie wyrządzają – odparł spokojnie i pożegnał się bez zbytnich ceregieli: – Dzięki za pokaz.

– Do zobaczenia wieczorem! – krzyknęła za nim Evelyn, co zabrzmiało jak: „Nie pozbedziesz się mnie tak łatwo!”.

Wstrętna baba, pomyślał Norman. Wspiął się szybko po ciemnych schodach i ruszył korytarzem. Po przybyciu do gabinetu bitą godzinę spędził na robieniu notatek. Na koniec, gdy wstawał włączyć światło, jego spojrzenie powędrowało ku oknu.

Po dłuższej chwili ocknął się z bezruchu i śmignął do szafki po lornetkę. Ktoś musiał mieć niezwykle poczucie humoru, że zdecydował się na tak pracochłonny dowcip.

Z wielką uwagą wpatrywał się w cementowe spoiny na styku kalenicy i szponiastych łap, przypuszczając, że zauważy charakterystyczne rysy. Nie udało mu się, co jednak ze względu na mdłe żółtawe światło było usprawiedliwione.

Cementowy smok stał już nad samą rynną, jakby chciał się przespacerować do sąsiedniego budynku skrajem architrawy, nad sklepieniem bramy. Szkła lornetki skierowały się na łeb maskary, surowy i kanciasty niczym niewykończona ludzka czaszka. Pod wpływem impulsu spojrział niżej na rząd rzeźbionych głów. Skupił się na Galileuszu i odczytał krótki napis, który dotąd był dla niego tajemnicą.

*Eppur si muove.* A jednak się porusza... Słowa, które według legendy wycedził Galileusz przed obliczem inkwizycji, utrzymując wytrwale, że Ziemia obraca się wokół Słońca.



Odwrócił się gwałtownie, gdy z tyłu zatrzeszczała podłoga.

Nad biurkiem stał młodzieniec bladej jak ściana, obdarzony gęstą rudą czupryną. Jego oczy przypominały mlecznobiałe paciorki. W sieniej dłoni z silnie zarysowanymi ścięgnami trzymał pistolet sportowy kal. 5,6 mm.

Norman ruszył w jego stronę, odbijając nieznacznie w prawo. Krótka lufa uniosła się ostrzegawczo.

– Witaj, Jennings – powiedział. – Zostałeś przywrócony w prawach studenta. I to z najlepszymi stopniami.

Lufa na moment przestała się poruszać.

Rzucił się na przeciwnika. Broń wypaliła pod jego lewą pachą, kula przedziurawiła szybę. Pistolet upadł na ziemię, a chudy Jennings zwiotczał mu w ramionach. Młodzieniec, posadzony na krześle, zaczął konwulsyjnie szlochać.

Norman chwycił pistolet za lufę, umieścił go w szufladce, zamknął na klucz, a sam klucz schował do kieszeni. Potem podniósł słuchawkę i poprosił o połączenie z numerem na kampusie. Nie musiał długo czekać.

– Pan Gunnison? – zapytał.

– No. Właśnie miałem wychodzić.

– Rodzice Theodorea Jenningsa mieszkają blisko uczelni, mam rację? Wie pan, tego chłopca, który zaważył poprzedni semestr.

– Zgadza się, a w czym rzecz?

– Trzeba ich zaraz sprowadzić. I niech przyjdą z lekarzem, który leczy chłopaka. Mało brakowało, a by mnie zastrzelił. Tak, z lekarzem. Nie, nie jesteśmy ranni. Pośpiech byłby wskazany.

Odłożył słuchawkę. Jennings nadal żałośnie łkał. Norman popatrzył nań z odrazą, ale po chwili poklepał go po ramieniu.

Godzinę później na tym krześle siedział już Gunnison. Odetchnął z ulgą.

– Ciesz się mnie to niewymownie, że zgodzili się oddać go do psychiatryka – powiedział. – I miło z pańskiej strony, że nie nalegał pan, by wezwać policję. Takie incydenty psują opinię o szkole.

Norman uśmiechnął się z przymusem.

– Wszystko, co się dzieje, psuje opinię o szkole. Ale ten wariat naprawdę ma nierówno pod sufitem. Zdaję też sobie sprawę, jak bardzo zależy panu Pollardowi na dobrych układach z rodzicami Jenningsa, którzy mają znajomości i wpływy polityczne.

Gunnison pokiwał głową. Przez chwilę palili w milczeniu papierosy. Norman zastanawiał się nad różnicami między rzeczywistością a powieścią kryminalną, w której z całą surowością traktowano próbę morderstwa: telefonowano, zwoływano tabuny detektywów i oficerów śledczych, słowem poruszano niebo i ziemię. Tymczasem teraz, ponieważ zdarzenie miało miejsce w przybytku przyzwoitości, a nie taniej sensacji, sprawę skwapliwie tuszowano i

puszczano w niepamięć.

Gunnison spojrział na zegarek.

– Czas mnie goni. Dochodzi siódma, a mamy być u was o ósmej.

Na razie jednak pozostał. Zbliżył się do okna i zbadał otwór po kuli.

– Byłbym wdzięczny, gdyby nie wspominał pan o tym Tansy – rzekł Norman. – Tylko by się martwiła.

Gunnison kiwnął głową.

– Niech to lepiej zostanie między nami. – Nagle odwrócił się do okna. – To jeden z pupilów mojej żony – dodał żartobliwym tonem. Wskazał palcem cementowego smoka, podświetlonego zimnym blaskiem lamp ulicznych. – Narobiła mu chyba z dziesięć zdjęć. Uwielbia fotografować Hempnella. Chyba już uwieczniła każdą architektoniczną ciekawostkę na kampusie. Tę lubi w szczególności. – Zachichotał. – Zazwyczaj to mąż wchodzi sam do ciemnego pokoju, ale nie u mnie w domu. A przecież jestem trzeźwo myślącym naukowcem.

Nateżony umysł Normana momentalnie skupił się na wspomnieniu aborygeńskiego instrumentu. Ukazała mu się analogia pomiędzy nagraniem plemiennych dźwięków a fotografią smoka.

Odegnął od siebie rozliczne pytania, jakie cisnęły mu się na usta.

– Chodźmy – powiedział. – Nie traćmy już czasu.

Gunnisona nieco zdziwiła szorstkość napomnienia.

– Może mnie pan podrzucić? – zapytał Norman łagodniejszym tonem. – Zostawiłem samochód w domu.

– Nie ma sprawy.

Wyłączywszy światło, Norman przez chwilę gapił się na okno. Przypomniały mu się słowa: *Eppur si muove*.

## 6

Ledwie uprzątnęli stół po zjedzonej naprędce kolacji, kiedy po raz pierwszy rozbrzmiała melodyjka dzwonka. Norman cieszył się, że Tansy bez zbędnych pytań przyjęła jego dość nieporadne wyjaśnienie późnego powrotu z pracy. Tym niemniej spokój, jaki okazywała w ciągu ostatnich dwóch dni, trochę go zaskakiwał. Miała wszak ciekawski, dociekliwy charakter. Rzecz jasna, starannie taił przed nią niepokojące zdarzenia i może właśnie dlatego nie popadała w nerwowość.

– Nie widzieliśmy cię całe wieki, moja droga! – Pani Carr wyściskała gorąco Tansy. – Co u ciebie? Jak się masz? – pytała z wyjątkową natarczywością, zapewne biorącą się z wyrobionego w Hempnellu pozerstwa. – Jejku, chyba mi popiół wpadł do oka. Co za wietrzysko!

– Potworna zawierucha – odezwał się profesor Carr z wydziału matematyki, zadowolony, że znalazł trafne określenie. Był niskim mężczyzną z rumianymi policzkami i białą bródką w szpic. Poczciwym i roztargnionym, jak przystało na wykładowcę wyższej uczelni. Ktoś mógłby pomyśleć, że mieszka na stałe we własnym rajskim świecie liczb przestępnych i pozaskończonych, zapełnianym tajemniczymi znakami logiki symbolicznej, którymi operował z taką biegłością, że zyskał krajową sławę. Wprawdzie pionierami na tym polu byli Russell i Whitehead, ale gdy przyszło manipulować, żonglować i czarować nieznośnie pogmatwanymi symbolami, Carr był mistrzem prestidigitatorów.

– Jakby się trochę uspokoiło. – Pani Carr machnęła ręką na chusteczkę podsuniętą przez Tansy i eksperymentalnie zamrugała oczami, które wydawały się odpychająco gołe, póki nie nałożyła z powrotem grubych okularów. – O, są już następni goście – dodała, gdy rozległ się dzwonek. – Czy to nie wspaniale, że wszyscy w Hempnellu są tacy punktualni?

Kiedy Norman poderwał się do drzwi, rozgorączkowana wyobraźnia podszeptowała mu, że ktoś na zewnątrz puszcza w ruch czuringę. Okazało się jednak, że to tylko wyjący wicher potwierdza słuszność słów profesora Carra.

Ujrzał przed sobą kościstą sylwetkę Evelyn Sawtelle. Wiatr trzepotał jej czarnym płaszczem. Wysuwała ku niemu swą równie kościstą twarz z oczami jak szklane paciorki.

– Jeśli zaraz nas nie wpuścisz, wiatr nas wwieje. – Jak w przypadku większości jej

wymuszonych lub banalnych żarcików, i ten nie wypalił, może dlatego że wypowiedziała go absurdalnie ponurym głosem. Weszła przed Herveyem i od razu zwróciła się do Tansy: – Jak się czujesz, skarbie? Co porabiasz?

I znów uderzył Normana niezwykle, dwuznaczny ton, jakim zadano pytanie. Zastanawiał się, czy ta kobieta nie żywi podejrzeń co do osobliwej przeszłości Tansy bądź przyczyn jej obecnego kryzysu. Z drugiej strony, Evelyn świetnie panowała nad głosem i umiała swoim słowom nadać mylące brzmienie.

Głośne powitania wywołały pewien harmider. Kot z piskliwym miauczeniem umknął z lasu ludzkich nóg. Ponad wrzawę wybił się cienki, dziewczęcy głos pani Carr:

– Profesorze Sawtelle, wszyscy podziwiali pańską przemowę na temat zagospodarowania centrum miasta. Była naprawdę kapitalna!

Hervey wiał się pod jej spojrzeniem.

A więc teraz on jest głównym kandydatem na kierownika wydziału, pomyślał Norman.

Profesor Carr skierował swoje kroki prosto do stolika i w zadumie jął przekładać karty.

– Studiowałem matematyczne reguły rządzące tasowaniem – zaczął z roziskrzonym wzrokiem, kiedy w okolicy pojawił się Norman. – Celem tasowania jest rozdanie kart w przypadkowej kolejności. Ale trudno tu mówić o przypadku. – Otworzył świeżutką talię i rozłożył karty. – Producent układa je hierarchicznie: trzynastka pików, trzynastka kierów i tak dalej. Załóżmy, że wykonam idealne tasowanie, podzielę talię na równe części i poprzekładam karty jedną po drugiej. – Próbował zademonstrować, lecz karty się nie słuchały. – Nie udało mi się, ale to łatwe – mówił niezrażony. – Są gracze, którym wychodzi za każdym razem, robią to w mgnieniu oka. Ale do czego zmierzam. Wyobraźmy sobie, że dwukrotnie i w sposób doskonały przetasuję nową talię. Bez względu na to, jak zostaną przełożone karty, każdy gracz otrzyma trzynaście w tym samym kolorze. Co powinno się zdarzyć, gdyby stosować zasady prawdopodobieństwa, w przybliżeniu raz na sto pięćdziesiąt osiem miliardów, i to w przypadku jednego tylko gracza, a nie czterech!

Norman pokiwał głową, co Carr skwitował wesołym uśmiechem.

– To tylko jeden przykład. W istocie chodzi o to, że przypadek, jak go ludzie potocznie nazywają, w rzeczywistości jest efektem działania kilku precyzyjnie zdefiniowanych czynników. Przede wszystkim siły kart u poszczególnych graczy i sposobu tasowania. – Wczuwał się w temat, jakby była mowa o teorii względności. – Bywa, że przez cały wieczór wypadają nieciekawe karty. Innym razem trafiają się coraz to bardziej zwariowane rozdania: silne kolory, renonsy i tak dalej. Niekiedy karty uparcie sprzyjają siedzącym koło siebie, niekiedy zaś tym z naprzeciwka. Szczęście? Przypadek? Nic z tych rzeczy! Stoją za tym określone przyczyny. Znakomici gracze czasami wykorzystują tę wiedzę, żeby określić prawdopodobne położenie kluczowych kart. Pamiętają, jak schodziły karty z poprzedniego rozdania, jak je zbierano przed tasowaniem, jak je następnie zmieszał rozdający. Później korygują swoje informacje zgodnie z tym, jak licytują i zagrywają na otwarcie inni gracze. To

naprawdę proste, czy raczej byłoby proste dla mistrza szachów. No i oczywiście każdy wytrawny brydżysta powinien...

Myśli Normana biegly już innym torem. A gdyby tak zastosować tę wiedzę w jakiejś innej dziedzinie? Przypuśćmy, że zbiegi okoliczności i niezwykle zdarzenia nie są tak przypadkowe, jak się ludziom wydaje. Przypuśćmy, że istnieją osoby, które z wyjątkową wprawą mącą i mieszają. No tak, ale to było całkiem normalne, nie powinien się emocjonować taką myślą.

– Ciekawe, co zatrzymało Gunnisonów – mówił profesor Carr. – Przy jednym stoliku można by już zaczynać. Rozegrać dodatkowego robra – dodał z nadzieją.

Melodyjny głos dzwonka rozsądził sprawę. Gunnison sprawiał wrażenie, jakby nie dojadł obiadu, a Hulda miała dość posępną minę.

– Wszystko w biegu... – mruknęła oschle, gdy Norman otworzył jej drzwi.

Jak w przypadku dwóch poprzednich kobiet, zignorowała go i skupiła się na powitaniu Tansy. Znowu zaczynał doświadczać tego nieprzyjemnego uczucia, co w pierwszych dniach po przybyciu do Hempnella, kiedy towarzyskie wizyty były złem koniecznym. Tansy wydawała się speszona i bezbronna wobec wojowniczej postawy koleżanek.

Ale co z tego? – uspokajał się. Wśród żon profesorów to całkiem normalne. Zachowują się tak, jakby po całych nocach obmyślały sposoby otrucia delikwentów, którzy przeszkadzają ich mężom stanąć na czele wydziału.

Tymczasem Tansy... Lecz przecież Tansy też się tak zachowywała... czy raczej mówiła, że one się tak zachowują. Sama postępowała inaczej. Ona jedynie... Myśli mu się mąciły, więc je od siebie odpędził.

Losowo dobrali się w pary.

Karty wytrwale wspierały teorię Carra. W wyniku nijakich rozdań, wręcz absurdalnie przeciętnych, nikt nie miał silnego koloru. Zwykle było to 4-3-3-3 lub 4-4-3-2. Słabe licytacje, żadnych niespodzianek.

Po drugiej partii Norman zastosował własne lekarstwo na nudę, grę zwaną przezeń „człowiekiem pierwotnym”. Rozgrywkę prowadziło się samemu, po cichu. Etnolog dzięki niej mógł ćwiczyć wyobraźnię. Udając, że ludzie wokół są członkami zacofanego plemienia, próbował przewidzieć, jak ich osobowość zamanifestuje się w nowym środowisku.

W ten wieczór grało mu się wspaniale. Co się tyczy mężczyzn, nic go nie zaskoczyło. Gunnison, rzecz jasna, byłby wpływowym kacykiem. Może trochę grubszym, otoczonym młódkami, lecz z mściwą i zazdrosną żoną, zawsze gotową skoczyć im do gardła. Carr przedzierzgnął się w wioskowego wikliniarza: zażywnego staruszka, szczerzącego zęby jak małpka, wypłatającego z wierzbowych pędów zawile wzory, zgodne z regułami matematyki. Hervey, oczywiście, byłby pośmiewiskiem plemienia, ofiarą niekończących się, bolesnych dowcipów.

Za to kobiety! Na przykład pani Gunnison, teraz jego partnerka. Dać jej ogorzałą skórę,

zostawić rude włosy, ale wkręcić w nie kilka miedzianych ozdób. Byłaby herod-babą, postrachem wioski, silniejszą od prawie każdego mężczyzny, posługującą się wprawnie dzidą i maczugą. Łotrowskie oczy bez zmian, lecz dolna szczęka, bardziej wysunięta, świadczyłaby dobitnie o jej kwaśnym, apodyktycznym usposobieniu. Nietrudno sobie wyobrazić, co by zrobiła niefortunnych panienkom, którym mąż okazywał szczególne względy. Albo jak w zaciszu chaty wbijałaby mu do głowy plemienny kodeks moralny. Albo jej gromki głos, zagłuszający zawrodożenie niewiast, które magicznym śpiewem wspierają swoich wojujących mężów.

I jeszcze Evelyn i pani Carr, które wraz z nim i panią Gunnison siedziały przy głównym stoliku. Najpierw Evelyn. Wyszczuplić ją. Pokryć płaskie policzki rytualnymi bliznami. Plecy tatuażem. Czarownica. Mąż się nie sprawdza, więc goryczy w niej tyle co w korze chinowca. Jak płaśa przed fetyszem nabijanym szpilami... Jak wyrzaskuje zaklęcia i urywa łeb kurze...

– Jeszcze nie pańska kolej – uświadomiła go pani Gunnison.

– Przepraszam.

I pani Carr. Dodać zmarszczek. Zostawić nędzne kępki włosów na czaszce suchej jak pergamin. Zdjąć okulary, niech mruży te swoje szkliste oczy, niech natęży wzrok i rozdziawia bezzębne usta. I niech wywija zrogowaciałymi pazurami. Dobroduszna, niegroźna stara squaw, która zwołuje do siebie dzieci z całego szczepu (zawsze ten głód młodości!) i snuje opowieści. Jednakowoż szczęka wciąż może kłapać jak stalowy potrzask, szponiaste dłonie umiejętnie aplikują truciznę do strzały, a oczy tak naprawdę nie są potrzebne, ponieważ zna inne sposoby postrzegania świata, tak że najdzielniejszy wojownik zadrzy, jeśli długo będzie spoglądała w jej stronę.

– Eksperci przy drugim stoliku jacyś dzisiaj milczący! – zawołał ze śmiechem Gunnison.

– Gra ich całkowicie pochłonęła.

Wszystkie trzy czarownice niestrudzenie wypychały mężów na najwyższy szczebel plemiennej drabiny.

W cieniu pod drzwiami stał kot i patrzył z ciekawością, jakby i on rozważał podobną możliwość.

Tylko Tansy nie pasowała do tego obrazka. Norman umiał wyobrazić sobie pewne zmiany fizyczne, takie jak poskręcane włosy, duże pierścienie w uszach czy malowane wzory na czole, ale nie mógł wpasować jej w to samo plemię. Jawiła mu się w wyobraźni jako ktoś obcy – branka, którą prymitywna społeczność obserwuje z wrogością i podejrzliwością. Albo jako córka plemienia, która jakimś oburzającym czynem naraziła się wszystkim kobietom. Kapłanka łamiąca odwieczne tabu. Czarownica wyrzekająca się czarów.

Nagle jego spojrzenie spoczęło na kartce z wynikami. Evelyn Sawtelle bazgrała jakiegoś postacie z kresiek, gdy pani Carr deliberowała, czym wyjść. Pierwszy był człowieczek z uniesionymi ramionami i trzema lub czterema kółkami nad głową, jakby nimi żonglował. Potem królowa, rozpoznawalna po koronie i rąbku sukni. Potem wieżyczka. Następnie

odwrócona litera „L” z wiszącym ludzikiem: szubienica. Na końcu niezidentyfikowany wehikuł, prostokąt na dwóch kołach, najeżdżający na kogoś, kto wyciąga ręce ze strachem.

Po prostu pięć rysuneków. Wiedział jednak, że cztery z nich łączą się z jakimiś dziwnymi wspomnieniami, zagrzebanymi głęboko w pamięci. Oświeciło go jedno spojrzenie na odsłonięte karty dziadka.

Jego dziwne wspomnienia wiązały się wszakże z odległą historią kart – z czasami, gdy cała talia była przesiąknięta magią, gdy pomiędzy waletem i damą funkcjonował jeździec, a do kolorów zaliczały się miecze, buławy, kielichy i denary. I gdy w talii znajdowały się dwadzieścia dwie kluczowe karty, służące do wróżenia, z których do dziś zachował się tylko głupiec, przekształcony w jokera.

Ale że Evelyn Sawtelle miała pojęcie na tak abstrakcyjny temat jak karty do tarota? Tak duże pojęcie, że je sobie rysowała? Ta głupia, pretensjonalna tradycjonalistka... Niesłychane. A jednak zongler, cesarzowa, wieża i wisielec zawierały się w talii tarota.

Tylko piąte wyobrażenie, człowiek i pojazd, nijak mu nie pasowało. Samochód ciężarowy? Żyjąca dotąd w zaślepieniu, przestraszona ofiara na sekundy przed śmiercią pod kołami mocarnego, rozpędzonego idola? I kolejny dowód na rozległą ezoteryczną wiedzę tępej Evelyn?

Wtem doznał olśnienia. On i ciężarówka. Wielka, potężna ciężarówka. Oto co przedstawiał ostatni rysunek.

Tak, tylko skąd wiedziała, czego on się boi od dziecka?

Wlepił w nią spojrzenie.

Zabazgrała rysunki i spojrzała na niego poważnie.

Pani Gunnison pochyliła się, ruszając ustami, jakby liczyła swoje lewy.

Pani Carr z uśmiechem wyłożyła kartę. Wzburzony wiatr znów porykiwał jak wcześniej tego wieczoru.

Norman skupił na sobie uwagę kobiet świszczącym chichotem. Ale bałwan ze mnie, pomyślał. Boję się czarów, a przecież Evelyn rysowała tylko dziecko bawiące się piłeczką – dziecko, którego mieć nie mogła. Królowa to ona sama. Wieża: mężowskie stanowisko kierownika wydziału socjologii bądź jakaś inna, jeszcze znamienitsza funkcja. Wisielec: impotencja Herveya (ale pomysł!). Wystraszony człowiek i ciężarówka: Hervey zdruzgotany i przerażony jej apetytem na seks.

Znowu zachichotał, na co trzy kobiety zmarszczyły czoła. Spoglądał na nie z zagadkową miną.

A jednak... czemu nie? – ciągnął w duchu swoje poprzednie rozmyślenia, choć w weselszym tonie. Trzy czarownice posługują się magią jak do niedawna Tansy, popychając do przodu kariery swoje i swoich mężusiów. Wykorzystują specjalistyczną wiedzę mężów, by nadać magii nowocześniejszą formę. Podejrzliwe i zatrwożone, ponieważ Tansy zerwała z czarami. Boją się, że poznała tajniki potężniejszej odmiany magii i planuje kolejne

posunięcie.

I Tansy, nieoczekiwanie bezbronna, być może nieświadoma zmiany w ich nastawieniu, bo uciekły od magii, zatraciła wrażliwość w sferze nadprzyrodzonej, swoją „kobiecą intuicję”.

A gdyby tak pójść krok dalej? Może wszystkie kobiety są takie same? Stoją na straży odwiecznych ludzkich zwyczajów i tradycji, łącznie ze sztuką czarnoksiężką. Ukryte za kulisami, za pomocą czarów wspierają mężów w ich walkach. Wszystko utrzymują w tajemnicy, a jeśli przypadkiem zostaną zdemaskowane, zasłaniają się wygodną wymówką: ot, kobieca skłonność do wiary w zabobony.

Połowa ludzkości praktykowałaby czary.

Czemu nie?

– Twoja kolej, Norman – odezwała się Evelyn słodkim głosem.

– Znać, że coś panu chodzi po głowie – rzekła pani Gunnison.

– Jak tam ci się wiedzie, Norman? – zawołał jej mąż. – Onieśmiela cię towarzystwo kobiet?

Onieśmiela? Gwałtownie oprzytomniał. Prawie im się udało. A wszystko dlatego, że ludzka wyobraźnia to nader zawodne narzędzie, coś jakby gumowa linijka. No dobrze. Jeśli wyrzuci króla, wyrobi damę w ręce pani Gunnison, która z kolei będzie mogła ściągnąć piki.

Kiedy pani Carr rzucała asa, Norman przywodził nikły, tajemniczy uśmiešek na jej pomarszczonych ustach.

Po tej partii Tansy podała przekąski. Norman udał się za nią do kuchni.

– Widziałeś, jak na ciebie patrzyła? – szepnęła wesoło. – Czasem mam wrażenie, że ta flądra cię kocha.

Zaśmiał się.

– Mówisz o Evelyn?

– No coś ty. O pani Carr. W duchu czuje się wystrzałową dziewczyną. Nie zwróciłeś uwagi, jak patrzy na studentów z żalem, że nie mogą zobaczyć jej piękna?

Przypomniało mu się, że właśnie rano o tym myślał.

A Tansy mówiła dalej:

– Zauważyłam też, co mi wcale nie schlebia, że czasem w ten sposób patrzy na mnie. Aż mi ciarki chodzą po skórze.

Pokiwał głową.

– Myślisz o złej... – Urwał.

– Tak, o złej czarownicy z *Królowny Śnieżki*. A teraz biegnij z powrotem, bo jak nie, wparują tu wszyscy na raz, by przypomnieć, że wykładowca z Hempnella nie powinien przesiadywać w kuchni.

Kiedy wrócił do salonu, toczyła się zwyczajna rozmowa o pracy.

– Spotkałem dzisiaj Pollarda – oznajmił Gunnison, wykrajając sobie kawałek



czekoladowego torcika. – Powiedział, że jutro rano ma spotkanie z zarządem. Między innymi będzie mowa o stanowisku kierownika wydziału socjologii.

Hervey Sawtelle zakrztusił się kruszyną ciasta i omal nie przewrócił filiżanki kakao.

Norman dostrzegł skierowany na siebie mściwy wzrok Evelyn.

Zmieniła szybko wyraz twarzy i mruknęła:

– O, ciekawe...

Uśmiechnął się. Był to całkiem zrozumiały rodzaj nienawiści, którego nie należało wiązać z czarami.

Idąc do kuchni po szklanek wody dla pani Carr, napotkał wychodzącą z sypialni panią Gunnison. Do swej przepastnej torebki wsuwała oprawiony w skórę zeszyt. Przypomniał mu się pamiętnik Tansy. Pewnie chowała zwykłą książkę adresową.

Z tyłu wynurzył się kot i z dumnym posykiwaniem ominął jej nogi.

– Brzydę się kotami – oświadczyła chłodno pani Gunnison i odeszła do salonu.

Profesor Carr zakończył przygotowania do ostatniego robra. Przy jednym stole mieli siedzieć mężczyźni, przy drugim kobiety.

– Barbarzyński układ. – Tansy mrugnęła okiem. – Na pewno pan uważa, że nie umiemy grać w brydża.

– Wręcz przeciwnie, moja droga – odparł Carr poważnym tonem. – Choć przyznaję, że niekiedy wolę grać z facetami. Łatwiej wybadać, co im chodzi po głowie. Kobiety trudniej przejrzeć.

– I tak ma być, kochanie – dodała pani Carr ku ogólnej wesołości.

Ni stąd, ni zowąd karty zaczęły płatać figle, pojawiały się kuriozalne rozkłady kolorów. Gra zaraz nabrała rumieńców. Norman jednak nie potrafił się skupić, co sprawiło, że Hervey jako partner wykazywał jeszcze większą nerwowość niż zwykle.

Nasłuchiwał, o czym mówią kobiety przy sąsiednim stole. Jego buntownicza wyobraźnia dopisywała ukryte znaczenie nawet najbardziej niewinnym uwagom.

– Zazwyczaj karta ci idzie, Tansy, ale dzisiaj woreczek ze szczęściem chyba się wyczerpał – powiedziała pani Carr. Założmy, że miała na myśli flanelowe woreczki na magiczne przedmioty...

– No tak, kto nie ma szczęścia w kartach... no wiecie... – Jak Evelyn zamierzała dokończyć zdanie? Ten ma szczęście w miłości? A może w czarnej magii? E, co za bzdura!

– Dwie odzywki pod rząd na podpuszczenie, Tansy. Lepiej uważaj. Dopadniemy cię. – Co w żargonie pani Gunnison oznaczała „odzywka na podpuszczenie”? Czy nie blef czarownicy? Udawanie, że skończyło się z zaklęciami?

– Ciekawa jestem – rzekła pani Carr słodziutko do Tansy – czy ty przypadkiem nie czaisz się z dobrą ręką, żeby nam zaserwować pas wciągający.

Gumowa linijka. Oto kłopot z wyobraźnią. Gumowa linijka pokaże, że słoń nie jest większy od myszy, a linie poszarpane i łukowate są jednakowo proste. Z trudem się

koncentrował na zaliczonym przez siebie szlemie.

– Dziewczyny udają, że mówią o brydżu – bąknął pod nosem Gunnison.

W parze z Carrem zakończył robota z wysoką przewagą. Wesoło gwarząc, zbierali się do wyjścia.

Normanowi przypomniało się, o co chciał zapytać panią Gunnison.

– Harold powiedział, że pani fotografowała tego cementowego smoka, jeśli to w ogóle smok, na dachu Estrey. Widać go dokładnie z mojego okna.

Przyjrzała mu się i skinęła głową.

– Jedno zdjęcie mam nawet przy sobie. Zrobione prawie rok temu. – Wygrzebała z torebki zmiętą fotografię.

Oglądając ją dokładnie i poczuł na plecach zimny dreszcz. Toż to przechodziło ludzkie pojęcie! Zamiast stać na środku kalenicy lub niżej, nad rynną, smok znajdował się na samej górze. Jak to rozumieć? Czy jakiś dowcipniś zabawił się jego kosztem od paru dni lub tygodni? Czy też może... Tu jego myśli pocwałowały jak tabun koni. *Eppur si muove?*

Na odwrocie wyrysowano jakieś bazgrały grubą, czerwoną kredką. Pani Gunnison zabrała zdjęcie, żeby pokazać je innym.

– Wiatr wyje jak potępiona dusza – stwierdziła pani Carr, otulając się płaszczem, gdy Norman otworzył drzwi.

– Dość rozmowna ta dusza – dorzucił ze śmiechem jej mąż. – Pewnie była kobietą.

Kiedy wreszcie zostali sami, Tansy objęła w pasie Normana i rzekła:

– Chyba się starzeję. Wszystko po mnie spływało. Nie przejmowałam się nawet prostackimi zalotami Carra. Po raz pierwszy wydawali się ludźmi.

Popatrzył na nią wnikliwie. Uśmiechała się błogo. Kot wychynął z kryjówki i ocierał się teraz o jej nogi. Norman ciężko pokiwał głową.

– To prawda. Boże, ale z tym kakao to wyszło! Napijmy się czegoś!

## 7

Naokoło czały się cienie, pod nogami kołysała się rozmiękła ziemia. Przerażliwy, ogłuszający łoskot, który przeciągał się w nieskończoność, wstrząsał całym ciałem. A jednak nie głużył wstrętnego, monotonnego głosu, który nakazywał coś zrobić. Ale co, tego nie był pewien (wiedział tylko, że w rezultacie stanie mu się krzywda), choć słyszał ten głos tak wyraźnie, jakby ktoś przemawiał w jego głowie. Odmawiał pójścia w tę stronę, dokąd naglił głos, lecz nieustępliwe ręce stale go popychały. Gdyby nie brak odwagi, zerknąłby przez ramię na to coś, co niewątpliwie przewyższało go wzrostem. Cienie rodziły się z ruchu wielkich, rozpędzonych chmur, które raz po raz przybierały kształt olbrzymich twarzy, patrzących na niego w zadumie – twarzy z czarnymi oczodołami, dziko zaciętymi ustami i długimi, rozwianymi grzywami.

Nie mógł ulec... a jednak musiał. Szamotał się rozpaczliwie. Piekielny grzmot ruszał ziemię w posadach, chmury napierały zachłannym czarnym wałem.

Aż raptem na ten obraz nałożył się obraz sypialni i Norman ocknął się ze snu. Przecierając zaspane oczy, daremnie próbował sobie przypomnieć, do czego namawiał głos. Nadal huczało mu w uszach.

Przez żaluzje przeciskało się mętne światło dnia. Zegar wskazywał za kwadrans ósmą.

Tansy leżała jeszcze zwinięta w kłębek, z ręką wyciągniętą spod kołdry. W kącikach ust błąkał się uśmiech, widoczny też w pomarszczeniu nosa. Norman ostrożnie wysunął się z pościeli. Bosą stopą nadepnął na gwoździak obluzowany w dywanie. Bez jęku, powstrzymując nerwy, pokuśtykał do łazienki.

Po raz pierwszy od miesiący poharatał się przy goleniu. Nowe ostrze dwukrotnie ześliznęło się w bok i ścięło kawałeczek skóry. Ze złością patrzył na swoje odbicie w lustrze, twarz miejscami białą od pianki i miejscami czerwoną. Tym razem z podwójną ostrożnością prowadził ostrze po brodzie; niestety, znów docisnął odrobinę za mocno, co skutkowało trzecim skaleczeniem.

Zszedł do kuchni, gdzie kipiła nastawiona woda. Kiedy napełniał dzbanek do kawy, odpadło rozchwiane ucho rondelka, przez co boleśnie oparzył stopy wrzątkiem. Kot czmychnął na stronę, ale po chwili wolno wrócił do miski z mlekiem. Norman zaklął i zaraz

się uśmiechnął. Wszak sam opowiadał Tansy o złośliwości rzeczy martwych. Koronnym dowodem na potwierdzenie jego teorii było przygryzienie języka w czasie chrupania ciastka. Złośliwość rzeczy martwych? Raczej złośliwość ludzkiego układu nerwowego! Wciąż trwało w nim i budziło lęk pewne niejasne wrażenie, może związane ze snami, coś jakby nieprzyjemny kształt sunący pod powierzchnią wody zarośniętej trzcina.

To uczucie wydawało się spokrewnione z tłumionym, bezsilnym gniewem, kiedy bowiem spieszonym krokiem zdążył do Morton Hall, toczył wewnętrzny bój z ustalonym porządkiem rzeczy, w szczególności zaś z systemem szkolnictwa. Dawna młodzieńcza pogarda wobec hipokryzji i konformizmu cywilizowanego społeczeństwa przybierała na sile i burzyła tamy, które zbudował przymuszony do tego brutalną rzeczywistością. Doprawdy, miał cudowne życie! Oświecał niedojrzałe umysły dorosłych smarkaczy, szczęśliwy, jeśli trafił mu się w roku choć jeden w miarę obiecujący student. Grywał w brydża w kompanii starych zgredów. Pomagał roztrzęsionym nieudacznikom pokroju Herveya Sawtelle'a. Przestrzegał tysiąca zwariowanych zasad i tradycji drugorzędnej uczelni. W imię czego?

W górze przepływały skłębione obłoki, zwiastujące deszcz. Przypomnił mu się sen. Miał ochotę jak dziecko wygrażać niebiosom.

Nieopodal cicho przejechała ciężarówka, odświeżająca wspomnienia rysunku, który Evelyn Sawtelle nabazgrała na kartce. Odprowadził ją wzrokiem. Kiedy odwrócił spojrzenie, dostrzegł panią Carr.

– Zaciął się pan – zauważyła słodko zatroskanym głosem, przyglądając mu się bacznie zza okularów.

– No tak...

– A to pech.

Nawet nie skomentował. Minęli bramę między Estrey Hall i Morton Hall. Nad nim majaczył pysk cementowego smoka, sterczący nad rynną.

– Wczoraj wieczorem, panie profesorze, chciałam wyrazić swoje ubolewanie w związku ze sprawą Margaret van Nice, tyle że oczywiście pora była niestosowna. Strasznie mi przykro, że pana wzywano. Toż to skandaliczne oskarżenie! Jak pan się musiał poczuć... – Chyba źle zinterpretowała jego grymas, bo ciągnęła bez wytchnienia: – Rzecz jasna, nawet przez myśl mi nie przeszło, że mógł pan dopuścić się nieprzystojnych czynów, ale w tej historii musi tkwić ziarnko prawdy. Dziewczyna opisała wszystko tak bardzo szczegółowo... – Pilnie go obserwowała. Jej oczy za grubymi szklami wyglądały jak sówie. – Szczerze mówiąc, profesorze, niektóre dziewczyny przychodzące do nas zachowują się okropnie. Pojęcia nie mam, skąd się w nich bierze tyle głupich pomysłów.

– A chciałaby się pani dowiedzieć?

Wytrzeszczała oczy iście jak sowa wybudzona ze snu.

– Naśladują ludzi, którzy próbują jednocześnie przyspieszać i hamować jeden z podstawowych ludzkich motorów napędowych – wytłumaczył zwięźle. – Innymi słowy,

naśladują dorosłych zbereźników!

– Ależ profesorze, czemu?

– W naszej uczelni studiuje sporo dziewcząt, które powinny zadawać się raczej z prawdziwymi chłopakami niż wyimaginowanymi. Oczywiście, znaczny odsetek szczęśliwie przestawił się na nowe myślenie.

Z zadowoleniem słuchał jej westchnień, gdy odwracał się w stronę Morton Hall. Łomot serca sprawiał mu przyjemność. Z zaciśniętymi ustami wszedł do gabinetu i podniósł słuchawkę. Poprosił o połączenie z numerem na kampusie.

– Pan Thompson? Tu Saylor. Mam dla pana kilka nowin.

– O, świetnie! A więc co nowego? – odpowiedział z wigorem Thompson. Zapewne zamarł z ołówkiem w ręku.

– Pierwsza sprawa: temat mojego wykładu dla młodych matek, mieszkających poza kampusem: Związki przedmażeńskie a życie studenta. To za dwa tygodnie. I sprawa druga: Utellowie, moi przyjaciele z teatru, będą w tym samym czasie dawali przedstawienie w mieście. Zaproszę ich jako gości Hempnella.

– Ależ... – Ołówek pewnie wisiał w powietrzu jak rozpalony pogrzebacz.

– To wszystko, proszę pana. Może następnym razem będę miał coś ciekawszego do zakomunikowania. Do widzenia.

Poczuł ukłucie. Nieświadomie bawił się obsydianowym nożykiem i skaleczył się w palec. Krew czerwieńsza niż ostrze ze szkliska wulkanicznego, które – jak sobie wyobrażał – służyło do zabijania ofiar lub rytualnych okaleczeń. Niezgrabnie przetrząsnął biurko w poszukiwaniu bandażu samoprzylepnych. Jednak szufladka, do której je chował, była zamknięta na klucz. Odemknąwszy ją, zobaczył pistolet odebrany Jenningsowi. Zabrzmiął dzwonek. Zasuwał szufladkę, przekręcił kluczyk, oderwał z chusteczki pasek materiału i co tchu obwiązał krwawiącą ranę.

Gdy biegł korytarzem, dopadł go Bronstein.

– Kibicujemy dziś panu, profesorze – szepnął z entuzjazmem.

– Jak to?

Bronstein uśmiechał się znacząco.

– Dziewczyna, która pracuje w dziekanacie, powiedziała nam, że toczą się rozmowy nad obsadzeniem stanowiska kierownika wydziału socjologii. Mam nadzieję, że stare przyki choć raz postanowią coś mądrego.

– Każdą decyzję przyjmę z satysfakcją.

Normana usztywniła akademicka powaga. Bronstein poczuł naganę w jego głosie.

– Oczywiście, nie chciałem...

– Oczywiście, że nie chciałeś.

Własna szorstkość wydała mu się nie na miejscu. Po jakie лихо wyżywa się na studentie, który nie kłania się zarządowi jak namiestnikom Boga? Czemu udaje, że mu nie zależy na

stanowisku kierownika? Czemu ukrywa swoją pogardę do połowy wydziału? Złość, o której sądził, że wyrzucił ją z siebie, wezbrała w nim ze zdwojoną mocą. Pod wpływem nieodpartego impulsu odrzucił na bok notatki i zaczął się zwierzać studentom, co myśli o świecie i Hempnelli. Czemu mają tego nie słyszeć, gdy są młodzi?

Wrócił do przytomności kwadrans później, w połowie zdania o „zbereźnych babach, u których żądza społecznego uznania osiągnęła pułap zboczenia”. Niewiele pamiętał z tego, o czym właśnie mówił. Wędrował spojrzeniem po twarzach studentów. Byli podekscytowani, ale też w większości skonsternowani, w paru przypadkach nawet wstrząśnięci. Gracine Pollard zabijała wzrokiem. A, tak! Przeprowadził elegancką, lecz perfidną analizę politycznych ambicji pewnego rektora, którym nie mógł być nikt inny jak sam Randolph Pollard. Przez chwilę też rozwodził się na temat związków przedmażeńskich, a robił to językiem, ogłędnie rzecz biorąc, dość soczystym. W dodatku... No cóż, eksplodował niczym kropla księcia Ruperta.

Zakończył wywód kilkoma mętnymi, ogólnikowymi zdaniami. Wiedział, że nie pasują do reszty, bo powiększały jeszcze konsternację studentów.

Cała grupa wydawała mu się jednak odległa. U podstawy czaszki narodziło się i przesunęło po ciele mrowienie, wywołane paroma słowami, które wyryły mu się w pamięci.

Słowa brzmiały: Tknięto słaby punkt w materii psychiki.

Potrząsnął głową i wymieszał litery. Słowa zniknęły.

Zostało trzydzieści minut zajęć. Miał ochotę uciec. Ogłosił niezapowiedziany sprawdzian, zapisał na tablicy dwa pytania i wyszedł z sali. W gabinecie zauważył, że na przeciętym palcu bandaż przesiąka krwią. No tak, przypomniał sobie, że na kredzie była krew...

Na obsydianowym nożyku też została krew, tyle że wyschnięta. Chętnie przejechałby palcem po ostrzu, ale się powstrzymał. Patrzył tępo w blat biurka.

Wmawiał sobie, że wszystko to zawdzięcza Tansy, jej dewiacyjnemu pociągowi do czarowania. Ta sprawa wstrząsnęła nim bardziej, niż się tego spodziewał. Za szybko chciał przejść nad nią do porządku dziennego. Za to Tansy w mig o wszystkim zapomniała, przynajmniej takie sprawiała wrażenie. Trzeba to z niej wywlec – jak nie raz, to dwa razy, do skutku. Inaczej nigdy nie będzie normalności.

Czy miał prawo tak myśleć?! W ciągu ostatnich trzech dni Tansy była taka szczęśliwa, odprężona. Nie mógł teraz wszystkiego zepsuć.

Ale jak to się stało, że zupełnie bez trudu zerwała z tak ciężkim nałogiem? Niebywałe. A jednak uśmiechała się przez sen. Po prawdzie, to on się dziwnie zachowywał, nie ona. Czyżby jakiś zły urok? Do diabła z tym! Pozwolił, żeby go wyprowadziła z równowagi banda ograniczonych babsztyli, zgrzybiałych smoczyc...

Odruchowo pobiegł wzrokiem do okna, lecz przywrócił go do rzeczywistości telefon.

– Profesor Saylor? Dzwonię w imieniu pana rektora. Mógłby się pan spotkać z nim po południu? Na przykład o czwartej? Dziękuję.

Rozsiadł się wygodniej, uśmiechnięty. Przynajmniej awansował...

W miarę upływu godzin na dworze ciemniało, porozrywane chmury schodziły coraz niżej. Studenci przemykali chodnikami różnym krokiem. Burza jednak rozszalała się dopiero przed czwartą.

Kiedy wbiegał w przedsionek budynku administracji, na zakurzone schody padały wielkie krople deszczu. Rozlegał się ogłuszający trzask gromów, jakby gdzieś nad chmurami darto na sztuki stalowe sklepienie. Odwrócił się i wyteżył wzrok. Światło błyskawic wyostrzało kontury gotyckich wież i dachów. I znowu huk i basowy pomruk. Przypomniawszy sobie, że nie zamknął okna w gabinecie. Na szczęście woda nie mogła tam nic zniszczyć.

Wiatr dmuchał w przedsionku z nieznośnym, pulsującym wyciem. Chropawy głos, który odezwał się tuż obok, doskonale współbrzmiał z wichurą.

– Piękna burza, prawda? – Evelyn Sawtelle wreszcie się uśmiechała, co nadawało jej rysom groteskowy wyraz. Jakby koń nagle odkrył, że można radośnie szczyrzyć zęby. – Oczywiście, znasz już wiadomość dnia? – ciągnęła. – O Herveyu?

Hervey wynurzył się z tyłu także uśmiechnięty, ale i zawstydzony. Wymamrotał kilka słów, które zagłuszył wiatr, i sztywno wyciągnął rękę jak na powitanie jednego z wielu gości.

Evelyn nie spuszczała wzroku z Normana.

– Czyż to nie cudowne? – mówiła. – Oczywiście, spodziewaliśmy się takiej właśnie decyzji, niemniej...

Norman już wiedział. Uścisnął podaną dłoń, gdy Hervey cofał ją z zakłopotaniem.

– Gratuluję, stary – rzekł krótko.

– Taka jestem z niego dumna – powiedziała Evelyn z miną matki, której synek zdobył nagrodę za dobre sprawowanie.

– O, skaleczyłeś się. – Nic nie uszło jej uwagi. Chytry uśmieszek gościł na stałe na jej ustach. Wicher jęczał potępieńczo.

– Chodź, Hervey! – Wyszła na deszcz, jakby nie było burzy.

Hervey łpał na nią w zdumieniu. Bąknął coś w charakterze przeprosin, jeszcze raz zakotłosał ręką i grzecznie potruchtął za żoną.

Norman spoglądał za nimi. Z mieszaniną podziwu i zgorszenia patrzył na Evelyn, kiedy maszerowała w strugach ulewy, przez co oboje mokli – zupełnie bez sensu, chyba żeby udowodnić, jaka to jest nieugięta. Hervey bezskutecznie próbował ją poganiać. Błyskawice raziły ostrym światłem, lecz jej niezgrabna, szczupła postać nie reagowała. Po raz wtóry wyczuwał w sobie jakieś obce uczucia, gotowe wybuchnąć.

A więc jej pudełek będzie miał decydujący głos we wszystkich sprawach szkoleniowych na wydziale socjologii? To czemu wzywa mnie Pollard, do cholery? By złożyć mi wyrazy ubolewania?

Niespełna godzinę później wyleciał z gabinetu Pollarda; dygocząc ze złości, zastanawiał się, dlaczego od razu nie złożył wymówienia. Przepytywano go jak szczeniaka, zapewne z

podpuszczenia intrygantów takich jak Thompson, pani Carr czy Gracine Pollard. Musiał wysłuchiwać bzdetów o swoim „sposobie bycia” i „duchu uczelni”, a także zamaskowanych odniesień do jego „zasad moralnych”.

Przynajmniej dał od siebie coś więcej, niż przyjął! Przynajmniej wymusił nutę zmieszania w tym kwiecistym głosie oratora i sprawił, że nastroszone szare brwi nie jeden raz się uniosły.

Po drodze przechodził obok dziekanatu dla mężczyzn. W progu stała pani Gunnison. Niczym wielki, ośliniony, gruboskórny ślimak, pomyślał na widok jej przekrzywionych pończoch, torebki wypchanej jak worek z fantami i nieodłącznego aparatu fotograficznego.

Dał upust swoim emocjom:

– Tak, skaleczyłem się! – rzekł, idąc za jej spojrzeniem. Po tyradzie wygłoszonej w gabinecie rektora mówił z chrypą. Wtem coś mu przyszło do głowy. – Pani Gunnison – powiedział bez ogródek – wczoraj wieczór zabrała pani pamiętnik Tansy... na pewno przez pomyłkę. Proszę mi go oddać.

– To panu się coś pomyliło – odparła swobodnie.

– Widziałem, jak wychodzi pani z jej sypialni i niesie pamiętnik.

Przymrużyła oczy, udając zmęczenie.

– Gdyby tak było, od razu by pan o to spytał. Naprawdę, to z przepracowania. Ale rozumiem. – Kiwnęła głową w stronę gabinetu rektora. – Pewnie czuje się pan rozczarowany...

– Proszę zwrócić pamiętnik!

– Radziłabym zająć się tą raną – kontynuowała jakby nigdy nic. – Bandaż nałożony nieudolnie, krwawienie nie ustaje. Jeszcze się wda jakaś wstrętna infekcja.

Odwrócił się na pięcie i odszedł. W szybie drzwi wyjściowych powitało go jej mroczne, niewyraźne odbicie. Uśmiechała się.

Na dworze obejrzał dłoń. Prawdopodobnie rana się otworzyła, kiedy walnął pięścią w biurko rektora. Ściągnął mocniej bandaż.

Burza się wyszalała. Na zachodzie spod nisko zawieszonych chmur padał jasny blask słońca, ślicznie opromieniający mokre dachy i okna na górnych piętrach. Z drzew skapywały resztki wilgoci. Miasteczko studenckie zdawało się wymarłe. Salwa śmiechu, dochodząca z żeńskiego akademika, wybuchła w ciszy jak niewinna, przyjemna petarda. Stłumił w sobie gniew i pozwolił zmysłom radować się odświeżonym pięknem otoczenia.

Był dumny z tego, że jest w stanie cieszyć się chwilą. Uważał tę umiejętność za jeden z głównych dowodów dojrzałości.

Próbował patrzeć oczami malarza, rozpoznawać kolory, wyszukiwać w cieniu ślady różu czy zieleni. Gotycka architektura, pomijając funkcjonalność, naprawdę cieszyła oko. Wzrok odnajdywał coraz to nowe kamienne arcydzieła. Na przykład liściaste kwiatony na wieży Estrey Hall...

Aż tu zniemacka blask słońca stał się zimniejszy niż lód, dachy uczelni były dachami



piekieł, a dziewczęcym śmiechom wtórował rechot diabłów. Bez zastanowienia odbił w bok i zszedł z dróżki na mokry trawnik, mimo że znajdował się dopiero w połowie drogi przez kampus.

Po co wracać do gabinetu? – pomyślał z drżeniem. Tyle wspinania się po głupie notatki? Do jutra nic im się nie stanie. I czemu choć raz nie pójść do domu inną trasą? Przecież nie zawsze musiał wracać najkrótszą drogą, przez bramę między budynkami Estrey i Morton, pod tymi ciemnymi nawisami gzymsów. Czemu...?

Przewyciężając lęk, po raz drugi skierował spojrzenie na otwarte okno swojego gabinetu. Jak się tego spodziewał, nic już tam nie było. Pewnie jakaś niewyraźna rzecz przemknęła mu przed oczami, a wyobraźnia zrobiła swoje. Tak samo zwykły cień, przesuwający się po podłodze, przeobraża się w pająka.

Albo cień rozkładający skrzydła...

Tylko czy cień mógłby się skradać po zewnętrznym parapecie? Czy mógłby się poruszać tak wolno, przemyślanie, wyraźnie obrysowany? Przycząić się, zajrzeć po kryjomu, by wreszcie wskoczyć do środka? Niczym... niczym...

Oczywiście, przesadzał. Ani myślał wracać po notatki i zamykać okno. Tylko by uległ bezpodstawnym lękom. W dali rozległ się grom.

... Niczym wielka jaszczurka, mająca kolor i fakturę kamienia.

## 8

*Stąd wiara, że jego dusza jest w pewien sposób zrośnięta z kamieniem. Jeśli kamień pęknie, zły znak to dla niego. Powiadają, że piorun uderzył w kamień, więc ten, kto jest z nim związany, szybko umrze...*

Nic z tego. Wodził oczami po stosie książek. Odłożył na bok *Złotą gałąź* i oparł się wygodnie. Daleko na wschodzie jeszcze grzmiało, lecz swojskie skórzane obicie fotela dawało poczucie bezpiecznej izolacji.

A gdyby tak – traktując to jak ćwiczenie intelektu – spróbował poddać analizie dziwne i nieszczęśliwie przypadki z ostatnich trzech dni z punktu widzenia czarnej magii?

Cementowy smok stanowiłby doskonały przykład magii imitacyjnej. Pani Gunnison sterowała smokiem za pomocą zdjęć, zgodnie z dawnym zwyczajem wykorzystywania rzeczy będących ze sobą w styczności, jak klucze szpilkami woskowej lalki. Być może łączyła w szereg wiele zdjęć, by stworzyć wrażenie ruchu. Albo też sfotografowała wnętrze gabinetu i nakleiła na nie zdjęcie smoka. Mruczając stosowne zaklęcia, ma się rozumieć. Kto wie, czy po prostu nie włożyła mu zdjęcia do kieszeni. Zaczął grzebać w kieszeniach, lecz zaraz przypomniał sobie, że miało to być tylko ćwiczenie intelektu, mała rozrywka dla zmęczonego mózgu.

A więc dalej, odfajkować panią Gunnison. Kolej na Evelyn Sawtelle. Nagrana przez nią czuringa, instrument często służący do przywoływania deszczu, zgrabnie i w kategoriach magicznych tłumaczyłaby wczorajszą wichurę i dzisiejszą nawałnicę; w obu przypadkach z niepogodą jakiś związek mieli Sawtellebwie. I jeszcze podobny dźwięk w jego snach... Aż zmarszczył nos, zde gustowany.

Słyszał, jak z tyłu na werandzie Tansy przywołuje kota bębnieniem w blaszaną miskę.

A teraz ostatnie pechowe skaleczenia z innej perspektywy. Obsydianowy nożyk. Ostrze golarki. Uszkodzony rondel. Gwoździak od dywanu. Zapalka, którą poparzył się przed kilkoma minutami. Może na golarkę rzucono zły urok, podobnie jak na zaczarowane miecze i topory, przyprowadzające o śmierć śmiałka, który nimi włada. Może ktoś ukraść okrwawiony nożyk z obsydianu i włożył go do wody, żeby rana się nie zabiźniała – zgodnie ze starodawnym przesądem.

Przed domem po chodniku dreptał pies. Wyraźnie słychać było człapanie.

Tansy wciąż przywoływała kota.

Być może nakazem jakiegoś czarownika miał zniszczyć samego siebie kawałek po kawałku, czy raczej milimetr po milimetrze, biorąc pod uwagę golarkę. To kompleksowo tłumaczyłoby wszystkie obrażenia. We śnie rozkazywał mu beznamiętny głos...

Pies skręcił na podjazd. Pazury zgrzytały na betonie.

Figury z tarota, nabazgrane przez Evelyn Sawtelle, byłyby głównym elementem jakiegoś magicznego mechanizmu kontrolnego. Rysunek człowieka i ciężarówka nabierał ponurej wymowy w świetle jego chorobliwych lęków.

Teraz miał wrażenie, że to jednak nie pies. Prędzej chłopak od sąsiadów przeciąga z mozołem nieokreślony ciężki przedmiot. Smyk cały swój wolny czas poświęcał na zbieranie dziadostwa.

– Totem! Totem! – rozległo się. – Chcesz tam zostać? W porządku, to nie przychodź!

Tansy zamknęła drzwi od podwórza.

I na koniec to wrażenie czyjejs obecności za plecami, z którym zdążył się już żyć. Postać większa od niego, z wyciągniętymi drapieżnie łapami. Umykała w bok, ilekroć spoglądał przez ramię. Druga taka zagadkowa istota żyła w jego snach. Możliwe, że to ona do niego przemawiała. W takim razie...

Stracił cierpliwość. Ćwiczenie intelektu, dobre sobie! Chyba dla idiotów! Zgasił papierosa.

– Co mogłam, to zrobiłam. Kot nie dostanie kolacji, choćby miauczał pół nocy. – Tansy usiadła na poręczy fotela i położyła mu rękę na ramieniu. – Co słyhać?

– Nic dobrego – odparł lekkim tonem.

– Stanowisko kierownika?

Pokiwał głową.

– Dostało się Herveyowi.

Tansy zaklęła siarczyście. Oto muzyka dla jego uszu!

– Co, chciałybyś wrócić do czarowania? – wysnęło mu się niechętnie. Zagryzł wargę.

Przyjrzała mu się uważnie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Tak tylko żartowałem.

– No nie wiem. Zdaję sobie sprawę, jak bardzo się o mnie martwisz, odkąd odkryłeś prawdę. Zastanawiasz się, czy nie drzę ze strachu o ciebie, czekasz na następne objawy. Kochanie, nie zaprzeczaj, to zupełnie normalne. Spodziewałam się, że przez pewien czas będziesz patrzył na mnie podejrzliwie. Jako wytrawny psycholog, nie wierzysz, że można migiem wyleczyć się z obsesji. A ja uwolniłam się od tego z taką radością, że twoja podejrzliwość wcale mi nie przeszkadza. Wiem, że z czasem minie.

– Słuchaj, skarbie, ja cię o nic nie podejrzewam, mówię szczerze – zaprotestował. – Może

powiniennem, ale tak nie jest.

Patrzyła na niego jak Sfinks szarozielonymi oczami.

– To czym się przejmujesz? – zapytała powoli.

– Ależ niczym. – Na tym gruncie musiał być szczególnie ostrożny.

Pokręciła głową.

– Nieprawda, martwisz się. Wiem, że są troski, którymi nie chcesz się ze mną podzielić.

Mam rację?

Wlepił w nią spojrzenie.

Pokiwała głową.

– Kierownik wydziału, to raz. Pogróżki ze strony studenta, dwa. Do tego ta van Nice. Naprawdę sądziłeś, że uczelnia odmówi sobie przyjemności powiadomienia mnie o tych słodkich skandalach? – Uśmiechnęła się przelotnie, gdy chciał protestować. – Przecież wiem, że nie jesteś z tych facetów, którzy uwodzą kochliwe sekretarki i histeryczne pannice. – Na powrót spoważniała. – To są drobiazgi, z którymi łatwo sobie poradzić. Nie zwierzałeś mi się, bo myślałeś, że z obawy o ciebie wrócę do starych zwyczajów. Zgadza się?

– Tak.

– Ale coś mi mówi, że twój strach ma o wiele głębsze źródło. Dziś i wczoraj czułam, że chcesz poprosić mnie o pomoc, ale nie masz śmiałości.

Milczał, jakby szukał odpowiednich słów. Studiował jednocześnie jej twarz, usiłował dociec znaczenia najdrobniejszych zmarszczek wokół ust i oczu. Wydawała się ucieleśnieniem spokoju, lecz podejrzewał, że to jedynie przykrywka. Pomimo tego, co mówiła, zapewne wciąż stała nad przepaścią czarnej magii. Wystarczy lekko pchnąć, na przykład jednym nierozważnym zdaniem... Jak to się stało, do licha ciężkiego, że wplątał się w sieć swoich własnych zmartwień i głupich wytworów rozchwianej wyobraźni?!? Oto na wyciągnięcie ręki miał coś, co liczyło się najbardziej: umysł ukryty za gładkim czołem i jasnymi, szarozielonymi oczami. Pragnął oszczędzić temu umysłowi niedorzecznych wyobrażeń, które nękały jego ostatnimi dniami.

– Rzeczywiście, nie da się ukryć, martwiłem się o ciebie. Bałem się, że jeśli ci powiem, zaczniesz się zastanawiać, czy dobrze postąpiłaś. Może i źle zrobiłem, w sumie wszystkiego się domyśliłaś, ale tak właśnie myślałem. Teraz oczywiście widzę, że jesteś zdecydowana i mogę być z tobą szczery.

Ze zgrozą zauważył, jak łatwo okłamać ukochaną osobę.

Nie od razu ustąpiła.

– Jesteś pewien? Ciągłe mi się zdaje, że coś taisz. – Nagle się uśmiechnęła i padła mu w objęcia. – Pewnie to krew MacKnightów, moich szkockich przodków – powiedziała ze śmiechem. – Straszne uparciuchy i monomani. Gdy już mamy fioła na jakimś punkcie, kompletnie nam odbija, ale gdy z czegoś rezygnujemy, nie namyślamy się długo. Jak Peter, mój stryjeczny dziadek. No wiesz, kiedy doszedł do wniosku, że nie ma Boga, jeszcze w tym

samym dniu zrezygnował z urzędu prezbiteriańskiego ministra i wyrzekł się wiary chrześcijańskiej. I to w wieku siedemdziesięciu dwóch lat!

Rozległ się głuchy, przeciągły huk gromu. Wracała burza.

– Bardzo się cieszę, że tak się o mnie martwisz – ciągnęła. – To miłe z twojej strony.

Uśmiechała się wesoło, lecz w jej oczach pozostał zagadkowy wyraz, jakby coś jej nie dawało spokoju. Winszował sobie w duchu szczęśliwego zakończenia tej potyczki, gdy raptem przyszło mu na myśl, że nawzajem karmią się kłamstwami. A jeśli coś ukrywała, żeby oszczędzić mu zmartwień, sama udręczona ponad miarę? Może była lepszym krętaczem od niego? Nie przemawiały za tym racjonalne powody, a jednak...

– Może przyniosę coś do picia – zaproponowała. – Potem się zastanowimy, czy nie powinieneś w tym roku opuścić uczelni i poszukać szczęścia gdzie indziej.

Pokiwał głową. Zniknęła za rogiem salonu w kształcie litery „L”.

A jednak... przez piętnaście lat można z kimś mieszkać, kochać go i zarazem nie wiedzieć, co skrywa przed światem.

Dał się słyszeć brzęk szklanek w kredensie i miłe stuknięcie pełnej butelki. Znienacka zawtórował temu grzmot pioruna oraz, znacznie bliżej, przeszywający zwierzęcy skowyt. Urwał się, nim Norman skoczył na równe nogi.

Kiedy minął zakręt w salonie, Tansy zniknęła za drzwiami kuchennymi. Na schodach już ją prawie dopędzał.

Z okien domu naprzeciwko wylewało się światło na placyk pod garażem. W świetle leżał Totem z głową roztrzaskaną o beton.

Z gardła Tansy wyrwał się krótki odgłos – ni to jęk grozy, ni to szloch, ni to gniewne warknięcie.

W świetle niewiele więcej było widać oprócz zabitego kota. Norman stanął za nim tak, żeby zasłonić dwa wyraźne zadrapania w betonie. Mogły powstać od uderzenia cegły lub dużego kamienia – narzędzia zbrodni – lecz ich położenie względem siebie wydawało się nieprzypadkowe, a nie chciał, żeby Tansy nie wiadomo co sobie od razu wyobrażała.

Podniosła spojrzenie. Na jej twarzy nie odbijało się żadne uczucie.

– Lepiej wracaj do mieszkania – powiedział.

– A ty...

Pokiwał głową.

– Tak.

Zatrzymała się na schodach.

– Jak ktoś mógł zrobić coś tak okropnego?

Nie zamknęła za sobą drzwi. Po chwili zjawiała się ponownie. Przewiesiła przez poręcz werandy gruby dywanik z resztkami kociej sierści. Tym razem wracając zamknęła drzwi.

Zawinął kota i zabrał z garażu szpadel. Nie marnował czasu na szukanie cegieł, kamieni czy innych morderczych pocisków. Nie badał również głębokich śladów, które chyba

dostrzegł na trawie przy podjeździe.

Kiedy rozkopywał szpadlem miękką ziemię pod płotem, migwały błyskawice, nic jednak nie rozpraszało jego uwagi. Pracował sumiennie, lecz bez zbędnego pośpiechu. Po przyklepaniu mogiły, gdy zbierał się do powrotu, pioruny błyskały jeszcze jaśniej, przez co ciemność w przerwach wydawała się wyjątkowo mroczna. Wzmógł się wiatr i zatrzęsł gałęziami.

Nie spieszył się. A gdyby tak w świetle błyskawicy ujrzał przed domem niewyraźną sylwetkę wielkiego psa? W sąsiedztwie ludzie trzymali kilka dużych psów. Ale nie były agresywne. Zresztą, kota nie zagryzł pies.

Flegmatycznie odniósł szpadel do garażu i wolnym krokiem ruszył do drzwi. Dopiero za progiem, kiedy obejrzał się i przebił wzrokiem ciemność, w głowie mu zawirowało.

W blasku najjaśniejszej jak dotąd błyskawicy zobaczył psa, który wychodził zza narożnika. To trwało sekundę. Pies w kolorze betonu człapał na sztywnych łapach.

Norman błyskawicznie trzasnął drzwiami i zasunął rygiel. Przypomniał sobie, że zostawił otwarte okna u siebie w gabinecie. Należało je zamknąć, i to szybko.

Zanosiło się na deszcz.

## 9

Kiedy wszedł do salonu, na jego twarzy malował się udawany spokój. Tansy siedziała na twardym krześle, nieco pochylona, pogrążona w głębokiej zadumie, o czym świadczyły zmarszczki wokół oczu. Nieświadomie miętosła w palcach kawałek sznurka.

Powoli zapalił papierosa.

– Napijesz się? – zapytał tak, żeby nie zabrzmiało to ani zdawkowo, ani za szorstko.

– Nie, dzięki. Ale ty się nie krępuj. – Wciąż splatała i rozplatała sznurek.

Usiadł i wziął książkę. Siedząc w swoim fotelu, mógł ją ukradkiem obserwować.

Grób wykopany, zrobione wszystko, co było do zrobienia. Nic dziwnego, że w tej sytuacji nie mógł się bronić przed myślami. Przynajmniej więził je w ciasnej, zamkniętej strefie, żeby nie znajdowały swojego odbicia w rysach twarzy i nie kolidowały z innymi myślami, skupionymi wokół troski o Tansy.

To czary, szeptało mu coś w owej zamkniętej strefie. Zaklęty kamień zszedł z dachu... Kobiety to czarownice, walczą po stronie mężów... Tansy była czarownicą... Chroniła cię... Kazałeś jej z tym skończyć...

W takim razie, odpowiadał myślom, czemu Tansy nie widzi tego, co się dzieje? Nie da się ukryć, że ostatnio jest zrelaksowana i zadowolona z życia.

Jesteś pewien, że nie widzi albo że nie zaczyna zauważać? – odpowiedziały myśli. Nawiasem mówiąc, pozbyła się narzędzi magii, więc prawdopodobnie straciła też wrażliwość na magię. Naukowiec bez narzędzi pracy, mikroskopów bądź teleskopów, tak samo jak jaskiniowcy nie mogłby obserwować zarazków tyfusu i księżyców Marsa. Co więcej, miałyby gorszy niż oni aparat postrzegania.

Uwięzione myśli tworzyły wzburzone kłębowisko, niby pszczoły szukające wyjścia z zatkanego ula.

– Norman – odezwała się nagle Tansy, nie patrząc na niego – znalazłeś i spaliłeś amulet, który miałeś w zegarku, prawda?

– Owszem – odparł po krótkim namyśle.

– Na śmierć o nim zapomniałam. Tyle ich było.

Przewrócił kartkę, raz i drugi. Zagrzmiało potężnie i deszcz zabębnił na dachu.

– Pamiętnik też spaliłeś, Norman, prawda? Oczywiście, dobrze zrobiłeś. Zatrzymałam go sobie, bo nie zawierał gotowych zaklęć, tylko ogólne formuły. Dlatego naiwnie wmawiałam sobie, że on się nie liczy. Ale go spaliłeś, co?

Odpowiedź nie przyszła mu łatwo. Miał wrażenie, że bawią się w zgadywanki i Tansy wnet odkryje prawdę. Uwięzione myśli brzęczały natrętnie: Pani Gunnison zdobyła pamiętnik. Ma w garści zaklęcia ochronne, które znała Tansy.

– Spaliłem – skłamał. – Przepraszam, ale myślałem...

– Oczywiście, postąpiłeś słusznie – przerwała. Nie patrząc na sznurek, silniej go skręcała.

W świetle błyskawicy zamajaczyła za oknem ulica i drzewa. Bębnienie deszczu przerodziło się w donośny szum, a jednak wydało mu się, że słyszy na podjeździe chrobot pazurów. Absurd: hałas ulewy wszystko zagłuszał.

Jał śledzić wzrokiem węzłki, które wykonywała Tansy ruchliwymi palcami. Mocne, zawile supły rozwiązywały się, gdy je sprytnie naciągnąć. Przypomniawszy sobie, z jakim mozołem studiowała indiańskie kocie kołyski. Wiedział też o znaczeniu przypisywanym węzłom wśród ludów pierwotnych. Gromadzenie i rozpraszanie wiatrów, zatrzymywanie ukochanych osób, pętanie odległych nieprzyjaciół, hamowanie i uwalnianie wszelkiego typu procesów fizycznych i psychologicznych. Mojry przedły nić ludzkiego życia. Rytmiczny ruch palców i układ supłów w pewien sposób podnosił go na duchu, kojarzył się z bezpieczeństwem... dopóki się nie rozpadały.

– Słuchaj, Norman – zapytała natarczywym głosem. – Wczoraj prosiłeś Hulde, żeby pokazała ci zdjęcie. Jakie zdjęcie?

Omal nie wpadł w panikę. Na tym etapie zabawy już się woła: „Gorąco!” Został jej mały kroczek.

I wtedy usłyszał głośnie stukanie na twardej podłodze werandy, które jak gdyby przesuwano się wolno wzdłuż ściany. Ściśnięte w zamknięciu myśli zaczynały napierać z wielką siłą odśrodkową. Czuł, że traci równowagę umysłu, naciskany jednocześnie z zewnątrz i od wewnątrz. Z namaszczeniem strzepał nad popielniczką popiół z papierosa.

– Zdjęcie dachu Estrey Hall – odrzekł spokojnie. – Wiem od Gunnisona, że Hulda napstrykała sporo zdjęć, więc chciałem zobaczyć choć jedno.

– Sfotografowała jakiegoś stwora, co?

Powoływane do istnienia węzły znikły z oszałamiającą szybkością. Nagle odniósł wrażenie, że Tansy manipuluje nie tylko sznurkiem, a do niewoli trafia i z niej ucieka nie tylko powietrze. Supły oddziaływały na otoczenie, podobnie jak płynący w przewodzie prąd wytwarza wokół niego misterne pole elektromagnetyczne.

– Nie – odparł, zmuszając się do śmiechu. – Chyba że do stworów zaliczasz cementowe smoki. – Obserwował wyginający się szpagat. Czasami migotający, jakby zawierał srebrne włókna.

Skoro zwykle supelki w magicznych zastosowaniach panują nad wiatrem, to nad czym



zapanuje sznurek z metalowym włóknem? Nad burzą?

Błysnęło, a zaraz potem powietrze rozdarł ogłuszający huk, jakby piorun uderzył w najbliższej okolicy. Tansy siedziała nieporuszona.

– Ale walnęło... – mruknął. Kiedy ustał łoskot, a deszcz na moment się zmniejszył, usłyszał ciężkie tupnięcie, jakby coś wskoczyło z werandy na parapet dużego, niskiego okna.

Wstał i postąpił kilka kroków w stronę okna, jakby chciał sprawdzić, czy burza cichnie. Po drodze zauważył, że Tansy zwinnymi palcami tworzy dziwny wzór, przypominający kwiat o siedmiu płatkach z pętelek. Patrzyła wzrokiem lunatyka. Stał między nią a oknem, żeby ją zasłonić.

Następna błyskawica pokazała mu to, co spodziewał się zobaczyć. Skurczona postać zbliżała pysk do szyby. Łeb był toporny, jakby rzeźbiarz nie ukończył swej pracy.

Nastąpiła chwila ciemności, w czasie której sfera obcych myśli gwałtownie się powiększyła, aż wypełniła cały jego umysł.

Obejrzał się. Nie poruszając palcami, Tansy trzymała przed sobą dziwny kwiat ze sznurka. Akurat gdy odwracał głowę, zobaczył kątem oka, jak dłonie szarpia sznurek, a pętle zaciskają się niczym siedmiokrotnie wzmocnione sidła... i mocno trzymają.

W tej samej sekundzie przed domem zrobiło się jasno jak w dzień. Olbrzymia wstęga błyskawicy rozłupała wysoką wierzbę i, podzielona na kilka odnóg, pomknęła przez ulicę w kierunku kamiennej postaci, czającej się za oknem.

Normana poraziło światło, prąd przeszył jego ciało. Na siatkówce oka wyrysował się jednak ognisty ślad błyskawicy, której macki po dobiegnięciu do kamiennej figury oplotły ją i zacisnęły się jak siedem wnyków.

Sfera obcych myśli w mgnieniu oka rozrosła się poza obręb czaszki i zniknęła.

Jego histeryczny, niekontrolowany śmiech przedarł się przez milknące echa tytanicznego wyładowania. Otworzył okno i skrzył ramię lampki biurkowej, żeby świeciła na zewnątrz.

– Patrz, Tansy! – zawołał, trzęsąc się ze śmiechu. – Patrz, co zrobiły głupie studenciaki! Pewnie ci z bractwa, których wyśmiałem na zajęciach. Zobacz, co przytargali nam z kampusu na podwórko. Trzeba jutro zadzwonić, niech to stąd zabierają.

Deszcz padał mu na twarz. Wyczuwał zapach siarki. Tansy dotknęła go w ramię. Patrzyła za okno niewidzącym wzrokiem.

Smok stał oparty o ścianę, zastygły w swej nieorganicznej formie. Cement gdzieniegdzie był ciemniejszy i spieczony.

– Przedziwny zbieg okoliczności – powiedział. – Akurat w niego rąbnął piorun. – Bezwiednie wyciągnął rękę i pogłaskał kamień. Poczł szorstką, twardą i nadal gorącą powierzchnię. Nie było mu już do śmiechu. – *Eppur si muove* – mruknął tak cicho, żeby nie słyszała stojąca obok żona. – *Eppur si muove...*

# 10

Nazajutrz stawił się na uczelni utrudzony jak żołnierz wojaczką. Owszem, spał długo twardym snem, lecz wyglądał na człowieka otepiałego z wycieńczenia, bliskiego załamania nerwowego. I tak też się czuł. Nawet Harold Gunnison zwrócił na to uwagę.

– Jestem trochę rozleniwiony, to wszystko – zapewnił Norman.

Gunnison uśmiechnął się sceptycznie.

– Przepracowujesz się, a to obniża skuteczność działania. Musisz lepiej poukładać sobie pracę. Starczy osiem godzin dziennie, robota nie ucieknie. – I dodał z innej beczki: – W zarządzie siedzą różne dziwaki. A Pollarda ciągnie bardziej do polityki niż do życia szkolnego. Lecz zdobywa pieniądze, a od tego właśnie są rektorzy.

Gunnisonowi chwaliło się to, iż w ten co prawda dość zawoalowany sposób wyraził swój żal z powodu tego, że Norman nie stanął na czele wydziału socjologii... choć zwykle nie był skory do krytykowania Pollarda. Norman nie czuł jednak dawnej zażyłości z dziekanem, podobnie jak nie czuł się związany z hordami wesoło ubranych studentów, którzy tłoczyli się na chodnikach i zbierali w grupkach. Można by rzec, że otoczył się murem ze szkła. Jedynym celem, do którego dążył (a nawet on wydawał się rozmyty), było zachowanie istniejącego stanu rzeczy: otepienia po męczącej nocy i wymuszonej pustki w głowie.

Wmawiał sobie, że myśli są niebezpieczne, a zwłaszcza takie, które stoją w sprzeczności z osiągnięciami nauki, zdrowym rozsądkiem i cywilizowanymi poglądami. Wyczuwał ich obecność tu i tam pod czaszką; były jak skupiska trującego jadu – niegroźne w swoich cystach, byle ich nie nakłuwać.

Jedna z nich była mu bliższa niż inne. Nurtowała go zeszłego dnia, gdy szalała burza. Z niejaką ulgą przyjął fakt, że nie jest już w stanie jej dojrzeć.

Druga cysta zawierała myśli dotyczące Tansy, domagające się odpowiedzi na pytanie, czemu rano wydawała się tak radośnie nastawiona do świata.

Następna, bardzo duża, zapadła w umysł tak głęboko, że widział jedynie drobną część jej kulistej powierzchni. Wiązała się z destruktywnym, wcześniej mu nieznanym uczuciem złości, które zeszłego dnia nieraz w nim wzbierało. Wiedział, że pod żadnym pozorem nie wolno mu jej otwierać. Cysta powoli pulsowała, drgała miarowo niczym potwór śpiący w

błocie.

Następna miała związek z amuletami we flanelowych garniturkach.

Następna – malutka, acz istotna – z kartami.

Były też inne, wiele innych.

Znajdował się w sytuacji legendarnego herosa, który musi przejść długim, wąskim korytarzem, pamiętając, by nie dotykać zwodniczo kuszących, zaprawionych trucizną ścian.

Wiedział, że niepodobna w nieskończoność unikać kontaktu z myślowymi cystami, mogły jednak z czasem skurczyć się i zaniknąć.

Dzień dopasował się do jego apatycznego nastroju. Zamiast rześkiego powietrza, normalnego po burzy, dało się wyczuć przedsmak lata. Studenci masowo opuszczali wykłady, pozostali zaś wykazywali objawy letniego rozleniwienia, takie jak przysypianie na zajęciach.

Ożywiony był jedynie Bronstein. Odciągał na bok po dwóch lub trzech studentów i coś tam do nich gorączkowo szeptał. Jak się okazało, próbował zorganizować petycję o odwołanie Sawtelle'a. Norman kazał mu przestać. Bronstein odmówił, lecz urabianie studentów i tak szło mu opornie.

Norman prowadził zajęcia bez polotu. Zadowalał się przekuwaniem notatek na lakoniczne zdania przy minimalnym wysiłku umysłowym. Obserwował jednostajny ruch ołówków, którymi robiono notatki lub wyrysowywano zawile bohomazy. Dwie dziewczyny z wigorem szkicowały profil przystojnego przewodniczącego bractwa, który siedział w drugiej ławce. Czasem marszczyły czoło, odnajdując wątek, czasem je wygładzały, gdy go znowu gubiły.

Przez cały ten czas jego własna uwaga zjeżdżała na boczny tor, a myśli, senne i nie poukładane, właściwie trudno było nazwać myślami. Złożone z potoków słów, przypominały psychologiczny test skojarzeń. Jeden taki potok począł się z chwilą, gdy przypomniał mu się epigram o tym, że lekcje stanowią proces przenoszenia zawartości notatników nauczycieli do zeszytów uczniów z pominięciem umysłu jednych i drugich. W tym momencie pomyślał o powielaczu.

Powielacz, co dalej? Margaret van Nice. Theodore Jennings. Pistolet. Szyba w oknie. Galileusz. Napis... Precz stąd, wstęp wzbroniony!

Wciąż śnił na jawie, lecz teraz podążał inną ścieżką. Gunnison. Pollard. Kierownik katedry. Cesarz. Cesarzowa. Żongler. Wieża. Wisielec... Stop, ani kroku dalej!

W miarę jak włókł się ów długi, nudny dzień, rojenia stopniowo uzyskiwały jednoznaczne zabarwienie. Pistolet. Nóż. Potłuczone szkło. Gwóźdź. Tężec.

Po ostatnich zajęciach wrócił do gabinetu, gdzie najpierw siedział w odrętwieniu, a potem zakrzętał się przy drobnych pracach, zapominając czasem, co robi. W głowie nadal coś mu się roilo.

Wojna. Okaleczone ciała. Pobojowisko. Mord. Sznur. Szubienica (od tego z dala!). Gaz. Pistolet. Trucizna. Wszystko zabarwione krwią i fizyczną męką.

I silniej niż kiedykolwiek odczuwał powolny oddech potwora na dnie umysłu, śniącego koszmarnie sny o zabijaniu; sny wkrótce się rozwieją, a wtedy potwór wylezie z błota. A on – za słaby, żeby stawić mu czoło. Zupełnie jakby zaskorupiałe z wierzchu mokradło, pęczniące pod naporem wód, unosiło pozornie bezpieczny grunt cal po calu, niepostrzeżenie, coraz bliższe wystrzeleniu olbrzymich mas błota.

Wychodząc do domu, napotkał pana Carra.

– Dobry wieczór, Norman – przywitał się starszy jegomość. Uniósł swój szeroki kapelus, żeby wytrzeć czoło, które w tym momencie zlało się z pokaźnym obszarem łusiny.

– Dobry wieczór, Linthicum – odpowiedział, zastanawiając się równocześnie, czy jeśli człowiek wyhoduje sobie długi paznokieć, a potem umiejętnie go zaostry, będzie mógł podciąć sobie żyły i wykrwawić się na śmierć.

Carr obtarł brodę chusteczką.

– Świetnie mi się grało w brydża – rzekł. – Może byśmy w czwórkę rozegrali partyjkę? W czwartek, kiedy kobiety będą mieć spotkanie na uczelni? Moglibyśmy jako partnerzy stosować konwencje szlemowe Culbertsona – dodał tęsknym głosem. – Bokiem mi wychodzi ten cały Blackwood.

Norman kiwał głową, w tym czasie jednak rozmyślał o ludziach, którzy w razie konieczności połykają język, żeby się udusić. Próbował się opanować. Nie powinien się zadrećzać takimi wizjami, przecież nie był więźniem obozu koncentracyjnego. Przed oczami wyświetlały mu się coraz to nowe obrazy śmierci. Czuł, że bestia zakopana głęboko w jego myślach porusza się natarczywie, wręcz nie do zniesienia.

Carr skinął głową z zadowoloną miną i skręcił. Norman przyspieszył kroku, jakby trujące ściany się zwężyły. Mityczny heros, jeśli zaraz nie znajdzie wyjścia, będzie musiał się rozpaczliwie przeciskać.

Kątem oka zauważył studentkę. Patrzyła zaskoczona na niego lub coś, co znajdowało się za jego plecami. Minał ją bez słowa.

Na głównej ulicy złapały go w sidła światła sygnalizacji. Zatrzymał się przy krawężniku. Z dużą prędkością parła z hukiem w stronę skrzyżowania czerwona ciężarówka. I wiedział już, co się zdarzy i że nie będzie w stanie temu przeciwdziałać. Poczeka na ciężarówkę, aż ta podjedzie bliżej i rzuci się pod koła. I koniec pieśni.

Oto co oznaczał piąty rysunek, niestandardowe dopełnienie tarota.

Cesarzowa, żongler... Ciężarówka tuż-tuż. Wieża... Światła się zmieniają, lecz pojazd nie zwalnia. Wisielec...

Już się pochylał do przodu, już napinał mięśnie nóg, gdy naraz odezwał się ów głos z jego snów – beznamiętny, monotonny, a zarazem diabolicznie dowcipny: Jeszcze nie teraz, przynajmniej za dwa tygodnie.

Odzyskał równowagę ducha. Obok przetoczyła się grzmiąca ciężarówka. Obejrzał się, popatrzył w górę, potoczył wzrokiem wkoło. W pobliżu nikogo nie było oprócz

czarnoskórego chłopczyka i starszego mężczyzny w wyświechtanym ubraniu, z torbą z zakupami. Ciarki mu przeszły po grzbiecie.

No jasne, omamy. Głos rozległ się w jego wyobraźni. Tak czy owak, przechodząc przez jezdnię, rozglądał się uważnie, próbował dojrzeć w powietrzu ślad niewidzialnej istoty. Ledwo wszedł do mieszkania, nalał sobie porządnego drinka. Co dziwne, Tansy wystawiła na stół whisky i wodę sodową. Wymieszał i wypił jednym haustem. Wymieszał po raz drugi, upił łyk i z podejrzliwością przyjrzał się szklance.

W tym momencie na podjeździe zatrzymało się auto i zaraz do mieszkania weszła Tansy z paczką. Lekko zaróżowioną twarz opromieniał uśmiech. Z westchnieniem ulgi położyła pakunek i odgarnęła z czoła kosmyki czarnych włosów.

– Brr, pogoda pod psem. Pomyślałam sobie, że chętnie napijesz się drinka. O, widzę, że mogę się poczęstować. – Kiedy odstawiła szklanę, był w niej tylko lód. – No to jesteśmy braćmi z jednej krwi, czy jak się to mówi. Nalej sobie jeszcze raz.

– To już był mój drugi – powiedział.

– Jejku, a myślałam, że będziesz pokrzywdzony. – Usiadła na kraju stołu i pogroziła mu palcem. – Słuchaj no, mój panie, musisz wreszcie odpocząć. Albo się rozerwać. Nie wiem, czego ci bardziej trzeba, pewnie tego i tego. Mam plan. Zrobię kanapki na kolację, a potem, gdy się ściemni, wsiądziemy do oscara i pojedziemy na wzgórze. Nie robiliśmy tego od lat. To jak będzie, mój panie?

Wahał się. Nie tylko drink sprawił, że kręciło mu się w głowie. Był rozdarty między wspomnienia niedawnych halucynacji, niespodziewanie wzmocnionych niepokojącymi odruchami samobójczymi, a... sam nie wiedział co. Pewnie też dał się oczarować wesołością Tansy.

Uszczypnęła go w nos.

– Co ty na to?

– Może być.

– Ejże, przynajmniej udałbyś ciekawość! – Zsunęła się ze stołu, ruszyła do kuchni i rzuciła przez ramię zagadkowo: – Jeszcze cię zaciekawię.

Była prowokująco śliczna. Nie dostrzegał różnicy pomiędzy nią a tamtą dziewczyną sprzed piętnastu lat. Miał wrażenie, że po raz setny widzi ją pierwszy raz.

W końcu poczuł się częściowo uspokojony, przynajmniej miał lżejszy temat do przemyśleń. Kiedy jednak rozsiadł się w fotelu, jakiś kanciasty przedmiot ukłuł go w nogę. Prędko wstał, włożył rękę do kieszeni i wyciągnął pistolet Theodorea Jenningsa. Wlepił w niego przestraszony wzrok; nie przypominał sobie, żeby zabierał go z szuflady w biurku. Zerknąwszy w stronę kuchni, podbiegł do szafy, otworzył dolną szufladkę i schował broń pod ścierkami.

Kiedy zjawily się kanapki, czytał wieczorne wydanie gazety. Na piątej stronie u dołu opisywano lokalne ciekawostki.

*Warto się trochę nabiedzić, żeby zrobić komuś dobrego psikusa. W każdym razie tak sądzi na razie niezidentyfikowana grupa studentów Hempnella. Ciekawe, co o tym sądzi profesor Norman Saylor, który nad ranem zobaczył za oknem kamiennego gargulca o wadze bitych trzystu funtów, stojącego na środku trawnika. Do tej pory znajdował się na dachu jednego z uczelnianych budynków. Jak studenci zdołali go oderwać, ściągnąć na dół, a następnie przetransportować pod dom profesora Saylor, wciąż pozostaje tajemnicą.*

*Rektor Randolph Pollard, pytany o dowcipnisiów, powiedział: „Widocznie po zajęciach wychowania fizycznego nasi chłopcy posiadają niewyczerpane zapasy energii”.*

*Rektor wyjeżdżał właśnie na odczyt w siedzibie Lions' Club. Temat odczytu: „Wspaniały Hempnell. Uczelnia i miasto”. (Szczegóły odczytu czyt. str. 1).*

Tego się należało spodziewać. Jak zwykle, nieścisłości. Przede wszystkim nie gargulec; gargulce są ozdobnymi zakończeniami rynien. I żadnej wzmianki o piorunie. Prawdopodobnie reporter specjalnie pominął to i owo, żeby nie burzyć typowej kompozycji swojej w zamierzeniu nietypowej wiadomości. Gazety powinny uwielbiać niezwykle wydarzenia, lecz – na Boga! – czasem nie umiały się poznać na najdziwniejszym zbiegu okoliczności.

Na dodatek stara jak świat sztuczka z kryptoreklamą wydziału kultury fizycznej. Fakt faktem, speccom od promocji w Hempnellu brakowało wyrafinowania, lecz działali skutecznie.

Tansy wyrwała mu gazetę.

– Świat może poczekać – powiedziała. – Masz, zjedz choć jedną kanapkę.

# 11

Wyruszyli w drogę po zmierzchu. Norman nie szarżował za kierownicą, zachowywał ostrożność na skrzyżowaniach. Nie udzielała mu się wesołość żony, dzięki niej izolował się jednak od niespokojnych myśli.

Uśmiechała się tajemniczo. Ubrana w białą sportową sukienkę, nie różniła się bardzo od jego studentów.

– A jeśli jestem czarownicą – spytała – i zabieram cię na górę, gdzie odbędzie się nasz prywatny sabat?

Wzdrygnął się, ale zaraz się zreflektował, że to tylko dość śmiały żart na temat tego, czym się niegdyś zajmowała. Za nic w świecie nie powinien pozwolić, by wysondowała, co naprawdę siedzi w jego głowie. Martwił się swoją kondycją psychiczną, lecz nie chciał przysparzać jej trosk.

Z tyłu gasły światła zabudowań. Pół mili za miastem skręcił w drogę, która wiła się wokół wzgórza. Była bardziej wyboista niż ostatnim razem. Kiedy to było, dziesięć lat temu? Drzewa rosły gęstszym szpalerem, smagały szybę gałęziami.

Kiedy wynurzyli się u szczytu na rozległej polanie, wschodził czerwony księżyc, dwa dni po pełni.

Tansy wskazała go palcem.

– Zobacz, idealnie wyliczyłam czas. Ale gdzie reszta? Tutaj zawsze stały dwa lub trzy auta. A tu taka wspaniała noc!

Zatrzymał samochód na skraju polany.

– Każda moda przemija, dziś zakochani gdzie indziej jeżdżą na wycieczki. Stosujemy się do zwyczaju, który popadł w zapomnienie.

– Zawsze wyjdzie z ciebie socjolog!

– Trudno. Może pani Carr namierzyła to miejsce? Obecnie studenci wybierają się dalej w teren.

Wsparała mu głowę na ramieniu. Zgasił światła. W poświacie księżycy ścieliły się niewyraźne cienie.

– Przypominają mi się stare czasy w Gorham – szepnęła. – Kiedy chodziłam na twoje

zajęcia, a ty byłeś poważnym, młodym nauczycielem. Póki nie odkryłam, że nie różnisz się od chłopaków z uczelni, a nawet jesteś od nich lepszy. Pamiętasz?

Pokiwał głową i ujął jej dłoń. Patrząc z wysoka na miasto, odszukał wzrokiem kampus oświetlony snopami reflektorów, którymi wyganiano zakochane pary z ciemnych zakątków. Reflektory podkreślały gotyckość budowli, niejako symbolizującą świat bezsensownych intelektualnych rywalizacji i ślepego tradycjonalizmu – świat, w którym dziś czuł się kompletnie wyalienowany.

– Zastanawiam się, czy nie dlatego nas tak nienawidzą – wyrwało mu się.

– O czym ty znowu mówisz? – zapytała dziwnie spokojnym tonem.

– Mam na myśli wydział, no, przynajmniej część wydziału. Czy dlatego, że możemy robić takie rzeczy?

Roześmiała się.

– Widzę, że się wreszcie przebudziłeś. Chociaż nie robimy tego aż tak często, jak ci się wydaje.

– W tym świecie zawiść i rywalizacja szerzą się jak zaraza – ciągnął temat. – A rywalizacja w obrębie instytucji jest szczególnie nieznośna, bo odbywa się w zamkniętej przestrzeni, no nie?

– Od lat jakoś z tym żyję – odparła wężłowato.

– Oczywiście, to w sumie błahostka. Chociaż błahostki często przesłaniają rzeczy wielkie. Lepiej pasują do ciasnego ludzkiego umysłu.

Spoglądając na uczelnię, uzmysławiał sobie ogrom zawiści i złej woli, która się w nim gromadziła. Mrowie przeszło mu po skórze. Miał świadomość, dokąd zajdzie tym torem rozumowania. Ciemne myśli dochodziły do głosu...

– Hej, filozofie! – zawołała Tansy. – Pociągnij sobie.

Podawała mu srebrzystą piersiówkę. Od razu ją rozpoznał.

– W życiu bym nie pomyślał, że tak długo ją trzymasz.

– A co? Pamiętasz, jak po raz pierwszy dałam ci się napić? Byłeś w lekkim szoku.

– Napiłem się.

– No więc napij się i teraz.

Smakowało jak ostre, ogniste przyprawy. Towarzyszyły temu wspomnienia tamtych zwariowanych czasów prohibicji, czasów Gorham i Nowej Anglii.

– Wódka?

– Grecka. Zostaw trochę dla mnie.

Wspomnienia nałożyły się na ciemniejszą stronę w jego umyśle, przytłoczyły ją swoim ciężarem. Patrzył na jedwabiste włosy Tansy i jej oczy błyszczące w blasku księżyca. Pewnie, że jest czarownicą, pomyślał spokojnie. Lilith. Isztar. Sam ją tak nazywał.

– Pamiętasz jeszcze – spytał – jak zsuwaliśmy się po skarpie w Gorham, żeby nas nie złapał nocny stróż? Gdyby nas przydybał, byłby nie lada skandal.



– A pamiętasz czasy, jak...?

Księżyc pokonał godzinną drogę, nim zjechali ze wzgórza. Prowadził powoli. Nie zamierzał powielać wyglupów z epoki prohibicji. Wyprzedziła go z warkotem ciężarówka. „Jeszcze dwa tygodnie”. Do kroćset! Kim był, żeby słyszeć głosy?! Joanną dArc?

Śmiechu warte. Miał ochotę opowiedzieć Tansy o zabawnych rzeczach, które sobie wyobrażał ostatnimi dniami, żeby mogli się razem pośmiać. Powstałaby z tego kapitalna historia o duchach. Nie mówił jej dotąd nic z jakiegoś konkretnego powodu, lecz ten powód zdawał się teraz mało ważny, zakorzeniony w jego pochrzanionym życiu przewrażliwionego profesorka – życiu, od którego powinni uciekać częściej. Zresztą, co to za życie, skoro zawsze trzeba pamiętać, żeby pominąć milczeniem to, tamto i owamto, bo ktoś może poczuć się dotknięty...

A zatem niezwłocznie po wejściu do salonu, kiedy Tansy walnęła się na sofę, zagaił:

– Wiesz, jeśli chodzi o to całe czarowanie... chciałem ci powiedzieć, że...

Aż raptem, zupełnie nieprzewidzianie, poraziła go nieznana siła, rzeczywista bądź urojona. Chwilę później siedział już w fotelu całkowicie trzeźwy. Zewnętrzny świat napierał na zmysły jak lodowiec, wewnętrzny – był wirującą kulą obcych myśli. Przyszłość była wąskim korytarzem długości dwóch tygodni.

Wydawało się, że bezceremonialnie zacisnęła mu usta czyjaś wielka, łuskowata łapa, a druga taka sama chwyciła go za ramię, potrząsnęła nim i pchnęła go na skórzany fotel.

Wydawało mu się? Rozejrzył się niespokojnie.

Może i były jakieś ręce.

Tansy ewidentnie niczego nie zauważyła. Jej twarz jawiła się białą tarczą w pomroce. Nadal nuciła fragment piosenki. Nie prosiła, by dokończył zdanie.

Wstał, przeszedł chwiejnie do jadalni i wziął sobie z kredensu coś do picia. Po drodze włączył światło.

A więc nawet gdyby chciał, nie wolno mu było o niczym mówić Tansy? Dlatego człowiek nigdy nie słyszy doniesień ofiar prawdziwych czarownic, rzekł sobie w duchu, gdy na moment myśli wyrwały się spod kontroli. I dlatego ofiary nie potrafią się uwolnić, mimo że uwolnić się można na pozór łatwo. Przyczyną bynajmniej nie jest brak silnej woli. Są obserwowane. Niczym gangster zabierany z ekskluzywnego klubu na przejażdżkę. Musi przeprosić hałaśliwą zgraję przy stoliku, śmiać się na całe gardło, zamienić parę słów z koleżkami i puszczać oko ślicznym dziewczętom, ponieważ zaraz za plecami ma egzekutorów w białych szalikach, trzymających ręce w kieszeniach markowych płaszczy z aksamitnymi kołnierzykami. Po co od razu ginąć? Póki toczy się gra, są szanse.

Wszystko to pasowało do filmu, do dreszczowca.

Podobnie jak łuskowate łapy...

Pokiwał głową do swego odbicia w szybie nad szafką.

– Oto profesor Saylor – powiedział – znany etnolog, który bezkrytycznie wierzy w czary.

Twarz na szybie była nie tyle zgorszona, co przerażona.

Zrobił dwa drinki i wrócił do Tansy.

– Wypijmy za szaleństwa – zaproponowała. – Wyobraź sobie, że nie wstawiłeś się tak od Bożego Narodzenia.

Wyszczrzył zęby. Otóż to, filmowy oprych na pewno się napije, żeby cieszyć się chwilą zapomnienia, gdy drugi zbir wyceluje pistolet. Wcale niegłupi pomysł.

Powracał nastrój wzgórza, choć wolno i początkowo z silną nutą melancholii. Rozmawiali, puszczały dawne płyty, opowiadali sobie kawały tak stare, że znów mogły uchodzić za nowe. Tansy uderzyła w klawisze fortepianu i zaczęli śpiewać co popadło: piosenki, śpiewki ludowe, hymny państwowe, hymny robotników i rewolucjonistów, bluesa, Brahmsa, Schuberta. Zrazu niepewnym głosem, potem *już* gromkim.

Wspominali i wciąż pili.

Bez przerwy jednak obce myśli krążyły mu w głowie niby w błyszczącej kryształowej kuli. Alkohol pozwalał je lekceważyć bez okazywania odrazy w imię zdrowego rozsądku. Z determinacją zalanego w sztok pijusa przeczesywał świat w poszukiwaniu dowodów na istnienie czarów. Czy, przykładowo, tendencje samobójcze nie wynikają z działania magii? Te wszechobecne odruchy, stojące w jawnej sprzeczności z instynktem samozachowawczym? Szukając wyjaśnienia, Poe posługiwał się pomysłowym konceptem „ducha przekory”, a psychoanalicy wysunęli mnóstwo hipotez na temat „życzenia śmierci”. Ileż prościej przypisać go działaniu złych mocy przychodzących z zewnątrz, działających na zasadach jeszcze niepoznanych, a więc sklasyfikowanych jako nadprzyrodzone.

Jego przygody z ostatnich dwóch dni dało się podzielić na dwie grupy. Do pierwszej należały zwykle nieszczęśliwe przypadki i zatargi z ludźmi, przed czym chroniła go uprzednio magia żony. Prawdopodobnie w tej grupie mieścił się także zamach na jego życie ze strony Theodora Jenningsa. Niewykluczone, że Jennings był psychopatą. Przeprowadziłby próbę morderstwa już wcześniej, gdyby nie hamowały go zaklęcia Tansy. Zaledwie opadła magiczna tarcza, zaledwie spalił ostatni amulet, pomysł wystrzelił nagle w umyśle Jenningsa niczym kwiat w szklarni. Sam przyznał: „Myślałem i nagle mnie oświeciło”.

Zarzuty wysuwane przez Margaret van Nice, nagłe zainteresowanie Thompsona jego prywatnymi sprawami i przypadkowe odnalezienie przez Sawtellea pracy doktorskiej Cunninghama podpadały chyba pod tę samą kategorię.

W drugiej grupie było miejsce na skierowane przeciwko niemu złe i potężne zaklęcia.

– O czym tyle dumasz? – odezwała się Tansy, spoglądając znad brzegu szklanki.

– Wspominam przyjęcie w Boże Narodzenie – odpowiedział bez zająknięcia, choć trochę niewyraźnym głosem. – Welby udawał bernardyna: łąził na czworakach przykryty niedźwiedzią skórą, z butelką whisky pod szyją. Zastanawiałem się, czemu największy ubaw mamy z żartów, które później wydają się banalne. Ale wolę zachowywać się banalnie niż

przywoicie. – Rozpierała go dziecięca duma z tego, że tak się sprytnie wykręcił od niewygodnego pytania. Widział w żonie prawdziwą czarownicę, choć przy tym nie wykluczał, że jest kobietą z zaburzeniami psychiki, której należy za wszelką cenę oszczędzić niebezpiecznych sugestii. Alkohol sprawił, że jego umysł podzielił się na dwie części, działające niezależnie od siebie.

Wszystko mu się przytrafiało zniecka i gwałtownie. Świadomość doświadczała zaćmienia, lecz w przerwach umysł harował na zwiększonych obrotach.

Słyszał jęki: „Szpital św. Jamesa”.

I rozmyślał: Czemuż kobiety nie miałyby być wiedźmami? To one kierują się przecuciami, są ostoją tradycjonalizmu i irracjonalizmu. Wiadomo, że wierzą w przesady. I podobnie jak Tansy, w większości nawet nie wiedzą, czy ich magia rzeczywiście skutkuje.

Odsunęli dywan i zaczęli tańczyć, słuchając „Chloe”. Nie wiedzieć kiedy Tansy ubrała różowy szlafrok.

Do drugiej grupy, ciągnął swoje rozważania, należałoby zaliczyć smoka z dachu. Ożywionego za pomocą duszy ludzkiej lub nieludzkiej, którą wyczarowała pani Gunnison i której rozkazywała za pośrednictwem fotografii. I był jeszcze obsydianowy nóż, posłuszny wiatr i ta namolna ciężarówka.

Wystukiwał rytm pięścią, kiedy słuchali „Bolera” Ravela.

I myślał: Biznesmeni kupują akcje po zasięgnięciu rady u wróżbity, numerolodzy kreują kariery gwiazd ekranu, pół świata traktuje poważnie opinie astrologów, reklamodawcy odwołują się do magii i cudów. Większość sztuki nowoczesnej i cały surrealizm to nic innego jak szukanie natchnienia w magii, zapożyczanie form od plemiennych czarowników, a pomysłów od współczesnych teozofów.

Obserwował Tansy, gdy śpiewała „St. Louis Blues” ochrypłym, drżącym głosem. Istotnie, co zawsze podkreślał Welby, miała autentyczny talent aktorski. Byłaby z niej niezła piosenkarka kabaretowa.

I dalej myślał: Tansy powstrzymała smoka z dachu za pomocą supełków, ale kto wie, czy następnym razem nie dostanie po łapach, gdyż pani Gunnison miała jej zeszyt z formułami i mogła obmyślić sposób na ominięcie przeszkody.

Pili drinki. Alkohol piekłby go w gardle, gdyby nie było takie odrętwiałe. Chyba pił o wiele więcej niż ona.

I myślał: Rysunek człowieka i ciężarówka jest ogniwem łączącym szereg zaklęć. Wszak karty u zarania swych dziejów były narzędziem magii, tak samo jak sztuka. Zaklęcia mają mnie doprowadzić do zguby. Czuringa pełni funkcję wzmacniacza. Czająca się za mną niewidzialna postać, odzywająca się spokojnym, beznamiętnym głosem, jest moim nadzorcą; baczy, czy nie schodzę z wyznaczonej drogi. Wąski korytarz. Jeszcze dwa tygodnie.

Co dziwniejsze, te myśli nie były znowu takie nieprzyjemne. Zawierały w sobie mroczne, dzikie i trujące piękno, urokliwy błysk śmierci. Rozbudzały fascynację tym, co niemożliwe,

co przechodzi ludzkie pojęcie. Kusiły fragmentami niewyobrażalnych obrazów. Nawet jeśli zaprowadzały terror, przyprawiały o dreszcz swą pociągającą urodą. Były niczym wizje po zażyciu zakazanych narkotyków. Zniewalały piętnem nieznanego grzechu i ostatecznego bluźnierstwa. Norman już wiedział, jaka siła zmusza adeptów czarnej magii do pogodzenia się z ryzykiem.

Poczuł się bezpieczny w swoim pijaństwie. Rozbijało umysł na cząstki składowe – cząstki odporne na strach, bo nic ich nie mogło zranić. Podobnie jak atomów nie niszczy kula, od której ginie człowiek.

Tyle że teraz cząstki krążyły chaotycznie, gasła w nim świadomość.

Tkwiał w objęciach Tansy.

– Wszystko, co moje, należy do ciebie? – pytała z łagodną perswazją. – Wszystko, co twoje, należy do mnie?

To pytanie wzbudziło w nim pewne podejrzenia, lecz nie umiał ich skonkretyzować. Coś mu mówiło, że w tych słowach zastawiona jest pułapka. Ale jaka pułapka? Rozum mu się zaćmiewał.

Wypowiadała słowa jakby żywcem wzięte z Biblii:

– Piję z twego kielicha, jako ty pijesz z mego...

Twarz miała rozmytą, oczy były przymglonymi diamentami.

– Wszystko, co masz, należy do mnie? Dajesz mi to bez zastrzeżeń, z własnej nieprzymuszonej woli?

Niechybnie pułapka...

Głos jednak wciąż nalegał, była w nim nieodparta pieszczota.

– Wszystko, co twoje, należy do mnie? Starczy raz powiedzieć, Norman, jeden raz. Zrób to dla mnie.

Oczywiście, że ją kochał. Bardziej niż wszystkie skarby świata. Przybliżył do siebie niewyraźną twarz, próbował ucałować zamglone oczy.

– Tak... tak... Wszystko... – usłyszał swój głos.

W tym momencie jego umysł zachwiał się i runął w bezdenną otchłań mroku, ciszy i uspokojenia.

## 12

Promienie słońca malowały jasne, kremowe wzory na zaciągniętych żaluzjach. Niektóre promyki przedzierały się do sypialni niczym płyn jarzący się zimnym blaskiem. Zza okna dolatywał gwarliwy świergot ptactwa. Norman zamknął oczy i przeciągnął się z przyjemnym rozleniwieniem.

Powinien już wziąć się za artykuł dla „American Anthropologist”, poza tym została mu do naniesienia garstka poprawek w *Podręczniku do etnologii*. Miał sporo czasu, ale wolał nie odkładać tego na ostatnią godzinę. I czekała go poważna rozmowa z Bronsteinem na temat jego pracy magisterskiej. Chłopak miał dobre pomysły, ale brakowało mu płaszczyzny odniesienia. I jeszcze ten odczyt dla młodych matek spoza miasteczka studenckiego. Czemu by im nie przekazać paru użytecznych wskazówek?

Nie otwierając oczu, cieszył się rym najprzyjemniejszym uczuciem, kiedy człowiek ma przed sobą pracę, którą lubi wykonywać, jeśli zaś ją wykonuje, to z doskonałym rezultatem... a z drugiej strony ta praca może chwilę poczekać.

Albowiem tego wspaniałego dnia nie mógłby przegapić golfa. Chętnie też sprawdzi, co u Gunnisona. I zaplanuje mały wypad w plener; przecież nigdzie jeszcze nie był z Tansy tej wiosny. Należało to omówić przy śniadaniu. Sobotnie śniadanie jest nie byle jakim wydarzeniem, zapewne już coś szykowała. Pomyślał, że prysznic zaostrzy mu apetyt. Pewnie był późny ranek.

Otworzył oko i skierował spojrzenie na zegar. Dwadzieścia pięć po dwunastej??? Rany, o której się kładł spać? Co robił przed zaśnięciem?

Wspomnienia z ostatnich kilku dni wyrwały się jak sprężyna, aż serce mu załomotało. Jednakże tym razem przyjął je inaczej. Od samego początku wydawały się nierealne i niewiarygodne. Miał wrażenie, że czyta szczegółową historię choroby nieznanego pacjenta, który wyrobił sobie niezdrowy pogląd na czary, samobójstwo, znęcanie się i co tam jeszcze. Wspomnienia te kłóciły się z jego obecnym stanem błogiego odprężenia. I-o dziwo! – w żaden sposób nie burzyły tego stanu.

Z zapalem szukał w sobie śladów zabobonnego lęku, potwornych odruchów samobójczych czy wrażenia, że ktoś go obserwuje i pilnuje. Nie dopatrzył się nawet

najdrobniejszych resztek tego typu uczuć. Skądkolwiek się wzięły, należały już do przeszłości, gdzie mógł je osiągnąć wyłącznie dociekliwy umysł. Sfery obcych myśli! Co za dziwaczne skojarzenie. A jednak, w pewien sposób, wszystko to się wydarzyło. Coś się wydarzyło...

Bezwiednie poczłapał pod prysznic. Kiedy się mydlił i polewał strugami ciepłej wody, przyszło mu na myśl, że powinien się skonsultować z Holstromem z wydziału psychologii lub jakimś doświadczonym psychiatrą. Napięcia psychiczne, które dopadały go w ostatnim czasie, wystarczyłyby do napisania traktatu! Skoro jednak czuł się dzisiaj tak dobrze, trudno mu było dopuścić do siebie myśl, że cierpi na jakieś poważne zaburzenia. No cóż, po prostu przytrafiło mu się dziwne, niewytłumaczalne zachwianie wiary w zdrowy rozsądek, które dotyka najtrzeźwiej myślących ludzi, może właśnie dlatego, że tak bardzo starają się trzeźwo myśleć. Jakby następowało wyładowanie długo duszonych lęków. Szkoda tylko, że zmartwił Tansy, mimo że to jej chorobliwa fascynacja magią, na szczęście już przewyciężona, zapoczątkowała reakcję. Biedactwo, tak się wczoraj starała dodać mu otuchy. Powinno być na odwrót. Ale jakoś jej to wynagrodzi.

Golił się spokojnie, w dobrym humorze. Żyłka była grzeczniutka.

Kiedy się ubrał, coś go tknęło. Znów przekopywał pamięć, zamykając oczy jak człowiek, który wsłuchuje się w niesłyszalne dźwięki. I nic. Ani śladu chorobliwych lęków.

Wchodząc do kuchni, pogwizdywał wesoło. A tu brak śniadania! Przy zlewie kisiły się nieumyte szklanki, puste butelki i tacka na lód wypełniona letnią wodą.

– Tansy! – krzyknął. – Hej, Tansy!

Obchodził dom, podejrzewając, że urwał jej się film, nim poszła do łóżka. Przecież chlali jak świnie. Wyszedł do garażu i przekonał się, że samochód tam stoi. Może wyskoczyła do sklepu, bo brakło jej czegoś do kanapek? Przyspieszył kroku.

Gdy tym razem zajrzał do gabinetu, zauważył przewrócony kałamarz, a na skraju wielkiej schnącej plamy kartkę papieru. Mało brakowało, a wiadomość utonąłaby w atramencie.

Znać było, że pisano w pośpiechu. Dwa razy pióro przebiło papier, ostatnie zdanie urywało się w połowie. Nieomylnie rozpoznał charakter pisma żony.

*Chwilowo mnie nie obserwuje. Nie przypuszczałam, że będę za słaba. Nie dwa tygodnie, ale dwa dni! Nie próbuj mnie szukać. Nadzieja w tym, że zrobisz dokładnie to, co ci powiem. Weź cztery białe, długie na cztery cale...*

Wodził wzrokiem za atramentową smugą, wychodzącą z czarnej plamy, a zakończoną niewyraźnym odbiciem dłoni. Mimowolnie odtworzył całą scenę. Tansy pisze gorączkowo, zerkając ukradkiem przez ramię. Nagle „to” uświadamia sobie, co się dzieje, i brutalnie wytrąca jej pióro z ręki, a potem nią szarpie. Z grymasem na twarzy przypominał sobie uścisk łuskowatych łap. A później... później Tansy zbiera rzeczy. Na paluszkach, mimo że jego nie

da się obudzić. Wychodzi z domu i idzie ulicą. Jeśli spotyka znajomego, rozmawia z nim wesoło, śmieje się, ponieważ „to” jest tuż za nią, czeka na jeden fałszywy gest, na pierwszą próbę ucieczki.

I tak odeszła.

Najchętniej wybiegłby na ulicę i wołał ją po imieniu. Jednak atrament zdążył częściowo wyschnąć, przeobrazić się w czarne, błyszczące płatki. Upłynęły godziny, odkąd go rozlano.

Dokąd poszła w nocy? Dokądkolwiek. Ku miejscu, gdzie kończył się jej wąski korytarz, długi na dwa dni, nie na dwa tygodnie.

Aż w okamgnieniu doznał olśnienia. Gdyby w nocy tyle nie pił, dawno by się domyślił. Jeden z najstarszych i najbardziej rozpowszechnionych na świecie rodzajów magii. Przeniesienie zła. Niczym szaman, który zaklęciami przerzuca chorobę na kamień, wroga lub siebie, gdy jest przygotowany, by z nią walczyć, tak samo Tansy przejęła jego kłatwę. Razem pili, razem jedli. Na tysiąc sposobów zbliżała ich do siebie. Jakże to oczywiste! Usiłował odgrzebać w pamięci jej ostatnie słowa. „Wszystko, co masz, należy do mnie?”.

Miała na myśli ciężące na nim widmo zagłady. Odpowiedział: „Tak”.

Zaraz, zaraz! Co to, u licha, za brednie?! Lęgåo mu się we łbie dokładnie to samo diabelstwo, w którym paprał się ostatnimi dniami, a przecież sytuacja naprawdę stała się poważna. O nie, nie było w tym nic nadprzyrodzonego, nie istniało żadne „to”, żaden nadzorca, jedynie zszargane nerwy. Pewien mógł być tylko tego, że wygadywał bzdury. Na siłę karmił ją wytworami chorej wyobraźni. Niewątpliwie bełkotał po pijaku, opowiadał o swoich dziecięcych wyobrażeniach. Z natury łatwowierna (wszak wierzyła w czary), chłonegå jego słowa, aż przyszło jej do głowy wziąć na siebie jego kłatwę. Doszła też do przekonania, że faktycznie nastąpiło przeniesienie. Potem odeszła. Dokąd? Bóg raczy wiedzieć.

Koszmar!

Ponownie obejrzał nabazgraną wiadomość. Czymże są, do cholery, „białe, długie na cztery cale”?

Rozbrzmiał krótki dzwonek u drzwi. Po chwili wyciągnął list ze skrzynki i rozdarł kopertę. Adres napisany miękkim ołówkiem rozmazał się, lecz charakter pisma dało się rozpoznać.

Gryzmoły były tak nierówne, że miał trudności z czytaniem. Zaczynało się w pół zdania i tak też kończyło:

*... sznurki. Ponadto kawałek nici z jelita, kawałek platyny lub irydu, kawałek magnetytu oraz igłę gramofonową, która odgrywała tylko „IX Sonatę” Skriabina. Potem zawiąż...*

– Sznurki! – Jakżeby inaczej.

Otóż to! Dalszy ciąg poprzedniej wiadomości, lista składników formuły. Czyżby

naprawdę była przekonana, że śledzi ją jakiś nadzorca i że może się komunikować jedynie w tych rzadkich chwilach, kiedy – jak jej się zdawało – kierował uwagę w inną stronę? Znał odpowiedź. Człowiek ogarnięty obsesją jest w stanie wmówić sobie wszystko.

Spojrzał na stempel pocztowy. Widniała na nim nazwa miasta położonego kilka mil na wschód od Hempnell. Nie mieli tam absolutnie żadnych znajomych, nic ich nie łączyło z tym miastem. W pierwszej chwili chciał wpakować się do auta i ruszyć w pogoń. Tylko co zrobi na miejscu?

Rozdzwonił się telefon.

– To ty, Norman? – odezwała się Evelyn Sawtelle. – Zastałam Tansy? Chcę z nią porozmawiać.

– Niestety, nie ma jej w domu.

Chyba jej to specjalnie nie zdziwiło. Od razu pytała dalej:

– A gdzie jest? Muszę się z nią skontaktować.

Pogłótkował.

– Pojechała na wieś w odwiedziny do naszych znajomych – odparł. – Coś przekazać?

– Nie, chcę z nią porozmawiać. Dasz mi numer do znajomych?

– Nie mają telefonu! – odpowiedział ze złością.

– Nie? W takim razie sprawa może poczekać. – Wydawała się zadowolona, jakby cieszyła się z jego zdenerwowania.

– Zadzwoń później, teraz muszę lecieć. Hervey rzucił się w wir nowych obowiązków. Do widzenia.

Odłożył słuchawkę. Z jakiej paki, do diaska...? I nagle znalazł wyjaśnienie. Zapewne widziano Tansy, gdy wyjeżdżała z miasta. Evelyn zwietrzyła skandal i chciała się czegoś dowiedzieć. Może Tansy dźwigała walizkę.

Zajrzał do garderoby. Rzeczywiście, brakowało walizki. Szufladki były niedomknięte, jakby pakowała się w pośpiechu. A pieniądze? Sprawdził portfel. Pusto. Zniknęło ponad czterdzieści dolarów.

Za czterdzieści dolców można daleko zajechać. Bazgranina świadczyła o tym, że wiadomość pisano w pociągu lub autobusie.

Następne godziny były dla niego szczególnie przygnębiające. Czytając rozkłady jazdy, dowiedział się, że przez miasto, z którego wysłano list, przejeżdża wiele pociągów i autobusów. Udał się na jeden i drugi dworzec, gdzie przeprowadził dyskretne śledztwo, ale bez rezultatu.

Chętnie wykonałby wszystkie czynności, zalecane w przypadku zaginięcia osoby, lecz wolał się wstrzymać. Co powie? Proszę pana, zaginęła moja żona. Cierpi na urojenia, polegające na... I co będzie, jeśli w obecnym stanie psychicznym, nim do niej dotrze, zostanie odnaleziona i przesłuchana?

O nie, musiał wziąć sprawy w swoje ręce. Jeżeli jednak szybko nie natrafi na ślad, nie



będzie miał wyboru. Uda się na policję i wciśnie jakąś bajeczkę, żeby ukryć prawdę.

Pisała o dwóch dniach. Jeśli wierzyła, że jest skazana na rychłą śmierć, to chyba taki powód byłby wystarczający?

Wieczorem wrócił do domu, broniąc się przed złudną nadzieją, że jednak zjawiała się pod jego nieobecność. Akurat do jego samochodu zbliżał się kurier pocztowy. Norman podjechał bliżej.

– Coś na nazwisko Saylor? – spytał.

– Tak, proszę pana. Już w skrzynce.

Wiadomość, najdłuższa z dotychczasowych, była równie trudna do odcyfrowania.

*Nareszcie ma odwróconą uwagę. Kiedy panuję nad emocjami, nie od razu czyta w moich myślach. Tak czy inaczej, trudno mi było wysłać tamten list. Norman, zrób dokładnie to, o co cię proszę. Drugi dzień kończy się w niedzielę o północy. Potem zatoka. Musisz się trzymać instrukcji. Zwiąż cztery sznurki w węzeł prosty, babski, płaski i kocią łapę. Zawiąż na nici z jelita węzeł ratowniczy. Następnie dodaj...*

Popatrzył na stempel. List przebył drogę dwustu mil. Jeśli dobrze pamiętał, nie docierała tam linia kolejowa. Co powinno zawęzić zakres poszukiwań.

Jedno słowo z listu rozbrzmiewało echem niby nuta powtarzana raz po raz, do znudzenia.

Zatoka. Zatoka. Zatoka. Zatoka...

Przypomniawszy sobie upalne popołudnie przed laty, zanim się pobrali. Siedzieli na brzegu małego, butwiejącego nabrzeża. Pamiętał zapach soli i ryb, a także szare, połamane deski.

„To śmieszne – powiedziała, wpatrzona w zieloną toń – ale zawsze myślałam, że skończę tam na dole. Wcale się nie boję. Często pływam daleko od brzegu. Ale już w dzieciństwie, gdy patrzyłam na zatokę, raz zieloną, raz niebieską, raz szarą, raz zbałwanioną, oblaną blaskiem księżyca lub ginącą we mgle, mówiłam do siebie: Zobaczysz, Tansy, zatoka się o ciebie upomni, ale dopiero po latach. Śmieszne, nie?”

Śmiejąc się, tulił ją mocno w ramionach. Zielone fale rozbijały się z pluskiem na palach oblepionych wodorostami...

Kiedy jeszcze żył ojciec Tansy, Norman odwiedzał jej rodzinę w domu niedaleko Bayport na południowym wybrzeżu Zatoki Nowojorskiej.

Wąski korytarz kończył się dla niej w zatoce, nazajutrz o północy. Na pewno tam właśnie zmierzała.

Wykonał kilka telefonów: sprawdził połączenia autobusowe, kolejowe i lotnicze. Kupienie biletu na samolot było niemożliwe, lecz na podstawie miejsca i czasu stemplowania listów wyliczył, że wieczornym pociągiem powinien dotrzeć do New Jersey godzinę przed jej autobusem.

Miał aż nadto czasu na spakowanie najpotrzebniejszych rzeczy i spieniężenie czeku w

drodze na stację.

Rozłożył na stole trzy wiadomości od żony, jedną napisaną atramentem i dwie – ołówkiem. Powtórnie przeczytał zwariowaną, niekompletną formułę.

Zmarszczył brwi. Czy naukowiec powinien odrzucić możliwość jedną na milion? Czy dowódca oblężonych wojsk wzgardzi manewrem taktycznym tylko dlatego, że nie ma go w podręcznikach? Wyglądało na to, że dostał mu się stek bzdur. Wczoraj mogłyby mieć dla niego jakąś emocjonalną wartość. Dziś traktował je z przymrużeniem oka. Jutro w nocy prawdopodobnie rzuci się na nie jak na ostatnią deskę ratunku. I pójdzie na kompromis z magią.

*Norman, zrób dokładnie to, o co cię proszę.* Słowa kłuły w oczy. Tak czy owak, pokaże Tansy te bzdety, jeśli znajdzie ją na granicy załamania nerwowego.

Poszedł do kuchni po kłębek białego sznurka. Następnie bobrował w szafie, aż znalazł rakietę do squasha. Wyciął dwie środkowe struny. Zapewne zrobione z jelita.

Nie sprzątał w palenisku, odkąd spłonęły rzeczy z garderoby Tansy. Rozgrzebał skraj popieliska, w którym znalazł osmolony kamień, przyciągający igłę. Magnetyt.

Namierzył płytę z „IX Sonatą” Skriabina i włączył gramofon z nową igłą. Popatrując na zegarek, przechadzał się niespokojnie po pokoju. Aż zaczęła go wciągać muzyka, która bynajmniej nie relaksowała. Było coś irytującego, boleśnie zwodniczego w tej cikliwej melodii, falujących figurach w niskich tonach, drzeniu w wysokich, tudzież wyrafinowanych ozdobnikach, które wędrowały tam i z powrotem po klawiszach fortepianu. Ten utwór szarpał nerwy.

Różnie mówiono o tej sonacie. Tansy wspomniała kiedyś, że sam Skriabin nazwał ją „Czarną mszą” i grywał ją bardzo niechętnie. Skriabin, który eksperymentował z kolorowymi organami, próbował przełożyć mistycyzm na język muzyki i zmarł z powodu czyraka na wardze. Rosjanin o niewinnej twarzy z olbrzymim sumiastym wąsem. Przelatywały mu przez głowę dosadne określenia, powtarzane przez Tansy: zaraźliwa „IX Sonata”, najbardziej zdradziecki utwór, jaki kiedykolwiek powstał... Bez przesady! Muzyka jest abstrakcyjnym splotem nut, nic ponadto.

A jednak, słuchając tego, można byłoby się spierać.

Dźwięki płynęły szybciej i szybciej. Uroczy drugi temat został zainfekowany rykiem i dysonansem, przeobrażony w marsz potępionych, taniec potępionych, urwany nagle u szczytu wrzaskliwości. Potem powrót do pierwszego cikliwego tematu i na zakończenie cicha, lecz przejmując nuta w najniższej oktawie.

Wyciągnął igłę, schował ją do koperty i dołączył do bagażu. Dopiero wtedy zapytał siebie, dlaczego – skoro zabiera te śmieci tylko ze względu na szaleństwo Tansy – zadał sobie tyle trudu, żeby przesłuchać całą sonatę. Przecież ta sama korzyść byłaby z nieużywanej igły.

Wzruszył ramionami. Po namyśle wyrwał z opasłego słownika stronicę z ilustracjami węzłów.

Przed samym wyjściem zatrzymał go telefon.

– Może pan poprosić Tansy, profesorze? – zapytała pani Carr przymilnym głosem. Gdy usłyszała to samo, co przedtem Evelyn Sawtelle, dodała: – Cieszę się, że odpocznie na wsi. Wie pan, profesorze, Tansy ostatnio nie wyglądała najlepiej. Trochę się o nią martwię. Na pewno nic jej nie dolega?

Wtem najzupelniej nieoczekiwanie ktoś wciął się w rozmowę:

– Co to, nie wierzysz w moje umiejętności?! Nie jestem dzieckiem! Wiem, co robię!

– Cicho bądź! – odparła ostro pani Carr i wytłumaczyła swoim słodkim głosem: – Zdaje się, że ktoś nam wszedł na linię. Do widzenia, profesorze.

Odłożono słuchawkę. Norman spochmurniał. Ów drugi głos był łudząco podobny do głosu Evelyn Sawtelle. Sięgnął po walizkę i wyszedł.

# 13

Na dworcu w Jersey City wskazano mu kierowcę autobusu. Miał szerokie bary i inteligentny wyraz łagodnych oczu. Stał pod ścianą i palił papierosa.

– Owszem, wiozłem ją – odpowiedział po krótkim namyśle. – Ładna kobieta, nie za wysoka, szara sukienka i srebrna brosza, o której pan wspomniał. Jedna walizka z jasnej świńskiej skóry. Wyglądała mi na babkę po wypadku albo ciężko chorą.

Norman z trudem nad sobą panował. Gdyby pociąg nie złapał półtoragodzinnego opóźnienia niedaleko Jersey City, przyjechałby grubo przed autobusem, a tak spóźnił się o dwadzieścia minut.

– Chciałbym, jeśli to możliwe, dowiedzieć się, dokąd się udała po wyjściu z autobusu. Ludzie w okienkach nie mają pojęcia.

Kierowca przyglądał się Normanowi. Na szczęście jednak nie zapytał: A na co panu to wiedzieć? Chyba ocenił, że Norman jest w porządku.

– Pewności nie mam – powiedział – ale odjeżdżał stąd w stronę wybrzeża lokalny autobus. Chyba do niego wsiadła.

– Zatrzymuje się w Bayport?

Kierowca pokiwał głową.

– Dawno odjechał?

– Ze dwadzieścia minut temu.

– Jest szansa dotrzeć przed nim do Bayport? Na przykład taksówką?

– Może i by się dało. Jeśli zapłaci pan za drogę tam i z powrotem, dorzuci coś za fatygę, to chyba Alec się zgodzi. – Machnięciem ręki wskazał mężczyznę w taksówce zaparkowanej pod budynkiem dworca. – Pamiętaj pan, nie twierdzą z całą pewnością, że pojechała na wybrzeże.

– Rozumiem. Wielkie dzięki.

W poświacie lampy ulicznej lisie oczy Aleca wyrażały nieskrywaną ciekawość, lecz powstrzymał się od komentarza.

– Da radę – stwierdził ochoczo – ale czas nagli. Wskakuj pan.

Autostrada przecinała puste połacie mokradeł i nieużytków. Norman czasami słyszał

szum długich łańców sztywnej, wysokiej trawy morskiej. Wśród chemicznego przemysłowego fetoru wyczuwał słonawe powietrze, napływające od strony ciemnych pasów wody, nad którą przebiegały długie, niskie mosty. Zapach zatoki.

W dali majaczyły fabryki, rafinerie ropy naftowej i rozrzucone tu i tam domy.

Alec bez słowa wyprzedził trzy lub cztery autobusy. Całą swoją uwagę skupiał na drodze. Po pewnym czasie oznajmił:

– To powinna być ona. – Mozaika zielonych i czerwonych świateł chowała się właśnie za wzniesieniem. – Stąd do Bayport mniej więcej trzy mile. Co robimy?

– Wyprzedźmy autobus i zatrzymajmy się na dworcu.

– Okej.

Dogonili autobus i ustawili się przed nim. Okna były za wysoko, żeby Norman mógł dojrzeć pasażerów. Na dodatek w środku było zgaszone światło.

Przyspieszając, Alec pokiwał głową z przekonaniem.

– To ona, nie ma wątpliwości.

W budynku dworca autobusowego mieściły się też kasy kolejowe. Norman mgliście przypominał sobie luźno zbite deski peronu, ubity węgiel między nimi i szyny. Dworzec okazał się mniejszy i obskurniejszy, niż się spodziewał, wciąż jednak chełpił się groteskową, drewnianą ornamentyką, pamiętającą dni, kiedy Bayport był letnim wczasowiskiem dla bogaczy z Nowego Jorku. Wnętrze tonęło w mroku, natomiast pod budynkiem stała garstka samochodów, w tym jedna długa taksówka. Opoдал ludzie zabijali czas cichą rozmową; wśród nich dwóch żołnierzy, prawdopodobnie z Fort Monmouth przy mierzei Sandy Hook.

Miał trochę czasu, żeby zaciągnąć się zapachem słonego powietrza, zaprawionym nikłą i dość przyjemną wonią ryb. Potem zajechał autobus. Nieliczni pasażerowie wysiedli i zaczęli rozglądać się dokoła, szukając znajomych.

Jako trzecia wyszła Tansy ze wzrokiem wbitym w dal. Niosła walizkę ze świńskiej skóry.

– Tansy – powitał ją.

Nawet na niego nie spojrzała. Zauważył dużą, czarną plamę na jej prawej dłoni. Przypomniał sobie rozlany atrament na stole w gabinecie.

– Hej, Tansy! – krzyknął. – Tansy!

Przeszła tak blisko, że otarli się rękawami.

– Tansy, co się z tobą dzieje?

Odwrócił się i podbiegł do niej. Szła w kierunku taksówki. Zdawał sobie sprawę z panującej wokół ciszy i wścibskich, nieprzyjaznych spojrzeń. Gniew w nim wzbierał.

Nie zwalniając kroku, złapał ją za rękę i obrócił. Usłyszał za sobą pomruk niezadowolenia.

– Tansy, przestań się zgrywać! Tansy!

Patrzyła przed siebie z kamiennym obliczem, jakby miała do czynienia z obcą osobą. To go rozwścieczyło. Kipiące emocje musiały znaleźć ujście. Niewiele myśląc, chwycił ją za

ręce i potrząsnął. Nadal z chłodną obojętnością unikała jego wzroku – doskonale wyobrażenie arystokratki znoszącej w milczeniu poniżenia. Gdyby krzyknęła lub zaczęła się szamotać, ludzie może by nie interweniowali.

Został szarpnięty od tyłu.

– Łapy precz od niej!

– Coś ty za jeden, hę?

Ona tymczasem zachowywała taki spokój, że można się było wściec. Zauważył świstek papieru, który wypadł jej z garści. Wtem ich spojrzenia się spotkały i wyczytał strach w jej oczach. Potem poczuł przedziwne lekkie wstrząśnienie, jakby coś przeszło z niej na niego. Zaswędziało go głowa, a jednocześnie – przez ułamek sekundy – wydawało mu się, że unosi się za nią czarna, kudłata postać olbrzymich rozmiarów, rozrośnięta w barach, drapieżnie wyciągająca potężne łapska i łypiąca błyszczącymi ślepiami.

Dosłownie przez ułamek sekundy. Kiedy się odwróciła, była już sama. Aczkolwiek odnosił wrażenie, że jej cień na deskach nadał się i wydłużył bardziej, niżby to wynikało z blasku ulicznej lampy. Gdy ludzie go odwrócili, stracił ją z oczu.

W stanie oszołomienia – albowiem halucynacje, których dopiero *co* doświadczył, rozstroiły mu nerwy – słuchał, jak nań warczą.

– Powinienem ci sprać mordę! – doszło wreszcie do jego świadomości.

– Proszę bardzo – odpowiedział. – Trzymają mnie za rękę.

– Hej, co się tu dzieje? – rozległ się głos Aleca. Nie był do niego negatywnie nastawiony, tylko nieufny. – Facet przyjechał tu ze mną, ale nic o nim nie wiem.

– Gdzie ta pani? – odezwał się jeden z żołnierzy. – W ogóle się nie skarżyła.

– Właśnie, gdzie ona się podziała?

– Wsiadła do taksówki Jakea i pojechała – padła odpowiedź.

– Może nie zachowywał się tak bez powodu – zasugerował żołnierz.

Norman czuł, że nastawienie tłumu się zmienia.

– Nikt nie ma prawa napastować kobiety – burknął trzymający go mężczyzna.

Ten jednak, który trzymał go z drugiej strony, zwolnił ucisk i zapytał:

– Co pan na to? Ma pan coś na swoje usprawiedliwienie?

– Owszem, ale to moja sprawa.

Dał się słyszeć piskliwy kobiecy głos:

– Tyle hałasu o głupstwo!

– Zwyczajna kłótnia małżeńska – dodał ktoś z wyraźną kpina.

Został puszczonej, lecz nie bez sarkania.

– Wiedz pan – rzekł najbardziej zadziorny z napastników – że gdyby się poskarżyła, obiłbym panu mordę.

– W porządku – odparł Norman – miałby pan słuszny powód. – Szukał wzrokiem świstka papieru. – Może ktoś wie, dokąd kazała się zawieźć? – zapytał się ogółu.

Ze dwóch pokręciło głową, pozostali puścili pytanie mimo uszu. Nie przekonali się do niego na tyle, żeby od razu iść na współpracę. Zresztą całkiem możliwe, że w tym zamęcie mało kto słyszał pytanie.

Tłumek rozproszył się w milczeniu. Dopiero na boku ludzie zaczęli dyskutować o tym, co zaszło. Odjechały prawie wszystkie auta. Żołnierze powędrowali na ławeczkę, by tam poczekać na swój pociąg bądź autobus. Obok Normana pozostał tylko Alec.

Dostrzegł papierek w szparze między wytartymi deskami. Omal nie wpadł do środka. Zabrał go do taksówki i tam mu się dokładnie przyjrzał.

– No więc... dokąd teraz? – zapytał Alec niepewnym tonem.

Spojrzał na zegarek. Pięć po wpół do jedenastej. Niespełna półtorej godziny do północy. Mógłby podjąć różnorakie działania w celu odnalezienia Tansy, lecz ze względu na krótki czas miał ograniczone pole manewru. Jego mózg pracował ospale, niemal z bólem, jakby straszna istota, którą dojrzał za plecami Tansy, zamroczyła mu rozum.

Popatrzył na ginące w mroku zabudowania. Na niektórych lampach, po stronie zwróconej do morza, ostały się resztki czarnej farby, pamiątka po zaciemnieniach w czasie wojny. W bocznej uliczce ruszali się ludzie. Popatrzył na skrawek papieru.

Wyteżał umysł, myśląc o Tansy. Zastanawiał się, jak jej najlepiej pomóc. Musiał w nią wierzyć ze wszystkich sił i z tej wiary czerpać natchnienie. Rzecz jasna, mógł uganiać się za nią wzdłuż nadbrzeżnej linii kolejowej, lecz Bóg jeden wiedział, dokąd zabrała ją taksówka. Mógł poszukać starego molo, przy którym zwykle pływali, żeby zdybać tam Tansy, albo też poczekać na powrót taksówki. Mógł również pójść na policję, przekonać ich – jeśli to możliwe – że jego żona usiłuje popełnić samobójstwo, i nakłonić do pomocy w poszukiwaniach.

To jednak nie koniec możliwości. Rozmyślał o tym, jak przyznała się do czarów, jak spalił ostatni amulet, jak nagle zadzwonili do niego Theodore Jennings i Margaret van Nice, jak borykał się na uczelni z nawałnicą nieprzyjemnych nowin i nieprzychylnych osób. Myślał też o idiotycznej napaści Jenningsa, nagraniach czuringi, zdjęciu smoka i rysunkach kart tarota. Rozmyślał o śmierci kota i błyskawicy z siedmioma odnogami, i swojej nieoczekiwanej podatności na drobne wypadki. Listę uzupełniały myśli samobójcze, pijackie omamy oraz jakiś stwór, który chwycił za ramiona i odbierał mowę. Na dokładkę zwidziało mu się, że coś się czai za plecami Tansy. O tak, było o czym rozmyślać.

Po raz kolejny spojrzał na świstek papieru i powziął decyzję.

– Macie tu hotel przy głównej ulicy, prawda? – zwrócił się do Aleca. – Niech mnie pan tam zawiezie.

# 14

„Eagle Hotel” – napisano na szybie złotymi zgłoskami w czarnej obwódce. Za szybą ukazywał swoje wnętrze wąski hol z sześcioma pustymi krzesłami.

Kazał taksówkarzowi zaczekać, a sam zarezerwował pokój na noc. W recepcji pracował podstarzały jegomość w jasnoniebieskim płaszczu. Z książki meldunkowej wynikało, że nikt ostatnio nie wynajmował pokoju. Wniósł bagaż na górę i prędko wrócił do holu.

– Byłem tu dziesięć lat temu – rzekł do recepcjonisty. – Zdaje się, że macie tu cmentarz pięć przecznic stąd, idąc w głąb lądu.

Mężczyzna otworzył szerzej oczy.

– Cmentarz komunalny? Zaledwie trzy przecznice, a potem półtorej w lewo. Ale... – Odchrząknął znacząco, jakby chciał o coś spytać.

– Dziękuję – powiedział Norman.

Po chwili namysłu zapłacił Alecowi, który z widoczną ulgą odpalił wóz, i ruszył główną ulicą w kierunku przeciwnym do zatoki.

Po przejściu pierwszej przecznicy przestał mijać sklepy. Po tej stronie miasta szybko zaczynały się peryferie. Światło paliło się w rzadko którym domu, a gdy skręcił w lewo, zniknęły uliczne latarnie.

Cmentarna furta była zamknięta. Starając się nie hałasować, pełził po omacku wzdłuż zarośniętego ogrodzenia, aż trafił na niewysokie drzewo, którego najniższy konar mógł wytrzymać ciężar człowieka. Położył ręce na murku, wlaź na niego i ostrożnie zsunął się po drugiej stronie.

Wokół panowały nieprzeniknione ciemności. Usłyszał szelest, jakby spłoszył jakiegoś zwierzaka. Posługując się raczej dotykiem niż wzrokiem, namacał nagrobek. Płyta była cienka, wyszczerbiona, dołem omszała i nieco przekrzywiona. Prawdopodobnie z połowy ubiegłego wieku. Rozgrzebał ziemię, żeby napęłnić wyciągniętą z kieszeni kopertę.

Gdy z powrotem przełaził przez murek, narobił – jak mu się zdawało – wielkiego hałasu w zaroślach, lecz ulica była nieodmiennie pusta.

Wracając do domu, spojrzął na niebo, odszukał Gwiazdę Polarną i ustalił, na którą stronę świata wychodzą okna jego pokoju.



W lobby czuł, jak zaciekawiony recepcjonista przewierca go wzrokiem.

Pokój tonął w mroku. Przez otwarte okno wpadało chłodne, słone powietrze. Zamknął drzwi na klucz, zatrzaskał okno, spuścił żaluzje i dopiero wtedy włączył światło. Ostry blask lampy sufitowej ujawnił wnętrze pokoju w całej jego obskurnej prostocie. Jedyнным ukłonem w stronę nowoczesności był aparat telefoniczny.

Wyciągnął z kieszeni kopertę i zważył ją w dłoni. Jego usta ułożyły się w gorzkim uśmiechu. Raz jeszcze przeczytał, co było napisane na świstku papieru:

*... garść ziemi z cmentarza, a potem wszystko zawiń we flanelę, w odwrotnym kierunku. Rozkaż mnie powstrzymać. Rozkaż, bym została sprowadzona do ciebie.*

Ziemia z cmentarza. Właśnie na nią się natknął w garderobie Tansy. Od niej się wszystko zaczęło. Teraz sam ją zbierał.

Spojrzał na zegarek. Dwadzieścia po jedenastej. Uprzątnął stół i postawił go na środku pokoju. Przy krawędzi skierowanej na wschód wbił scyzoryk. „W odwrotnym kierunku” znaczyło przeciwnie do ruchu słońca, a więc z zachodu na wschód.

Położył na stole niezbędne składniki, odciął z brzegu szlafroka kawałek flaneli i zestawiał cztery części instrukcji. Jego rysy wciąż wykrzywił grymas obrzydzenia.

Najważniejsze fragmenty niekompletnych wiadomości, złożone w całość, przedstawiały następującą treść: Weź cztery kawałki sznurka długości czterech cali i kawałek nici z jelita, kawałek platyny lub irydu, kawałek magnetytu oraz igłę gramofonową, która posłużyła do odsłuchania jedynie „IX Sonaty” Skriabina. Z czterech białych sznurków wykonaj węzeł babski, prosty, płaski i kocią łapę. Na nici z jelita zawiąż węzeł ratowniczy. Dodaj garść ziemi z cmentarza, a potem wszystko zawiń we flanelę, w odwrotnym kierunku. Rozkaż mnie powstrzymać. Rozkaż, bym została sprowadzona do ciebie.

Ogólnie rzecz biorąc, przypominało to setkę przepisów na murzyńskie amulety, o których słyszał. Igła gramofonowa, węzły i jeszcze ze dwa składniki stanowiły wkład białego człowieka.

Zupełnie jakby wykombinował to niedojrzały dzieciak lub chory psychicznie dorosły, który z zabobonnym strachem unika (lub na odwrót) szpar między płytami chodnika.

Gdzieś w mieście zegar wybił wpół do dwunastej.

Norman siedział i gapił się na stół. Nie potrafił zmusić się do działania. Tłumaczył sobie, że byłoby łatwiej, gdyby robił to dla kawału lub z żądzy wrażeń albo gdyby należał do ludzi, którzy faszeryją się chorym spirytualizmem – lubią bawić się magią, ponieważ trąci średniowieczem, a iluminowane manuskrypty pięknie wyglądają. Ale podejść do tematu ze śmiertelną powagą, świadomie otworzyć umysł na przesady, znaczyłoby oddać się we władanie siłom, które spychają świat w wiek ciemnoty, sprzeniewierzyć się wszystkiemu, co wynika ze słowa „nauka”.

Tyle że widział to coś za plecami Tansy. Oczywiście, przywidziało mu się. Ale kiedy przywidzenia upodabniają się do rzeczywistości, w dodatku poparte szeregiem niesamowitych zbiegów okoliczności, nawet naukowiec musi rozważyć możliwość, że trzeba będzie jednak traktować je jak rzeczywistość. A kiedy przywidzenia zaczynają bezpośrednio i namacalnie zagrażać jemu i jego rodzinie... Mało tego! Kiedy musi uwierzyć komuś, kogo darzy miłością...

Sięgnął po pierwszy sznurek i związał końce w babski węzeł. Doszedłszy do kociej łapy, zerknął na kartkę wyrwaną ze słownika. Udało mu się po kilku nieudanych próbach. W kość dał mu za to węzeł płaski, teoretycznie dosyć łatwy. Długo się nad nim biedził, a rezultat ciągle nie przypominał ilustracji. Pot zrosił mu czoło.

– Duszno tu – mruknął do siebie. – No i jestem zgrzany po dzisiejszej gonitwie.

Wydawało mu się, że skórę palców ma grubą jak skóra dzika. Wciąż mu się wymykały końce sznurka. Pamiętał, jak Tansy zwinnie je supłała.

Za dziewiętnaście dwunasta. Igła gramofonowa poturlała się po stole. Odłożył sznurek i oparł ją o wieczne pióro, żeby się więcej nie toczyła. Potem wrócił do wiązania węzła.

Przez chwilę sądził nawet, że omyłkowo wziął nić z jelita, tak sztywny i nieelastyczny wydawał się sznurek. Nie do wiary, pomyślał, jak człowiekowi zaszkodzić może nerwowość. Zaszło mu w gardle. Z trudem przełykał ślinę.

Nareszcie, przyglądając się uważnie ilustracji i wykonując starannie każdy krok, zdołał związać płaski węzeł. Przez cały ten czas doświadczał uczucia, jakby coś mu zalazło między palce, jakby musiał pokonywać silny opór materii. Gdy skończył, przeszył go – niczym zwiastun choroby – zimny dreszcz, a światło pod sufitem z lekka przygasło. Cóż, zmęczone oczy...

Tymczasem igła gramofonowa toczyła się w drugą stronę, z każdą chwilą nabierała prędkości. Próbując przygwoździć ją dłonią, raz chybił i złapał ją dopiero na samym skraju stołu.

Zupełnie jak tabliczka ouija, pomyślał. Człowiek usiłuje trzymać wskazówkę w nieruchomych palcach, na skutek czego rośnie napięcie mięśni, aż dochodzi do mimowolnych skurczów. Pozornie bez udziału czyjejkolwiek woli wskazówka zaczyna krążyć tu i tam na swoich trzech nóżkach, wędrować od litery do litery. To samo w tym przypadku. Napięcie mięśniowo-nerwowe utrudniło wiązanie węzłów. Normalny człowiek w takiej sytuacji zwał winę na przedmiot, tu – na sznurek. Naciskając łokciem i kolanem, musiał nieświadomie przechylić stół.

Igła zaczęła wibrować między palcami niczym małeńka część potężnej maszyny. Poczul delikatne mrowienie. W jego myślach nieoczekiwanie rozbrzmiały męczące, hałaśliwe takty z „IX Sonaty”. Do kroćset! Jednym z powszechnych objawów krańcowego zdenerwowania było mrowienie w palcach, często nawet bolesne. Wzgardliwe prychnięcie, które wyrwało się z jego wyschniętego gardła, było jednak ciche i słabowite.

Na wszelki wypadek wbił igłę we flanelę.

Za trzynaście dwunasta. Kiedy sięgał po nić z jelita, ręka trzęsła mu się ze zmęczenia, jakby wspiął się na wieżowiec po linie. Sama nić wyglądała zwyczajnie, lecz była śliska w dotyku; rzecz by można, dopiero co wyciągnięto ją z trzewi potwora i skrecono na kształt nici. Przez chwilę zamiast słonej woni zatoki wyraźnie czuł ostry, metaliczny zapach. A więc w parze z halucynacjami wzrokowymi i słuchowymi idą węchowate i dotykowe, pomyślał. Nadal słyszał dźwięki „IX Sonaty”.

Umiał zawiązać węzeł ratowniczy, co powinno być tym łatwiejsze, że nić utraciła swą normalną sztywność, miał jednak wrażenie, że dotykają jej inne siły lub inne umysły dają rozkazy jego palcom, albowiem nić próbowała zawiązać się w węzeł prosty, ruchomy lub półszytyk – każdy, tylko nie ratowniczy. Palce go bolały, oczy zamykały się z nienaturalnego zmęczenia. Zmagał się z czymś rosnącym naporem, z przygniatającą presją. Wspomniał słowa Tansy, wypowiedziane tamtej nocy, kiedy przyznała się, że jest czarownicą: „Magią rządzi zasada akcji i reakcji, jak kopnięcie karabinu po strzale”... Za osiem dwunasta.

Olbrzymim wysiłkiem woli zebrał resztki energii, całą swoją uwagę skoncentrował na węźle. Zdrętwiałe palce poruszały się dziwnym rytmem, rytmem „IX Sonaty” *piu vivo*. Węzeł ratowniczy był gotowy.

Światło ewidentnie przygasło, pokój pogrążył się w mętным mroku. Człowiek histeryzuje i ślepnie, pomyślał. A w małych miasteczkach systemy energetyczne działają na słowo honoru. Zrobiło się bardzo zimno; wyobrażał sobie, że bucha parą z ust. Było też cicho, przeraźliwie cicho. W tej głuszy słyszał i czuł, jak serce szybko mu bije i nieznacznie przyspiesza w takt tętniącej, zawrotnej muzycznej galopady.

Wtem w jednej szatańskiej chwili porażającego olśnienia uzmysłowił sobie, że to czary. Żadne tam kuglarskie sztuczki czy też igraszki z recepturami rodem ze średniowiecza, ale ciężka, wyczerpująca walka o kontrolę nad przyzywanymi mocami, którą prowadził symbolicznie przy wykorzystaniu składników formuły. Czuł, że gdzieś za ścianą hotelowego pokoju, za ścianą jego umysłu, za nieuchwytną energetyczną ścianą w jego mózgu gromadzą się obce moce, rosną w siłę i drapieżnie wyczekują, czyhają na jeden fałszywy ruch, żeby nim zawładnąć.

Nie wierzył w to, nie chciał w to uwierzyć... A jednak uwierzyć musiał.

Pytanie, czy będzie w stanie zachować kontrolę!

Za trzy dwunasta. Zaczął układać wszystko na flaneli. Igła skoczyła, pociągnęła fragment materiału i przylgnęła do magnetytu. A nie powinna, skoro znajdowała się w odległości trzydziestu centymetrów. Wziął szczyptę ziemi z cementarza. Ziarenka w palcach wydawały się więc jak maleńkie robaczki. Czuł, że czegoś brakuje, lecz czego – nie mógł sobie przypomnieć. Postanowił spojrzeć na recepturę, lecz nagły przeciąg zwiewał kartki ze stołu. Wyczuwał zwiększony nacisk nieznanymi siłami, jakby wiedziały, że powinien mu się noga. Pochwycił kartki i zdołał je unieruchomić. Nisko pochylony, przeczytał: „... kawałek platyny

lub irydu”. Dziobnął piórem w stół, złamał stalówkę i dodał ją do pozostałych przedmiotów.

Staął z dala od scyzoryka, którym oznaczył wschód, i chwyciwszy się stołu, próbował uspokoić drżące dłonie. Szczękał zębami. W pokoju panowały grobowe ciemności, jeśli nie liczyć niezwyklej niebieskawej poświaty, przeciskającej się przez żaluzje. Lamp ulicznych nie malowano przecież kobaltową farbą.

Raptownie flanela zaczęła się marszczyć i zawijać niczym podgrzany pasek żelowy... ze wschodu na zachód, z więc zgodnie z ruchem słońca.

Przyskoczył do niej i włożył do środka palce, zanim się zamknęła. Rozwinął końce, choć materiał w jego skostniałych palcach był oporny jak blacha, i zwinął całość w odwrotnym kierunku.

Zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Nawet odgłos bijącego serca przestał być słyszalny. Wiedział, że coś wyczekuje na rozkaz z głęboką uwagą i jeszcze głębszą nadzieją, że rozkaz nie zostanie wypowiedziany.

W dali zegar wydzwaniał godzinę... A może nie był to zegar, lecz tajemniczy odgłos upływającego czasu? Dziewięć, dziesięć, jedenaście, dwanaście.

Język przyssał się do podniebienia. Krztusił się bezgłośnie. Odnosił wrażenie, że ściany pokoju są bliżej niż jeszcze minutę temu.

Wreszcie wymamrotał ochryple:

– Powstrzymaj Tansy. Sprowadź ją tutaj.

Czuł, że pokój dygocze i podłoga kołysze się pod nogami, jakby trzęsienie ziemi nawiedziło New Jersey. Zaległy najczarniejsze ciemności. Uderzył go stół, czy raczej jakaś siła wstająca od stołu. Zatoczył się i padł na coś miękkiego.

Nagle powrócił spokój. Napięcie mięśni ustąpiło zwiotczeniu. Znowu był dźwięk i światło. Leżał na wznak na łóżku. Na stole dostrzegł niegroźny już pakunek owinięty flanelą. Czuł się jak po środkach odurzających albo długiej pijatyce. Nie chciało mu się ruszać ręką ani nogą, emocje wyparowały.

Niby nic się nie zmieniło. Nawet jego umysł, nastawiony na racjonalny odbiór świata, był gotów uporać się z niewdzięcznym zadaniem przypasowania ostatnim wydarzeniom teorii naukowej, utkać misterną pajęczynę z nici takich jak histeria, halucynacje i niezwyklej splot okoliczności.

A jednak zaszła w nim jakaś nieodwracalna, wewnętrzna przemiana.

Mijały długie chwile. W końcu usłyszał – wpraw na schodach, potem w korytarzu – czyjeś kroki. Dało się słyszeć specyficzne kłapanie, jakby ktoś szedł w mokrych, rozmiękłych butach.

Kroki umilkły tuż za drzwiami.

Przeszedł przez pokój, przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi.

O srebrną broszę zahaczył liść wodorostu. Szara sukienka była ciemna i nabrzmiała wilgocią – z wyjątkiem jednego podeschniętego miejsca, na którym osadził się nalot soli. W

nos bił drażniący zapach morskiej wody. Drugi wodorost owinał się nad kostką wokół pomarszczonej pończochy. Pod brudnymi butami zbierała się kałuża.

Przesunął wzrok po mokrych śladach w korytarzu. Przy schodach z nogą na stopniu stał stary recepcjonista. W ręku trzymał namokniętą walizkę ze świńskiej skóry.

– Co to ma znaczyć? – zapytał z drżeniem, gdy zobaczył skierowany na siebie wzrok Normana. – Nie powiedziałaś pan, że czekasz na żonę. Wygląda, jakby topiła się w zatoce. Nie chcemy w tym hotelu żadnych niestosowności. Żadnych, powtarzam.

– Proszę się nie przejmować. – Norman bał się na razie spojrzeć żonie w twarz. – Przepraszam, że nie uprzedziłem. Mogę wziąć walizkę?

– W zeszłym roku mieliśmy tu samobójstwo – ciągnął stary recepcjonista, jakby nie zauważył, że wyraża na głos swoje myśli. – Ucierpiała renoma hotelu... – Popatrzył na Normana, zebrał się w sobie i z wahaniem przemierzył korytarz. Kilka kroków przed drzwiami przystanął, wyciągnął rękę z walizką, postawił ją na ziemi, odwrócił się i szybko oddalił.

Norman z ociąganiem podnosił wzrok, aż jego oczy spotkały się z jej oczami. Twarz była blada, bardzo blada i pozbawiona wyrazu. Usta – lekko zsiniałe. Do policzków lepiły się mokre włosy. Gęsty, kręcony kosmyk przesłaniał jedno oko i opadał na szyję. Drugie przyglądało mu się beznamiętnie. Ręka nawet nie drgnęła, żeby odgarnąć włosy z twarzy.

Z sukni kapąły krople.

Usta się rozchyliły. Głos, który się z nich wydobył, miał w sobie monotony pomruk wody.

– Spóźniłeś się. Spóźniłeś się o minutę...

# 15

Po raz trzeci wracali do tej samej kwestii. Norman miał niepokojące wrażenie, że podąża krok w krok za robotem, który bez końca zatacza ogromne koła, przy czym zawsze stąpa po tych samych źdźbłach trawy.

Z niezachwianym przekonaniem, że i tym razem niczego nie osiągnie, zadał nurtujące go pytanie:

– Jak możesz mówić, że nie masz świadomości, a zarazem wiedzieć, że jej nie masz? Jeśli masz pustkę w myślach, nie możesz być świadoma, że niczego tam nie ma.

Wskazówki zegarka zbliżały się wolno do godziny trzeciej nad ranem. Do obskurnego pokoiku wkradał się chłód i mdły zapach kończącej się nocy. Tansy siedziała sztywno w szlafroku Normana i bamboszach z futerkiem. Miała koc na kolanach, a głowę owiniętą ręcznikiem kąpielowym. W tym stroju powinna wyglądać dziecinnie, może nawet zgoła atrakcyjnie, lecz tak nie było. Gdyby odwinąć ręcznik, ukazałby się odrąbany czubek głowy, a niżej miejsce po usuniętym mózgu. Pusta skorupa – oto jakie nasuwało mu się skojarzenie, ilekroć z roztargnienia spoglądał jej w oczy.

Poruszyła bladymi ustami.

– Nic nie wiem. Umiem mówić. Zabrali mi duszę. Głos wychodzi z ciała. /

Przesadą byłoby stwierdzenie, że Tansy mówi głosem spokojnym i cierpliwym. Nie mieścił się nawet w tej kategorii, tak pusty był i bezbarwny. Słowa wymawiane wyraźnie, w regularnych odstępach, brzmiały jednakowo. Przypominały szum maszyny.

Absolutnie nie miał zamiaru zadrećzać pytaniami tej oswiałej, nieszczęsnej osoby, ale też wiedział, że za wszelką cenę musi w tych zimnych oczach zapalić płomyk jakiegoś uczucia. Jeśli sam nie chciał popaść w obłąd, musiał znaleźć przyzwoity punkt wyjścia.

– Tansy, jeśli potrafisz rozmawiać o tym, co nas spotkało, to znaczy, że myślisz. Jesteś ze mną w tym pokoju!

Poruszyła owiniętą ręcznikiem głową jak nakręcana lalka.

– Z tobą jest tylko ciało. Jej tu nie ma.

Automatycznie poprawił w myślach „jej” na „mnie”, nim sobie uświadomił, że nie popełniła błędu. Zadrzał.

– Twierdzisz, że nic nie widzisz i niczego nie słyszysz? Że jest tylko ciemność?

I znów mechanicznie poruszyła głowę, co miało większą moc przekonywania niż najgorętsze zapewnienia.

– Ciało doskonale widzi i słyszy. Nie doznało obrażeń. Działa bez zarzutu. Jednak w środku nie ma nawet ciemności.

Jego znużony, zagubiony umysł szukał rozwiązania w psychologii behawioralnej i jej fundamentalnej tezie, że zachowanie człowieka można w pełni i zadowalająco wyjaśnić bez posługiwania się pojęciem świadomości, nawet bez zakładania, że świadomość istnieje. Oto wystarczający dowód. A jednak niewystarczający, jako że w jej zachowaniu nie przejawiały się żadne z drobnych nawyków, które w sumie dają osobowość. Gdzie się podziały jej przymrużone oczy, towarzyszące chwilom głębokiego namysłu? A znajomy grymas w kąciuku ust, kiedy ją komplementowano lub rozśmieszano? Wszystko przepadło. Nawet trzy szybkie potrząśnięcia głową do pary z nieznacznym króliczym zmarszczeniem nosa ustąpiły miejsca mechanicznemu „Nie”.

Niemniej narządy zmysłu reagowały na bodźce. Wysyłały impulsy, wędrujące po mózgu, gdzie powstawały następne impulsy, stymulujące gruczoły i mięśnie, łącznie z aparatem mowy. I na tym koniec. W pajęczej sieci połączeń nerwowych kory mózgowej nie szamotały się niewidzialne zjawy, zwane świadomością. To, co tworzyło indywidualny styl Tansy, widoczny w każdym ruchu, w każdym geście ciała, odeszło. Zachował się wyłącznie organizm biologiczny, pozbawiony oznak czy śladów osobowości. Nie było nawet duszy – tak, tak, stary frazes uzyskał nagle nowy, konkretny wymiar! – szalonej czy głupiej, która by wyzierała z tych szarzielonych oczu, mrugających z regularnością automatu chyba tylko po to, żeby ożywiać rogówki.

Doznał kłopotliwego uczucia ulgi, skoro mógł już wyobrazić sobie, co się przydarzyło Tansy. Ale cóż to było za wyobrażenie... Pamiętał pewien artykuł w gazecie o staruszku, który latami w sypialni trzymał ciało ukochanej młodej kobiety, zmarłej na nieuleczalną chorobę. Podobno utrzymywał zwłoki w zdumiewająco dobrym stanie za pomocą wosku i innych środków, mówił do nich rano i wieczorem, nawet trwał w przeświadczeniu, że któregoś dnia całkowicie przywróci je do życia... póki ich nie znaleziono, nie odebrano mu i nie pochowano.

Nagle się skrzywił. Po jakie licho – zganił się w duchu – oddaje się dzikim rojeniom, skoro oczywiście Tansy cierpi na rzadkie zaburzenie psychiczne, osobliwe rozwarstwienie jaźni?

Oczywiście.

Dziki rojenia?

– Czemu nie umarłaś, Tansy – spytał – kiedy odeszła dusza?

– Zazwyczaj dusza jest uwięziona do końca. Znika lub umiera w chwili śmierci ciała. – Słowa padały równo odmierzone, jakby metronomem. – Ale ten, który chodzi za mną, ciągnął

moją duszę. Czułam na twarzy ciężar szarej wody. Wiedziałam, że jest północ. Wiedziałam, że zawiodłeś. Ten, który chodzi za mną, wykorzystał moją rozpacz i wywłócił ze mnie duszę. W tym samym momencie pochwyciły mnie ręce twojego wysłannika i wyciągnęły z wody. Dusza, będąc blisko, widziała, co się dzieje, lecz nie była dość blisko, żeby wrócić. Ostatnie wspomnienie, wyryte w moim mózgu, to jej straszna udreka. Twój wysłannik i ten, który chodzi za mną, doszli do wniosku, że wypełnili swe zadania, więc nie walczyli ze sobą.

Obrazy malujące się w wyobraźni Normana szokowały swoją plastycznością – aż dziw, że wywołały je słowa biologicznej maszyny. A jednak tylko maszyna mogła opowiedzieć tę historię z takim opanowaniem.

– Nic cię już nie obchodzi? – zapytał porywczo, ukłuty do żywego pustką w jej oczach. – Nie ma już w tobie żadnych uczuć?

– Jest jedno. – Tym razem nie pokręciła głową jak robot, ale jak on skinęła nią twierdząco. Po raz pierwszy dało się zauważyć cień jakiegoś uczucia, ślad motywacji. Pożądliwie, czubkiem ściemniałego języka, oblizywała blade wargi. – Chcę odzyskać duszę.

Wstrzymał oddech. Ledwie udało mu się wskrzesić w niej uczucia, już tego żałował. Dostrzegął w niej zwierzęcy pierwiastek; była jak światłolubny robak, który łakomie wygrza się na słońce.

– Chcę odzyskać duszę – powtórzyła lodowato, co poruszyło nim do głębi bardziej, niżby to uczyniły błagalne czy płaczliwe tony. – W ostatniej chwili moja dusza, choć nie mogła już wrócić, zaszczepliła we mnie to jedno uczucie. Wiedziała, co ją czeka. Wiedziała, że mogą się duszy przytrafić złe rzeczy. Była wystraszona.

– Jak myślisz, gdzie jest twoja dusza? – wycodził przez zęby.

– U niej. U kobiety z małymi, mętnymi oczkami.

Patrzył na nią badawczo. Coś w nim wrzało. Mając świadomość, że to wściekłość, na razie nie wiedział, czy rozsądnie się złościć, czy nie.

– Evelyn Sawtelle? – zapytał ochryple.

– Tak, ale radzę nie wymawiać jej imienia.

Błyskawicznie chwycił słuchawkę telefonu. Musiał szybko zacząć działać... żeby nie postradać zmysłów.

Po chwili obudził recepcjonistę i uzyskał połączenie z centralą telefoniczną.

– Dzień dobry panu – rozbrzmiał śpiewny głos. – Hempnell 1284... Pragnie pan połączyć się bezpośrednio z Evelyn Sawtelle. – Przeliterowano nazwisko. – Proszę odłożyć słuchawkę i zaczekać. To potrwa dłuższą chwilę.

– Chcę odzyskać duszę. Chcę spotkać się z tą kobietą. Chcę pojechać do Hempnell.

Siedząca przed nim istota, skoro już obudził w niej wilczy głód, natarczywie upominała się o swoje. Nasuwało mu się skojarzenie z igłą gramofonową uwięzioną w rowku albo mechaniczną zabawką, która drepcze tam, dokąd ją pchnięto.

– Na pewno wrócimy. – Nadal miał kłopot z równym oddychaniem. – Odzyskamy duszę.



– Muszę zaraz ruszać w drogę. Ubranie zamokło w wodzie. Pokojówka je wyczyści i wyprasuje.

Powolnym, statecznym ruchem wstała i zaczęła iść do telefonu.

– No co ty! – sprzeciwił się bez zastanowienia. – Nie przywołasz pokojówki o trzeciej nad ranem.

– Ubranie musi być czyste i wyprasowane. Muszę zaraz ruszać w drogę.

Te słowa mogłyby paść z ust kobiety upartej, samolubnej i nadąsanej. Było w nich jednak mniej uczucia niż w słowach lunatyka.

Szła do telefonu. Choć nigdy by nie przypuszczał, że to zrobi, lekliwie zszedł jej z drogi, aż potknął się z tyłu o łóżko.

– Nawet jeśli mają tu pokojówkę – dodał – nie przyjdzie o tej porze.

Odwróciła do niego swe blade, martwe oblicze.

– Pokojówka jest kobietą. Przyjdzie, jeśli mnie usłyszysz. – Po chwili rozmawiała z recepcjonistą: – Jest w tym hotelu pokojówka? Niech pan ją przyśle do mojego pokoju... W takim razie niech pan dzwoni... Nie mogę z tym czekać do rana... Ma tu przyjść teraz... Nie mogę powiedzieć czemu... Dziękuję.

Długo czekali. Słyszał nikły odgłos dzwonka z drugiej strony linii i wyobrażał sobie zaspiany, burkliwy głos obudzonej kobiety. –

– Rozmawiam z pokojówką? – odezwała się w końcu Tansy. – Proszę się natychmiast stawić w pokoju nr 37.

Norman wyobrażał sobie wzburzoną odpowiedź pokojówki.

– Nie słyszy pani, jakim mówię głosem? – ciągnęła Tansy. – Nie rozumie pani, w jakim jestem stanie? Tak... Czekam. – Odłożyła słuchawkę.

– Tansy... – Nie spuszczać z niej oczu, ponownie utknął na początku zdania, choć starał się mówić płynnie. – Jesteś w stanie wysłuchiwać pytań i na nie odpowiadać?

– Odpowiadam na pytania. Odpowiadam na nie od trzech godzin.

I znów, jak uparcie podpowiadała logika: skoro pamiętała, co się działo przez ostatnie trzy godziny... A jednak czymże jest pamięć, jeśli nie ścieżką wytartą w układzie nerwowym? Aby rozwikłać zagadkę pamięci, nie trzeba odwoływać się do świadomości.

Przestań walić głową w mur, idioto! – podpowiadał z kolei zdrowy rozsądek. Spojrzałeś jej w oczy, nieprawdaż? To jazda, na co czekasz?

– Tansy, co masz na myśli, mówiąc, że Evelyn Sawtelle posiada twoją duszę?

– Właśnie to.

– A może chodzi o to, że Evelyn do spółki z panią Carr i panią Gunnison mają nad tobą psychiczną władzę, że trzymają cię w emocjonalnym więzieniu?

– Nie.

– Ale twoja dusza...

– ... to moja dusza.

– Tansy... – Wolałby nie brnąć w ten temat, ale chyba nie było wyboru. – Naprawdę uważasz, że Evelyn jest czarownicą, że tak jak ty para się magią?

– Tak.

– I pani Carr, i pani Gunnison?

– One też.

– A zatem wierzysz, że robią to samo, co ty robiłaś? Rzucają zaklęcia, wytwarzają amulety, wykorzystują specjalistyczną wiedzę mężów, próbują ich chronić i pomagają w karierze?

– Oględnie mówiąc.

– Jak to?

– Posługują się białą i czarną magią. Nie dbają o to, czy komuś stanie się krzywda, czy ktoś będzie cierpiał lub zginie.

– Czemu są takie okrutne?

– Czarownice są jak zwykli ludzie. Popisują się. Łudzą się, że są wszechpotężne. Wierzą, że cel uświęca środki.

– Twierdzisz, że w trójkę spiskują przeciwko tobie?

– Tak.

– Czemu?

– Bo mnie nienawidzą.

– Czemu?

– Częściowo z powodu ciebie. Twój awans nie wyszedłby na zdrowie ich mężom i im samym. Ale to nic. Nienawidzą mnie, bo czują, że kieruję się innymi zasadami. Czują, że choć na zewnątrz niewiele się od nich różnię, w gruncie rzeczy gardzę tym, co wypada i nie wypada. Wiedźmy kłaniają się tym samym bożkom co inni ludzie. One się mnie boją, bo uczelnia nie jest moim bogiem. Pani Carr ma chyba dodatkowy powód.

– Tansy – zaczął z wahaniem – jak to się stało, że wszystkie trzy są czarownicami?

– Ano stało się.

W pokoju zaległa cisza. Norman, zasepiony, roztrząsał w myślach temat paranoi.

– Tansy – wydusił z siebie po chwili – wiesz, co to oznacza? Że wszystkie kobiety są czarownicami.

– Tak.

– Ale jak można zawsze...?

– Pst! – Ów dźwięk był równie cichy co syk pary uchodzącej z kaloryfera, a jednak Norman zamilkł jak niepyszny. – Idzie.

– Kto?

– Pokojówka. Schowaj się, to coś zobaczysz.

– Mam się schować?

– Tak.

Gdy się doń zbliżyła, cofnął się mimowolnie. Położył dłoń na drzwiach.

– Do garderoby? – spytał, zwilżywszy usta językiem.

– Tak. Skryj się tam, a coś ci udowodnię.

Usłyszał kroki w korytarzu. Zmarszczył czoło w rozterce, po czym zrobił, jak kazała.

– Zostawię lekko uchylone drzwi – powiedział.

Skinęła głową jak robot.

Rozległo się pukanie, potem kroki Tansy i odgłos otwieranych drzwi.

– Pani mnie wzywała? – Wbrew jego oczekiwaniom mówiła to młoda osoba. Zdawało się, że z trudem przełknęła ślinę.

– Tak. Wyczyścisz i wyprasujesz moje rzeczy. Zamokły w słonej wodzie. Wiszą na brzegu wanny. Idź po nie.

Pokojówka znalazła się w jego polu widzenia. Pomyślał, że za kilka lat będzie gruba, na razie jednak miała miłą powierzchowność, mimo iż słała się sennie. Włożyła sukienkę, lecz nie rozczesała włosów i przyszła w pantoflach.

– Uważaj na zakiet, to wełna – dodała Tansy tonem tak samo beznamiętnym, jak przedtem w rozmowie z nim. – Masz się wyrobić w godzinę.

Norman czekał na słowa sprzeciwu, lecz pokojówka nie oprotowała tego szalonego polecenia.

– W porządziu, psze pani – odpowiedziała dziewczyna. Sekundę później wychodziła z łazienki z mokrym ubraniem byle jak przewieszonym przez rękę, jakby pragnęła stąd czym prędzej umknąć, nim pod jej adresem padną następne słowa.

– Zaczekaj no, dziewczyno. Chcę ci zadać pytanie. – Tym razem Tansy mówiła trochę głośniej. Taka drobna zmiana, a wymusiła na pokojówce bezwzględny posłuch.

Gdy dziewczyna zwolniła i odwróciła się niechętnie, Norman mógł się przyjrzeć jej obliczu. Żony nie widział – zasłaniały ją drzwi – widział jednak strach malujący się na zaspanej twarzy dziewczęcia.

– Słucham, psze pani – bąknęła.

Nastąpiło długie milczenie. Z tego, jak dziewczyna kuli się, przyciskając do piersi mokre ubranie, należało wnosić, że Tansy uniosła wzrok i zajrzała jej głęboko w oczy.

W końcu się odezwała:

– Znasz łatwiejszy sposób załatwiania spraw? Sposoby zdobywania i chronienia?

Norman gotów był przysiąc, że dziewczyna zadrzała, słysząc ostatnie słowa.

Pokręciła głową i wymamrotała:

– Nie, psze pani. Nie wiem, o czym pani mówi.

– A więc nie dowiedziałaś się, jak sprawić, żeby spełniały się życzenia? Nie uprawiasz magii, nie formułujesz zaklęć, nie rzucasz uroków? Nie znasz tej sztuki?

– Nie... – odpowiedziała dziewczyna słabowitym głosikiem. Próbowwała uciec wzrokiem. Bez skutku.

– Czemu kłamiesz?

Dziewczyna wierciła się w miejscu i kurczowo krzyżowała ręce na piersi. Była tak przerażona, że Norman miał ochotę wyjść i położyć temu kres. Zwyciężyła jednak ciekawość.

– Psze pani, tego się nie mówi... – załamała się dziewczyna.

– Mnie możesz powiedzieć. A więc jakich procedur używasz?

Dziewczyna szczerze się zmieszała, słysząc trudne słowo.

– Nie wiem, psze pani, nie znam się. Ino kapkę umiem. Jak mój chłopak szedł do wojska, trochę poczarowałam, boby ranny został albo zastrzelony. I urok na niego rzuciłam, coby go do kobiet nie ciągnęło. Czasem mi się uda odegnać chorobę. Umiem tyle co nic, naprawdę. I nie zawsze mi wychodzi. Są rzeczy, o których mogę sobie tylko pomarzyć. – Wyraźnie rozwiązał jej się język.

– Rozumiem. Gdzie się tego nauczyłaś?

– A to od mamy w dzieciństwie, a to od pani Neidel. Zna zaklęcia, co chronią przed kulami. Dostała je od babci; jej krewni walczyli na wojnie w Europie dawno temu. Ale kobiety rzadko mówią sobie takie rzeczy. Parę zaklęć wymyśliłam sama. Robiłam próby, aż w końcu zadziałały. Nie powie pani nikomu?

– Nie. Spójrz na mnie. Co się ze mną stało?

– Nie wiem, psze pani, szczerze. Proszę mnie już nie męczyć.

Wynikający z przerażenia opór dziewczyny był tak przejmujący, że Norman zezłościł się na Tansy. Aż nagle przypomniał sobie, że istota za drzwiami nie jest zdolna do okrucieństwa czy życzliwości.

– Chcę, żebyś mi powiedziała.

– Nie wiem, co mam mówić, psze pani. Pani jest... nieżywa. – Padła na kolana. – Błagam, niech mi pani nie zabiera duszy. Błagam!

– Nie odbiorę ci duszy. Nie wiem, kto by na tym lepiej wyszedł. Możesz odejść.

– Dziękuję, najmocniej dziękuję! – Dziewczyna pośpiesznie zebrała porzucane ubrania. – Zaraz będą gotowe, migiem się uwinę. – I wypadła na korytarz.

Dopiero pierwsze poruszenie uświadomiło Normanowi, jak bardzo bołą go mięśnie, zdrętwiałe w czasie tych kilku minut wytężonego podglądania. Postać w szlafroku i ręczniku siedziała w identycznej pozycji jak ostatnim razem, gdy ją widział: dłonie luźno splecione, oczy skierowane tam, gdzie niedawno stała pokojówka.

– Skoro o tym wiedziałaś – spytał bez ogródek, wciąż zahipnotyzowany tym, czego był świadkiem – czemu zgodziłaś się przestać, gdy prosiłem cię o to w tamtym tygodniu.

– Kobieta ma dwie natury. – Rzekłby kto, mumia zdradza wiedzę tajemną. – Z jednej strony racjonalna jak mężczyzna. Z drugiej, dysponuje wiedzą. Mężczyźni żyją w ścisłej izolacji, są jak wyspy na oceanie magii, chronieni racjonalnym myśleniem i staraniem żon. Izolacja daje im większą siłę przebicia w działaniu i myśleniu, ale wiedza należy do kobiet. Kobiety mogłyby jawnie rządzić światem, lecz nie chcą się trudzić i brać na siebie

odpowiedzialności. Mężczyźni mogą być lepsi w sztuce magii. Nawet w dzisiejszych czasach jest kilku czarowników, lecz niewielu. W tamtym tygodniu miałam pewne podejrzenia, z których się nie zwierzałam. Też umiem racjonalnie patrzeć na świat, w dodatku chciałam być blisko ciebie pod każdym względem. Jak to kobieta, miałam wątpliwości. Po zniszczeniu amuletów i talizmanów chwilowo stałam się ślepa na działanie magii. Tak samo ktoś przyzwyczajony do dużych dawek leku nie reaguje na małe dawki. Brała we mnie górę racjonalna natura. Przez kilka dni cieszyłam się złudnym poczuciem bezpieczeństwa. Dopóki zdrowy rozsądek nie powiedział mi, że padłeś ofiarą magii. Podczas podróży sporo się dowiedziałam, częściowo od tego, który chodzi za mną. Wracamy do Hempnell? – dodała niewinnym tonem chytrego dziecka.

Zadzwoił telefon. Recepcjonista tak się zaciętrzewił, że bełkotał niezrozumiale, strasząc policją i wyrzuceniem z pokoju. Aby go udobruchać, Norman obiecał, że za moment do niego zejdzie.

Staruszek czekał zaraz pod schodami.

– Słuchaj no, panie – zaczął, grożąc palcem – rad bym się dowiedzieć, co tu się wyrabia! Sissy zlatuje z góry biała jak prześcieradło. Nic nie mówi, jeno trzęsie się jak osika. To moja wnuczka. Załatwiłem jej robotę i poczuwam się do odpowiedzialności. Wiem, co to hotel, pracuję tu całe życie. Wiem, jacy ludzie tu przychodzą. Czasem chłopcy z babami wspólnie próbują bałamucić dziewczęta. Nie myśl pan, że się czepiam, jeno pańska małżonka przybyła tu w dziwnym stanie. Kiedy kazała dzwonić po Sissy, myślałem, że chora albo co. Ale skoro chora, czemuś pan nie wołał lekarza? I co to za przesiadywanie do czwartej nad ranem? Dzwoniła pani Thompson z pokoju obok. Skarży się, że głosy słyszą. Hałasu nie ma, ale się przestraszyła. Mam prawo wiedzieć, co się dzieje.

Norman, całkiem jak podczas poważnego wykładu, rozłożył obawy staruszka na czynniki proste, aż wydały się trywialne. Wyglądał na ważną osobę i to procentowało. Recepcjonista jeszcze trochę pozrzedził i jakoś dał się udobruchać. Poczłapał do swojej kanciapki.

Norman wspiął się na schody. Na piętrze usłyszał dzwonek telefonu. Nim przeszedł korytarz, dzwonięcie ustało.

Otworzył drzwi. Tansy stała przy łóżku i rozmawiała przez telefon. Czarna, matowa słuchawka, umieszczona między ustami a uchem, podkreślała błądź warg i policzków oraz biel ręcznika.

– Mówi Tansy Saylor – powiedziała beznamiętnie. – Chcę odzyskać duszę... Nie słyszysz, Evelyn? – dodała po chwili milczenia. – Mówi Tansy Saylor. Chcę odzyskać duszę.

Zupełnie zapomniał o rozmowie telefonicznej, którą zamówił w chwili gniewnego wzburzenia. Wywietrzało mu z głowy wszystko, co zamierzał powiedzieć.

Ze słuchawki wydostał się przeciągły lament. Tansy nie dała się zbić z tropu:

– Mówi Tansy Saylor. Chcę odzyskać duszę.

Postąpił krok w jej stronę. Wycie przerodziło się w dziki skowyt, przemieszany z szumem

porywistego wiatru. Wyciągnął rękę, żeby wziąć słuchawkę, lecz Tansy błyskawicznie się odwróciła i z telefonem coś się stało.

Kiedy martwy przedmiot zaczyna się zachowywać, jakby było w nim życie, zachodzi podejrzenie złudzenia. Przykładowo ołówek: można nim manipulować tak sprytnie, że wydaje się zginać niczym gumka. A Tansy trzymała słuchawkę w ręku i trzęsła nią tak gwałtownie, że trudno było jasno ocenić sytuację.

Tak czy inaczej, odnosił wrażenie, że słuchawka, nagle elastyczna, skręca się na podobieństwo tłustego, czarnego robaka, a następnie przywiera do skóry i niczym drapieżna dwustronna łapa wbija się w policzek i miejsce tuż pod uchem. Razem z wyciem słyhać było stłumiony odgłos ssania.

Zareagował niezwłocznie, instynktownie i ze zdumiewającym skutkiem. Upadłszy na kolana, wyrwał kabel z gniazdka. Sypnęły się niebieskie iskry. Luźny koniec śmignął w powietrzu i, skręcając się niczym ranny wąż, owinał mu rękę. Miał wrażenie, że kabel zadygotał spazmatycznie, nim zwiotczał. Wstając, zerwał go z siebie ze zgrozą i obrzydzeniem.

Słuchawka upadła na ziemię. Zwyczajna, najnormalniejsza w świecie słuchawka. Trącił ją butem. Rozległ się głuchy trzask i przesunęła się po podłodze jak zwykły przedmiot. Schylił się i po chwili wahania ostrożnie ją dotknął. Zgodnie z oczekiwaniami, była twarda i sztywna.

Popatrzył na Tansy. Nie ruszała się z miejsca. Na twarzy nie odbijał się nawet cień strachu. Z obojętnością maszyny uniosła dłoń, by wolno rozmasować policzek i szyję. Z kącika ust sączyła się krew.

Oczywiście, mogła uderzyć się słuchawką w usta i skaleczyć wargę.

Ale przecież sam widział...

Jednakowoż... mogła w zdenerwowaniu trząść słuchawką, która tylko wyglądała tak, jakby się zginała.

Tylko że wcale tak nie wyglądała. Zobaczył rzeczy, które... przeczyły zdrowemu rozsądkowi. Co prawda, ciągle stykał się z takimi ostatnimi czasy.

Na drugim końcu linii rzeczywiście była Evelyn Sawtelle. Wszak słyszał między innymi dźwięk czuringi. Nie widział w tym nic nadprzyrodzonego. Jeśli nagranie czuringi puszczano przy słuchawce, tak właśnie musiało brzmieć. Nie było mowy o pomyłce. Powinien trzymać się faktów.

Ta myśl go zelektryzowała. Zawrzał gniewem. Sam się zdziwił, skąd w nim tyle nienawiści do tej baby o małych, mętnych oczkach. Przez chwilę czuł się jak inkwizytor, któremu przedstawiono dowody złych zaklęć. Przeleciały mu przez głowę myśli o ławie tortur, łamaniu kołem i hiszpańskim bucie. Groteskowe wizje średniowiecza ustąpiły, lecz złość pozostała, sprowadzona do postaci niesłabnącego poczucia krzywdy.

Cokolwiek spotkało Tansy, z całą pewnością przyczyniły się do tego Evelyn Sawtelle,

Hulda Gunnison i Flora Carr. Wystarczyło przypomnieć sobie, jak się zachowywały. Kolejny fakt, którego musiał się trzymać. Ponośliły winę niezależnie od tego, czy wszczęły przeciwko Tansy szatańską i szalenie przebiegłą kampanię mętnych podszeptów, czy też walczyły z nią innymi, nieznanymi sposobami.

Prawnik ani psychiatra nic by tu nie wskórał. Był jedynym człowiekiem na świecie, który mógł uwierzyć i zrozumieć to, co się działo w ciągu ostatnich dni. Musiał sam ruszyć w bój, posługując się ich własną bronią – właśnie owymi nieznanymi sposobami.

O tak, powodzenie zależało od tego, czy bezkrytycznie zawierzy tym sposobom.

Tansy przestała pocierać twarz. Oblizwała wargę, na której zasychała krew.

– Jedziemy do Hempnell?

– Tak!

## 16

Rytmiczny zgrzyt i stukot pociągu, kołysanka epoki maszyn. Norman słyszał sapanie silnika. Za oknem przedziału przesuwały się rozległe, zielone pola, zgrzane w upale, uśpione w południowym słońcu. Z rzadka pojawiały się rolnicze obejścia, stada bydła i konie – wszystko znieruchomiałe w skwarным powietrzu. Sam by się chętnie zdrzemnął, lecz wiedział, że sen nie przyjdzie. A jeśli chodzi o Tansy, to najwyraźniej nie potrzebowała snu.

– Chciałbym przemyśleć parę spraw – powiedział. – Daj znać, jeśli usłyszysz coś niepokojącego lub niezrozumiałego.

Kątem oka widział, jak postać siedząca między nim a oknem kiwa głową.

Uświadomił sobie, że straszne są takie zdolności przystosowawcze, które pozwalają przywyknąć nawet... do niej. Nie minął drugi dzień, a już używał jej w charakterze myślącej maszyny; pytał o wspomnienia czy wnioski tak samo, jak pan zwraca się do służącego, by włączył gramofon i puścił taką a taką płytę. Równocześnie zdawał sobie sprawę, że utrzymywanie z nią tak bliskiego kontaktu tylko dlatego stało się znośne, ponieważ nauczył się panować nad tym, co myśli i robi. Podobnie jak umiał patrzeć na nią, a zarazem nie patrzeć prosto w oczy. Pocieszał się nadzieją, że to tylko stan przejściowy. Gdyby jednak dopuścił do siebie myśl, że będzie do końca życia jadł i dzielił łożę z tą zimną istotą, pustą i nieczułą...

Inni też dostrzegali różnice, a jakże. Chociażby wczoraj w Nowym Jorku, w zatłoczonych przejściach. Ludzie mimowolnie odsuwali się na bok, żeby *jej* nie dotykać. Niejeden raz zauważył, jak wodzą za nią wzrokiem, powodowani ciekawością i lękiem. A ta kobieta, co się rozdarła wniebogłosy... Na szczęście prędko rozplynęli się w tłumie.

Krótki pobyt w Nowym Jorku pozwolił mu przemyśleć pewne palące kwestie, lecz ucieszył się, gdy wreszcie mogli ruszać w drogę. Przedział w wagonie wydawał się ostoją prywatności.

Czym zwracała na siebie uwagę? Otóż patrząc z bliska, można było stwierdzić, że ciężki makijaż krzykliwie, wręcz groteskowo kontrastuje z trupią bladością skóry, a puder niezupełnie zakrywa ciemne, wstrętne zsinienie przy ustach. Pomagała jednak woalka i należałoby przyglądać się naprawdę uważnie. Makijaż nałożono z teatralną pieczołowitością.



Czy ludzi dziwił jej sposób chodzenia? Czy może to, jak wisało na niej ubranie? Wyglądała w nim trochę jak strach na wróble, aczkolwiek trudno to było wytłumaczyć. A może rzeczywiście powinien się zastanowić nad słowami pokojówki w Bayport?

Co jeszcze do niego dotarło: błędził myślami nie wiadomo gdzie prawdopodobnie dlatego, że wzdrygał się przed odrażającym zadaniem, którym się obarczył – zadaniem, przed którym czuł wewnętrzny opór, ponieważ wydawało się o tyle niestosowne... co konieczne.

– Magia jest nauką praktyczną – zwrócił się do ściany w prędkich słowach, jakby dyktował. – Między prawem fizyki i magiczną formułą istnieje przeogromna różnica. To pierwsze za pomocą zwięzłych, matematycznych symboli opisuje ogólnie obowiązujące zależności przyczynowo-skutkowe. Ta druga zaś pozwala osiągnąć konkretny cel, przy czym liczy się motywacja osoby ją stosującej, objawiająca się w chciwości, miłości, pragnieniu zemsty. Gdy tymczasem powodzenie eksperymentu fizycznego z reguły nie zależy od nastawienia eksperymentatora. Krótko mówiąc, właściwie nie ma czegoś takiego jak czysta magia, odpowiadająca czystej nauce. Ta różnica między fizyką a magią wynika wyłącznie z uwarunkowań dziejowych. Fizyka rodziła się jako odmiana magii, wystarczy przywołać alchemię czy matematyczny mistycyzm Pitagorasa. Dzisiejsza fizyka ma zastosowanie w praktyce nie mniejsze niż magia, której jednak brakuje teoretycznych podwalin. Tego rodzaju podwaliny można by stworzyć poprzez zgłębianie prawideł czystej magii, a także badanie i porównywanie zaklęć magicznych ludów z różnych epok w celu wyodrębnienia formuł podstawowych, dających się opisać matematycznymi symbolami i mających szerokie zastosowanie. Ludzi parających się magią najczęściej interesują doraźne korzyści, nie przejmują się teorią. Badania naukowe dały po latach, bynajmniej nie w drodze przypadku, rezultaty o wielkim znaczeniu praktycznym, zatem badania zjawisk magicznych mogłyby kiedyś być równie owocne. W rzeczy samej, prace Josepha Rhine'a na Uniwersytecie Duke'a zbliżyły go do czystej magii, pozwoliły mu zebrać mnóstwo dowodów na istnienie zdolności jasnowidzenia, przepowiadania przyszłości i telepatii. Wyniki badań potwierdzały obecność bezpośredniej więzi między umysłami, dzięki której mogły się ze sobą błyskawicznie kontaktować, nawet jeśli ludzie znajdowali się na przeciwległych krańcach ziemi. – Zrobił sobie przerwę, po czym dodał: – Domena magii jest pokrewna domenie fizyki w tym, że dotyczy określonych sił i materiałów, choć są one...

– Moim zdaniem, jest bardziej pokrewna domenie psychologii – przerwała mu Tansy.

– Jak to? – Ciągłe patrzył w ścianę.

– Ponieważ chodzi o kontrolę nad innymi istotami, o przyzywanie ich i skłanianie do wykonywania specyficznych poleceń.

– Ciekawa uwaga, chociaż ryzykowna. Na szczęście magiczne formuły zawsze się sprawdzają, jeśli tylko są właściwie zbudowane, mimo że nie jest nam znana prawdziwa natura istot, do których się odnoszą. Ale też nie wymagamy od fizyka, żeby zobrazował nam wygląd atomu, nawet gdyby, w co wątpię, dało się go jednoznacznie zobrazować.

Analogicznie, czarownik nie musi opisywać wyglądu i zachowania przyzywanych istot, dlatego spotykamy w literaturze odwołania do nieokreślonych i bezimiennych straszycieli. Idąc jednak twoim tropem, wiele, że tak powiem, nieosobowych sił po wnikliwej analizie uzyskuje coś na kształt osobowości. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że jakaś nauka pokrewna psychologii opisuje zachowanie pojedynczego elektronu, wszystkie jego humory i zachcianki, choć elektrony w grupie przestrzegają stosunkowo prostych praw, podobnie jak masy ludzkie. To samo dotyczy, nawet w większej mierze, podstawowych elementów magii. Częściowo dlatego procesy magiczne są tak zawodne i niebezpieczne. I dlatego można łatwo zniweczyć ich działanie, jeśli potencjalna ofiara ma się na baczności, tak samo jak twoje zaklęcia są, jak nam się wydaje, niszczone, odkąd pani Gunnison ukradła twój zeszyt. – Przedstawił swój wywód wyjątkowo napszonym tonem, ale tylko dzięki temu suchemu, belferskiemu sposobowi wysławiania się mógł to ciągnąć. Wiedział, że jeśli pozwoli sobie na potoczny język, będzie miał wkrótce mętlik w głowie. – Należy wziąć pod uwagę jeszcze jedną nader ważną rzecz – podjął szybko. – Magia wydaje się nauką zasadniczo zależną od środowiska, mianowicie od sytuacji na świecie i wpływów kosmicznych w danej chwili. Weźmy taką geometrię euklidesową: użyteczna na Ziemi, w głębinach kosmosu ustępuje miejsca nieeuklidesowej. To samo dotyczy magii, lecz w dużo większym stopniu. Podstawowe, sprecyzowane formuły magiczne zmieniają się wraz z upływem czasu, wymagają ciągłego doprecyzowywania, choć całkiem możliwe, że kiedyś odkryjemy formuły nadrzędne, regulujące proces zmian. Spekuluje się, że prawa fizyki przejawiają podobną tendencję do ewoluowania; gdyby jednak naprawdę ewoluowały, odbywałoby się to nieporównanie wolniej niż w przypadku magii. Na przykład niektórzy przypuszczają, że w rezultacie starzenia się światło biegnie coraz wolniej. Prawa magii muszą ulegać szybszym przeobrażeniom, albowiem magia polega na kontaktach między światem materialnym a inną sferą bytu, a kontakty te są złożone i mogą podlegać nagłym zaburzeniom. A taka astrologia! Po upływie tysięcy lat, wskutek precesji osi ziemskiej, Słońce znajduje się w danej porze roku w zupełnie innym gwiazdozbiornie zodiakalnym. O człowieku urodzonym, dajmy na to, 22 marca, nadal mówi się, że jest spod znaku Barana, chociaż Słońce przebywa wtedy w gwiazdozbiornie Ryb. Nieuwzględnianie tej zmiany, odkąd sformułowano pierwsze zasady astrologii, sprawiło, że są przestarzałe i nieadekwatne do...

– Moim zdaniem – odezwała się Tansy, jakby nagle włączyła się płyta gramofonowa – astrologia zawsze była traktowana z przymrużeniem oka. To pseudonauka, powszechnie mylona z prawdziwą magią, będąca jej zewnętrzną fasadą. Tak sędzę.

– Prawdopodobnie masz słusność. Po części dlatego magia jako nauka cieszy się tak złą sławą. I właśnie do tego zmierzam. Powiedzmy, że w ciągu ostatnich kilku tysięcy lat podstawowe prawdy naukowe, jak trzy zasady dynamiki Newtona, zmieniałyby się kilkakrotnie. Formułowanie zasad fizycznych byłoby znacznie utrudnione. W zależności od epoki te same eksperymenty dawałyby różny wynik. Ale tak właśnie się dzieje w przypadku

magii. Oto przyczyna, dla której ludzie stale wyśmiewają magię, a trzeźwo myślące umysły mają ją w pogardzie. Pamiętasz, co mówił stary Carr o rozdaniach kart w brydżu? Po kilku przetasowaniach niezliczonych kosmicznych wpływów zasady magii ulegają zmianie. Bystre oko dostrzeże zmiany, lecz należałoby prowadzić ciągle eksperymenty metodą prób i błędów, żeby sensownie zaszerzować niedopracowane magiczne formuły. Zwłaszcza że nie zostały odkryte formuły podstawowe i nadrzędne. Może konkretny przykład: formuła, z której korzystałem w niedzielę w nocy. Nosi znamiona niedawnych modyfikacji. Co było wcześniej, nim zaczęto stosować igłę gramofonową?

– Wierzbowy gwizdek o specjalnym kształcie, którym tylko raz zagwizdano.

– A platyna i iryd?

– Pierwotnie wymienia się srebro, lecz skuteczniejszy jest cięższy metal. Jednak ołów okazał się zupełnie nieprzydatny. Nawet raz próbowałam. Przypuszczam, że pod wieloma względami za bardzo różni się od srebra.

– Otóż to! Metoda prób i błędów. Co więcej, bez szczegółowych badań nie wiadomo, czy wszystkie składniki magicznej formuły naprawdę są konieczne. Przydałoby się porównanie formuł stosowanych przez ludzi różnej narodowości w różnych krajach. Dowiedzielibyśmy się, które składniki występują we wszystkich formułach, a więc są niezbędne, a z których można zrezygnować.

Rozległo się ciche pukanie. Norman wypowiedział kilka słów, na co postać w korytarzyku odsunęła zasłonę w drzwiach i przed ich otwarciem spojrzała w okno, jakby ciekawił ją wyłącznie widok pól.

Nadeszła pora lunchu, tyle samo spóźniona co wcześniej pora śniadania. Zmieniła się twarz chłopaka: przedtem hebanowa, teraz w kolorze kawy. Być może poprzedni kelner, który okazywał rosnący przestach z każdą kolejną wizytą w ich przedziale, wołał wysłać po hojny napiwek kogoś innego.

Z mieszaniną ciekawości i zniecierpliwienia Norman czekał na reakcję nowo przybyłego. Był w stanie ją przewidzieć. Najpierw szybkie, przenikliwe spojrzenie na osobę siedzącą przy oknie. Prawdopodobnie byli najbardziej zagadkowymi pasażerami pociągu. Następnie spojrzenie dłuższe, spode łba, gdy chłopak będzie rozkładał stół, skutkujące wytrzeszczem oczu. Po ciemnej skórze przejdzie mrowie. Potem będą już tylko krótkie, wręcz niechętnie spojrzenia z towarzyszeniem narastającego skrępowania, widocznego w niezręcznym obchodzeniu się ze szklankami i talerzami. Na koniec przesadny uśmiech i w nogi.

Norman wtrącił się tylko raz – kładąc noże i widelce tak, żeby leżały prostopadle do pierwotnego położenia.

Posiłek był skromny niczym głodowa racja. W czasie jedzenia nie podnosił wzroku. W tym mechanicznym posilaniu się było coś o wiele gorszego niż zwierzęca łapczywość. Po lunchu usiadł wygodnie i sięgnął po papierosa.

– Aby o czymś nie zapominasz? – padło pytanie pozbawione akcentów.

Wstał, zgarnął resztki jedzenia do małego papierowego pudełeczka i owinał je serwetką, którą uprzednio wytarł do sucha talerze. Potem schował pudełeczko do walizki, gdzie już spoczywała koperta ze ścinkami jego paznokci. Między innymi to właśnie widok czystej zastawy po śniadaniu napędził stracha pierwszemu kelnerowi, lecz Norman konsekwentnie przestrzegał wszystkich zakazów i nakazów, przy których obstawała Tansy.

Tak więc zbierał resztki jedzenia. Baczył, by noże i inne ostre narzędzia nie były wymierzone w niego lub jego towarzyszkę podróży. Spał z głową bliżej lokomotywy, czyli też celu podróży. Wcielił w życie całą masę zaleceń. Jednym z nich było jedzenie bez świadków, które jednak miało więcej dobrych stron.

Spojrzał na zegarek. Na miejscu będą za półtorej godziny. Nie wiedział, że już dojeżdżają. Poczul nikły opór; powietrze zdawało się zagęszczać, jakby odpychała go cała leżąca naprzeciwko kraina. W głowie wrzało od kwestii wymagających rozważenia.

Odwracając się w bok, zapytał:

– Mitologia mówi, że dusze można uwięzić w rozmaity sposób: w pudełku, węzłach, zwierzętach, kamieniu. Coś ci wiadomo na ten temat?

Jak się tego obawiał, pytanie spotkało się ze zwyczajną reakcją. W słowach odpowiedzi pobrzmiwała ta sama tępa natarczywość co pierwszym razem, kiedy je usłyszał.

– Chcę odzyskać duszę.

Zacisnął dłonie splecione na kolanach. Oto dlaczego dotąd unikał tej drażliwej kwestii. A jednak musiał wiedzieć więcej, jeśli to było możliwe.

– Właściwie to gdzie jej szukać?

– Chcę odzyskać duszę.

– Oczywiście. – Z trudem panował nad głosem. – Ale jak konkretnie można ją schować? Lepiej będzie, jak się dowiem.

Po dość długim milczeniu Tansy odezwała się głosem robota, naśladowując jego profesorski sposób mówienia:

– Naturalnym środowiskiem duszy jest ludzki mózg. Na swobodzie dusza natychmiast szuka podobnego środowiska. Dusza i ciało to dwie odrębne istoty, żyjące ze sobą w tak zażyłej symbiozie, że mogą uchodzić za jeden byt. Prawdopodobnie ta zażyłość pogłębiała się z upływem wieków. Kiedy umiera ciało, w którym przebywa dusza, zazwyczaj nie jest w stanie uciec i wydaje się, że też ginie. Jednak pewne nadprzyrodzone sposoby pozwalają oderwać duszę od ciała. Jeżeli nie zdoła wrócić do człowieka, nieprzeparta siła ciągnie ją do innego, niezależnie od tego, czy ten ktoś ma już duszę. Uwięziona w mózgu porywacza, siłą rzeczy widzi i czuje, co porabia dusza gospodarza. To chyba jest dla niej najcięższą udręką. Na czole Normana pojawiły się krople potu.

– Jaka jest Evelyn Sawtelle? – Głos mu nie zadrzał, lecz słowa padały z nienaturalnym trudem, niemalże wydyszane.

Odpowiedziała chłodnym tonem, jakby czytała skrócony opis polityka:

– Zabiega przede wszystkim o prestiż społeczny. Ciągłe się stara, bez powodzenia, dołączyć do śmietanki towarzyskiej. Widzi dla siebie romantyczną przyszłość, ale że jej wygórowane marzenia nie mają szansy się spełnić, jest pruderyjna, zarozumiała i propaguje surowy styl życia. Jeśli chodzi o męża, to czuje się pokrzywdzoną przez los; codziennie się boi, że mąż straci pozycję, którą mu wypracowała. A że nie wierzy w swoje siły, ucieka się do złośliwości i aktów okrucieństwa. Teraz jest przerażona i ma się na baczności. Dlatego przywitała nas gotowym zaklęciem, gdy zadzwonił telefon.

– A pani Gunnison. Co o niej myślisz?

– To kobieta pełna wigoru, z apetytem na życie. Jest dobrą żoną i gospodynią, lecz zużywa do tego ułamek swej energii. Powinna zarządzać książęcymi włościami. Ma naturę tyrana i bezpardonowo dąży do swego. Pragnienia, z którymi nieraz musi się kryć w dzisiejszym społeczeństwie, zaspokaja w przebiegły sposób. Młode służące Gunnisonów czasem coś opowiedzą, ale tylko ukradkiem, bo ona nie ma litości dla ludzi nielojalnych i tych, którzy jej zagrażają.

– A pani Carr?

– Trudno powiedzieć o niej coś więcej. Nie ma wybitnej osobowości, łagodnie dowodzi swoim mężem i cieszy się, że w oczach ludzi uchodzi za osobę pobożną i życzliwą. A jednak tęskni za młodością. Mam wrażenie, że została wiedźmą dopiero w średnim wieku, co jest dla niej źródłem wielu zgrzyot. Nie jestem pewna, co jej chodzi po głowie. Z jakiejś przyczyny nie sposób wysondować jej myśli.

Norman pokiwał głową. Naraz zdobył się na odwagę:

– Wiesz coś o zaklęciach pozwalających odzyskać skradzioną duszę? – spytał jednym tchem.

– Mało. Całą masę takich zaklęć zapisałam w zeszycie, który ukradła pani Gunnison. Mam jakieś takie pojęcie na temat obrony przed atakiem, ale nie znam zaklęć na pamięć. Zresztą wątpię, czyby zadziałały. Nigdy ich nie wypróbowałam, a z doświadczenia wiem, że moje zaklęcia nie działają za pierwszym razem. Trzeba je zawsze szlifować metodą prób i błędów.

– Ale gdyby się dało je porównać, odkryć nadrzędną formułę, która nimi rządzi...

– To kto wie.

Zapukano. Zjawił się bagażowy po walizki.

– Za pięć minut stacja Hempnell, proszę pana. Mam pana otrzepać w korytarzu?

Norman dał mu napiwek, lecz zrezygnował z usługi. Powiedział też, że sami wyniosą bagaże. Mężczyzna uśmiechnął się nieporadnie i wycofał.

Norman stanął przy oknie. Przez chwilę widział tylko przesuwający się w szaleńczym tempie zwirowy nasyp, nad którym majaczyły ciemne drzewa. Aż nagle, gdy tory skrzyły, zjeżdżając w dolinę, za nasypem odsłoniła się szeroka panorama.

W dole nad polami przeważały obszary leśne. Drzewa zdawały się osaczać miasto,

zalewać je swą ogromną liczbą. Z tego miejsca jawiło się maciupeńkie. Tylko budynki uczelni prezentowały się okazale. Doznał złudzenia, że widzi okno swojego gabinetu.

Szare, zimne wieże i ciemne dachy zdawały się przyczółkiem jakiegoś innego, starszego świata. Serce zabiło w nim mocniej, jakby niespodziewanie dojrzał twierdzę wroga.

Pokonując lęk, obszedł Morton Hall, wyprostował się w ramionach i skierował spojrzenie na kampus. Zaskoczyła go przede wszystkim atmosfera normalności. Wprawdzie nie uważał, by Hempnell emanował namacalną aurą zła, nie mnożyły się tu znaki działania nieczystych mocy... czy tego, z czym walczył, jakkolwiek to nazwać. Wszelako ów anormalny, wręcz podręcznikowy łań – studenci wędrujący gromadkami do akademików i automatu z wodą sodową w klubie studenckim, ubrane na białą dziewczęta przed lekcją tenisa czy wreszcie miły, znajomy widok szerokich chodników – wszystko to odprężyło umysł, rzec by można, przekonywało o tym, że dał się zwariować.

Otwórz oczy, mówił jednak głos rozsądku. Niejedna roześmiana dziewczyna jest już odmieniona. Szanowne mamusie zdążyły je dyskretnie pouczyć, jak w nietradycyjny sposób sprawić, by spełniło się życzenie. Wiedzą już, że choroby psychiczne wynikają też z pewnych przyczyn, o których nie ma mowy w podręcznikach medycznych, a skrypty do ekonomii są niczym w porównaniu z tym, co oferuje magia pieniędzy. I z pewnością nie powtarzają w pamięci wzorów chemicznych, kiedy w czasie popijania coli lub plotek o chłopakach w ich oczach pojawia się nagle nieobecne spojrzenie.

Odwrócił się do schodów i szybko wbiegł do środka.

Były jeszcze rzeczy, które go mogły zaskoczyć, o czym się przekonał, widząc grupę studentów wychodzącą z sali przy końcu korytarza na drugim piętrze. Zerknął na zegarek. To właśnie jego studenci rozpraszały się po przepisowych dziesięciu minutach czekania na spóźnialskiego profesora. Mieli rację, pomyślał, wszak był profesorem Saylorem, człowiekiem mającym na głowie odczyty, zebrania komitetów i ważne spotkania. Żeby nikt go nie spostrzegł, pośpiesznie skręcił w boczny korytarz.

Nim wszedł do gabinetu, postać kilka minut przed drzwiami. Na oko wszystko było po staremu, lecz poruszał się ostrożnie, wystrzegając się obcych przedmiotów. Każdą szufladę wnikliwie obejrzał, nim odważył się włożyć rękę do środka.

W stosie nie przeczytanej korespondencji znalazł jeden złowieszczy list. Wysłany z gabinetu Pollarda, nakazywał mu wziąć udział w zebraniu zarządu w tym tygodniu. Uśmiechał się z ponurą satysfakcją, oglądając dowód na to, że jego kariera wciąż się sypie.

Skrupulatnie wyciągnął z teczek część papierów, wypchał nimi aktówki, a resztę rzucił na stertę.

Rozejrzawszy się po raz ostatni – zauważył przy tym, że smok nie wrócił na swoje miejsce na dachu Estrey Hall – ruszył w dół po schodach.

Przed budynkiem spotkał panią Gunnison.

Brzemień na rękach jakoś o wiele bardziej mu dokuczało. Przez chwilę widział ją bardzo niewyraźnie.

– Całe szczęście, że pana spotykam – rzuciła bez słowa wstępu. – Harold próbuje się z panem skontaktować na wszystkie możliwe sposoby. Gdzie pan się podziewał?

Nagle znów ją zobaczył jako starą, powolną, nie dbającą o siebie kobietę. Z mieszaniną ulgi i rozczarowania zrozumiał, że wojna, w której uczestniczy, toczy się w podziemiu; w świetle dziennym stosunki między nimi układały się jak dawniej. Zaczął zmyślać, jak to spędzając weekend u przyjaciół na wsi, zatruli się jedzeniem, a wiadomość wysłana do Hempnella musiała zaginąć w drodze. Tym chytrym kłamstwem wyjaśnił też wygląd Tansy – gdyby ktoś ją zobaczył – ponadto zaniedbanie obowiązków akademickich mógłby złożyć na karb nawrotów dolegliwości.

Wątpił, czy pani Gunnison bez zastrzeżeń uwierzy w to kłamstwo, lecz tak czy inaczej musiał się trzymać jednej wersji.

Nie komentując tej historii, wyraziła współczucie i na koniec powiedziała:

– Niech pan nie zapomni skontaktować się z Haroldem. Wydaje mi się, że chodzi o zebranie zarządu, na którym pan ma być obecny. Harold dużo o panu myśli. Do widzenia.

Patrzył na nią zaskoczony, gdy maszerowała w swoją stronę. Dziwne, ale pod sam koniec zauważył w jej zachowaniu oznaki szczerzej sympatii, jakby na moment wyjrzało jej z oczu coś, co nie było panią Gunnison.

Miał do załatwienia kilka pilnych spraw. Pośpieszył do auta zaparkowanego poza terenem miasteczka studenckiego. Spojrzał zezem na nieruchomą postać na przednim siedzeniu, wsiadł i pojechał do Sawtelleów.

Dom był za duży jak na potrzeby jego domowników, a trawnik od frontu – skrzętnie przystrzyżony. Trawa jednak miejscami pożółkła, a kwiaty rosnące w wojskowym ordynku wyglądały na zaniedbane.

– Zaczekaj na mnie – polecił. – I nie wychodź z samochodu, choćby nie wiem co.

Ku jego zdziwieniu Hervey wyszedł mu na powitanie. Pod zawsze zatroskanymi oczami pojawiły się cienie, przebierał też palcami ze zdwojoną energią.

– Tak się cieszę, że wpadłeś – rzekł, zaciągając go do środka. – Sam już nie wiem, co robić, tyle mi przywalili obowiązków na wydziale. Zwalniam grupy z zajęć, szukam wykładowców na zastępstwo, a jutro ma być gotowy informator na przyszły rok! Chodź do gabinetu. – Poganiając Normana, przeprowadził go przez olbrzymi salon, urządzone bogato, lecz bez smaku, do zapuszczonej, wypełnionej książkami kłitki z jednym małym okienkiem. –



Jeszcze trochę i zwariuję! Nie wyściubiłem nosa z domu, odkąd napadnięto na Evelyn w sobotę wieczór.

– Co takiego?!

– Nie słyszałeś? – Popatrzył na Normana, zdumiony. Nawet tutaj, mimo oczywistej ciasnoty, próbował przechadzać się od ściany do ściany. – W gazetach pisali! Dziwne, że nie pokazałeś się ani nie zadzwoniłeś. Szukałem cię w domu, szukałem w gabinecie, lecz słuch po tobie zaginął. Evelyn od soboty leży w łóżku i wścieka się, gdy proponuję spacer. Teraz śpi, dzięki Bogu.

Norman w krótkich słowach powtórzył swoją zmyśloną wersję wydarzeń. Chciał wrócić do tego, co się stało w sobotni wieczór. Opowiadając bez zająknięcia o zatruciu pokarmowym, przeniósł się w myślach do Bayport i rozmowy telefonicznej z Evelyn, która odbyła się właśnie tamtej nocy. Tylko że Evelyn wydawała się stroną atakującą, nie atakowaną. Przyszedł na konfrontację, ale w tej sytuacji...

– Takie to moje psie szczęście! – zawołał teatralnie Hervey, gdy tylko doszedł do głosu. – Wydział zaczął się walić już tego samego tygodnia, kiedy objąłem kierownictwo. Nie ma w tym, oczywiście, twojej winy. A młodego Stackpolea zmogła grypa.

– Jakoś z tego wybrniemy. Usiądź i powiedz, jak to było z Evelyn.

Hervey niechętnie uprzątnął kawałek biurka, żeby na nim usiąść. I jęknął, kiedy wpadły mu w oczy papiery związane z jakąś pilną pracą.

– To się zdarzyło koło czwartej nad ranem – zaczął, szeleszcząc w zamyśleniu papierzyskami. – Obudziły mnie straszne wrzaski. Jej łóżko puste, a w korytarzu ciemno, że oko wykol. Z dołu dobiegają odgłosy walki, coś rymnęło o ziemię... – Nagle nastawił ucha. – Co to? Chyba słyszałem kroki w korytarzu od frontu. – Zanim Norman coś powiedział, mówił dalej: – No tak, to z przewrażliwienia. Od tamtej pory jestem kłębkim nerwów... Cóż, chwytam co popadnie, chyba flakon, i schodzę na dół. Akurat się uciszyło. Zapalam światła i zaglądam do wszystkich pomieszczeń. Evelyn leży bez zmysłów w pokoiku do szycia. Wokół ust i na szyi zaczęły się pojawiać okropne sine ślady. Obok leży słuchawka (mamy tam aparat, bo Evelyn ciągle rozmawia przez telefon). Omalże ze skóry nie wyskoczyłem. Dzwonię po lekarza i policję. Po odzyskaniu przytomności może już coś powiedzieć, choć jest roztrzęsiona. Najpierw zadzwonił telefon. Aby mnie nie obudzić, zeszła na dół po ciemku. Kiedy podniosła słuchawkę, z kąta wyskoczył włamywacz. Szamotała się z nim (na samą myśl o tym ogarnia mnie furia!), ale był silniejszy i przydusił ją tak, że zemdlała. – Ze zdenerwowania zmiął kartkę, którą trzymał w ręku, ale się zreflektował i zaraz ją wygładził.

– Całe szczęście, że pojawiłem się w porę! Musiałem go spłoszyć. Lekarz stwierdził, że oprócz siniaków nie ma żadnych obrażeń. Ale te sińce nawet jego zdziwiły. Ponoć nie widział takich nigdy w życiu. Policja uważa, że włamywacz, chcąc zwabić kogoś na dół, po wejściu do domu zadzwonił na centralę i poprosił, żeby oddzwonili na ten numer. Pewnie wcisnął kit o zepsutym dzwonku. Nie wiadomo, jak się dostał do środka, bo okna i drzwi były zamknięte

na głucho. Może przed pójściem spać zapomniałem przekręcić klucz w drzwiach wyjściowych. Znowu to moje karygodne roztargnienie! Powiedzieli mi na policji, że to był złodziej lub zboczeniec, ale swoją drogą, musiał być też wariatem. Na ziemi leżał srebrny talerz i dwa *srebrne* widelce, dziwnie zakleszczone, były też inne cudactwa. No i słuchał gramofonu, bo był otworzony, talerz się obracał, a na ziemi wały się szczątki płyty, na której Evelyn nagrała jakieś przemówienie.

Norman gapił się na podenerwowanego szefa swojego wydziału. Spojrzenie może i miał otepiałe, lecz w głowie kłębiły się myśli. Pierwsza rzecz, która do niego dotarła, to dobitny dowód na to, że faktycznie słyszał czuringę przez telefon w hotelu. Cóż innego zawierałaby połamana płyta? Evelyn naprawdę parała się czarami, podobnie jak Tansy. W przeciwnym razie co robiłyby na podłodze srebrne sztucce czy „inne cudactwa”? Ponadto musiała spodziewać się telefonu, więc się przygotowała, inaczej nie miałaby wszystkiego pod ręką.

Prędko jednak odtworzył sobie w pamięci, co mówił Hervey o obrażeniach żony – sińcach chyba identycznych jak te, których Tansy nabawiła się podczas rozmowy telefonicznej... lub które sama spowodowała. Takie same rany, takie same narzędzia. Wychylał się z cienia nowy świat, gdzie zaklęcia czarnej magii, nie wypełniwszy zadania, wracają do nadawcy, gdzie zastraszanie za pomocą czarów uderza rykoszetem w zdradliwy i psychopatyczny umysł sprawcy.

– To wszystko moja wina – powtarzał smętnie Hervey, szarpiąc krawat. Zawsze obarczał się winą, ilekroć coś złego (czy chociażby zły humor) przytrafiło się Evelyn. – To ja powinienem był się obudzić! To ja powinienem był zejść do telefonu. Kiedy sobie wyobrażę, jak ta moja kruszynka schodzi po omacku, a przed nią czai się ten... A tu jeszcze wydział! Mówię ci, zwariować można! Od tamtej pory biedaczka zmarniała, że aż strach. – Szarpnął krawat tak mocno, że zaczął się dusić i musiał popuścić węzeł. – Mówię ci, oka nie zmrużyłem – ciągnął, gdy zaczerpnął tchu. – Gdyby pani Gunnison nie była tak miła i nie posiedziała z Evelyn wczoraj rano, to sam nie wiem, co by ze mną było. Ale i to ją nie uspokoiło na tyle, żeby pozwoliła mi... Na Boga, Evelyn!!!

Norman nie potrafił powiedzieć, kto wydał z siebie tak nieludzki wrzask, a i Hervey, jego zdaniem, nie był lepiej zorientowany. Na pewno jednak ktoś krzyczał na piętrze.

– Przecież słyszałem kroki! – ryknął Hervey. – On wrócił!

– Galopem wyskoczył z gabinetu.

Norman gnał tuż za nim, zdjęty nagłym strachem. Żeby się upewnić, wystarczyło zerknąć przez okno w salonie na pusty samochód. Przegonił Herveya na schodach i pierwszy dopadł drzwi sypialni. Zatrzymał się w progu. Hervey, bełkocząc ze strachu i poczucia winy, wpadł prosto na niego.

Tego się Norman nie spodziewał. Evelyn cofnęła się na skraj łóżka, pod ścianę, owinięta jedwabną, różową narzutą. Dzwoniła zębami, blada jak kreda.

Nad łóżkiem stała Tansy. Z początku łudził się nadzieją... lecz gdy zobaczył jej oczy,

przyszła chwila bolesnego zwątpienia. Była bez woalki. W grubym makijażu, z przypudrowanymi różem policzkami i ustami pociągniętymi jasnoczerwoną szminką wyglądała jak obscenicznie pomalowany posąg, niewyobrażalnie groteskowy w scenerii jedwabnych, różowych tkanin. Posąg żądny krwi...

Hervey przepchnął się do przodu.

– Co się stało!? Co się stało!? – zawołał i ujrzał Tansy. – Nie wiedziałem, że tu jesteś. Kiedy przyszłaś? – I nagle: – Wystraszyłaś ją!

Posąg przemówił beznamiętnym tonem. Hervey momentalnie się uciszył.

– Przecież jej nie wystraszyłam. Czegoś się boisz, Evelyn? Evelyn wytrzeszczała na nią oczy ze śmiertelnym przerażeniem, usta ruszały się bezgłośnie.

– Nie – wydukała w końcu. – Nie... wystraszyłam się Tansy. Rozmawialiśmy... i wtedy... wydało mi się, że słyszę jakiś hałas.

– Tylko tyle, kochanie? – spytał Hervey.

– Tak. Chyba kroki... Bardzo ciche... w korytarzu... – Mówiła to ze wzrokiem wbitym w Tansy, która przypieczętowała jej wypowiedź kiwnięciem głowy.

Norman wspierał Herveya w niepotrzebnym, lecz melodramatycznym przeszukiwaniu piętra. Po powrocie zastali już tylko Evelyn.

– Tansy poszła do samochodu – poinformowała Normana słabym głosem. – Chyba coś mi się przesłyszało z tymi krokami.

Jednakże w jej oczach wciąż malował się strach, kiedy Norman zbierał się do wyjścia. Nie zwracała uwagi na męża, który troskliwie wygładzał narzutę i trzepał poduszki.

Tansy siedziała w samochodzie, wpatrzona w dal. Norman zauważył, że jej ciałem rządzi wciąż jedno i to samo uczucie. Musiał zadać pytanie.

– Ona nie ma mojej duszy – odpowiedziała. – O wszystko ją wypytałam. Na koniec poddałam ją ostatecznej próbie. Ucisnęłam ją. Wtedy krzyknęła. Bardzo się boi umarłych.

– Co ci powiedziała?

– Że ktoś przyszedł i odebrał jej moją duszę. Ktoś, kto jej nie ufa. Ktoś, kto chce mieć moją duszę w charakterze jeńca i z paru innych powodów. Pani Gunnison.

Normanowi aż pobiełały knykcie na kierownicy. Myślał o dziwnej minie, którą go pożegnała pani Gunnison.

# 18

Profesor Carr w swoim gabinecie usiłował sprowadzić świat materialnego zamętu do stanu dziewiczej geometrycznej czystości. Na wąskich ścianach wisiały trzy obramowane wydruki przekrojów stożka. Na regale pełnym eleganckich podręczników do matematyki w złożonych oprawach stały dwa skomplikowane modele powierzchni krzywych, wykonane z misternych nici z chińskiego srebra. Być może kolekcję uzupełniał model na wpół złożonej parasolki w kącie. Błat niewielkiego biurka między siedzącymi naprzeciwko osobami był pusty, jeśli nie liczyć pięciu kartek zapisanych wzorami.

Carr dotknął wierzchniej kartki chudym, bladym palcem.

– Tak – powiedział – to są poprawne zdania w języku logiki symbolicznej.

Norman domyślał się, że tak jest, lecz wolał usłyszeć potwierdzenie z ust matematyka. To, co pobieżnie wyczytał z *Principia mathematica*, nie do końca go przekonało.

– Duże litery oznaczają klasy obiektów, małe oznaczają relacje między nimi – wyjaśnił.

– No tak... – Carr szarpał ciemną skórę na szyi pod białą bródką. – Ale co to za obiekty i co to za relacje?

– Można przekształcać równania, nie wiedząc, do czego odnoszą się poszczególne symbole, prawda?

– Naturalnie. Rezultaty przekształceń będą prawidłowe niezależnie od tego, czy opisane obiekty są jabłkami, okrętami wojennymi, zwrotami poetyckimi czy znakami zodiaku. Oczywiście przy założeniu, że prawidłowo zdefiniowano związki obiektów i symboli.

– W tym sęk – wtrącił Norman. – Na pierwszej kartce zapisałem siedemnaście równań. W tej postaci wydają się bardzo różne. Zastanawiam się, czy nie kryje się w nich jedno proste, podstawowe działanie, zaśmiecone niepotrzebnymi składnikami. Każda kartka przedstawia podobny problem.

– Hm... – Profesor Carr zaczął bawić się ołówkiem. Chciał ponownie przejrzeć zapis na kartce, ale się powstrzymał. – Przyznaję, że jestem ciekaw, do jakich obiektów to wszystko się odnosi. – I dodał niewinnym tonem: – Nie wiedziałem, że socjologia wykorzystuje logikę symboliczną.

Norman był na to przygotowany.

– Szczerze mówiąc, rozważam dość śmiałą, niebanalną koncepcję. Obiecałem sobie, że nikomu się nie wygadam, póki nie zdobędę większej wiedzy w tym temacie.

Carr uśmiechnął się do swoich wspomnień.

– Chyba rozumiem, co pan czuje – powiedział. – Mam żywo w pamięci straszliwe konsekwencje pewnego oświadczenia. Powiedziałem, że umiem przeprowadzić trysekcję dowolnego kąta. Wprawdzie chodziłem wtedy do siódmej klasy – dorzucił pośpiesznie. – Nauczyciel pocił się przez pół godziny – dokończył z odcieniem dumy. Kiedy znowu przemówił, odezwała się w nim cwaniacka chłopięca ciekawość: – Tak czy owak, zaintrygowały mnie te symbole. Mogą się odnosić... hm... do wszystkiego.

– Przykro mi. Wiem, że proszę o wiele.

– Ależ nie szkodzi, nie szkodzi. – Obracając w palcach ołówkę, raz jeszcze popatrzył na kartkę. Jakiś szczegół przykuł jego uwagę. – Hm... naprawdę ciekawe. Wcześniej tego nie zauważyłem. – Zaczął machać ołówkiem nad papierem, wprawnie porządkować składniki, zapisywać nowe równania. Pionowa bruzdka między jego brwiami wyraźnie się pogłębiła. Zapomniał o bożym świecie.

Norman odchylił się na krześle z niemym westchnieniem ulgi. Czuł się wyczerpany z sił, piekły go oczy. Tych pięć kartek stanowiło owoc dwudziestu godzin wyteżonej pracy. Noc z wtorku na środę, a potem poranek i tak do południa. Trwałoby to jeszcze dłużej, gdyby Tansy nie notowała tego, co dyktował. Zdał się bez zastrzeżeń na jej stuprocentowo skuteczny automatyzm.

Z zafascynowaniem obserwował, jak zwinne palce starego profesora zapisują na świeżej kartce papieru nowo wyprowadzone równania. Ich bystre, uporządkowane ruchy podkreślały dostojną, klasztorną ciszę ciasnego gabinetu.

Oto – pomyślał półsennie – osobliwość, która urąga zdrowemu rozsądkowi: nie dość, że udawał wiarę w czarną magię, by pogonić kota trzem przesadnym psychopatkom, które doprowadziły jego żonę do załamania nerwowego, to jeszcze w imię tejże wiary sięgał do najgłębszych korzeni logiki symbolicznej. Logika symboliczna porządkuje sprzeczności i dwuznaczności czarodziejskich zaklęć! Cóżby rzekł Carr, gdyby mu powiedziano, czym naprawdę są „opisane obiekty”?!

A jednak tylko poprzez powołanie się na niekwestionowany prestiż wyższej matematyki mógł przekonać Tansy, że jest w stanie stworzyć potężne zaklęcia, którymi pokona jej wrogów. W gruncie rzeczy, na tym właśnie zasadzała się magia. Żeby zwyciężyć konkurencję, czarownicy próbowali wprowadzić do swoich praktyk najnowsze zdobycze wiedzy. Bo czymże jest magia, jeśli nie walką o przywództwo w królestwie mistycyzmu? I kimże jest czarownik, jeśli nie szczywanym lisem, który mentalnie odskoczył od swoich pobratymców?

Absurdalna historia (w jego umęczonej głowie świat uzyskiwał komiczne oblicze): kobietę, która częściowo wierzy w czary, doprowadzają do utraty zmysłów trzy inne kobiety,

które mocno wierzą w czary, jeśli wierzą w ogóle. Ich intrygom przeciwstawia się mąż, który absolutnie nie wierzy, lecz udaje, że wierzy bezkrytycznie... i postanawia działać zgodnie z zasadami tej wiary.

Albo inaczej (otępiąły umysł skłaniał się ku sennym majakom, gdy rozbijająca matematyczna prostota otoczenia krzesła w wyobraźni wizję przestrzeni absolutnej i otwierającej się na wskroś nieskończoności): może zamiast oszukiwać się sztywnymi wyjaśnieniami, należałoby przyjąć, że Tansy ma coś, co można nazwać duszą, która została jej skradziona przez wiedźmę Evelyn Sawtelle, a następnie przejęta przez grubą Hulde Gunnison. On zaś poszukiwał zaklęcia, które...

Energicznie otrząsnął się z senności, by wrócić do świata racjonalnych wyjaśnień. Carr podsunął mu kartkę papieru i zajął się drugą z pięciu.

– Już pan znalazł pierwsze podstawowe równania? – zapytał z niedowierzaniem Norman.

Carr wyglądał na zdenerwowanego tym, że mu się przeszkadza.

– Oczywiście, że tak. – Znów wywijał ołówkiem, lecz zaraz przestał i spojrzał spod oka na Normana. – Tamto ostatnie równanie, najkrótsze. Prawdę powiedziawszy, z początku nie wierzyłem, że je wyprowadzę, ale pańskie obiekty i relacje mają w sobie jakiś głębszy sens. – Po tych słowach puścił w ruch ołówek.

Norman wzdrygnął się, patrząc na króciutkie ostateczne równanie. Zastanawiał się nad jego wymową. Żeby się dowiedzieć, musiałby zastosować swój szyfr, czego tutaj nie chciał robić.

– Przepraszam, że tak pana męczę – bąknął.

Carr zerknął nań przelotnie.

– Nie ma za co przepraszać, dla mnie to frajda. Zawsze miałem smykałkę do tych rzeczy.

Późnym popołudniem robiło się szaro. Norman włączył górne światło, za co pochłonięty pracą Carr podziękował ledwie widocznym kiwnięciem głowy. Ołówek w jego dłoni szalał. Już cztery kartki leżały przed Normanem. Profesor był o krok od uporania się z ostatnią, kiedy otworzyły się drzwi.

– Linthicum! – rozległ się słodki głosik, pozbawiony choćby cienia irytacji. – Co ty wyprawiasz? Czekałam na dole pół godziny.

– Wybacz, kochanie – odparł profesor, spoglądając na zegarek i na swoją żonę – ale tak mnie to wciągnęło...

Spostrzegła Normana.

– O, nie wiedziałam, że masz gościa. Cóż sobie pomyśli teraz profesor Saylor? Można odnieść wrażenie, że jestem tyranem w tym domu.

Opatrzyła swoją wypowiedź tak czarującym uśmiechem, że Norman zaprzeczył równie szybko jak Carr.

– Profesor Saylor jest... śmiertelnie zmęczony – stwierdziła, świdrując spojrzeniem Normana. – Mam nadzieję, Linthicum, że go nie zamęczasz.

– Ależ skąd, kochanie. Sam wszystko przeliczam – odpowiedział jej mąż.

Obeszła biurko i stanęła nad nim.

– Co to? – zapytała przyjemnym głosem.

– Nie wiem. – Wyprostował się, puścił oko do Normana i mówił dalej: – Przypuszczam, że dzięki tym symbolom profesor Saylor zamierza zrewolucjonizować socjologię. Wszystko trzyma w ścisłej tajemnicy, więc nie mam pojęcia, co opisują te symbole. Po prostu robię za mózg elektronowy.

Pani Carr skinęła głową, grzecznie prosząc o pozwolenie, po czym sięgnęła po jedną z kartek i wyteżyła wzrok za grubymi szklami. Zdeprimowana rzędami zawitych symboli, szybko ją odłożyła.

– Matematyka nie jest moją mocną stroną – wyjaśniła. – Słabo się uczyłam.

– Bzdury, Flora – zaoponował Carr. – Kiedy idziemy na targ, podliczasz rachunek o wiele szybciej niż ja. Mimo że próbuję cię wyprzedzić.

– Przecież to taka błahostka – powiedziała, ucieszona.

– To mi zajmie jeszcze pięć minutek – orzekł, wracając do swoich obliczeń.

– Profesorze Taylor – zwróciła się półszepem do Normana. – Byłby pan łaskaw przekazać Tansy wiadomość? Zapraszam ją na brydża w czwartek wieczór, czyli jutro. Przyjdzie Hulda Gunnison i Evelyn Sawtelle. Linthicumowi wypadło zebranie.

– Chętnie przekażę – odparł. – Tylko nie wiem, czy da radę przyjść. – I opowiedział, jak to się czymś zatruli.

– Och, to okropne, naprawdę! To może ją odwiedzę, w czymś pomogę...

– Dziękuję, ale już ktoś jej dogląda – skłamał.

– Bardzo mądrze.

Pani Carr przyjrzała się wnikliwie Normanowi, jakby chciała dojść do źródła tej jego mądrości. Krępowało go jej natarczywe spojrzenie; wydawało się jednocześnie naiwne i drapieżne. Gdyby patrzyła tak któraś z jego studentek, pewnie by się nie zdziwił, ale ta stara kobieta?

Carr odłożył ołówek.

– Proszę – oświadczył. – Skończyłem.

Norman wylewnie podziękował i zgarnął wszystkie kartki.

– Żaden kłopot – zapewnił go Carr. – Umilił mi pan popołudnie. I muszę przyznać, że płonę z ciekawości.

– Linthicum ma słabość do matematycznych łamigłówek – stwierdziła pani Carr. – Raz nawet – ciągnęła z ironiczną pobłażliwością – porobił tabelki do wyścigów konnych.

– No tak... jako konkretny przykład zastosowania rachunku prawdopodobieństwa – wyjaśnił pośpiesznie z równie ironicznym uśmiechem.

Położyła mu rękę na ramieniu, którą przykrył swoją dłonią. Delikatni staruszkowie, a zarazem krzepcy. Leciwi, lecz pełni wigoru. Powiedziałyby kto, idealne starsze małżeństwo.

– Obiecuję – rzekł Norman – że jeśli rzeczywiście zrewolucjonizuję socjologię, pan dowie się pierwszy. Miłego wieczoru. – Skinął głową i wyszedł.

Ledwie wpadł do domu, wyciągnął swój szyfr. U góry pierwszej kartki wybijała się na czoło litera „W”. Chyba wiedział, co oznacza, lecz dla pewności sprawdził. „W”: zabrać duszę.

Otóż to! Sięgnął po dodatkową kartkę, zapisaną obliczeniami Carra, i starannie odszyfrował ostatnie równanie. „C”: nacięty pasek miedzi. Pokiwał głową. „T”: przekreślić zgodnie z ruchem słońca. Zmarszczył czoło. Mógł przewidzieć, że te składniki się zredukują. Jakie to szczęście, że wziął do pomocy matematyka, a ten uprościł siedemnaście równań, reprezentujących zaklęcia służące odbieraniu duszy, używane przez Arabów, Zulusów, Polinezyjczyków, Murzynów z Ameryki Północnej, Indian z obu Ameryk i tak dalej. Były to najbardziej aktualne magiczne formuły, do jakich udało mu się dotrzeć, a w dodatku takie, z których skutecznie korzystano.

„A”: śmiertelnie trujący muchomor. Do diaska! A był pewien, że się zredukuje. Musiałby poświęcić sporo czasu i starań, żeby zdobyć muchomora zielonawego. Ale to nic, w ostateczności obędzie się bez tego zaklęcia. Wyciągnął następne dwie kartki. „V”: kontrola nad czyjąś duszą. „Z”: sprawić, że mieszkańcy domu zasną. Aby któremuś dobrać się do skóry. Po kilku minutach już wiedział, że zdobycie składników nie sprawi wielkich trudności, aczkolwiek należało wystarać się o rękę chwały, a także ziemię z cmentarza, którą się sypie na dach ludziom przed ich uśpieniem. Powinien z łatwością zwięździć odciętą dłoń z laboratorium anatomicznego. A jeśli się uda...

Ogarnięty nagłym zmęczeniem i wstrętem do tych formuł, które wciąż wydawały mu się bardziej wulgarne niż śmieszne, odsunął krzesło od stołu. Po raz pierwszy odkąd wszedł do mieszkania, popatrzył na postać przy oknie. Siedziała w fotelu na biegunach, z twarzą zwróconą na zaciągnięte zasłony. Nawet nie zauważył, kiedy się rozbijała. Skoro jednak mięśnie zaczęły rytmicznie poruszać ciałem, automatycznie kontynuowały swe dzieło.

Serce wezbrało mu nagłą tęsknotą za Tansy. Za tonem jej głosu, za gestami, nawykami, śmiesznymi pomysłami – za tymi wszystkimi drobiazgami, które składają się na prawdziwą, kochaną istotę. Chciał to odzyskać – już, zaraz! – zwłaszcza że obecność ni to żywej, ni to martwej imitacji, ruchomego manekina, budziła wciąż nowe niemiłe myśli. I co z niego za mężczyzna, że babrał się w okultyzmie, gdy tymczasem ona powiedziała: „Mogą się duszy przytrafić złe rzeczy”. „Młode służące Gunnisonów czasem coś opowiedzą”. Powinien złożyć wizytę Gunnisonom, stanąć przed Huldą i wyłożyć kawę na ławę!

Prędko stłumił w sobie gniew. Jeden nierozważny krok z jego strony i runie cały plan. Wszak nie mógł otwarcie wypowiedzieć wojny komuś, kto wziął jako zakładnika całą urnysłowość – ba, świadomość całą! – najbliższej mu osoby. O nie, dawno już to przemyślał i powziął stosowne decyzje. Mógł walczyć z wiedźmami ich własną bronią; obmierzłe magiczne formuły były jego ostatnią nadzieją.



Na razie więc wołał nie katować się strasznym widokiem. Z rozmysłem przeniósł krzesło na drugą stronę stołu, żeby nie patrzeć na bujany fotel.

Mimo to nie mógł się uspokoić, dokuczał mu ból przemęczonych mięśni. Wskutek tego nie mógł się skupić na pracy.

Znienacka zapytał:

– Jak sądzisz, czemu ni stąd, ni zowąd otacza nas tyle przemocy i nienawiści?

– Została naruszona równowaga – padła odpowiedź. Fotel nadal bujał się miarowo.

– W jaki sposób? – Już miał spojrzeć przez ramię, ale w porę się powstrzymał.

– To się stało wtedy, gdy przestałam zajmować się magią. – Fotel skrzypiał monotonicznie.

– Ale czemu od razu przemoc?

– Naruszona równowaga.

– Rozumiem, tylko skąd to nagłe przejście od względnie niegroźnych ataków do śmiertelnej wrogości?

Fotel przestał się bujać. Panowało milczenie, lecz on i tak wiedział, jaka odpowiedź rodzi się w bezmyślnym umyśle siedzącej za nim osoby. W umyśle wierzącym, że bój, który ze sobą toczą więdźmy, przypomina wojnę w okopach, wymianę ognia między umocnionymi liniami frontu, pewien stan oblężenia. Podobnie jak gruby beton czy zbroja płytowa bronią przed pociskami, tak też przeciwzakłęcia i czary ochronne odpierały najzacieklejsze ataki. Ale gdy brakło zbroi i betonu, a więdźma, która wyrzekła się czarów, znalazła się na ziemi niczyjej...

Strach przed brutalnym kontratakiem, wyprowadzonym z obwarowanego przyczółka, skutecznie zniechęcał do bezpośredniej napaści. Zwykle więc siedziało się w szańcu, strzelało z ukrycia i tylko wtedy przechodziło do natarcia, gdy wróg niebaczenie odsłonił słaby punkt. Do tego prawdopodobnie dochodziło wykorzystywanie jeńców i tajne porozumienia, skuteczna alternatywa dla przemocy.

Ta teoria pozwalała zrozumieć, czemu pozornie pokojowy gest Tansy naruszył równowagę. Co pomyślałby sobie kraj, gdyby nieprzyjaciel w środku wojny odwołał flotę morską i zwołał do baz lotnictwo, beztrudnie wystawiając się na ciosy? Zdrowo myślący strateg doszedłby do wniosku, że wróg opracował broń o wiele potężniejszą niż samoloty i okręty, planując zawrzeć pokój, który okaże się pułapką. Najrozsądniej byłoby natychmiast, zanim sekretna broń zostanie użyta, przejść do szerokiej ofensywy.

– Myślę, że... – zaczął.

W tym momencie coś – być może cichy szelest, lekkie skrzypnięcie podłogi pod gęstym dywanem lub inne, trudniejsze do opisanie wrażenie – kazało mu się obejrzeć.

Rozpaczliwie szarpnął się w bok, dzięki czemu zdołał – ledwo, ledwo – uchronić głowę przed uderzeniem jakiegoś żelaznego cepa, bo tylko tyle zobaczył. Cep z przeraźliwym świstem trzasnął w twarde oparcie krzesła i wytracił część impetu. Bark, który przyjął na siebie złagodzony cios, mimo to z miejsca zdrętwiał.

Chwyciwszy się stołu zdrową ręką, Norman rzucił się w przód i obrócił. Uskoczył przed tym, co zobaczył, jak przed kolejnym ciosem, podpierając się ręką o stół, żeby się nie przewrócić.

Postać czała się na środku pokoju, odskoczywszy w tył jak kot po nieudanym ataku. Pochylona do przodu, stała na lekko zgiętych nogach, w samych tylko pończochach; pantofle, których odgłos mógł ją zdradzić, leżały przy fotelu na biegunach. W garści dzierżyła żelazny pogrzebacz, wyjęty ze stojaka przy kominku. W jej twarzy znów było życie – które jednak objawiało się ślinotokiem i zgrzytaniem zębów, rozchyleniem nozdrzy przy każdym oddechu, odgarnięciu włosów z oczu szybkim, nerwowym ruchem czy przekrwieniem mściwych oczu.

Z głuchym warknięciem uniosła pogrzebacz i uderzyła... nie w niego, lecz w żyrandol. W pokoju, którego okna szczelnie zasłonił z obawy przed wzrokiem szpiegów, zaległy egipskie ciemności.

Rozległ się cichy tupot stóp. Skoczył w bok, a mimo to tuż przy uchu usłyszał zabójczy świst. Łomotnęło tak, jakby napastnik rozłożył się na stole lub po nim przetoczył; dał się słyszeć szmer rozrzuconych papierów i cichutki szelest, gdy niektóre lądowały na ziemi. Nastąpiła cisza przerywana zwierzęcym węszeniem.

Przykucnął na dywanie. Starał się wytrzymać w bezruchu, natężając uszu, żeby zbadać, skąd dolatuje węszenie. To okropne, pomyślał, jak ludzki zmysł słuchu kiepsko radzi sobie z lokalizowaniem źródła dźwięku. Węszenie dochodziło najpierw z jednego miejsca, a potem raptem z innego, chociaż nie usłyszał żadnego poruszenia. W końcu stracił orientację przestrzenną. Próbował przypomnieć sobie, w którą stronę się rzucił, gdy odskakiwał od stołu. Kiedy przypadł do dywanu, obrócił się, ale jak bardzo? Miał ścianę przed sobą czy za plecami? Żeby nikt ich nie podpatrywał, skrupulatnie zasłonił okna także w sypialni, przez co teraz nie mógł przebić wzrokiem ciemności. Z osnutego nocą świata nie przedzierał się do gabinetu najdrobniejszy promyczek światła. Miał wrażenie, że kuli się na nieskończonej połąci dywanu, w niskim, acz pozbawionym ścian bezkresnym tunelu.

Gdzieś w tym bezkresie znajdowała się ona. Czy widziała i słyszała lepiej od niego? Czy mogła odczytać kontury na siatkówce oka, które dusza Tansy zinterpretowałaby jako czarną pustkę? Na co czekała? Cały zamienił się w słuch, lecz jej przyśpieszony oddech ustał.

Jakby się zaszył w mrocznych partiach dżungli, przykrytej gęstwą skotłowanych pnączy. Cywilizacja jest dziecięciem światła; kiedy ono gaśnie, i ona zamiera. Norman został sprowadzony na zwierzęcy pułap. Może właśnie na to liczyła, rozbijając żyrandol. Oto znalazł się w głębokich czeluściach pradawnej jaskini, przyglupi dzikus struchlały ze zgrozy na widok swej lubej, której śliczne ciało posiadał demon na usługach czarownicy: tęgiej baby o pogardliwie wyдутych ustach, jadowitym wejrzeniu i miedzianych ozdobach w skudlonej rudej grzywie. Czy powinien namacać siekierę i rozłupać czaszkę, w której siedział demon? Czy raczej odszukać szamankę i poty ją dławić, póki nie odwoła demona? Tylko jak obezwładnić swą lubą? Jeśli współplemieńcy ją znajdą, zostanie zabita, takie było prawo. A

tu jeszcze ukryty w niej demon próbował się z nim porachować.

Walcząc z myślami niemal tak samo mętными i poplątanymi jak te w głowie jego nieistniejącego dzikiego praprzodka, próbował znaleźć wyjście z sytuacji, aż nagle zrozumiał, na co ona czeka.

Już wcześniej bolały go mięśnie. Ból promieniował również od ramienia wraz z postępującym zdrtwieniem. Wkrótce mimowolnie się poruszy. W tym samym momencie będzie miał ją na karku.

Ostrożnie rozprostował rękę. Pomału, pomalutku, zatoczył dłonią łuk, aż dotknął stolika i namacał dużą książkę. Chwycił w dwa palce wystający brzeg książki, uniósł ją i przybliżył do siebie. Mięśnie zaczynały drzeć z wysiłku, gdyż musiał działać w absolutnej ciszy.

Wolnym ruchem cisnął książkę na środek pokoju, tak że spadła na dywan kilka kroków od niego. Hałas spowodował spodziewaną reakcję. Odczekał sekundę, po czym dał nura przed siebie z zamiarem przygwożdżenia przeciwnika. Okazała się jednak sprytniejsza, niż przypuszczał. Wpadła mu w ręce poducha, którą rzuciła w stronę książki. Uratowało go szczęście, bo obok jego głowy rąbnął o podłogę rozpędzony pogrzebacz.

Wyrzucił ręce na oślep i złapał zimne żelazo. Przez chwilę się siłował, aż raptem poleciał na plecy z pogrzebaczem w garści. Usłyszał kroki cichnące w głębi domu. Podążył za nimi do kuchni. O ziemię rozbiła się szarpnięta za mocno szufladka. Usłyszał mrozący krew w żyłach brzęk rozsypanych sztućców.

W kuchni było na tyle jasno, że ujrzał jej sylwetkę. Rzucił się w stronę ręki trzymającej w górze długi nóż. Złapał za nadgarstek. Ona wtedy naparła na niego i oboje grzmotnęli o ziemię.

Poczuł na sobie gorące ciało, naprężone w morderczym wysiłku. Przez chwilę czuł też na policzku płaską stronę chłodnego noża, odepchnął go jednak od siebie. Podciągnął nogi, broniąc się przed kolanami. Przygniotła go z wściekłością i zacisnęła zęby na ramieniu, którym odpychał nóż. Zęby piłowały tkaninę, żeby się przez nią przebić. Gdy walczył zdrową ręką, próbując się uwolnić, tkanina się rozerwała. Na szczęście chwycił włosy i odciągnął głowę wraz z drapieżnymi zębami. Wrogie palce odrzuciły nóż i spróbowały przeorać mu twarz. Złapał je, nim dobrały się do oczu i nosa. Usłyszał warknięcie i został opluty. Powoli unieruchomił ręce, wykręcił je za plecy i, sprężywszy się, zerwał się na równe nogi. Odpowiedział mu wściekły, zduszony charkot.

Mając świadomość, że jego drzące mięśnie ciągną ostatkiem sił, zmienił uchwyt, żeby przytrzymać wyrywające się nadgarstki jedną ręką. Drugą namacał dolną szafkę kredensu, w której znalazł kawałek sznurka.

## 19

– To już nie przelewki – rzekł Harold Gunnison. – Fenner i Liddell żądają twojej głowy.

Norman przysunął sobie krzesło, jakby przyszedł tego ranka do gabinetu Gunnisona, żeby właśnie o tym porozmawiać.

– Coś mi się widzi, że planują rozgrzebać tę sprawę z Margaret van Nice. Będą czekać, że nie ma dymu bez ognia. Mogą również posłużyć się Jenningsem. Powiedzą, że jego „załamanie nerwowe” wynikało z niesprawiedliwego traktowania, że się na niego uwziąłeś. Oczywiście, w obu przypadkach mamy przekonujące dowody na twoją niewinność, lecz samo roztrząsanie tych spraw wzbudzi podejrzliwość reszty zarządu. Do tego planujesz pogadankę o seksie z młodymi matkami i zapraszasz na uczelnię przyjaciół z teatru. Osobiście, nie mam nic przeciwko temu, lecz wybrałeś zły moment.

Norman grzecznie pokiwał głową. Zaraz powinna zjawić się pani Gunnison. Służąca powiedziała mu przez telefon, że właśnie udała się do męża.

– Rzecz jasna, tego rodzaju sprawy same w sobie nic nie znaczą. – Gunnison był dziś wyjątkowo zasepiony. – Ale jak już wspominałem, stawiają cię w złym świetle i są wodą na ich młyn. Prawdziwe niebezpieczeństwo kryje się w ich wyważonym, lecz konsekwentnym ataku na twój sposób prowadzenia zajęć, twoje publiczne wystąpienia, z wyciąganiem na jaw trywialnych szczegółów twojego życia osobistego. Przy okazji rozmów o potrzebie szukania oszczędności tam, gdzie to wskazane. Wiesz, o co chodzi. – Po chwili ciągnął: – Najbardziej martwi mnie to, że Pollard przestał patrzeć na ciebie życzliwym okiem. Powiedziałem mu, co myślę o awansie Sawtellea, on zaś na to, że zarząd narzucił mu swoje zdanie. To porządny człowiek, ale polityk. – Gunnison wzruszył ramionami, jakby każdy wiedział, że różnice między politykami i profesorami uwidoczniły się już w epoce lodowcowej. Norman wyprostował się w krześle.

– Niestety, obraziłem go w zeszłym tygodniu. Mieliśmy twardą rozmowę, no i trochę mnie poniosło.

Gunnison pokręcił głową.

– Tym się akurat nie przejmuj. Takie rzeczy po nim spływają. Jeśli wystąpi przeciwko tobie, to dlatego, że uzna to za konieczne lub przynajmniej wskazane (nie cierpię tego słowa)

przez wzgląd na opinię publiczną. Sam widzisz, jak kieruje szkołą. Co kilka lat rzuca kogoś wilkom na pożarcie.

Norman słuchał go jednym uchem. Rozmyślał o pozostawionej w domu Tansy: związane ręce i nogi, rozdziawione usta i ciężki, chrapliwy oddech po wypiciu whisky, którą w końcu wlał jej do gardła. Wiele ryzykował, ale nie widział innego wyjścia. Raz w nocy chciał już wezwać lekarza i umieścić ją w szpitalu psychiatrycznym. Gdyby jednak to zrobił, mógłby pogrzebać nadzieję na przywrócenie jej dawnej osobowości. Który psychiatra uwierzy w podły spisek, mający przyprawić Tansy o szaleństwo? Z tej samej przyczyny nie mógł się zwrócić o pomoc do przyjaciół. O nie, musiał czym prędzej dobrać się do pani Gunnison. Wszakże wolałby nie oglądać w gazetach nagłówek: „Profesor znęca się nad żoną. W garderobie znaleziono związaną kobietę”.

– Naprawdę, to nie przelewki – powtórzył Gunnison. – To samo mówi moja żona, a ona ma nosa w tych sprawach. Zna się na ludziach.

Jego żona! Norman potulnie kiwnął głową.

– Pechowo się to wszystko zbiegło w czasie – kontynuował Gunnison – bo przecież masz mnóstwo własnych problemów, jak choroba żony.

Norman zauważył, że Gunnison z powściąganą ciekawością zerka na opatrunek pod jego lewym okiem i drugi podobny koło nosa. Nie zamierzał się jednak tłumaczyć.

Dziewkan przez chwilę wiercił się na krześle, aż znalazł sobie wygodną pozycję.

– Słuchaj, Norman. Mam przecucie, że coś ci się nie układa. Kiedyś powiedziałbym, że łatwo się z tego wywiniesz, wszak jesteś jednym z naszych najlepszych profesorów, lecz tym razem mam przecucie, że coś ci się nie układa na całej linii.

Za tymi słowami kryła się oczywista propozycja, z pewnością uczyniona w dobrej wierze. Tym niemniej Norman tylko przez sekundę rozważał, czyby nie uchylić rąbka tajemnicy. Równie dobrze mógł iść do sądu ze swoimi kłopotami. W barwach tak żywych, jakby miał omamy ze zmęczenia, wyobrażał sobie reakcję na sali sądowej.

Dajmy na to, że Tansy – jeszcze w stanie sprzed napadu agresji – siedzi w ławie świadków. „A zatem, pani Saylor, mam przyjąć, że ukradziono pani duszę?”. „Tak”. „Jest pani świadoma braku duszy?”. „Nie, nie jestem niczego świadoma”. „Niczego świadoma? Nie znaczy to chyba, że straciła pani świadomość?”. „Właśnie że tak. Nie widzę i nie słyszę”. „Czyli nie widzi mnie pani i nie słyszy?”. „Zgadza się”. „W takim razie skąd pani...?”. Uderza młotkiem. „Jeśli nie ustaną zaraz te chichoty, każę opróżnić salę!”. Lub pani Gunnison na ławie świadków, gdy on zwraca się do sądu z natchnioną przemową: „Panowie, spójrzcie tylko w jej oczy! Błagam, przyjrzyjcie się uważnie! Tam jest dusza mojej żony, na pewno ją zobaczycie!”

– Co z tobą, Norman? – zapytał Gunnison. Zmieszała go szczerą troską w jego głosie. Zdjęty nagłą sennością, niemrawo próbował zebrać się na odpowiedź.

Do gabinetu weszła pani Gunnison.

– Witam. Dobrze, że się wreszcie spotkaliście. – Obrzuciła Normana protekcjonalnym spojrzeniem. – Pan to chyba nie spał przez dwie ostatnie noce – stwierdziła szorstko. – Twarz wygląda okropnie. Kocisko pana w końcu podrapało?

Gunnison roześmiał się; zawsze go bawiła bezpośredniość żony.

– Co za kobieta. Kocha psy, nienawidzi kotów. Ale ma rację, musisz się wyspać.

Jej widok i głos brutalnie otrzeźwiły Normana. Wydawała się rześka, jakby codziennie spała przez dziesięć godzin. Drogi, zielony kostium podkreślał jej rudą fryzurę i dodawał szlachetnej urody. Zapomniała oderwać metkę i niestarczanie zapięła guziki, co stwarzało efekt beztroskiej niedbałości wszechwładnego monarchy, którego nie obowiązują ogólnie przyjęte normy zachowania. Choć raz nie miała przy sobie wypchanej torebki. Serce w nim załomotało.

Bał się spojrzeć jej w oczy. Podniósł się z krzesła.

– Nie idź jeszcze, Norman – powstrzymał go Gunnison. – Zostało sporo spraw do omówienia.

– No właśnie, czemu pan nie zostanie? – poparła go żona.

– Wybaczenie, wpadnę do was po południu, jeśli znajdziecie chwilkę czasu. Najdalej jutro rano.

– Proszę nie zapomnieć – rzekł poważnie Gunnison. – Zebranie zarządu jutro po południu.

Pani Gunnison zajęła zwolnione krzesło.

– Proszę pozdrowić Tansy. Pogadam sobie z nią dziś wieczorem u Carrów... jeśli oczywiście wydobrzeje do tego czasu.

Norman pokiwał głową, po czym wyszedł szybkim krokiem i zamknął za sobą drzwi.

Nim oderwał rękę od klamki, dostrzegł zieloną torebkę pani Gunnison. Leżała na stole w sekretariacie, przed gablotą z kroplami księcia Ruperta i innymi osobliwościami. Znowu serce w nim mocniej zabiło.

W sekretariacie znajdowała się tylko pracująca tam studentka. Podszedł do biurka.

– Panno Miller, byłaby pani tak dobra i przyniosła mi arkusze ocen paru studentów? – I wyrzucił z siebie sześć nazwisk.

– Arkusze są w biurze nagrań, panie profesorze – odrzekła niezdecydowanie.

– Wiem. Proszę im powiedzieć, że ja panią wysłałem. Chcę przejrzeć te arkusze z panem Gunnisonem.

Posłusznie zapisała nazwiska.

Zaledwie drzwi się za nią zamknęły, otworzył górną szufladkę w biurku, gdzie – o czym wiedział – znajdowały się klucze do gabloty.

Kilka minut później wyszła pani Gunnison.

– Zdawało mi się, że pan wychodzi! – zawołała ostro i dodała na swój beczelny sposób: – Czekasz pan, aż wyjdę, żeby rozmówić się z Haroldem bez świadków?

Nie odpowiedział, tylko spojrzał na jej nos.

Zabrała torebkę.

– Doprawdy, nie ma sensu robić z tego wielkiej tajemnicy – powiedziała. – Wiem tyle samo co on o pańskich kłopotach. Nawet o wiele więcej. Szczerze mówiąc, są dosyć poważne. – W jej głosie pobrzmiwała arogancja zwycięzcy. Uśmiechnęła się do niego.

Nadal patrzył na jej nos.

– I proszę nie udawać, że się pan nie martwi – ciągnęła, wyraźnie poirytowana jego milczeniem. – Dobrze wiem, że się pan martwi. A jutro Pollard zażąda pańskiego zwolnienia. Na co się pan gapi?

– Na nic – odparł prędko, odwracając wzrok.

Pełna wątpliwości, pociągnęła nosem. Wyciągnęła lusterko, przez chwilę patrzyła na niego podejrzliwie, po czym uniosła je i zaczęła uważnie oglądać swoją twarz.

Norman miał wrażenie, że wskazówka sekundowa ściennego zegara stoi w miejscu.

Mówiąc cicho, lecz szybko, tonem na tyle zdawkowym, że pani Gunnison nawet się nie odwróciła, powiedział:

– Wiem, że ukradła pani duszę mojej żony. I wiem, jak to pani zrobiła. Już się trochę orientuję w tym temacie. Oto przykład: stoi pani w jednym pomieszczeniu z osobą, której chce pani zabrać duszę. Osoba przypadkiem patrzy w lustro, a lustro pęka, kiedy jest w nim odbicie. Wówczas...

Z cichym, srebrzystym brzękiem lusterko w dłoni pani Gunnison zamieniło się w chmurkę migotliwego pyłu.

W tym samym momencie Norman poczuł ciężar w myślach, namacalną ciemność zagnieżdżoną w jego głowie.

Z ust pani Gunnison wyrwał się krótki jęk strachu i zdumienia. Na twarzy rozlał się tępy, idiotyczny wyraz – skutek zwiotczenia mięśni.

Norman podszedł i chwycił ją za rękę. Najpierw spojrzała na niego pustym wzrokiem, a potem pochyliła się w przód. Zrobiła jeden krok i po chwili drugi.

– Idziemy. To pani ostatnia szansa.

Gdy ruszyła za nim korytarzem, aż zadrżał, nie mogąc uwierzyć w swój sukces. Przy schodach spotkali pannę Miller, wracającą z naręczem arkuszy.

– Bardzo przepraszam, że sprawiłem kłopot – powiedział – ale się okazało, że nie są potrzebne. Proszę je odnieść do biura nagrań.

Dziewczyna kiwnęła głową z przyjemnym, lecz nieco zgryźliwym uśmiechem.

– Ech, ci profesorowie!

Kiedy wyprowadzał z budynku administracji zadziwiająco pokorną panią Gunnison, na jego myśli wciąż napierała osobiwa ciemność. Nigdy w życiu nie doświadczył czegoś podobnego.

Raptem powstała szczelina w ciemnościach, jakby chmury burzowe rozstały się o

zachodzie słońca, przepuszczając wąski snop czerwonego światła. Tyle że czarne chmury siedziały w jego umyśle, a czerwone światło reprezentowało bezsilną złość i wulgarne wyzwiska. Wszystko to było mu znajome.

Jego umysł uciekał od tego. Miasteczko studenckie chwiała się i rozmywało, oświetlone nikłą czerwoną łuną.

Jeżeli jest coś takiego jak podwójna osobowość, pomyślał, i jeżeli w murze między tymi osobowościami pojawia się wyrwa...

Ale to absurd!

Raptem zjawilo się następane wspomnienie: słowa, które wyszły z ust Tansy w przedziale pociągu. „Naturalnym środowiskiem duszy jest ludzki mózg”. Oraz: „Jeżeli nie zdoła wrócić do człowieka, nieprzeparta siła ciągnie ją do innego, niezależnie od tego, czy ten ktoś ma już duszę. Uwięziona w mózgu porywacza...”

W tym momencie przez wyłom w ciemnościach, z czerwoną falą wściekłego gniewu, przetoczyła się przez jego umysł prosta, zrozumiała myśl:

„Jakżeś to zrobił, idioto!?”

Podobnie jak czerwień wściekłości, pytanie było tak podobne do pani Gunnison, że pogodził się z faktem (niezależnie od tego, czy świadczyło to o jego szaleństwie, i niezależnie od tego, czy dowodziło istnienia czarów), iż umysł pani Gunnison znajduje się w jego głowie i porozumiewa się z jego umysłem.

Patrzył na oklapniętą twarz człapiącej obok kobiety, którą prowadził przez kampus.

Przez chwilę wzdragał się przed dotykaniem umysłem czyjejś nagiej osobowości.

Ale tylko przez chwilę. Potem (może istotnie był szalony) zaakceptował wszystko bez zastrzeżeń. Przemierzając kampus, rozmawiał w myślach z panią Gunnison.

„Jak to zrobiłeś?” – pytała raz po raz.

Nim się spostrzegł, odpowiedział:

„To było lustro księcia Ruperta z gablotki. Ciepłe palce spowodowały, że przysło w drobny mak. Włożyłem je do torebki przez chusteczkę. Zgodnie z wierzeniami prymitywnych ludów, odbicie jest duszą, czy raczej pomostem dla duszy. Jeśli lustro się stłucze, gdy jest w nim ludzkie odbicie, dusza zostaje uwięziona poza ciałem”. – Informacji nie spowalniał słamazarny aparat mowy, przekazywana była błyskawicznie.

Równie błyskawicznie przez wyrwę w ciemności spłynęła myśl pani Gunnison:

„Dokąd zabierasz moje ciało?”

„Do domu”

„Czego chcesz?”

„Odzyskać duszę żony”

Nastąpiła długa przerwa. Wyrwa w ciemności zamknęła się i otworzyła.

„Nie dostaniesz jej. Trzymam ją tak, jak ty trzymasz moją duszę. Ale moja dusza ukrywa ją przed tobą. To moja dusza ją trzyma”



„Nie mogę jej siłą odebrać, ale mogę przetrzymać twoją duszę, póki nie oddasz duszy mojej żonie”.

„A jeśli odmówię?”.

„Twój mąż twardo stąpa po ziemi. Nie uwierzy w to, co powie twoje ciało. Skontaktuje się z najlepszym psychiatrą. Będzie usychał z żalu, ale w końcu skończysz w szpitalu dla obłąkanych”.

W tonie jej odpowiedzi wyczuł uległość i poczucie przegranej, a także oznaki paniki. Mimo to nie chciała się otwarcie przyznać do porażki.

„Nie wytrzymasz długo z moją duszą. Nienawidzisz jej. Napawa cię wstrętem. Twój rozum tego nie zniesie”.

Zaraz też, na potwierdzenie tego ostrzeżenia, przesączyła się przez wyłom wąska stróżka jadu, która szybko przekształciła się w rwącą rzekę. Rzeczy, do których czuł największy wstręt, prędko zostały wypatrzone i rozdrapane.

Przyspieszył kroku, aż idąca z nim bezmyślna kukła zaczęła ciężko dyszeć.

„Opowiem ci o Ann – przekazała mu w myślach pani Gunnison. Nie słowami, lecz całym zasobem pamięci. – Ann przyjęła się do mnie na służbę osiem lat temu. Chuderlawa blondyneczka potrafiła harować od rana do świtu. Była bardzo uległa i podszyta strachem. Wiesz, że można samym strachem, bez uciekania się do przemocy, wymusić posłuch u człowieka? Ostra nagana, karcące spojrzenie... Chodzi o wymowę, nie o konkretne słowa. Z czasem stałam się dla niej surowym autorytetem, jakim cieszyłby się ojciec, nauczyciel i pastor w jednej osobie. Jednym spojrzeniem mogłam ją doprowadzić do łez. Starczyło, że stanęłam pod drzwiami jej sypialni, a umierała z przerażenia. Podając do stołu, bez słowa skargi trzymała gorące naczynia, gdy kazałam jej czekać, aż skończę rozmowę z Haroldem. Oglądałam potem jej dłonie”.

Norman musiał znosić utrzymane w podobnym tonie opowieści o Clarze i Milly, Mary i Ermengarde. Nie umiał zamknąć się na jej myśli, tak samo jak nie mógł zamurować wyłomu – aczkolwiek był w stanie go poszerzać. Jej dusza, niczym paskudna meduza lub jakaś rozmemłana mięsożerna roślina, rozrosła się i wczepiła w jego duszę, aż zaczął odnosić wrażenie, że to on jest więźniem.

„Była także Trudie. Ta mnie czciła jak bóstwo. Rosła z niej było dziewczusko, flegmatyczne i nieco tępawe. Urodziła się na farmie. Całe godziny ślęczała nad moimi ubraniami. Wpływała na nią w rozmaity sposób, póki wszystko, co do mnie należało, nie stało się dla niej świętością. Gdy czasem spoglądałam na nią łaskawym okiem, była wniebowzięta. Zrobiłaby dla mnie wszystko, co mnie szczególnie bawiło, ponieważ odznaczała się wrodzoną skromnością i łatwo ją było zawstydzić”.

W sąsiedztwie domu Normana ustał potok jadowitych myśli. Wyrwa ścieśniła się, pozostała jednak czujnie uchylona.

Norman zagnał ciało pani Gunnison pod drzwi garderoby Tansy. Wskazał spętaną postać,

skurczoną na kocu rzuconym na podłogę. Postać leżała tak, jak ją zostawił: sapała z zamkniętymi oczyma i rozdziawionymi ustami. Ten widok kładł się na jego umyśle miążdżącym ciężarem, tyle że ciężar napierał z dołu, poprzez oczodoły.

„Zabierz to, co tam posłałaś czarami” – usłyszał własny rozkaz.

Po chwili czarny pająk zlął ze spódnicy Tansy i smyknął po dywanie. Pojawiła się myśl:

„To tyle”.

Norman przyskoczył do owada i zanim ten wbiegł na drewnianą podłogę, rozgniół go obcasem. Posłyszał stłumiony komentarz:

„Jego dusza poszukała najbliższego ciała. Mój wierny Król nie wyruszy już na żadną misję. Nie ożywi ludzkiego ciała, drewna ani kamienia. Będzie trzeba się postarać o nowego psa”.

„Teraz oddaj to, co zabrałaś” – polecił.

Tym razem musiał dłużej czekać. Wyrwa całkiem zniknęła.

Związana postać szarpnęła się, jakby chciała się przewrócić na drugi bok. Usta drgnęły i poruszyła się obwisła szczeka. Świadom czarnego brzemienia w swym umyśle i tego, że zmysły z nadzwyczajną czułością odbierają wrażenia, takie jak bicie serca w ciele Tansy, pochylił się, rozciął więzy, a na koniec usunął z kostek i nadgarstków starannie ułożone podkładki.

Głowa nerwowo przechylała się z boku na bok. Na ustach chyba błąkało się jego imię. Zatrzepotały powieki i dreszcz wstrząsnął ciałem. I nagle, w przepięknym akcie przebudzenia, niby kwiat cudownie rozkwitły w jeden moment, na twarzy zmanifestowały się uczucia, osłabione dłonie chwyciły go za ramiona, a z szeroko otwartych oczu wyjrzała na niego przytomna, nieustraszona ludzka dusza.

Zaraz potem ustąpiła ohydna ciemność, wtłoczona pod jego czaszkę.

Pani Gunnison zmierzyła go chmurnym, zmęczonym spojrzeniem i odwróciła się bez słowa. Słyszał jej oddalające się kroki i trzask drzwi wyjściowych. Potem już brał Tansy w ramiona i całował ją namiętnie.

## 20

Drzwi wyjściowe się zamknęły. Jak na komendę, ciągle jeszcze oddając pocałunek, Tansy odsunęła się od niego.

– Nie cieszymy się, Norman – ostrzegła. – Nie cieszymy się, bo może być źle. – Tęsknotę w jej oczach przyćmił wyraz zaniepokojenia, jakby patrzyła na olbrzymi mur, który nagle przesłonił słońce. – Pani Carr... – odpowiedziała szeptem na nieme pytanie zdziwionego Normana. Powiedziałyby kto, że samo wymówienie tego nazwiska może mieć zgubne następstwa. Zaciśnęła mocniej dłonie na jego ramionach, żeby zrozumiał realność zagrożenia. – Boję się, Norman, okropnie się boję. O siebie i o ciebie. Moja dusza wiele się nauczyła. Sprawy przedstawiają się inaczej, niż sobie wyobrażałam, o wiele gorzej. A pani Carr...

Norman poczuł się psychicznie wykończony. Trudno mu było pogodzić się z myślą, że nie może wreszcie odpocząć. Całym sercem i całą duszą pragnął udawać, bodajże przez chwilę, że świat rządzi się racjonalnymi zasadami. Patrzył na Tansy w osłupieniu, jakby przyszła do niego w narkotykowym zwidzie.

– Już nic ci nie grozi – powiedział dobitnie. – Walczyłem o ciebie, odzyskałem cię i już nikomu nie oddam. Żadna z nich już cię nie tknie.

– Norman... – zaczęła ze spuszczoneym wzrokiem. – Wiem, że nie brak ci odwagi i pomysłowości. Wiem, jak bardzo ryzykowałeś, jak się dla mnie poświęcałeś... W ciągu jednego krótkiego tygodnia wywróciłeś do góry nogami cały swój świat, przetrzymałeś nawet barbarzyńskie myśli tej kobiety. Pokonałeś Evelyn Sawtelle i panią Gunnison w sprawiedliwej walce, na ich własnym terenie. Ale pani Carr... – Po rękach przechodziło na niego jej drżenie. – Norman, ona ci pozwoliła wygrać. Chciała napędzić tym dwóm stracha i pozwoliła, żebyś ją w tym wyręczył. Ale teraz przystąpi do działania.

– Nie, Tansy, mylisz się – upierał się nieporadnie, mimo że nie potrafił przywołać żadnych sensownych argumentów.

– Biedaczku, taki jesteś zmęczony – rzekła z nagłą troskliwością w głosie. – Przyniosę coś do picia.

Wydawało mu się, że nim przyszła z butelką, tylko przecierał oczy, mrugał powiekami i kręcił głową.

– Teraz się przebiorę. – Popatrzyła wymownie na swoją podartą i wymiętą sukienkę. – Potem musimy porozmawiać.

Wychylił kielicha i nalał sobie drugiego. Ciągłe nie mógł się otrząsnąć z odrętwienia. Alkohol, zamiast przegnać senny nastrój, jeszcze go pogłębiał. Po pewnym czasie wstał i ciężko poczłapał do sypialni.

Tansy włożyła białą, wełnianą sukienkę, którą bardzo lubił, a której ona już dawno nie miała na sobie. Pamiętał, jak powiedziała, że sukienka się zbiegła i jest na nią za mała. Prawdopodobnie, ciesząc się z powrotu, naiwnie chełpiła się swoim młodym ciałem i chciała je zaprezentować jak najlepiej.

– To jak przeprowadzka do nowego domu – stwierdziła z nikłym uśmiechem, który klócił się z jej badawczym spojrzeniem. – Właściwie jak powrót do domu po bardzo długiej podróży. Rozpiera cię szczęście, lecz wszystko wydaje się trochę obce. Potrzeba czasu, żeby się przyzwyczać.

Teraz, skoro poruszyła ten temat, zauważył pewne niezdecydowanie w jej ruchach, gestach i mimice twarzy. Kojarzyła się z ludźmi dochodzącymi do zdrowia po ciężkim wypadku, ledwo mogącymi stać o własnych siłach.

Rozczesała włosy tak, że opadły na ramiona. Ciągłe też chodziła na bosaka, co przydawało jej uroku drobnego dziewczątka. Wydała mu się nader atrakcyjna, pomimo tego że w głowie mu się kręciło i dręczyły go majaki.

Przyniósł jej drinka, ale tylko zamoczyła usta i odstawiła szklanekę.

– Posłuchaj, Norman, musimy porozmawiać. Mam ci dużo do powiedzenia, a czasu jest niewiele.

Rozglądając się po sypialni, zatrzymał wzrok na kremowych drzwiach garderoby. Pokiwał smętnie głową i usiadł na łóżku. Coraz bardziej zatracał się w opiumowym otępieniu, czym tłumaczył sobie to, że dziwi go ożywiony głos Tansy i jej szorstkie zachowanie.

– Za tym wszystkim kryje się pani Carr – zaczęła. – To ona spiknęła panią Gunnison z Evelyn Sawtelle i już sam ten fakt daje do myślenia. Kobiety tają swoje zdolności magiczne, działają w pojedynkę. Stare przekazują młodym drobną część swej wiedzy, zwłaszcza matki córkom, ale robią to niechętnie i ostrożnie. To jedyny przypadek, znany pani Gunnison, (większość tego dowiedziałam się, obserwując jej duszę) współpracy trzech kobiet. To wydarzenie o przełomowym znaczeniu. Bóg raczy wiedzieć, co z tego wyniknie w przyszłości. Wciąż tylko przeczuwam ambicje pani Carr. Na pewno chce wielokrotnie pomnożyć swoją moc. Od siedemdziesięciu pięciu lat tak knuje.

Norman w odrętwieniu słuchał tych zwariowanych wywodów. Napoczął drugiego drinka.

– Uchodzi za niewinną, trochę głupkowaną babunię, z jednej strony zasadniczą i pruderyjną, z drugiej zdziecinniałą i nieudolną – ciągnęła.

Wzdrygnął się, bo wydało mu się, że wychwycił w jej głosie nutę skrywanej satysfakcji. Byłaby tak rażąco nie na miejscu, że uznał to za omam.

– Ale to tylko część charakteryzacji, tak samo jak słodki głos i miły sposób bycia. Jest najlepszą aktorką, jaką można sobie wyobrazić. Pod spodem twardą jak gład, lodowatą w porównaniu z temperamentem pani Gunnison i o niebo skromniejszą od tej niewolnicy zmysłów. A jednak i ona ma swoje skryte marzenia. Zachwyca się purytańskim Massachusetts. Niekiedy mam dziwne wrażenie, że układa jakieś niepojęte plany odtworzenia tamtej zaludnionej czarownicami teokratycznej społeczności... Trzyma w strachu obydwie czarownice. Praktycznie są jej uczennicami. Dowiedziałeś się już czegoś o pani Gunnison, więc teraz sobie wyobraź, że blednie z przerażenia, gdy cymkolwiek narazi się pani Carr.

Dopił drinka. Zamiast przejąć się tym nowym zagrożeniem, jakoś nie przyjmował go do wiadomości. Czas się ocknąć! – pomyślał bez przekonania.

Tansy podsunęła mu swoją szklanę.

– Pani Gunnison nie boi się bez przyczyny, albowiem pani Carr dysponuje potężną mocą, której nawet nie trzeba używać, wystarczy nią postraszyć. Najgorsze są te jej oczy za grubymi okularami. Posiada przerażającą nadprzyrodzoną broń, przeciwko której od niepamiętnych czasów wymyślano najwięcej zaklęć ochronnych. Nazwa tej broni jest w świecie tak rozpowszechniona, że stała się pośmiewiskiem niedowiarków. Złe oko. Dzięki niemu może sprowadzać choroby i nieszczęścia. Albo na oczekaniu przejąć kontrolę nad duszą... Dotychczas trzymała się na uboczu; czekała, aż tamte dostaną nauczkę za nieposłuszeństwo i zaczną skomleć o pomoc. Ale teraz nie będzie już zwlekać. Uważa cię za niebezpiecznego przeciwnika. – Tansy szybko wyrzucała z siebie słowa, jakby kończył jej się czas. – Poza tym, w ciemnych zakamarkach swojego umysłu uknuła jeszcze jeden spisek. Aż boję się o tym mówić. Czasem widziałam, jak z dziwną ochotą naśladuje moje ruchy i miny... – Nagle przerwała i twarz jej poszarzała. – Czuję ją... Czuję, że mnie szuka... Przebija się... Nie!!! – wrzasnęła. – Nie zmusisz mnie do tego! Nie zrobię tego! Nie! – Nim się zorientował, padła na kolana, wtuliła się w niego i chwyciła go za ręce. – Nie pozwól, by mnie dotknęła, Norman! – bełkotała jak wystraszone dziecko. – Nie pozwól jej się zbliżyć.

– Nie pozwolę – odparł nieustraszenie, nagle ożywiony.

– No tak... przecież ty jej nie powstrzymasz... Mówi, że tu idzie, w swoim własnym ciele. Tak bardzo się ciebie obawia. Znowu odbierze mi duszę. Gdybyś wiedział, czego ona chce... Ohyda!

Złapał ją za ramiona.

– Musisz mi powiedzieć. Czego chce?

Powoli uniosła bladą, przerażoną twarz i spojrzała mu głęboko w oczy. Odpowiadając szeptem, ani razu nie odwróciła wzroku.

– Sam wiesz, jak pani Carr kocha młodość. Nie raz zauważyłeś jej śmieszne, dziecinne zachowanie. Uwielbia towarzystwo młodych ludzi, wysysa z nich uczucia, niewinność, wigor. Jej największą życiową pasją jest pogoń za młodością. Broni się przed starością i śmiercią dłużej, niż sobie wyobrazasz. Na karku ma już nie siódmy, a dziewiąty krzyżyk. Niemniej

wiek ją stale dogania. Nie chodzi o to, że boi się śmierci, lecz zrobiłaby wszystko, Norman, dosłownie wszystko, żeby znowu mieć młode ciało... Rozumiesz już? Inni chcieli mojej duszy, ona chce odebrać mi ciało. Naprawdę nie zauważyłeś, jak na ciebie patrzy? Ona cię pragnie, Norman, ta nikczemna starucha cię pragnie i chce cię kochać w moim ciele. Chce osiąść to ciało, a moją duszę uwięzić w sparciłym flaku. Nie pożyłabym długo w tym próchnie. Nadchodzi, żeby to zrobić, niebawem tu będzie!

Wpatrywał się z trwogą w jej szeroko otwarte, złęknione, niemalże hipnotyczne oczy.

– Musisz ją powstrzymać, Norman. Musisz ją powstrzymać i jest na to tylko jeden sposób. – Nie odrywając od niego wzroku, wstała i wycofała się z pokoju.

Jej spojrzenie musiało mieć hipnotyczne właściwości, powstałe najpewniej wskutek przerażenia, ponieważ odniósł wrażenie, że ledwo zniknęła za drzwiami, a już wciskała mu do ręki zimny, kanciasty przedmiot.

– Musisz działać szybko – mówiła. – Jeśli się zawahasz choćby na moment, jeśli pozwolisz, by przewierciła cię wzrokiem, będziesz zgubiony, a wraz z tobą ja... na wieki. Wiesz, jak kobra pluje jadem w oczy. Nie ma wielkiej różnicy. Przygotuj się, Norman. Ona zaraz tu będzie.

Na chodniku przed domem rozległy się czyjeś szybkie kroki. Otworzyły się drzwi wejściowe. Tansy nagle przywarła do niego, aż poczuł wyraźnie jej piersi. Wilgotnymi ustami odszukała jego usta. Niemalże brutalnie odwzajemnił pocałunek.

– Tylko się pośpiesz, kochany – szepnęła z bliska.

Ktoś szedł korytarzem. Norman uniósł pistolet. Zauważył, że sypialnia tonie w półmroku; Tansy opuściła żaluzje. Drzwi sypialni otworzyły się do środka. Na tle jasnego korytarza rysowała się szara, chuda sylwetka. Na wprost przed muszką pistoletu ustawiła się mizerna twarz w grubych okularach. Norman przymierzał się do naciśnięcia spustu.

Postać lekko pokręciła siwą głową.

– Prędeż, Norman, prędeż! – naglił z tyłu nerwowy głos.

Szara postać w drzwiach stała nieporuszenie. Pistolet zadrżał, a potem nagle obrócił się w stronę Tansy.

– Norman!!!

## 21

Cichy, niespokojny wietrzyk wzruszał liście dębu, stojącego niby rosły gwardzista przed wąskim domem Carrów. Wśród ciemnych konarów mrugała dziewicza i nieskazitelna biel ścian, co skłaniało sąsiadów do żartów, że kiedy wszyscy śpią, staruszka pucuje dom ścierką na długim kiju. Widać było wiele dowodów serdecznej troskliwości o dostojny, wiekowy budynek. Wydzielał nawet swą woń – niczym stary kufer, w którym kapitan klipra przywiózł wyszukane przyprawy z wojaży po morzach chińskich.

Dom stał frontem do miasteczka studenckiego. Gdy patrzyły na niego dziewczęta idące na zajęcia, w ich pamięci odżywały wspomnienia spędzonych w nim wieczorów. Siadywały tam na krzesłach z prostym oparciem, potulne i grzeczne, podczas gdy drewno paliło się przyjemnie na błyszczącym, mosiężnym ruszcie w białym kominku. Gospodyni zaś opowiadała przedziwne historie, kończące się niespodziewanymi pointami, przy których śmiały się do rozpuku. A do cynamonowej herbaty podawała przepyszne pierniczki.

W korytarzu zapaliło się światło; blask sączący się przez świetlik malował ozdobną poręcz werandy wzorem kraty. Pod świetlikiem otworzyły się białe, eleganckie drzwi.

– Wychodzę, Flora! – krzyknął profesor Carr. – Twoim partnerom do brydża coś dzisiaj nieśpieszno!

– Zaraz będą – popłynęła korytarzem dźwięczna odpowiedź. – Pa, pa, Linthicum!

Profesor Carr zamknął drzwi. Żałował, że nie pogra sobie w karty. Cóż, nie można mieć wszystkiego, a referat młodego Rayforda o teorii liczb pierwszych zapowiadał się naprawdę interesująco. Jego kroki rozbrzmiewały najpierw na brukowanym chodniczku, obsadzonym, niczym staromodną koronką, białymi kwiatuskami. Potem przycichły na betonowych płytach i w końcu zamarły w oddali.

Na tyły domu zajechało auto. Dał się słyszeć szurgot, jakby coś wywlekano z bagażnika, po czym rozległy się ciężkie stąpania. Otworzyły się drzwi od podwórza i na moment w prostokącie światła zarysowała się postać mężczyzny, dźwigającego na ramionach jakiś bezkształtny toboł, który mógłby być obwiązaną kobietą, gdyby nie to, że tego rodzaju tajemnicze, szemrane zdarzenia nie miały prawa dziać się w domu Carrów, o czym zaświadczy każdy sąsiad. Potem drzwi się zamknęły i przez długi czas panowała cisza, tylko

wietrzyk igrał liśćmi dębu.

Z rozrzutnym marnotrawstwem gумы na frontowym podjeździe gwałtownie zahamował czarny studebaker. Wsiadła pani Gunnison.

– Pośpiesz się, Evelyn – powiedziała. – Przez ciebie znowu się spóźniamy. Wiesz, że tego nie lubi.

– Szybciej już nie mogę – odparła żałośnie jej towarzyszka. Ledwie otworzyły się eleganckie drzwi, zaleciało korzenną wonią.

– Moje drogie, późno się zjawiacie – rozległ się dźwięczny, wesoły głos. – Tym razem wam wybaczę, bo mam niespodziankę. Pokażę wam, chodźcie.

Podążyły do salonu za wąż postacją w szeleszczącej jedwabnej sukience. Za przykrytym haftowaną serwetą stolikiem do brydża, na którym położono dwie kryształowe patery z ciasteczkami, stał Norman Saylor. Nawet w połączonym blasku lamp i kominka na jego twarzy nie widać było żadnych uczuć.

– Tansy nie mogła przyjść, więc zgodził się być czwartym do brydża – wyjaśniła pani Carr. – Miła niespodzianka, prawda? I czyż to nie miłe ze strony profesora Saylora?

Pani Gunnison przez chwilę zbierała się na odwagę:

– No, nie jestem przekonana, czy to najlepszy pomysł – powiedziała w końcu.

– A kogo obchodzą twoje przekonania?! – padła reprimenda. Pani Carr stała wyprostowana. – Siadajcie!

Kiedy zajęły miejsca przy stoliku, gospodyni wyciągnęła z talii kilka kart.

– To wy dwie – rzekła głosem jak zawsze srebrzystym i słodkim. – Położyła obok siebie damę trefl i damę karo. – A to profesor Saylor. – Dołożyła króla kier. – A to ja. – Położyła damę pik tak, że przykryła częściowo pozostałe trzy karty. – A tu na boku dama kier, czyli Tansy Saylor. Oto co zamierzam zrobić. – Przesunęła damę kier tak, by całkowicie zakryć damę pik. – Nie rozumiecie, co? Cóż, jest w tym ukryty sens, lecz nie jesteście zbyt roztargnięte. Zaraz zrozumiecie. Właśnie odbyłam nad wyraz interesującą rozmowę z profesorem Saylorem. O jego pracy. Prawda, profesorze? – Gdy kiwnął głową, ciągnęła: – Dokonał fascynującego odkrycia. Okazuje się, że istnieją prawa rządzące sprawami, którymi się zajmujemy. Mężczyźni są na swój sposób bardzo sprytni, nie sądzicie? Z życzliwości podzielił się ze mną całą swoją wiedzą. Nawet wam się nie śniło, o ile prostsze i bezpieczniejsze może być teraz nasze życie. No i skuteczność. W dzisiejszych czasach wszystko zależy od skuteczności. Ba, profesor Saylor przygotował dla mnie pewne rzeczy. Nie powiem wam co, ale mam po jednej dla was i jeszcze dla kogoś. I nie są to prezenty, bo zachowam je dla siebie. Jeśli któraś z was będzie niegrzeczną dziewczynką, dzięki nim z łatwością odbiorę wam część życia. Wiecie, o jakiej części mowa. A teraz wydarzy się coś, dzięki czemu będę mogła w przyszłości zacieśnić współpracę z profesorem Saylorem. Jak bardzo zacieśnić, nie macie pojęcia. Pomóżcie mi, od tego tu jesteście. Otwórz drzwi do jadalni, Norman.



Były to staroświeckie drzwi przesuwne, lśniące białą farbą. Powoli je odsunął.

– Proszę – powiedziała pani Carr. – Wieczór niespodzianek!

Ciało było przywiązane do krzesła. Tansy Saylor wytrzeszczała na nich oczy znad knebla z bezsilną wściekłością.

Evelyn Sawtelle uniosła się z krzesła, tłumiąc okrzyk zgrozy.

– Tylko bez hysterii, Evelyn – napomniała ją pani Carr. – W środku siedzi dusza.

Evelyn klapnęła na siedzenie z drżącymi ustami. Pani Gunnison pobladła, lecz zapanowała nad sobą i wsparła łokcie na stoliku.

– Nie podoba mi się to – oświadczyła. – Za duże ryzyko.

– Jestem gotowa na ryzyko, moja droga, na jakie jeszcze tydzień temu bym się nie odważyła – powiedziała słodko pani Carr. – W tej sprawie niezbędna jest wasza pomoc. Oczywiście, jeśli nie chcecie pomagać, wasza wola. Tylko mam nadzieję, że liczyście się z konsekwencjami.

Pani Gunnison spuściła wzrok.

– W porządku, miejmy to już za sobą.

– Jestem starą kobietą – rzekła pani Carr z denerwującą flegmą – i cenię sobie życie. Zbliża się kres moich dni i trochę mnie to gnębi. Na domiar złego, jak się zapewne domyślacie, mam większe prawo lękać się śmierci niż normalni ludzie. Tymczasem wygląda na to, że ponownie doświadczę tego wszystkiego, co stara kobieta tylko wspomina z rozrzewnieniem. W ciągu tych dwóch tygodni zaszły pewne okoliczności, które umożliwiły mi przygotowanie gruntu. Pomagał też profesor Saylor. No i wy, moje drogie, również mi pomożecie. Bo widzicie, trzeba zbudować pewne napięcie, co mogą zrobić tylko osoby z odpowiednim doświadczeniem, i muszą być cztery. Profesor Saylor (doprawdy, ma głowę nie od parady!) twierdzi, że tak samo zwiększa się napięcie elektryczne, aby nastąpił przeskok iskry. W naszym przypadku przeskok nastąpi stąd, gdzie siedzę, tam. – Wskazała związaną postać. – I będą dwie iskry. Na zakończenie dama kier dokładnie zakryje damę pik. Jednocześnie dama pik zakryje damę kier. Zaiste, moje drogie, dziś dokonamy rzeczy nadprzyrodzonej. Zawsze to, czego nie widać, liczy się najbardziej, nieprawdaż?

– To się nie uda! – stwierdziła pani Gunnison. – W końcu prawda wyjdzie na jaw.

– Tak myślisz? No to grubo się mylisz. Nie będę musiała nawet palcem kiwnąć. Bo co się stanie, kiedy stara pani Carr powie, że jest młodą Tansy Saylor? Chyba wiesz, jaki los spotka tę kochaną, niewinną staruszkę. Czasem prawa i poglądy sceptycznego społeczeństwa bardzo się przydają... Możesz zacząć od ognia, Norman. Ja w tym czasie pouczę je, co mają robić.

Wsypał do kominka garść proszku. Ogień buchnął zielonym płomieniem, a w pokoju rozszedł się ostry, gryzący zapach.

A wtedy – kto wie? – może nastąpiło poruszenie w samym sercu świata i nieme wichry zadęły w czarnej otchłani. Na ciemnej stronie planety miliony kobiet nerwowo wierciły się w łóżku, niektóre zaś się budziły, złane potem ze strachu. Na jasnej stronie kolejnym milionom

udzielał się niepokój, nawiedzały je upiorne majaki niewiadomego pochodzenia. Niektóre popełniały błędy w pracy i musiały powtórnie wstawić słupek liczb, podpiąć inny kabel do kineskopu, wyrzucić na złom źle przewierconą blachę lub na nowo sporządzić mieszankę dla niemowlaka. W sercach, jak grzyby po deszczu, rosły niejasne podejrzenia. Jakby olbrzymi kafar zaczął niebezpiecznie zbliżać się do podstawy, na której stał, albo jakby wirujący bąk powoli zbaczał ku brzegowi stołu, przez co pewne istoty, widząc, co się dzieje, pierzchały przerażone w ciemności. Nad samym skrajem dziwny bąk przestał się przesuwać. Jego ruch się uporządkował; znów kręcił się jednostajnie, bez wahań. Ktoś mógłby powiedzieć, że wichur ucichł w otchłani i wróciła równowaga...

Norman Saylor pootwierał górne i dolne okna, żeby świeże powietrze wyparło resztki gryzącego zapachu. Następnie uwolnił z pęt uwięzioną kobietę i wyciągnął z ust knebel. Niebawem wstała i razem ruszyli w stronę drzwi.

Przez ten czas nikt się nie odzywał. Postać w szarej, jedwabnej sukience siedziała zgarbiona, z pochyloną głową i rękami opuszczonymi wzdłuż ciała.

Kobieta, którą oswobodził Norman, odwróciła się w progu.

– Nim pójdę, coś wam powiem. Dziś wieczór mówiłam prawdę... z jednym małym wyjątkiem...

Pani Gunnison podniosła wzrok. Evelyn Sawtelle wykręciła się w krześle. Pani Carr siedziała w bezruchu.

– Dusza pani Carr nie przeniosła się teraz do ciała Tansy Saylor. To się stało dużo wcześniej, kiedy odebrała duszę Tansy pani Gunnison, a potem zamieszkała w związanym, pustym ciele Tansy. Zostawiła pojmaną duszę w swoim pierwotnym, starym ciele; zgodnie z jej planem, Tansy miała zostać zamordowana przez własnego męża. Albowiem wiedziała, że ta wpadnie w panikę i od razu pobiegnie do domu. Postanowiła nakłonić Normana do zabicia ciała z duszą jego żony, wmawiając mu, że zabije panią Carr. Mało brakło, a tak by się to skończyło... Pani Gunnison wiedziała, że pani Carr przywłaszczyła sobie duszę Tansy, tak samo jak ona, z podobnych powodów, odebrała ją przedtem Evelyn Sawtelle. Ale nie wyjawiała tego Normanowi, żeby nie stracić karty przetargowej. Dziś miała złe przeczucia, ale bała się bronić swojego stanowiska. A więc sytuacja, do czego wszystkie się przyczyniłyście, przedstawia się następująco: pani Carr znów mieszka w ciele pani Carr, a dusza Tansy Saylor w ciele Tansy Saylor. W moim ciele. Dobranoc, Evelyn. Dobranoc, Huldo. Dobranoc, Floro, moja droga.

Zamknęli za sobą eleganckie drzwi. Zachrząścił żwir pod nogami.

– Skąd wiedziałeś? – zapytała Tansy na wstępie. – Kiedy stałam w drzwiach, wyteżając wzrok przez te wstrętne okulary, do tego zasapana, bo biegłam, żeby się z tobą jak najszybciej spotkać... Skąd wiedziałeś?

– Po pierwsze, pani Carr zdradziła się na sam koniec. Zaczęła mówić w ten swój przesadzony sposób. Ale samo to jeszcze by nie wystarczyło. Świetna z niej aktorka. Zresztą

po tym, jak rewelacyjnie dziś odegrałaś jej rolę, zupełnie bez przygotowania, to cud, że zdołałem przejrzeć ją.

– A zatem?

– Biegłaś po chodniku inaczej, niż biegłaby pani Carr. Inaczej się ruszałaś. Ale dopiero gdy pokręciłaś głową, tak szybko, trzy razy, pozbyłem się wątpliwości. Wszędzie bym cię rozpoznał po tym geście. Potem już wiedziałem, co jest grane.

– Nie sądzisz – zapytała cicho – że po tej historii zaczniesz się zastanawiać, czy ja to naprawdę ja?

– Pewnie tak będzie – odparł poważnie. – Ale zawsze będę w stanie dojść prawdy.

Rozległy się czyjeś kroki i z cienia doleciało ich przyjazne powitanie:

– Jak się macie! – wołał pan Gunnison. – Już po brydżu? Pomyślałem sobie, że przespaceruję się z Linthicumem, a do domu pojedę z Huldą. Słuchaj, Norman, po referacie zajrzał do mnie Pollard. Nieoczekiwanie zmienił zdanie w sprawie, o której rozmawialiśmy ostatnio. Szepnął słówko i zarząd odwołał zebranie.

– Bardzo ciekawy referat – wdał się w rozmowę pan Carr. – Miałem okazję zadać autorowi podchwytliwe pytanko. Muszę stwierdzić z uznaniem, że odpowiedział doskonale, nie licząc moich drobnych uwag. Ale szkoda, że ominęły mnie karty. A, zresztą i tak niewiele straciłem.

– Gdyby wiedział, co było do stracenia... – skomentowała Tansy, kiedy odeszli kawałek. I roześmiała się zaraźliwym, łobuzerskim śmiechem, wynikającym z wielkiej ulgi. – Aha, kochanie – dodała – szczerze wierzysz w to, co się stało, czy znowu udajesz, żeby nie robić mi przykrości? Wierzysz, że wydobyłeś duszę żony z ciała innej kobiety? A może zdrowy rozsądek już ci podpowiada, że przez tydzień udawałeś wiarę w czary, by wyleczyć żonę i trzy stare psychopatki ze schizofrenii lub jeszcze Bóg wie czego?

– Nie wiem – odpowiedział Norman powoli, z tą samą co przedtem powagą. – Naprawdę, nie wiem...

# WIELKI CZAS

# 1

*Kiedy się tu spotkamy jeszcze?  
Gdy błysnie piorun, luną deszcze?  
Gdy wrzawa ciszy ulegnie,  
Ktoś zwycięży, ktoś polegnie.*

Szekspir\*

## Wchodzą trzej huzarzy

Nazywam się Greta Forzane. Dwadzieścia dziewięć lat, imprezowy styl życia, tyle o mnie w skrócie. Chociaż rodzice pochodzili ze Skandynawii, urodziłam się w Chicago. Obecnie przebywam poza czasem i przestrzenią. Nie w niebie i nie w piekle, jeśli gdzieś są te miejsca, ale też nie w znanym wam wszechświecie.

Nie mam tak romantycznej natury jak moja imienniczka, niezapomniana gwiazda filmowa\*, chociaż nie jestem całkiem pozbawiona uroku. Urok osobisty to podstawa, bo zajmuję się kurowaniem chorych żołnierzy i niańczeniem obłąkanych, którym się porządnie oberwało na największej z wojen. Mówię o wojnie zmian, wojnie podróżników w czasie. Udział w tej wojnie nazywamy potocznie wielkim czasem. Nasi żołnierze cofają się w czasie, żeby zmienić przeszłość. Co więcej, wybiegają wprzód i majstrują z przyszłością, by za miliard lat lub nawet później do nas należało zwycięstwo. To rzeź zakrojona na szeroką skalę, możecie mi wierzyć.

Choć nieświadomie mogliście dostrzec ślady wojny zmian, nic a nic o niej nie wiecie, mimo że dotyczy każdej minuty waszego życia. Nie martwiliście się ani razu, że pamięć wam szwankuje, kiedy z dnia na dzień zmieniły się wspomnienia konkretnej chwili w przeszłości? Ani razu nie przyszło wam na myśl, że waszą osobowość kształtują tajemnicze siły, nad

---

\* Z Makbeta Szekspira (tłum. M. Słomczyński).

\* Greta Garbo.

którymi nie panujecie? Czy mieliście przecucie, że lada moment zginiecie tragiczną śmiercią? A nie baliście się duchów – nie tych z ksiąg, rzecz jasna, ale miliardów istnień ludzkich, które niegdyś były tak pełne życia, iż trudno uwierzyć, że beczynn timerzeprzeąpią całą wieczność? Nie zastanawialiście się, czym są tak zwane diabły lub demony – upiory wędrujące w czasie i przestrzeni, poprzez rozpalone serca gwiazd i mroźny szkielet śródgwiezdnej otchłani? A może zdawało wam się, że cały ten kosmos to jakiś zwariowany sen? Jeśli tak, były to właśnie ślady wojny zmian.

Jak się zaciągnęłam na wojnę, jak wygląda jej przebieg, kim są strony konfliktu, czemu wie o niej tylko wasza podświadomość, co naprawdę o niej myślę – w swoim czasie wszystkiego się dowiecie.

Miejsce poza kosmosem, gdzie moja brygada zajmuje się pielęgniarstwem, nazywamy po prostu Miejscem. Moja rola często polega na zabawianiu i doczłowieczaniu żołnierzy wracających z wypraw. Formalnie pełnię funkcję mistrza rozrywki, trochę zbikowanego, o czym się przekonacie.

W skład brygady wchodzi jeszcze dwie kobiety i trzech facetów, a wszyscy przybyli z najprzeróżniejszych miejsc i epok. Tworzymy zgraną paczkę, której szefuje Sid, i naprawdę wzorowo prowadzimy stację uzdrowiskową, choć od czasu do czasu nękają nas rodzinne zawirowania. Większość z nich powodują poturbowani żołnierze, którzy przeszli przez piekło i chcą je zgotować innym. Nawiasem mówiąc, właśnie od takich trzech wojaków rozpoczęła się historia, którą wam opowiem – historia, która otworzyła mi oczy na świat i moje miejsce w tym świecie.

Kiedy to się zaczęło, miałam za sobą tysiąc snów w wielkim czasie i dwa tysiące koszmarów, z czego w Miejscu przepracowałam połowę. Te dwa regulaminowe kosmary, na które szykujesz się za każdym razem, kiedy chyłisz do snu ocięzają głowę, dają w kość, ale udajesz, że ci to nie przeszkadza, bo uczestniczenie w wielkim czasie ma być warte wyrzeczeń.

Biorąc pod uwagę rozmiary i panującą w nim atmosferę, Miejsce plasuje się pośrodku między dużym klubem nocnym, w którym mistrzowie rozrywki śpią, a małym, uroczym wystrojonym hangarem dla zeppelinów. Nam zeppelin ciągle jeszcze nie został przydzielony. Miejsce można opuścić (rozsądek nakazuje nie robić tego za często, zwłaszcza mistrzom rozrywki) – wyjść o brzasku zimnego poranka, zaludnionego czymkolwiek: od pierwszych dinozaurów po późniejsze gatunki, które, nie licząc gabarytów, wyglądają bardzo podobnie.

Od chwili zatrudnienia się w Miejscu sześć razy brałam urlop zgodnie z lekarskim zaleceniem, a zatem sześciokrotnie wybierałam się na krótkie kosmiczne wakacje – jeżeli tak można to ująć, bo nie odczułam wielkiej różnicy w porównaniu z tym, co normalnie działo się w Miejscu. Ostatnie wczasy urządziłam sobie w Rzymie epoki renesansu, gdzie zadurzyłam się w Cezarze Borgii\*, ale szybko się z tego otrząsnęłam. Zresztą, do bani z takimi wakacjami,

---

\* Cezar Borgia (1475 lub 1476-1507) – włoski polityk i kondotier, książę Romani.

skoro Pająki muszą je wpasować w szeroką operację wojenną, a w takich okolicznościach trudno o wypoczynek.

„Widzisz tych żołnierzy, co zmieniają przeszłość? Trzymaj się z nimi. Nie pchaj się na czoło, ale też nie łaż samopas. Odpręż się i baw dobrze”.

Ha! W odróżnieniu od takich wczasów u nas w Miejscu żołnierze mogą balować na całego, zrelaksować się w iście królewskim stylu. Rozrywka jest naszym żywiołem, więc pozwalamy im się wyhasać, żeby wracali na pole bitwy w szampańskich nastrojach. Oczywiście, raz na długi, bardzo długi czas zdarzy się coś, co wszystkim skwasi humor.

Pod pewnymi względami jestem martwa, ale bez paniki, pod innymi jestem aż nadto żywa. Gdybyśmy wpadli na siebie gdzieś w kosmosie, pożartowalibyście ze mną lub spróbowali mnie poderwać, zamiast dzwonić po gliny, które was tylko w tym wyręcą, lub po księżula, który mnie skropi święconą wodą – pomijam zimnych drani bez serca. Wątpię jednak, czy mnie spotkacie w kosmosie, bo z wyjątkiem Prateru\* i Basin Street\* moim ulubionym (ha!) celem wojaży jest piętnastowieczna Italia lub Rzym z czasów Oktawiana Augusta\* (nim uległ zepsuciu), a ponadto, jak już nadmieniałam, nie oddalam się zbyt od Miejsca. To naprawdę najfajniejsze Miejsce w całym Świecie Zmian. Rety, nawet w myślach widzę dużą literę!

Tak czy owak, kiedy to się zaczęło, zbijałam bąki na kanapie blisko fortepianu, rozmyślając o paznokciach, których nie zdążę już umalować, choć całkiem możliwe, że ktokolwiek się zjawi, i tak nie zauważy różnicy.

Dawało się odczuć pewne wrzenie w Miejscu, jak zwykle podczas zbliżenia. Szary atlas otaczającej nas pustki mąciły niespokojne światełka – podobne do tych, jakie widać w ciemności, gdy zamyka się oczy.

Sid regulował serwisantów przed manewrem przejścia. Prawy rękaw jego szarego, szytego złotem kaftana był poplamiony, ponieważ raz po raz wycierał nim pot, pochylając czoło szybkim ruchem.

Znad drugiego ramienia wзираł Beauregard. Kolanem odzianym w białe spodnie delikatnie bódł różowy plusz sofy sterowniczej, bacznie obserwując najdrobniejsze ruchy starych palców Sida na przyrządach kontrolnych. Beau jest drugim pilotem, nie tylko pianistą. Jego oczy były absolutnie obojętne, pewnie tak samo jak w chwilach, gdy los ostatniej złotej dwudziestodolarówki, którą posiadał lub pożyczył, zależał od siły następnej karty w kasynie jednego z tych lukrowanych parowców, pływających po Missisipi.

Doktorek, jak zwykle na cyku, siedział przy barze w zesuniętym na kark cylindrze, omotany dzierganym szalem. Jakby nie wystarczało to, że jest pijanym demonem w Świecie Zmian, jeszcze się dobijał wspomnianiem ponurego życia w okupowanej przez nazistów

---

\* Prater – wiedeński park z 65-metrowym diabelskim młynem.

\* Basin Street – ulica w Nowym Orleanie, znana m.in. z powstałej w tym rejonie w 1870 r. dzielnicy czerwonych latarni (oficjalnie zamkniętej w 1917 r.).

\* Oktawian August (63 p.n.e.-14 n.e.) – cesarz rzymski, wnuk siostry Juliusza Cezara.

carskiej Rosji.

Maud, zwana starszą, oraz Lili, czyli nowa, odmawiały różańce na swoich identycznych perłowych naszyjnikach.

Powiedziałyby ktoś o nas, mistrzach rozrywki, że jesteśmy cykory. Cóż, demon niekoniecznie musi być symbolem odwagi.

Czerwona lampka większego serwisanta zgasła, a wtedy w pustce zwróconej do Sida i Beauego zaczęły ciemnieć wrota. Poczułam ostry podmuch wiatru zmian, jednocześnie umknęło mi kilka uderzeń serca. Zaraz potem z kosmosu do Miejsca przeszło trzech żołnierzy. Zrazu rozległo się dudnienie kroków, nim zmienił się dla nich bieg czasu i waga ciała.

Mieli na sobie ubiór huzarskich oficerów, o czym nas wcześniej uprzedzono. I nagle – wielkie rety! – w pierwszym z nich rozpoznałam Ericha, mojego kochanego małego komendanta, chlubę von Hohenwaldów i postrach Węży. Za nim postępował surowy Rzymianin, obok zaś, cisnąc się do niego, maszerował jasnowłosy młodzian z twarzą greckiego boga, który urządza sobie wycieczkę po chrześcijańskim piekle.

Odziani byli dokładnie tak samo, w czern: czaka, kurtki z barankowym obrzeżem, wysokie buty; na czakach widniały odznaki w postaci białej czaszki. Różnili się jedynie tym, że Erich miał na nadgarstku przywoływacz, natomiast młodzieniec w lewej pancerniej rękawicy trzymał drugą do pary. Prawą dłoń miał odsłoniętą (Erich i Rzymianin zaś obie).

– Udało wam się, chłopaki, serca wy moje złote! – powitał ich gromko Sid.

Beau uśmiechnął się kącikami ust i mruknął coś uprzejmie.

Maud zaczęła skandować:

– Zamknąć wrota! – w czym natychmiast zawtórowała jej nowa, ponieważ wiatr zmian dmucha jak szalony, kiedy wrota są niedomknięte. Co prawda, nie sposób zatrzasnąć ich na tyle, żeby drobne podmuchy nie przeciskały się do środka.

– Zamknijcie je, bo nam wiatr twarze poharata! – krzyczała Maud świdrującym głosem, od którego lód by popękał. Wyglądała jak chudy wyrostek w swoim obcisłym, sięgającym kolan kaftanie, wzorowanym na stroju nowej.

Trzej żołnierze nie zwracali na to uwagi. Rzymianin – pamiętam, że miał na imię Marek – poruszał się niezdarne, jakby miał coś z oczami. Erich i młodzieniec ujadali jeden na drugiego, spierając się o jakiegoś dzieciaka, Einsteina, pałac letni, zakrwawioną rękawicę i Węże, które podłożyły ładunki w Sankt Petersburgu. Erich miał na ustach taki sam powściągliwy, sadystyczny uśmiech, jak zawsze gdy chciał mi przywalić.

Nowy pienieł się z wściekłości:

– Cóż nas tak śpiesznie wycofał, do cholery!?! Takeśmy rejterowali, że cały Newski Prospekt\* został zrujnowany!

---

\* Newski Prospekt – reprezentacyjna ulica Sankt Petersburga.



– Nie zauważyłeś, że strzelali z pistoletów ogłuszających, *Dummkopf*<sup>\*</sup>, kiedy uruchomili potrzask? – odparował Erich.

– Przedwcześnie, *Gott sei Dank*<sup>\*</sup>.

– Coś mnie tam połaskotało – rzekł nowy. – Kota byś tym nie ogłuszył. Czemuś nas nie dopuścił do boju?

– Stul pysk, jestem twoim dowódcą! Jeszcze ci to całe wojowanie bokiem wyjdzie, zobaczysz.

– Akurat! Jesteś parszywym nazistowskim tchórzem.

– *Weiblicher Engländer!*<sup>\*</sup>

– Nieokrzesany Hun!

– *Schlange!*<sup>\*</sup>

Jasnowłosa młodzieniec znał niemiecki na tyle dobrze, że zrozumiał ostatnią inwektywę. Odrzucił obszytą sobolem kurtkę, aby ręka miała więcej swobody, i tak energicznie odsunął się od Ericha, że wpadł na Beau'ego.

Widząc, że dojdzie do rękoczynów, Beau ześliznął się z sofy zwinnie i cicho niczym... – nie, nie użyję tego słowa – i stanął przed nimi.

– Nie zapominajcie się, panowie! – rzekł ostro, chwiejąc się na nogach. Podparł się na wyciągniętej ręce nowego. – To stacja rozrywkowo-uzdrowiskowa Sidneya Lessinghama. Są tu panie...

Nowy odepchnął go ze wzgardliwym prychnięciem i odsłoniętą dłonią chwycił pałasz. Beau potoczył się w stronę sofy, zawadził o nią i poleciał twarzą na serwisanty. Sid migiem je wyłuskał, jakby były plażowymi radijkami (w Miejscu niczego nie przytwierdzamy na stałe) i położył na stolik, nim Beau grzmotnął o ziemię. Tymczasem Erich dobył szabli, zastawił się przed pierwszym zamaszystym cięciem nowego i wyprowadził kontratak. Usłyszałam jęk stali i chrobot obcasów na nabijanej diamentami podłodze.

Beau wykręcił się i wstał, wydobywając spod żabotu koszuli deringera<sup>\*</sup>, o którym wiedziałam, że jest przykrywką dla jakiejś innej broni, pistoletu ogłuszającego lub nawet atroposa<sup>\*</sup>

Zdrętwiałam ze strachu o Ericha i wszystkich obecnych, to raz, ale przyszło mi też do głowy, że my, mistrzowie rozrywki, mamy tak samo napięte nerwy jak żołnierze, do czego chyba doprowadziło zdarzenie sprzed dwudziestu snów, kiedy Węże odwołały wszystkie kosmiczne urlopy.

Sid spiorunował wzrokiem Beau'ego i warknął:

– Sam się tym zajmę, skurwiały podjudzaczu! – i odwrócił się do mniejszego serwisanta.

---

\* Dummkopf (niem.) – dureń.

\* Gott sei Dank (niem.) – dzięki Bogu.

\* Weiblicher Engländer (niem.) – zniewieściały Anglik.

\* Schlange (niem.) – wąż.

\* Deringer – rodzaj małego, kieszonkowego pistoletu.

\* Atropos – nazwa wzięta od najstarszej z greckich bogiń losu, przecinającej nić ludzkiego życia.

Z ulgą zauważyłam, że na większym zapaliła się czerwona lampka. Podziękowałam w myślach Mamie Dewi\* za to, że wrota są już zamknięte.

Maud kicała i hycła, dopingując nie wiadomo kogo – pewnie sama nie miała pojęcia – a nowa tylko patrzyła z przerażeniem. Zauważyłam, że szable wzięły się ostro do roboty. Szabelka Ericha śmigła tu, tam i siam, a raz furknęła blondynowi przy policzku, utoczywszy kilka kropel krwi. Chłopak wyrwał się z gwałtownym sztychem, Erich uskoczył i zaraz po tym obaj bezradnie kiwali się w powietrzu. Zaczęli się zwijać, jakby ich skurcze łąpały.

Od razu się zorientowałam, że Sid wyłączył pole grawitacyjne w sekcji wrót i magazynów, gdy tymczasem my w sekcji chirurgicznej i sekcji odświeżacza mogliśmy swobodnie stąpać po ziemi. Miejsce zostało podzielone na strefy grawitacyjnej przez wzgląd na naszych pozaziemskich kołesiów; stuknięci przybysze zwalają nam się na głowę w najdziwniejszych konfiguracjach.

– No dobra, chłopaki, koniec zabawy! – zawołał Sid ze swojego centralnego stanowiska tonem dość uprzejmym, lecz nie znoszącym sprzeciwu. – Chować mi te szable!

Jeszcze przez kilka sekund dwaj huzarzy gimnastykowali się w powietrzu. Erich roześmiał się tubalnie i bez trudu spełnił rozkaz. Mały komendant był przyzwyczajony do stanu nieważkości. Młody blondas przestał się szamotać, zawahał się i, łypiąc na Ericha, zdołał wreszcie schować pałasz do pochwy, aczkolwiek wykonał przy tym salto. Wtenczas Sid przywrócił pole grawitacyjne, choć uczynił to powoli, żeby nie zaliczyli twardego lądowania.

Erich zaśmiał się, tym razem wesoło, i ruszył do nas różnym krokiem. Po drodze poklepał po ramieniu nowego i popatrzył na jego twarz.

– No, w końcu dochrapałeś się blizny – powiedział.

Młodzieniec nie odsunął się, ale też nie podniósł wzroku. Sid spieszył w jego stronę, lecz mijając Ericha, pogroził mu palcem i rzekł pogodnie:

– Ty łotrzyku!

A ja już po chwili obłapiałam Ericha – witaj w domu! – on zaś całował mnie, łamał mi żebra i mówił: – *Liebchen!* *Doppchen!* – czego nie miałam mu za złe, bo całym sercem go kocham, w łóżku też, i jestem takim sam jak on sobowtórem.

Ledwie się wyswobodziłam dla złapania oddechu – jego niebieskie oczy na zmęczonej twarzy wyglądały tak uroczo – nagle coś z tyłu zadudniło. Akurat gdy zostało rozładowane napięcie, Doktorek spadł ze stołka, aż cylinder nasunął mu się na oczy. Kiedy odwróciliśmy się, żeby się z niego ponabijać, Maud zapiszczała alarmująco, bo oto tymczasem Rzymianin wmaszerował prosto w pustkę i dziarsko przebiegał nogami, choć – normalna sprawa – nie posuwał się ani kroku do przodu. Jego czarny ubiór zlewał się z szarością, która wypełniała

---

\* Mama Dewi (sansk.) – matka bogów.

\* Liebchen! (niem.) – Kochana!

\* Doppchen! (niem.) – Sobowtusi! Od słowa doppelgänger (niem. sobowtór), określającego widmo osoby żyjącej.

umysł.

Maud i Beau rzucili się, żeby go wyłowić, co mogło się okazać skomplikowanym zadaniem. W zachowaniu chudego hazardzisty znowu uwidoczniła się uprzejmość i pracowitość. Z daleka akcję nadzorował Sid.

– Co mu dolega? – zapytałam Ericha.

Wzruszył ramionami.

– Szok po zmianie. I był najbliżej pistoletów ogłuszających. Mało co nie spadł z konia. *Mein Gott, Liebchen*<sup>\*</sup>, powinnaś zobaczyć Sankt Petersburg. Newski Prospekt, kanały przelatujące wokół jak ceremonialne dywany w kolorze nieba, oddział kawalerzystów w błękitnych i złotych barwach, którzy nieudolnie próbowali odciąć nam drogę ucieczki, wytworne kobiety w futrach i strusich piórach, zakonnik z wielkim trójnogiem i głową w kapturze... Ciarki mi przechodziły po skórze, gdy patrzyłem w przelocie na umrzyków, którzy gapili się na mnie tępym, nieprzytomnym wzrokiem. W dodatku wiedziałem, że niektórzy, choćby i ten fotograf, są Wężami.

W wojnie zmian trzymamy stronę Pająków, zwalczamy zaś Wężę, aczkolwiek wszyscy, Wężę i Pajaki, są też sobowtórami i demonami, bo wycięto nas z kosmicznej linii życia. Waszą linią życia jest droga od narodzin do śmierci. My jesteśmy sobowtórami, ponieważ działamy zarówno w kosmosie, jak i poza nim, a demonami dlatego, że zachowaliśmy sporo funkcji życiowych – w odróżnieniu od duchów. Żołnierze i mistrzowie rozrywki zawsze są demonami i sobowtórami, niezależnie od tego, po której walczą stronie, choć mówi się, że miejsca Węży wyglądają upiornie. Umrzyki to nieżywi ludzie, których linie życiowe leżą w tak zwanej przeszłości.

– Co robiłeś w Sankt Petersburgu przed zasadzką? – zapytałam Ericha. – Jeśli wolno ci o tym mówić.

– A czemuż by nie? Porywaliśmy małego Einsteina z łap Węży w 1883 roku. O tak, *Liebchen*, kilka snów temu dorwały go Wężę, przez co zwycięstwo Zachodu nad Rosją wisiało na włosku...

– ... dzięki czemu drogi Hitler dostał świat na tacy i rządził nim pięćdziesiąt lat, a podczas wyzwolenia Chicago twoje bitne wojsko pokochało mnie na zabój...

– ... i dzięki czemu w końcowej rozgrywce Zachód z Pająkami odniósł zwycięstwo nad komunizmem z Wężami, *Liebchen*. Nie zapominaj o tym. Tak czy owak, nasze kontrporwanie spaliło na panewce. Jakimś trafem Wężę rozstawiły straże, o czym nikt nas nie poinformował. Zrobił się straszny bałagan. Nie dziwota, że Bruce stracił głowę... co go wcale nie usprawiedliwia.

– Ten nowy? – zapytałam.

Sid jeszcze się nim nie zajął, stał więc dalej ze spuszczonego wzrokiem tam, gdzie go Erich zostawił, posagowe ucieleśnienie wstydu i wściekłości.

---

<sup>\*</sup> *Mein Gott, Liebchen* (niem.) – Mój Boże, kochana.

– *Ja*, porucznik z pierwszej wojny światowej. Anglik.

– Zdażyłam się domyślić. Naprawdę jest zniewieściały?

– *Weiblicher*? – Uśmiechnął się. – Jakoś musiałem mu dogryźć, kiedy nazwał mnie tchórzem. To dobry materiał na żołnierza, tyle że potrzebuje szlifu.

– Wy, faceci, jesteście tacy oryginalni, kiedy sobie dogryzacie. – Zniżyłam głos. – Ale nie powinieneś być nazywać go Wężem, mój Erichu.

– *Schlange*? – Wykrzywił wargi. – Kto wie? Nikomu nie można ufać. W Sankt Petersburgu dotarło do mnie, że szpiegdy Węży zaczynają przechytrzać naszych. – W niebieskich oczach nie było już słodyczy. – A ty, *Liebchen*, jesteś tylko i wyłącznie uczciwym, lojalnym Pająkiem?

– Wypraszam sobie!

– W porządku, poniosło mnie... w twoim przypadku i w przypadku Bruce'a. Wszyscy dziś żyjemy w napięciu, na granicy załamania.

Maud i Beau przyciągnęli na kanapę Rzymianina (przy czym większość jego ciężaru wzięła na siebie Maud). Sid przyglądał się czujnym wzrokiem, a nowy nadal dąsał się w samotności. Oczywiście, dotrzymywać mu kompanii powinna nowa, ale gdzieś się zawieruszyła. Pomyślałam sobie, że kretynka pewnie przechodzi załamanie nerwowe w sekcji odświeżacza.

– Rzymianin wygląda dość kiepsko, Erich – powiedziałam.

– Marek to twarda sztuka. Człek wielkiego męstwa, jak mawiają w jego stronach. Ta mała kosmitka na pewno przywróci go do życia, jeśli...

– ... można to nazwać życiem – dokończyłam usłużnie.

Miał rację. Maud mogła się pochwalić ponad pięćdziesięcioletnim doświadczeniem psychomedycznym, i to zdobytym w XXIII wieku. Niby przejmowała obowiązki Doktorka, ale ten po pięćdziesięciu popijawach był do niczego...

– Maud i Marek, byłby to ciekawy eksperyment – powiedział Erich. – Przypominają mi się doświadczenia Goeringa z zamrażaniem ludzi i nagimi Cygankami\*.

– Jesteś podłym nazistą. Jeśli się nie mylę, Maud posłuży się elektroforezą i techniką głębokiej sugestii.

– Nawet się nie dowiesz, *Liebchen*, czy się mylisz. Dziewczyna włączy ekrany na kanapie, właśnie do tego się przymierza.

– Jesteś podłym nazistą, bez dwóch zdań!

– Faktycznie. – Trzasnął obcasami i skinął głową w ukłonie. – Erich Friedrich von Hohenwald, oberlejtant sił zbrojnych Trzeciej Rzeszy. Poległy pod Narwikiem i tam zwerbowany przez Pająki. Po pierwszej śmierci linia życia wydłużona dzięki wielkiej zmianie. Według najnowszych doniesień, jestem komendantem Toronto, a jeśli wierzyć

---

\* Eksperymenty polegające na doprowadzaniu ludzi do utraty przytomności w lodowatej wodzie i próbach ich ratowania poprzez ogrzanie ciałem nagiej kobiety. Przeprowadzane w celu opracowania skuteczniejszych metod niesienia pomocy żołnierzom wyłowionym z morza, np. zestrzelonym lotnikom.

ulotkom działających w podziemiu tropicieli, prowadzę tam rozległą hodowlę dzieci z przeznaczeniem na ubój. Do usług.

– Erich, wstręciuchu! – Ujęłam jego dłoń, przypomniawszy sobie, że jest jednym z pechowców wskrzeszonych na długo przed śmiercią. W jego przypadku powodem było to, że po zmartwychwstaniu wielka zmiana oddaliła datę. Każdy demon, który nie potrafi sobie tego wyobrazić, zdziwi się, jak wielką męczarnią jest pamiętanie przyszłości. Im krótszy odstęp między wskrzeszeniem a śmiercią w kosmosie, tym lepiej. Moja przyszłość, chwała niech będzie Bab ed-Dinowi!\* – rozstrzygnęła się w dziesięciu pełnych wrażeń minutach na North Clark Street\*.

Erich delikatnie objął mnie drugą ręką.

– Na wojnie, jak to na wojnie, *Liebchen*. Przynajmniej jestem żołnierzem i czasem wysyłają mnie z misją w przyszłość... chociaż nie wiem, czemu każdy jest taki przewrażliwiony na punkcie osobowości, którą ma tam w przyszłości. Ja funkcjonuję jako durny *Oberst*, cienki boleć wkurzony jak diabli na tropicieli. Ale jakoś mi lżej, kiedy patrzę na siebie z perspektywy i mam okazję regularnie odwiedzać kosmos. *Gott sei Dank*, jestem w lepszej sytuacji niż wy, mistrzowie rozrywki.

Nie powiedziałam na głos, że nie rajcuje mnie zmieniający się kosmos, lecz w myślach wyraziłam wdzięczność Bonny Dew za to, że mój ojciec spoczywa w pokoju, że wiatr zmian nie mąci linii życia Antona A. Forzane’a, profesora fizjologii urodzonego w Norwegii i pochowanego w Chicago. Woodlawn Cemetery to taki miły, szary zakątek.

– Nie przejmuj się, Erich – odparłam. – Mistrzowie rozrywki też mają mitenki\*.

Zmierzył mnie podejrzliwym wzrokiem, jakby się zastanawiał, czy mam po kolei w głowie.

– Mitenki? O co ci się rozchodzi? Nie noszę żadnych mitenek. Masz coś do rękawic Bruce’a? Które, notabene, z jakiegoś powodu go drażnią. Teraz poważnie, Greto: do czego mistrzom rozrywki potrzebne mitenki?

– Czasem marzną nam stopy. W każdym razie dotyczy to mnie. Mówię wtedy: mam mitenki. *Got mittens...*

Na jego pruskiej morduchnie zamigotało światełko zrozumienia.

– *Got mittens...* – mruknął. – *Gott mit uns...* Bóg z nami. – Zaśmiał się basowo. – Oj, Greto, wystawiasz na próbę moją cierpliwość: dla taniego efektu pastwisz się nad pięknym językiem.

– Musisz mnie zaakceptować taką, jaka jestem. Z mitenkami i całym tym kramem... dzięki ci, Bonny Dew... Tylko mnie nie bij, to z francuskiego – wyjaśniłam czym prędzej. – *Bon Dieu*, dobry Boże... Spokojnie, więcej sekretów nie wyjawię!

Roześmiał się słabowitym głosem, jakby umierał.

---

\* Bab ed-Din – przydomek Alego Muhammada z Szirazu, założyciela babizmu.

\* North Clark Street – ulica w Chicago.

\* Mitenki – damskie rękawiczki, nie zasłaniające całych palców.

– Uszy do góry! – powiedziałam. – Nie będę tu pracowała wiecznie i są gorsze miejsca niż Miejsce.

Rad nierad pokiwał głową i się rozejrzył.

– Powiem ci coś, Greto, ale obiecaj, że nie obrócisz tego w ordynarny żart. Podczas operacji udaję, że to przedstawienie, po którym przemknę za scenę, żeby się zalecać do Grety Forzane, światowej sławy baleriny.

Utrafił w sedno z tymi kulisami. Nasze Miejsce to amfiteatr, w którym widownią jest pustka. Szarej barwy pustki nie brudzą nawet ekrany odgradzające szpital (brrr!), sekcję odświeżacza i magazyn. Między tymi ostatnimi znajduje się bar, kuchnia i fortepian Beauregarda. Między szpitalem a sekcją, w której zwykle pojawiają się wrota, znajdują się regały i szafki galerii sztuki. Środek sceny okupuje sofa sterownicza. Wokół niej, oprócz kilku stolików, stoi sześć rozstawionych w dość dużych odstępach kanap z niskim oparciem (właśnie przy jednej z nich strzelały w górę, ku pustce, ekrany). Kojarzyło się to z baletową scenografią, przy czym ekstrawaganckie kostiumy i dziwni bohaterowie wcale nie pomniejszają siły iluzji. Co to, to nie: sam Diagilew, raz tylko ich zobaczywszy, przyjąłby większość do swego zespołu Les Ballets Russes, nie pytając nawet, czy mają wyczucie rytmu.

## 2

*Tydzień temu w Babilonie,  
Zeszłej nocy w Rzymie*

Hodgson\*

### Prawa rękawica

Beau przeszedł za bar, gdzie przemawiał po cichu do Doktorka, oczami uciekał jednak gdzieś w bok. Miał wyraz zawodowej powagi na ziemistej twarzy, kontrastującej z białą ubrania tak doskonałą, że doznałam złudzenia, jakbym zobaczyła Dambalę\* we Francuskiej Dzielnicy\*! Za to nigdzie nie widziałam nowej. Sid po zamieszaniu z Markiem zajął się w końcu nowym. Dał mi sygnał, więc podeszłam do niego wraz z Erichem.

– Witaj, chłopcze złoty. Ja, Sidney Lessingham, jestem nie tylko twoim gospodarzem, ale i rodakiem. Urodziłem się w King’s Lynn w 1564 roku, studiowałem w Cambridge, lecz na śmierć i życie związałem się z Londynem. Żyłem dłużej niż Bessie, Jimmie, Charlie i, prawie, Ollie\*. A co to było za życie! Imiałem się różnych zajęć: pomagałam w urzędzie, byłam szpiegiem i kierownikiem burdelu – czasem te dwie profesje idą ze sobą w parze – marnym poetą, żebrakiem, handlarzem pieśni rezurekcyjnych. Beau Lassiter, gardła nam wyschły na wiór!

Słyszając słowo „poeta”, nowy podniósł wzrok, lecz uczynił to z ociąganiem, jakby wietrzył podstęp.

– A żebyś bez napitku nie musiał się gardłować, cny młodzieńcze – trajkotał Sid – ośmielę się odgadnąć twe pytanie i na nie odpowiedzieć. Owszem, znałem Williama Szekspira, wszak urodziliśmy się w tym samym roku. Skromny był człek, nikomu nie

---

\* Z wiersza „Time, You Old Gypsy Man” Ralpa Hodgsona.

\* Dambala – bóg-wąż w religii voodoo. Przypisuje mu się kolor biały.

\* Francuska Dzielnica (ang. French Quarter) – najstarsza część Nowego Orleanu.

\* Bessie, Jimmy, Charlie i Ollie – Elżbieta I, Jakub I Stuart, Karol I Stuart, Oliver Cromwell.

wadzący, aż wszyscyśmy się zastanawiali, czy naprawdę napisał te sztuki. Wybacz, serdecznie, ale trzeba opatrzeć to zadrapanie.

Nowa na szczęście wcale nie straciła głowy, tylko udała się do sekcji szpitalnej po tackę z zestawem pierwszej pomocy. Przykładając wacik do lepszego policzka nowego, odezwała się piskliwym głosem:

– Jeśli pozwolisz...

W złą porę zabrała się do rzeczy. Ostatnie słowa Sida oraz nadejście Ericha sprawiły, że młody żołnierz spochmurniał i, nawet nie patrząc na dziewczynę, ze złością odtrącił jej dłoń. Erich ścisnął moje ramię. Tacka z brzękiem poleciała na ziemię. Jedna ze szklanek przyniesionych przez Beauego omal nie poszła w jej ślady. Odkąd zjawiała się u nas nowa, Beau traktował ją jak swoją podopieczną, choć nie sądzę, żeby już znaleźli wspólny język. Szczególnie Beau dużo sobie po tym obiecywał, ponieważ ja mocno przyjaźniłam się z Sidem, a Maud, mająca słabość do ciężkich typów, z Doktorkiem.

– Spokojnie, chłopcze, przez miłość do mnie! – zagrział Sid, powstrzymując spojrzeniem Beauego. – To tylko nieszczęsna poganka, która pragnie dać ci ukojenie. Przełknij żółć, niewdzięczny okrutniku, bo może z tej żółci zrodzi się poemat. Oho, czyżbym trafił w czułe miejsce? Przyznaj się, żeś poeta!

Rzadko co uchodzi uwagi Sida, choć przez chwilę zastanawiałam się, czy wie, do czego doprowadzą jego spostrzeżenia.

– Zgadłeś, jestem poetą! – huknął nowy. – Nazywam się Bruce Marchant, zakichane umrzyki! Jestem poetą w świecie, gdzie podłe Węże i Pająki mogą splugawić nawet słowa króla Jakuba i twojego drogiego Willa, z którego się naśmiewasz. Piszą na nowo historię, depczą wiarę we wszystko, co uważamy za pewnik, do diaska, mają się za nieomylnych, wielkodusznych i postępowych! I do czego to prowadzi? Ano do tej przeklętej rękawicy! – Uniósł lewą rękę w czarnej rękawicy i pomachał drugą do pary.

– Co masz do rękawicy z pajęczonego składu, złociutki? – zdziwił się Sid. – Przez miłość do nas, gadaj.

Erich się roześmiał

– Uważaj się za szczęściarza, *Kamerad*\*. Mark i ja nie wylosowaliśmy żadnej rękawicy.

– Co mam do niej?! – wrzasnął Bruce. – Do kroćset, obie są lewe!!! – I cisnął jedną na ziemię.

My wszyscy w śmiech; trudno się było pohamować. Na to Bruce odwrócił się do nas plecami i oddalił sztywnym krokiem, choć podejrzewałam, że raczej nie zbliży się do pustki.

Erich znowu ścisnął mnie za ramię i rzekł, próbując panować nad głosem:

– *Mein Gott, Liebchen*, pamiętasz, co ci kiedyś mówiłem o żołnierzach? Im większa uraza, tym mniejszy powód! To się zawsze sprawdza.

A jednak nie wszyscy się śmiali. Kiedy Bruce się przedstawił, nowej roziskrzyły się oczy,

---

\* Kamerad (niem.) – towarzysz.



jakby przyjęła sakrament. Ucieszyłam się, że wreszcie coś ją zaciekało, bo do tej pory zachowywała się trochę jak odludek, a nawet ponurak, mimo że trafiła do Miejsca z reputacją hulajduszy znanej w całym Londynie i Nowym Jorku lat dwudziestych XX wieku. Obrzuciła nas nieprzychylnym spojrzeniem, zbierając na tackę rozsypane przybory; nie zapomniała również o rękawicy, którą położyła na środku tacki niczym świętą relikwię.

Beau chciał do niej zagadać, lecz minęła go jak widmo. Znowu nie mógł nic zrobić z powodu trzymanej tacy. Prędko do nas podszedł i zrzucił balast szklanek. Od razu pociągnęłam duży łyk, bo zauważyłam, że nowa wchodzi przez ekran do szpitala. Wołałabym, żebyśmy nie mieli sekcji szpitalnej. Całe szczęście, że pijany Doktorek nie jest w stanie leczyć. Stosuje się tutaj obrzydliwe metody operacyjne z wykorzystaniem arachnidów, o czym przekonałam się na własnej skórze... To numer jeden na mojej liście wspomnień, które chciałabym wymazać z pamięci.

Tymczasem Bruce wrócił do nas i odezwał się śmiertelnie poważnym tonem:

– Dobrze wiecie, demony zatracone, że nie chodzi li tylko o wszawą rękawicę!

– A o co, szlachetny rycerzu? – spytał Sid. Jego złocista, siwiejąca broda wzmacniała efekt dobrodusznej otwartości.

– Chodzi o zasadę – rzekł z naciskiem Bruce i rozejrzał się, lecz nikt z nas nie zareagował nawet półśmieszkiem. – Chodzi o przeklętą niewydolność kosmosu, o jego umieranie (tylko mi nie mówcie, że to wykluczone!), dla niepoznaki nazywane planem jakiegoś dobrotliwego, wszechwiedzącego monarchy. A takie Pająki: nie mamy pojęcia, kim w zasadzie są. Znamy tylko puste słowo, a widzimy jedynie ich gwardię, czyli nas samych. Pająki wywlekają ludzi z cichych grobowców, w których się schodzą ich linie życia...

– Zali to źle, chłopcze? – mruknął Sid, siłąc się na powagę.

– ... i próbują nas wskreszać. Wmawia się nam, że musimy walczyć z drugim mocarstwem: Wężami, które także umieją podróżować w czasie. I znowu puste słowo. Z Wężami, które pragną zdeprawować i zniewolić cały kosmos, jego przeszłość, teraźniejszość i przyszłość.

– Zali tak nie jest, chłopcze?

– Nim się otrząśniemy po przebudzeniu, wcielają nas do wojska i zapędzają do tych jam i tuneli poza czasoprzestrzeń, do tych nędznych ciupek, szarych worków, pęcherzy ropnych (nie zarzucam nic Miejscu), które Pająki stworzyły za sprawą, być może, gigantycznych implozji; nikt tego nie wie na pewno. A później na ich rozkaz przeprowadzamy operacje w przeszłości i przyszłości, żeby zmienić bieg historii i pokrzyżować szyki Wężom.

– Racja, chłopcze.

– Szaleńcze tempo ciągle rośnie, co rusz to wstrząs, huśtawka emocji, bezpardonowe pranie mózgu na wszystkich możliwych poziomach, nić wiary w realność tego świata zasupłana tak, że nie da się jej rozplatać.

– Wszyscyśmy przechodzili przez to samo – rzekł poważnie Sid.

Beau pokiwał swoją gładką czachą.

– Trzeba było mnie zobaczyć pięćdziesiąt snów temu, *Kamerad* – dorzucił Erich.

– Albo nas, dziewczyny – dodałam.

– Wiem, wiem, że się przyzwyczaję, nie miejcie mnie za mazgaja – powiedział oschle Bruce. – Nie w tym rzecz. Jakoś bym się pogodził z wewnętrznym zagubieniem, z gwałtem na moim duchu, nie miałbym nic przeciw poprawianiu historii i niszczeniu bezcennych arcydzieł, nazywanych dawniej wspólnym dobrem ludzkości... gdybym czuł, że tak będzie lepiej. Pająki twierdzą, że jeśli mamy pokonać Wężę, ostateczne zwycięstwo Zachodu nad Wschodem jest sprawą najwyższej wagi. Ale żeby je odnieść, co robią? Dam wam świetne przykłady. W celu zrównoważenia sił w obszarze śródziemnomorskim podratowali Krete kosztem Greków, na skutek czego Ateny stały się wymarłym miastem, Platon został drugorzędny bajkopisarzem, kultura grecka została doprowadzona do upadku.

– Masz czas badać kulturę? – zapytałam i zaraz ze skrucą zakryłam usta.

– Ty jednak pamiętasz *Dialogi*, chłopcze – zauważył Sid. – I nie pomstuj na Krete; mam wśród Kreteńczyków oddanego przyjaciela.

– Jak długo będę pamiętał *Dialogi* Platona? – ripostował Bruce. – A kto po mnie? I drugi przykład. Pająki chcą, żeby Rzym był potęgą, lecz jak dotąd ich pomoc przyniosła ten skutek, że kilka lat po śmierci Juliusza Cezara krwawe najazdy Germanów i Partów położyły kres imperium rzymskiemu.

Prawie każdy w Miejscu emocjonuje się tymi zażartymi dysputami. Tym razem wtrącił się Beau:

– Zapomniałeś wspomnieć, mój panie, że swój ostatni upadek Rzym zawdzięcza Haniebnemu Trójprzymierzu, które za sprawą knowań Węży podpisał Wschodni Świat Klasyczny, Mahometańskie Chrześcijaństwo i Marksistowski Komunizm. Wężę próbują dać władzę Bizancjum i kościołom wschodnim, żeby Pajęczy Zachód na zawsze pozostał w cieniu. Oto, mój panie, trzytysięcletni plan Węży, który nie może się powieść, jeśli chcemy przywrócić chwałę Rzymu.

– Jakoś z tego chcenia nic nie wynika – prychnął Bruce. – A oto kolejny przykład. Żeby pokonać Rosję, Pająki nie dopuściły Ameryki i Anglii do udziału w I wojnie światowej, co umożliwiło Niemcom zdobycie Nowego Świata. Skutek? Faszystowski reżim rozciąga się od syberyjskich kopalni soli po farmy w Iowa, od Niżnego Nowogrodu po Kansas City!

Zamilkł, a mnie się włosy zjeżyły. Za mną ktoś sobie nucił dziwnym, bezdusznym głosem. Brzmiało to jak kroki w zmrożonym śniegu:

– *Salz, Salz, bringe Salz. Kein' Peitsch', gnädige Herren. Salz, Salz, Salz.*

Odwrociłam się. Walcowym kroczeniem zbliżał się do nas Doktorek, pochylony tak bardzo, że zamiatał ziemię końcami szala. Idąc tak z przekrzywioną głową, patrzył w naszą stronę niewidzącym wzrokiem.

Wiedziała, o co mu chodzi, lecz Erich przetłumaczył:

– „Sól, sól, przynoszę sól. Schowajcie bat, miłośnicy ludzkości. Sól, sól, sól...”. Mówi do swoich rodaków w ich ojczystym języku.

Swoje ostatnie miesiące Doktorok spędził w przejętej przez nazistów kopalni soli.

Spostrzegł nas i starannie poprawił cylinder. Nachmurzył czoło, a mnie serce z dziesięć razy uderzyło młotem. Potem jednak się rozpogodził, wzruszył ramionami i mruknął:

– *Niczewo...*

– „Mniejsza z tym”, mój panie – przetłumaczył Beau, zwracając się do Bruce’a. – To prawda, że w wyniku wojny zmian wielkie cywilizacje przeżywają swój zmierzch i giną, wszelako inne, uprzednio duszone w zarodku, nagle rozkwitają. W latach siedemdziesiątych XVII wieku podróżowałem po Missisipi, po której nigdy nie pływały kanonierki Granta\*. Studiowałem grę na pianinie, języki obce i teorię prawdopodobieństwa u największych europejskich mistrzów na uniwersytecie w Vicksburgu.

– Uważasz więc, że świat zapchlonych parowców rekompensuje... – zaczął Bruce.

– Wolnego, chłopcze – wciął się inteligentnie Sid. – Państwa są równe sobie jak łby szaleńców lub pijaków; gotów jestem spać na umór tego, kto się ze mną nie zgodzi! Słuchaj, co ci rzeknę: państwo to nie karzeł, który zachoruje i zemrze, gdy raz pomajstrować z przeszłością, ba, nawet gdyby dziesięć razy majstrowano. Państwa to potwory, chłopcze, mają kościec z żelbetu i nerwy ze stali. Nie ma co się nad nimi użalać.

– Zaprawdę, mój panie – przytaknął Beau, ożywiony i zmobilizowany atakiem na jego Wielkie Południe. – Prawie każdy przybywa do Świata Zmian z błędnym przeświadczeniem, że najdrobniejsza ingerencja w przeszłość, choćby i przesunięcie ziarnka piasku, odmieni całą przyszłość. Ludzki rozum nie od razu oswaja się z prawem zachowania rzeczywistości. Kiedy coś w przeszłości się zmienia, przyszłość zmienia się tylko o tyle, żeby się dostosować, zaakceptować nową informację. Wiatr zmian zawsze napotyka maksymalny opór. W przeciwnym razie pierwsza misja w Babilonii wykreśliłaby z mapy świata Nowy Orlean, Sheffield, Stuttgart i miejsce urodzin Maud Davies na Ganimesie! Zauważ, że lukę, jaka powstała w wyniku upadku Rzymian, natychmiast wypełniły imperialistyczne Schrystianizowane Niemcy. Jedynie demon, będący biegłym historykiem, wymieni różnice między niegdysiejszym Kościołem rzymskokatolickim a obecnym gotykokatolickim. Jeśli chodzi o Grecję, o której wspominałeś, starą melodię zagrano w nieco innej tonacji. W rezultacie wielkiej zmiany zarówno jednostki, jak i całe kultury, ulegają przekwalifikowaniu, to prawda, najczęściej jednak zachowują swoją tożsamość, jeśli nie liczyć statystycznie nieistotnej garstki nieszczęśliwych wypadków.

– W porządku, cholerni erudyci, może się lekko zagalopowałem! – burknął Bruce. – Ale przypomnijcie sobie, jak niecznych czynów dopuszczamy się w naszej wspaniałej wojnie zmian. Otrucie Churchilla i Kleopatry. Porwanie Einsteina, kiedy jeszcze był dzieckiem.

---

\* Kanonierki Granta – użyte podczas wojny secesyjnej w kampanii na Missisipi przez generała Ulyssesa Granta. Kampania zakończyła się zajęciem Vicksburga przez wojska Unii.

– Pierwsze były Węże – przypomniałam mu.

– Tak, ale poszliśmy za ich przykładem. Czy to dowód naszej zaradności? – zżymał się jak stara baba. – Jeśli potrzebujemy Einsteina, czemu go nie wskrzesimy? Czemu nie porozmawiamy z nim jak z mężczyzną?

– *Pardonnez-moi*\* – rzekł Beau, zamierzając do ostatka bronić swego zdania – ale gdybyś funkcjonował jako sobowtór *soupçon*\* dłużej, wiedziałbyś, że wielkiego człowieka rzadko można wskrzesić. Jego jestestwo jest nazbyt skryształizowane, mój panie, trudno przerwać taką linię życia.

– Pardon, ale moim zdaniem do bzdury! Uważam, że wielcy ludzie nie chcą iść na żaden układ z Wężami. Tak samo z nami Pająkami. Gardzą zmartwychwstaniem, za które trzeba uiścić tak niecną zapłatę.

– Wcale nie są tacy wielcy, bracie – rzuciłam szeptem.

Beau nie odpuszczał:

– Tak czy owak, mój panie, pozwoliłeś się wskrzesić i tym samym przyjąłeś na siebie zobowiązanie, z którego, jako człowiek honoru, musisz się wywiązać.

– Zgodziłem się zmartwychwstać, to prawda – odparł Bruce z ogniem w oczach. – Kiedy zabierali mnie w 1917 roku spod Passchendaele\*, na dziesięć minut przed śmiercią, chwyciłem się ostatniej deski ratunku, tak samo jak pijak chwyta flaszkę nazajutrz po libacji. Do tego myślałem, że nadarza się sposobność naprawienia dziejowych niesprawiedliwości, szansa na zaprowadzenie pokoju.

Coraz bardziej zapalał się w dyskusji. Zauważyłam nową; stała nieco na uboczu i wpatrywała się w niego z nabożną czcią.

– I co się okazało? – ciągnął. – Czego żądają Pająki? Znowu mam ruszać na bitwę, jedną, drugą, dziesiątą, dokładać się do wojennych okrucieństw i okropności, z każdą wielką zmianą kłaść pokotem większą kupę ludzi, przybliżyć chwilę ostatecznego rozpadu wszechświata?

Kiedy Bruce tak się handryczył, Sid dotknął mojej ręki i rzekł szeptem:

– Jaką dać rozrywkę Łotrzykowi, żeby ostudzić tę jego rozgorączkowaną głowę? Przez miłość do mnie, co rzekniesz?

Odpowiedziałam równie cicho, nie odrywając, jak on, wzroku od Bruce'a:

– Znam dziewczynę, która z największą chęcią dostarczy mu wszelkich rozrywek... jeżeli tylko raczy zwrócić na nią uwagę.

– Masz na myśli nową, słodziątko? Znakomicie. Łotrzyk przemawia niby gniewny anioł. Słowa jego zapadają w serce, co wcale a wcale mi się nie podoba.

Bruce tymczasem mówił ochryple, lecz głośno:

– A zatem wykonujemy misje w przeszłości, czym wzniecemy wiatr zmian, który wieje w

---

\* *Pardonnez-moi* (franc.) – przepraszam.

\* *Soupçon* (franc.) – odrobinę.

\* *Passchendaele* – wioska w okolicy Ypres (Belgia), gdzie stoczono jedną z najkrwawszych bitew I wojny światowej.

przyszłość wolniej lub szybciej, zależnie od napotkanego oporu, czasem zaś ściera się z innymi wiatrami. A każdy z tych wiatrów może przesunąć datę śmierci tak, by poprzedzała datę zmartwychwstania, przez co w mgnieniu oka, nawet tu, poza obszarem kosmosu, możemy zgnić, skruszyć się, zamienić w proch i zniknąć. Wiatr niosący ze sobą moje imię przedrze się przez wrota.

Twarze słuchających ściągnęły się w gniewie, bo wspomnianie o śmiertelnej zmianie nie leży w dobrym tonie.

– *Halt's Maul, Kamerad!* – wybuchnął Erich. – Zawsze jest drugie zmartwychwstanie!

Bruce jednak nie zamierzał siedzieć cicho.

– Czy aby na pewno? Wiem, że nam to obiecano, ale jeśli Pająki cofną się w czasie i skroją mi drugiego sobowtóra, czy będzie on mną? – Uderzył się w pierś gołą ręką. – Szczerze wątpię. A nawet jeśli tak i jeśli nie będzie miał poharatanej świadomości, czy powinien się cieszyć, że został wskrzeszony? Czekają go wszak kolejne wojny i kolejne śmiertelne zmiany. A wszystko po to, by zaspokoić ambicje nieznaney wszechsiły – jego głos uzyskiwał historyczne brzmienie – wszechsiły tak cholernie niewydarzonej, że nie potrafi wyposażyć biednego żołnierza, wyciągniętego z błota pod Passchendaele, nieszczęsnego komandosa, pożałowania godnego rekonwalescenta... w porządny komplet umundurowania! – I wyciągnął do nas gołą dłoń z lekko rozłożonymi palcami, jakby to był najbardziej zdumiewający przedmiot w całym świecie, skłaniający do najgorętszych wyrazów oburzenia.

Nowa miała idealne wycucie czasu. Przemknęła między nami i nie zdążył nawet kiwnąć palcem, a już naciągnęła mu na dłoń czarną pancerną rękawicę. Pasowała jak ulał.

Tym razem zrywaliśmy boki ze śmiechu. Zataczaliśmy się, przewracaliśmy szklanki, klepaliśmy nawzajem po plecach i znowu wybuchaliśmy śmiechem.

– *Ach, der Handschuh, Liebchen!* – szepnął mi Erich do ucha. – Skąd ją wzięła?

– Pewnie wywróciła rękawicę na drugą stronę. – Znowu mną zatrzęsło. – Wtedy z lewej robi się prawa. Sama próbowałam.

– Byłoby widać wyściółkę – zauważył.

– W takim razie nie wiem – przyznałam. – W magazynach zalega masa badziewia.

– To już bez znaczenia, *Liebchen* – zapewnił. – *Ach, der Handschuh!*

W tym czasie Bruce zachwycał się rękawicą, raz po raz zginał palce, nowa zaś go obserwowała, jakby kosztował upieczone przez nią ciasto.

Kiedy emocje opadły, popatrzył na nią z szerokim uśmiechem.

– To jak ci na imię? – spytał.

– Lili.

Wierzcie mi, od tej pory nawet w myślach tak ją nazywałam za to, że ujarzmiła tego pomyłka.

---

\* *Halts Maul, Kamerad!* (niem.) – Stul pysk, towarzyszu!

\* *Ach, der Handschuh, Liebchen!* (niem.) – O, rękawiczka, kochanie!

– Lilian Foster – uściśliła. – Też jestem Angielką, panie Marchant. *Rojenia młodego mężczyzny* czytałam w nieskończoność.

– Naprawdę? Liche dziełko. Rzekłbym, prehistoria... to znaczy czasy Cambridge. Układałem w okopach zgrabniejsze poematy.

– Proszę tak nie mówić. Jednak z ogromną przyjemnością wysłucham nowych wierszy. Och, panie Marchant! To niezwykła rzecz, usłyszeć twoją wymowę: *Passiondale*\*.

– Można wiedzieć czemu?

– Bo dokładnie tak wymawiam to słowo. Sprawdzałam w słowniku i wiem, że czyta się *Pas-ken-da-le*.

– A niech cię! Każdy swojak na froncie mówił: *Passiondale*, tak samo jak na Ypres mówiło się *Wipers*.

– Ciekawe. Panie Marchant, idę o zakład, że zostaliśmy zwerbowani podczas tej samej operacji latem 1917 roku. Przybyłam do Francji jako pielęgniarka z Czerwonego Krzyża, ale kiedy się wydało, ile mam lat, chcieli mnie odesłać do kraju.

– To ile miałaś... masz lat? Zresztą nie ma różnicy...

– Siedemnaście.

– Siedemnaście lat w siedemnastym roku – mruknął Bruce. Jego niebieskie oczy cokolwiek się zamgliły.

Strasznie to było sentymentalne. Nie mogłam mieć za złe Erichowi, że łypnął na mnie ironicznym spojrzeniem.

– No to wesoło, *Liebchen*, Bruce przygruchał sobie głupiutką siedemnastolatkę, która umili mu czas między operacjami.

Kiedy tak patrzyłam na Lili – na te jej ciemne loki, naszyjnik z pereł i obcisłą sukienkę, która ledwo sięgała do kolan – a także na rosnącą postać Bruce’a w odjazdowym huzarskim ryszunku, wiedziałam, że to początek czegoś, co nie było moim udziałem, odkąd Dave zginął na wojnie z Franco parę lat przed tym, jak zaczął się dla mnie wielki czas; czegoś, co budziło tęsknotę za dziećmi w Świecie Zmian. Zastanawiając się, czemu nigdy nie próbowałam doprowadzić do wskrzeszenia Dave’a, znalazłam taką odpowiedź: Wszystko się zmieniło i ja się zmieniłam; lepiej niech wiatr zmian nie tyka jego mogiły.

– Nie, nie umarłam w 1917 roku. Wtedy zostałam zwerbowana – mówiła Lili. – Żyłam do końca lat dwudziestych, co można wniesć z mego ubioru. Ale nie mówmy o tym, dobrze? O, panie Marchant, przypomniaby pan sobie wiersze, te tworzone w okopach? Wierzyć się nie chce, by pięknem przewyższały sonet tak zakończony: „Gałąź zadrzy na wietrze, nocy blask nie rozjaśni. Spójrz w gwiazdy, biedna małpko, i zaśnij”.

Miałam ochotę zawyć, no bo w jakim sensie jesteśmy małpkami? Choć, prawdę mówiąc, najlepiej opisać poetę jego własnym werselem... jeśli nie całym tomikiem wierszy. Doszłam do wniosku, że powinnam zostawić w spokoju naszych Brytyjczyków, a więcej czasu

---

\* *Passiondale* (ang.) – Dolina Pasji.

poświęcić Erichowi lub zająć się czymś pożytecznym.

## 3

*Zstąpię nawet do piekieł. Boć do piekła dostojni duchowni pójdą i dostojni rycerze, pobici w turnieju lub na wielkiej wojnie, dzielni żołnierze i szlachta wytworna. Z nimi pójdę i ja. Pójdą nadobne niewiasty, co dwóch lub trzech kochanków na boku mają. Tam złoto idzie i srebro, soból i gronostaj. Tam harfiarz i minstrel, i królowie tej ziemi.*

Aucassin \*

### Przyjęcie na dziewięć osób

Oddałam pustą szklankę i wzięłam drugą z tacy przyniesionej przez Beauego. Szarość pustki zaczynała wyglądać naprawdę ładnie, niczym gęsta mgielka roziskrzona blaskiem miliona diamentów. Doktorek rozsiadł się jak król za barem nad szklanicą parującej herbaty, służącej chyba za popitkę, bo właśnie odstawił kieliszek. Sid rozmawiał z Erichem, śmiejąc się co chwila, tak iż miałam wrażenie, że przyjęcie się rozkręca... choć czegoś brakowało.

Nie miało to nic wspólnego z większym serwisantem. Jego wskaźnik – niby wesoły płomyk w domowym ognisku – niezmaczenie świecił na czerwono w gęstwinie tarcz, podłączonych do wszystkich przyrządów kontrolnych prócz umieszczonego na uboczu, przerażającego włącznika introwersji, którego nikt nigdy nie dotykał.

Wtem rozwały się ekrany wokół kanapy, odsłaniając Maud i Rzymianina, którzy siedzieli koło siebie w milczeniu.

Rzymianin patrzył na swoje błyszczące buty i resztę czarnego munduru, jakby budził się ze snu i nie dowierzał własnym oczom.

– *Omnia mutantur* – powiedział – *nos et mutamur in illis*.

Skierowałam pytający wzrok na Beauego, który zabierał tacę. Stary uniwersytet w Vicksburgu byłby dumny z jego tłumaczenia:

---

\* Ze średniowiecznej francuskiej *chante-fable* Aucassin et Nicolette nieznanego autorstwa.



– Wszystko się zmienia i my razem ze wszystkim.

Marek potoczył wkoło spojrzeniem. Niniejszym zaświadczam, że uśmiech Rzymianina jest równie ciepły co uśmiech jakiegokolwiek innego cudzoziemca.

– Jest nas dziewięcioro – rzekł w końcu. – W sam raz na przyjęcie. I jeszcze te kanapy. Bardzo dobrze.

Maud chrząknęła z dumą, a Erich wykrzyknął:

– Witaj z powrotem po przygodzie z pustką, *Kamerad*. – A skoro był Niemcem i uważał, że każde przyjęcie powinno być hałaśliwe i wypełnione szaleństwami, wskoczył na kanapę i oznajmił wszem wobec: – *Herren und Damen*, pozwólcie sobie przedstawić najszlachetniejszego z Rzymian: oto Marek Wipsanisz Niger, legat cesarza Klaudiusza Nerona, we wcześniejszej linii czasu zwanego Germanikusem, poległy w roku 763 A.U.C.\* (Mam rację, Marku? Czyli w roku 10 A.D., cymbały!), w trakcie zażartej bitwy z Partami i Wężami pod Aleksandrią. *Hoch! Hoch! Hoch!*\*

Wszyscy wiwatowali i wznosili szklanki, a Sid wrzasnął na Ericha:

– Złaż z mebli, nieokrzesany hultaju! – i z szerokim uśmiechem wypalił do huzarów: – Rozgośćcie się, rekonwalescenci!

Maud i Marek dostali po kieliszku wina, przy czym Rzymianin zirytował Beauego, wzgardziwszy falerneńskim trunkiem na rzecz szkockiej z wodą sodową. Już po chwili trajkotali jak katarynki.

A było się o czym rozwodzić. Oczywiście, dominował temat wojny:

– Wężę stawiają pola minowe w pustce.

– Nie wierzę. Jak można zaminować coś, czego nie ma?

Dyskutowano także o niedoborach burbona, spinek do włosów czy stabilitonu, który o wiele szybciej postawiłby na nogi Marka.

I o tym, co się z kim stało.

– Marcia? Nie ma jej wśród nas. – Dorwał ją szkwał zmian: w ciągu pięciu sekund zaśmierdła się i zzieleniała, lecz wolałam oszczędzić im szczegółów.

Należało opowiedzieć Markowi o rękawicy Brucea, czemu znów towarzyszyły salwy śmiechu. Rzymianin przypomniał sobie pewnego legionistę, który poszedł na skargę do samego Oktawiusza, żaląc się, że zamiast zwyczajnej soli omyłkowo wydano mu cukier, artykuł wielce zbytkowny.

Erich zapytał Sida, czy ten ma na składzie nowe duchy dziewczyn.

Sid szarpał ustami swoją koźlą brodę.

– O cóż ty mnie pytasz, jurny Alemanie\*? Zaiste, są u nas wyborne krasawice, wśród nich austriacka hrabina z Wiednia epoki Straussów, jeno że obecna tu słodziutka mogłaby...

Szturchnęłam Ericha w pierś, między jasnymi guzikami z podobizną trupiej czaszki.

---

\* A.U.C. (łac.) – ab urbe condita, czyli „od założenia miasta” (Rzymu).

\* Hoch, hoch, hoch! (niem.) – Wiwat! Wiwat! Wiwat!

\* Alemanie – plemiona germańskie, od III w. n.e. nękające zachodnie prowincje cesarstwa rzymskiego.

– Mój drogi von Hohenwaldzie, jesteś zagrożeniem dla nas, dziewczyn z krwi i kości. Za bardzo cię nęcą wpół uśpione duszyczki.

Nazwał mnie swoim małym demonkiem i przytulił (trochę za mocno), żeby wyprowadzić mnie z błędu, a potem zaproponował, byśmy pokazali Bruce'owi galerię sztuki. Moim zdaniem, nie był to najszcześniejszy pomysł, ale kiedy próbowałam go od niego odwieść, stał się uparty. Bruce i Lili byli skłonni zrobić wszystko, do czego ich namawiano, choć niekoniecznie robić to z uwagą. Po muśnięciu szablą pozostał ślad w postaci cienkiej, czerwonej szramy; Lili zmyła zakrzepłą krew.

Galeria działa na wyobraźnię. Tworzą ją malowidła, rzeźby, a zwłaszcza dziwaczne cacka, zrobione rękami dochodzących do zdrowia żołnierzy. Ekspozyty opowiadają własną historię wojny zmian – językiem tworzywa, z którego je wykonano. Można więc było obejrzeć naboje z mosiężną łuską, poobijany krzemień, skorupy starożytnych naczyń posklejane w futurystyczne kształty, marsjańską złotą bryłę z posklejanych inkaskich ozdób, spirale z paciorkowego drutu lunarne, obraz sporządzony temperą na splekanym i pomarszczonym krążku kwarcowym, wyluskanym z okienka statku kosmicznego, sumeryjską inskrypcję wrytą na cegle z pieca atomowego.

W rzeczywistości jest tu tyle rzeczy, że zawsze mi wpadnie w oko coś, czego nigdy nie widziałam. Jak się rzekło, galeria działa na wyobraźnię, jeśli pomyśleć o ludziach, którzy ją rozbudowywali, o ich dniu codziennym, o odległych epokach i miejscach, skąd przybyli. Czasami, kiedy jestem szczególnie przygnębiona, przychodzę sobie popatrzeć, żeby się poczuć jeszcze gorzej, dać sobie psychicznego kopa i tym sposobem odzyskać dobry humor. Historia Miejsca, zapisana wyłącznie w tej galerii, pozostaje praktycznie niezmienna, ponieważ ekspozyty i związane z nimi refleksje opierają się wiatrom zmian wyjątkowo skutecznie.

Gdy wpadały mi w uszy – swoją drogą, dość duże, dlatego maskowałam je fryzurą na pizia – gromkie słowa błyskotliwego wykładu Ericha, rozmyślałam nad okrutnym losem, który pokarał nas nie tylko zmianami, ale wielką zmianą. Nigdy nie macie pewności, z czego wynika wasz nastrój i czy pomysł, który właśnie przyszedł wam do głowy, faktycznie jest nowy, czy może został wam poddany na skutek zmian dokonanych w przeszłości przez Węża lub Pająki.

Wiatr zmian nie tylko przynosi śmierć, ale nawet takie drobiazgi jak mglisty zamysł. Wieje tysiące razy szybciej od prędkości czasu, lecz nikt nie jest w stanie powiedzieć, o ile szybciej, jak daleko zawędruje, jakich szkód narobi i kiedy ustaną podmuchy. Wielki czas to naprawdę wielki kawał czasu.

Co się tyczy demonów, to istnieje obawa, że nasza osobowość rozsypie się w nicość i kto inny, bez naszej wiedzy, wskoczy na fotel kierowcy. Oczywiście my, demony, podobno mimo zmian zachowujemy pamięć. Dlatego jesteśmy demonami, a nie duchami, jak inne sobowtóry, czy też umrzykami lub nienarodzonymi. Beau słusznie zauważył, że nie ma wśród nas

wielkich ludzi, choć nie sposób zakwalifikować nas do szarej masy ludzkiej. Należymy raczej do rzadkości i dlatego Pająki werbują nas jak leci, nie przejmując się tym, czegośmy się wcześniej nauczyli i z jakich środowisk się wywodzimy. Jesteśmy międzyepokową legią cudzoziemską, dziwną organizacją ludzi mądrych, lecz trzymających się w cieniu, pełnych nostalgii i cynizmu. Przystosowujemy się do nowych warunków jak metamorfy z Centaura, lecz pamięcią sięgamy równie daleko co mieszkańiec Luny swoimi sześcioma ramionami. Można by rzec: naród czasu, elita potępionych.

Jednakowoż zastanawiam się czasem, czy nasze wspomnienia są na tyle rzetelne, na ile nam się wydaje. Czy przeszłość nie wyglądała zupełnie inaczej niż to, co mamy w pamięci, i czy nie zapomnieliśmy nawet tego, że coś zapominamy.

Jak już wspomniałam, galeria sprawia przygnębiające wrażenie. Powiedziałam więc sobie: Wracaj, dziecińco, do swego wrednego komendanta – i dałam sobie w myślach kopniaka.

Erich trzymał w rękach zieloną misę z rysunkami złotych delfinów (lub statków kosmicznych), mówiąc:

– Uważam ją za wystarczający dowód na to, że sztuka Etrusków wywodzi się z Egiptu. Zgodzisz się ze mną, Bruce?

Zagadnięty podniósł wzrok, uśmiechając się szeroko do Lili.

– Co tam masz, brateńku?

Oblicze Ericha pociemniało jak wrota. Dobrze, że huzarzy oddali do zbrojowni nie tylko czaka, ale i broń białą. Zanim jednak palnął szwabskie przekleństwo, przypałał się Doktorek w tym zaawansowanym stadium upojenia alkoholowego, w którym człowiek wydaje się nie pijany, lecz zahipnotyzowany. Poruszając się jak marionetka, sprzątnął misę z rąk Ericha i rzekł:

– Piękny przykład środkowosystemowej sztuki z Wenus. Kiedy OsiemHa ukończył swoje dzieło, powiedział mi, że sam jego widok wywołuje wrażenie, jakby wokół kopyt szemrały fale Północnych Mielizn Wenusjańskich. Ciekawe, czy ta misa nie wyglądałaby lepiej odwrócona?... Kim jesteś, młody oficerze? *Nicziwo*... – Odstawił naczynie na półkę i odpłynął.

Doktorek, jako najstarszy mieszkaniec Miejsca, zjadł zęby na tej galerii, właściwie zna ją na pamięć, choć wybrał zły moment na popisywanie się wiedzą. Erich zamierzał puścić się za nim, lecz interweniowałam:

– Stój, *Kamerad*, pamiętaj o rękawicy i cukrze.

Musiał jednak pogderać:

– To jego „*nicziwo*” jest takie ponure i beznadziejne, *ungeheuerlich*\*. Mówię ci, *Liebchen*, Rosjanie nie powinni pracować dla Pajaków nawet jako mistrzowie rozrywki.

Uśmiechnęłam się i ścisnęłam jego dłoń.

---

\* Ungeheuerlich (niem.) – potworne.

– Doktorek ostatnio stał się mniej rozrywkowy, co?

W odpowiedzi też się uśmiechnął, lecz z niejakim zażenowaniem. Poweselał i przez chwilę w jego niebieskich oczach znowu była słodycz.

– Nie powinienem tak naskakiwać na ludzi, Greto, ale czasami jestem po prostu zawistnym staruchem.

Oczywiście przesadzał, gdyż nie ma więcej niż trzydzieści trzy lata, mimo że włosy mu zupełnie zbielały.

A nasze gołąbki podreptały na stronę, gdzie prawie zniknęły za ekranem sekcji szpitalnej. Za nic w świecie nie szukałabym tam zacisza, gdybym chciała trochę potrenować, nim się wdam w amory z Anglikiem. Lili chyba nie podzielała moich uprzedzeń, chociaż pamiętam, jak opowiadała, że zanim przeniesiono ją do Miejsca, służyła w arachnidowym szpitalu polowym.

Z pewnością jednak nie miała za sobą tak ciężkich przeżyć jak ja podczas swej krótkiej i dramatycznej kariery pielęgniarki Pajaków. Wtedy to nabawiłam się najbardziej znienawidzonych koszmarów i wyłożyłam się nie tylko w sensie zawodowym, ale też dosłownym, na ziemię, gdy lekarz włączył aparaturę, na co potwornie zmasakrowana człekokształtna istota zamieniła się w długi zlepek dziwnych, połyskliwych owoców. Fuj, na samo wspomnienie chce mi się haftować. I pomyśleć, że mój poczciwy tatuś Anton marzył o tym, żeby jego córeczka skończyła medycynę.

Cóż, marnowałam czas na wspominki, a przecież trwało przyjęcie.

Doktorek paplał do Sida jak najęty; miałam nadzieję, że nie poczuje natchnienia do wydawania zwierzęcych odgłosów, które w jego wykonaniu brzmią dość dziko, a raz do żywego obraziły kurujących się u nas nieziemców.

Maud uczyła Marka kroków prostego tańca z XXIII wieku, a Beau siedział przy fortepianie i cicho improwizował.

Kiedy zawładnęły nami kojące, głębokie tony, Erich pojaśniał i przyciągnął mnie do siebie. Po chwili z radością oderwałam stopy od twardej podłogi, nie przykrytej dywanami ze względu na naszych chwackich nieziemców, którzy w większości nie cierpią wyściółek. Wciskałam się w kąt kanapy, obłożona poduchami, z kieliszkiem w dłoni, podczas gdy mój nazistowski chłopak szykował się przekuć na pieśń swój *Weltschmerz*<sup>\*</sup>, co mnie specjalnie nie przerażało, bo jego baryton jest całkiem znośny.

Zapanowała sielska atmosfera. Serwisant bez wysiłku przedłuża istnienie Miejsca zakotwiczonego u bram kosmosu, co najwyżej raz na dłuższy czas leniwie powiosłuje. Dzięki swojemu osamotnieniu Miejsce niekiedy wydaje się miłe i wygodne.

Po chwili Beau uniesieniem brwi dał znak Erichowi, który pokiwał głową i razem z nim rozpoczął znaną wszystkim pieśń, choć nigdy się nie dowiedziałam, skąd ona pochodzi. Tym razem myślałam o Lili – sama nie wiem czemu. Tak samo jak nie wiem, czemu na stacjach

---

\* *Weltschmerz* (niem.) – romantyczny pesymizm, dosł. „smutek nad światem”.

uzdrowiskowych utarło się w ten właśnie sposób nazywać każdą nową dziewczynę, choć w tym przypadku było to również jej prawdziwe imię.

*Stoisz w drzwiach tuż za progiem przestrzeni,  
Wokół dmucha wiatr zmian, lecz twej twarzy nie zmieni.  
I szepczesz z uśmiechem serdecznym:  
Ach, spocznij, żołnierzu waleczny.  
Misja zakończona, wejdź i zamknij drzwi...*

## 4

*De Bailhache, Fresca, pani Cammel – rzucone  
Za krąg drżącej Niedźwiedzicy  
W rozsypce atomów.*

Eliot\*

### SOS znikąd

Nieoczekiwanie fortepian przestał przygrywać Erichowi. Wykręciwszy głowę, zobaczyłam, że Beau, Maud i Sid biegną co sił w nogach do sofy sterowniczej. Większy serwisant błyskał alarmową zielonią bardzo szybko, ale przekaz był prosty i nawet ja w mig rozpoznałam używany przez Pajaki sygnał wzywania pomocy. Zrobiło mi się niedobrze, wtedy jednak Erich ostatkiem tchu wydyszał słowo „wrota”, a ja zmobilizowałam się do działania następnym, jakże pomocnym psychicznym kopniakiem. W trójkę, bo jeszcze towarzyszył nam Marek, pognaliśmy na środek Miejsca.

Kiedy się tam zatrzymaliśmy, światelka przygasły. Sid kazał nam się nie ruszać, bo rzucaliśmy cień. Przyłożył oko do wskaźnika, a my staliśmy nieruchomo jak posągi. Pieścił tarcze przyrządów, jakby to była jego gra miłosna. Wprawną dłonią przeskoczył nad włącznikiem introwersji do mniejszego serwisanta i zaraz cała stacja pogrążyła się w mroku. Trzymając za ramię Ericha, rozmyślałam o Sidzie, doglądającym zielonego światelka, którego nie widziałam, mimo że moje oczy miały dość czasu, by przywyknąć do ciemności. W końcu jednak, pomału, zielone światelko mętnie się rozjarzyło i ujrzałam jego zacne, sędziwe oblicze; w zielonkawej poświacie przypominał syrenę. Kiedy lampka zapłonęła pełną mocą, Sid włączył światło na stacji, a ja się wyprostowałam.

– Mamy ich, przyjaciele, kimkolwiek są i kiedykolwiek. Przygotujcie się do przejęcia.

Beau, który oczywiście znajdował się najbliżej, popatrzył na niego badawczo.

---

\* Z wiersza „Gerontion” Thomasa Stearnsa Eliota.

Sid wzruszył ramionami z zażenowaniem.

– Zrazu mi się zdało, że sygnał pochodzi z naszej planety sprzed tysiąca lat przed Narodzeniem Pańskim, lecz migał i gasł jak ogień na górze czarownic. Obecnie wezwanie pochodzi z przestrzeni mniejszej od Miejsca, pewnikiem dryfującej w kosmosie. Zdawało mi się również, że znam tego, który pierwszy wzywał pomocy (Benson-Carter, atomista z antypodów), ale i tu musiałem zmienić zdanie.

– Miejsce nie jest w dogodnej fazie z kosmosem, żeby dokonać przejścia, prawda? – zapytał Beau.

– Teoretycznie – odpowiedział Sid.

– Jeśli się nie mylę, nie mamy w planie żadnych przejść. Ani zaległych zleceń.

– Nie mieliśmy.

Marek poklepał po ramieniu Ericha z roziskrzonym wzrokiem.

– Stawiam denar Oktawiusza przeciwko dziesięciu reichsmarkom<sup>\*</sup>, że to pułapka Węży.

Erich wyszczerzył zęby.

– Wchodzę w to, jeśli przed następną misją pierwszy przejdziesz przez wrota.

Nie trzeba było mieć wielkiej wyobraźni, żeby zdać sobie sprawę z powagi sytuacji. Węże nieraz uciekały się do pod stepu, nie mówiąc już o tym, że zawsze coś może się wyłonić z głębin pozawszechświata. Maud w milczeniu rozdawała broń, w czym pomagał jej Doktorek. Tylko Bruce i Lili stali na uboczu, choć pilnie śledzili rozwój wydarzeń.

Lampka rozbłysła. Sid wyciągnął rękę do serwisanta.

– W porządku, kompania. Pamiętajcie, że przez te wrota może wleźć najwredniejsze draństwo z kosmosu.

Wrota ukazały się trochę na lewo i wyżej od miejsca, gdzie ich oczekiwano, w dodatku o wiele ciemniejsze. Zawiało stęchłym morskim powietrzem, jeśli to w ogóle możliwe, lecz nie poczułam silniejszego wiatru, wiatru zmian, przed którym drżałam. Wrota zaszyły atramentową czernią, a potem naszym oczom ukazało się coś na kształt szarych, futrzanych biczy, błysk miedzianej skóry, jakaś pozlota, jakiś niewyraźny kształt; dał się też słyszeć stukot kopyt. Erich dźwignął w lewej ręce pistolet ogłuszający, wymierzony we wrota... które nagle znikły. W naszą stronę kroczył srebrzysty Lunanin z giętkimi ramionami w towarzystwie satyra z Wenus.

Lunanin niósł stos ubrań i broni. Satyr pomagał kobiecie z talią osy dźwigać skrzynię obitą brązem, na oko dość ciężką. Kobieta miała na sobie kusą spódniczkę i skórzane boletko z postawionym kołnierzem w kolorze ciemnobrązowym, prawie czarnym. Na głowie rogata minojska fryzura, tu i ówdzie bogate ozdoby ze złota, sandały, miedziane bransolety na nogach i nadgarstkach (wśród nich platerowany miedzią przywoływacz). U szerokiego miedzianego pasa wisiał dwuostrzowy toporek z krótkim trzonkiem. Miała ciemną karnację, cofnięte czoło i brodę, co dawało piorunujący efekt: jej lico, ostre jak grot strzały, było

---

\* Reichsmark – niemiecka jednostka monetarna, wprowadzona w 1924 r.

niezwykle urodziwe... i, niech mnie kule biją, znajome!

Nim zdążyłam krzyknąć: „Kabysia Labrys\*”, wyprzedziła mnie Maud swoim piskliwym zawołaniem:

– Kaby i jej przyjaciele! Szykujcie dwa duchy dziewczyn!

Wówczas zrozumiałam, że to tydzień powrotów do domu, bo w Lunaninie rozpoznałam swojego dobrego kompana Ihili hisa. Pośród całego zamętu z przyjemnością stwierdziłam, że powoli zaczynam odróżniać zarośnięte srebrną szczecina gęby.

Doszli do sofy sterowniczej. Illy zrzucił swój ładunek, a pozostali położyli skrzynię. Kaby zadrżała ze zmęczenia, lecz wywinęła się nieziemcom, kiedy pośpieszyli ją podtrzymać. Zgromiła też Sida morderczym spojrzeniem, gdy ruszył na pomoc... mimo że to ona była tym kreteńskim przyjacielem, o którym wspominał Brucebwi.

Oparła się o sofę wyprostowanymi rękami. Dwa razy odetchnęła chrapliwie i tak głęboko, że nad brązowymi biodrami zaznaczył się mocno zarys kręgosłupa.

Uniosła głowę i rozkazała:

– Wina!

Podczas gdy Beau chyżo spełniał jej zachciankę, Sid znów próbował ująć jej dłoń.

– Słodkości, nigdy wcześniej nie słyszałem twojego sygnału i nie od razu...

– Lunanina pocieszaj, nie mnie! – przerwała mu gniewnie. Wtedy zauważyłam, że – na Zeusa! – jedno z sześciu ramion Ihilihisa zostało odcięte w połowie jego długości.

Jak na komendę, podeszłam do Sida i wyrecytowałam:

– Mimo siedmiu stóp wzrostu waży jedynie pięćdziesiąt funtów. Nie lubi dudniących dźwięków i woli, żeby go nie chwytać. Dwie nogi właściwie nie są ramionami i mają inne zadania. Używa ich do długich spacerów, do skoków zaś wyłącznie ramion. Ramiona służą też jako narządy chwytne i narządy wzroku do patrzenia z bliska. Jeśli są wydłużone, oznacza to, że jest spokojny. Jeśli są cofnięte, jest nerwowy lub ma się na baczności. Jeśli są mocno cofnięte, czuje wstręt. Wita się...

W tym momencie jedno z ramion smyknęło mi po twarzy niczym pachnąca motylek z piór.

– Illy, kolego, kopę snów. – Poglaskałam go po pyszczysku koniuszkami palców. Musiałam się powstrzymać, żeby go nie przytulić. Trochę niezdarnie sięgnęłam do zranionej kończyny.

Odrzącił jednak moją rękę, a z aparatu, który nosił na pasku, wydobył się skrzek:

– Ejże, urwisie! Tatko sam się uleczy. Bandażowałaś kiedyś, moja miła Greto, chociażby ziemską ośmiornicę?

Owszem, inteligentny okaz pochodzący mniej więcej z dwieście pięćdziesiątego milionolecia naszej ery... ale tego mu nie powiedziałam. Stałam więc, pozwalając mu się wygadać na mojej dłoni (na ogół nie przepadam za sierściomową, choć uczucie jest fajne).

---

\* Labrys – topór z dwoma obuchami, na Krecie rozpowszechniony w II tysiącleciu p.n.e.



Swoją drogą, ciekawe, kto nauczył go angielskiego. Za pomocą dwóch innych ramion wydobyl z kieszonki lunański bandaż z opatrunkiem, a następnie przyłożył go do rany.

Tymczasem satyr kucnął nad skrzynią ozdobioną trupimi czaszkami, krzyżami z pętelką i swastykami, która jednak wyglądała tak, jakby pochodziła z czasów dużo odleglejszych niż epoka nazistów.

– Myślę se, szefciu – zwrócił się do Sida – że choć grawitacja zdziebko siadła pode drzwiami, jakaś pomoc by się zdała...

Sid dotknął mniejszego serwisanta i zaraz zrobiliśmy się bardzo lekcy. Żołądek podchodził mi do gardła, kiedy satyr układał na skrzyni przyniesione przez Illy'ego ubranie i broń, by kicnąć z tym na koniec baru i tam wszystko ostrożnie położyć na ziemi. Doszłam do wniosku, że jego nauczyciel angielskiego musi być ciekawym typkiem. Chętnie bym poznała... ja, go, to...

Sid roztropnie zapytał Illy'ego, czy w którejś sekcji nie chciałby mieć księżycowej grawitacji, lecz mój kompan lubi towarzystwo, a że ma wagę piórkową, ziemską grawitacja mu nie przeszkadza. Kiedyś mnie pouczył: „Czy grawitacja Jowisza przeszkadzałaby żuczкови, moja miła Greto?”

Zapytałam go o satyra. Odparł, że satyr ma na imię SiedemCe i że pierwszy raz spotkali się w czasie tej właśnie operacji. Wiedziałam, że satyrowie pochodzą z przyszłości odległej o miliard lat, tyle samo co Lunanie, tylko w drugą stronę. Pomyślałam sobie – na Kristosa\*! – że musiała to być jakaś niesamowita, kluczowa operacja, skoro Pająki powołały do niej tych dwóch ananasów, urodzonych w odstępnie dwóch miliardów lat. Wyobraźcie sobie, ile to czasu. Normalnie... szok.

Zacząłam wypytywać Illy'ego, lecz w tym momencie przyklusował Beau z wielką czarno-czerwoną, glinianą czarą wina; zebraliśmy bogatą kolekcję naczyń do raczenia się trunkiem, żeby goście czuli się jak w domu. Kaby pochwyciła czarę, jednym łykiem wychyliła prawie całą zawartość i trzasnęła nią o ziemię. Często się tak zachowuje, mimo że Sid próbuje ją ucywilizować. Następnie zamyśliła się tak głęboko, że poszerzyły się białka jej oczu, a usta znacząco wydeły, tak iż w mniejszym stopniu przypominała istotę ludzką niż nieziemcy; była czystym ucieleśnieniem furii. Jedynie podróżnicy w czasie wiedzą, jak bardzo starożytni ludzie mogą przypominać baśniowe rysunki i malowidła.

Włosy stanęły mi dęba, gdy zawyła. Walnęła pięścią w sofę i krzyknęła:

– O Bogini! Na moich oczach Kreta ginie, odradza się i znowu ginie!!! Twoja służebnica dłużej tego nie zniesie!

Osobiście, uważam, że jest zdolna znieść wszystko.

Natychmiast zasypano ją pytaniami o Kretę – jedno sama zadałam, bo zatrwożyły mnie wieści – lecz szorstkim gestem ręki nakazała milczenie, wzięła głęboki oddech i zaczęła:

– Ważą się losy bitwy. Okręty Dorów spychają resztki naszej floty. Na słonecznej plaży,

---

\* Kristos – celowe przekręcenie imienia Chrystus.

ukryci wśród skał, ja i SiedemCe czekamy z działem igłowym, gotowi dziurawić czarne kadłuby okrętów. Obok mnie Ilhilihis pod postacią potwora morskiego. I wtedy... wtedy...

Wtedy zrozumiałam, że nie jest kocicą ze stali, bo głos jej się załamał, zaczęła się trząść i szlochać rozdzierająco, chociaż na jej twarzy wciąż malowała się nieopisana wściekłość. Zwymiotowała wino. Sid zbliżył się i przerwał jej opowieść, co chyba chciał zrobić już na samym początku.

## 5

*Gdy biorę do ręki gazetę, wydaje mi się, że między wierszami bląkają się duchy. Zapewne jest ich pełno na świecie. Zapewne jest ich więcej niż ziaren piasku, takie mam wrażenie.*

Ibsen\*

### Sid sięga po duchy dziewczyn

Mój chłopak z epoki elżbietańskiej wsparł pięści na biodrach i zrobił nam wykład, jakbyśmy byli bandą rozwydrzonych dzieciuchów, które się zatraciły w zabawie:

– Słuchajcie, mości państwo, to stacja uzdrowiskowa i ja tu pilnuję porządku. Do czorta z operacjami! Nie dbam o to, czy ramy rzeczy się wypaczą, czy cały Świat Zmian obróci się w ruinę, ty jednak, wojowniczo, nim historię swoją opowiesz, odpoczniesz i spokojnie się wina napijesz. Twoim kamratom przydzielimy stosowną kompanię i basta! Beau, przez miłość do nas, zagrajże co, aby dziarsko!

Kaby trochę ochłonęła. Nie oponowała, kiedy czule położył jej rękę na plecach.

– Niech ci będzie, brzuchaczu – odparła z ociąganiem.

Wtenczas – a niech to! – przy dźwiękach melodii z „Muskrat Ramble”\*, której nauczyłam Beauego, przydzieliliśmy dziewczęta niezemcom, by każdy miał kogoś do pary.

W tym miejscu muszę zaznaczyć, że nie wszystko, co się mówi o Świecie Zmian i stacjach uzdrowiskowych, pokrywa się z prawdą, ponadto dziewięćdziesiąt procent pomija się milczeniem. Żołnierze przechodzący przez wrota chcą się zabawić, rzecz jasna, ale też każdy bez wyjątku nosi głębokie rany – jeśli nie na ciele, widoczne na pierwszy rzut oka, to z pewnością w sercu.

Wierzcie mi, że misja w czasie to nie przelewki. Przede wszystkim nawet jedna osoba na

---

\* Z dramatu *Upiory* Henryka Ibsena.

\* „Muskrat Ramble” – utwór z płyty Louisa Armstronga „Gut Bucket Blues”.

sto po wycięciu z linii życia nie stanie się od razu prawdziwym, do końca przebudzonym sobowtorem, czyli demonem – nie mówiąc już, że żołnierzem. Czego potrzeba rannemu, psychicznie rozbitemu nieszczęśnikowi, który ma za sobą ciężki bój? Ano człowieka, który będzie się nim opiekował, współczuł mu i składał go do kupy. A jeśli dostanie osobę przeciwnej płci, tym lepiej; ta reguła sprawdza się niezależnie od gatunku.

Oto istota funkcjonowania Miejsca, oto przyczyna szaleństw, jakie zdarzają się też w innych stacjach uzdrowiskowych i kompleksach rozrywkowych. Tytuł mistrza rozrywki jest nieco mylący, ale mnie się podoba. Mistrz rozrywki musi być kimś więcej niż tylko kompanem do zabawy, choć i to jest ważne. Musi robić za pielęgniarkę, psychologa, aktora, matkę, doświadczonego etnologa, jak również pełnić wiele innych ról, opisywanych szumnymi nazwami... No i musi być przyjacielem, na którym można polegać.

Żaden z nas nie ma w sobie wszystkich potrzebnych atutów, daleko nam do ideału. Liczą się chęci. W nagłych przypadkach mistrzowie rozrywki zapominają o wzajemnych urazach, żalach, zazdrości i zawiści – a przecież są ludźmi z gorącym temperamentem – bo na nic nie ma już czasu, trzeba nieść pomoc i nie pytać komu.

Jakoż nie pyta o to żaden szanujący się mistrz rozrywki. Doskonale to widać na niniejszym przykładzie. Chociaż nie uśmiechało mi się porzucać Ericha, było dla mnie jasne, że powinnam zaopiekować się Mym, zmęczonym wojażami. Zresztą, Erich przebywał w otoczeniu swoich ludzkich pobratymców. Ilhilihis też potrzebował bratniej duszy.

Lubię go nie tylko dlatego, że kojarzy się z krzyżówką olbrzymiej kapucynki i kota perskiego, choć trzeba przyznać, że to milusie połączenie. Lubię go za to, jaki jest naprawdę. Kiedy więc wrócił porażony i roztrzęsiony z jakiejś parszywej operacji, moim zadaniem było go pocieszyć. Po mojej krótkiej przemowie ciemniaki w Świecie Zmian będą wymyślać głupie dowcipy, ale ja się pytam, czy może mnie łączyć z Illym coś więcej niż platoniczne uczucie?

Dałoby się chyba wygrzebać ze składu jakieś ośmiornicopodobne dziewczęta i nimfy – Sid musiałby sprawdzić, pewności nie było – lecz Ilhilihis i satyr opowiedzieli się za prawdziwymi ludźmi. Sid rozumiał ich wybór. Maud, uściskawszy dłoń Marka, podreptała do SiedemCe (Oho, kolego, ostre masz kopytka! Przejmowała mój język... jak wszystko inne). Beau spojrział chmurnie na Lili znad fortepianu, jakby wołał, żeby to ona zajęła się nieziemcem, skoro Marek bardziej ucierpiał i potrzebował wsparcia. Jednakże Beau miał klapki na oczach i jako jedyny nie widział, że Bruce'a i Lili łączy coś głębszego i lepiej ich nie ruszać.

Erich dąsał się na mnie, bo go porzuciłam, lecz wiedziałam, że to udawanie. Uważa się za mistrza flirtów z duchami dziewczyn i lubi się popisować. Naprawdę, nieźle mu idzie, jeśli kogoś bawią te rzeczy, a przecież – do stu yangów i yinów\*! – kogóż one nie bawią, przynajmniej od czasu do czasu?

---

\* Yin i yang – w filozofii chińskiej dwie pierwotne, uzupełniające się siły, obecne wszędzie we wszechświecie.

Kiedy Sid wyłuskał z magazynu hrabiankę – szalową blondynkę w obcisłej spódnicy z białej satyny, w kapelusiku z kołyszającym się pękiem białych piór, o wiele piękniejszą od Maud, Lili i ode mnie, lecz przezroczystą jak dym z papierosa – i kiedy Erich trzasnął obcasami, pokłonił się nisko i z dumą zaprowadził ją na kanapę, niczym czarnobrody Svengali swoją Trilby\*, próbując tchnąć w nią życie niemieckim szwargotaniem, figlarnymi minami, czarującym uśmiechem i potokiem niebanalnych komplementów, i kiedy wreszcie ona zaczęła się wdzięczyc, a jej senne spojrzenie skupiło się na nim, błyszczące wilczym pożądaniem – cóż, wtedy już na pewno Erich był szczęśliwy, świadom, że nie przynosi ujmę Reichswerze. O nie, pod tym względem nie martwiłam się o mojego małego komendanta.

Marek przyhołubił grecką kurtyzanę imieniem Fryne\* – raczej nie tą, która pewnie wciąż zadziwia na ateńskich dworach swoim słynnym striptizem. Rozbudzał ją drobnymi łyżkami szkockiej z wodą sodową, choć z jego ukradkowych spojrzeń wnosiłam, że naprawdę to zależy mu na Kaby. Sid uspokajającymi słowami przekonywał wojowniczą dziewczuchę, żeby zagryzła wino pełnowartościowym chlebem i oliwkami. Doktorek, o dziwo, prowadził ożywioną i sensowną rozmowę z SiedemCe i Maud; być może wymieniali się poglądami na temat Północnych Mielizn Wenusjańskich. Beau przeskoczył na „Panther Rag”\*, a Bruce i Lili, oparci o fortepian, choć uśmiechali się taktownie, trajkotali do siebie bez opamiętania.

Illy obejrzał ich wszystkich od stóp do głów i zaskrzeczał:

– Zwierzęta w ubraniu to pocieszny widok, złotko! Jakbyście nosili sztandary.

Może i coś w tym było, choć mój sztandar – szary sweter i spódnica – kojarzył się ze środą popielcową. Przybliżył mi do twarzy jedno ze swoich ramion, żeby ocenić mój uśmiech, i rzekł z cichym skrzekiem:

– Wydaję ci się nudny lub bezbarwny dlatego, że nie noszę sztandarów? Jeszcze jeden umrzyk sprzed miliarda lat w twojej rachubie czasu, szary i podupały jak dzisiejsza Luna, niegdyś wasza siostrzana planeta i raj pełen powietrza, wody i pierzastych lasów... A może ciekawi cię moja odmienność, jak twoja mnie ciekawi, dziewczyno z przyszłości oddalonej o miliard lat w mojej rachubie czasu?

– Słodki jesteś, Illy. – Poklepałam go lekko. Zauważyłam, że jego futro nadal drży po przeżytych emocjach, pomyślałam więc sobie: do diabła z zaleceniami Sida, wypytam go o przygody z satyrem i Kaby. Nie dość, że biedaczek zawędrował miliard lat od domu, to jeszcze musiał tyle w sobie dusić! Poza tym, umierałam z ciekawości.

---

\* Hipnotyzer Svengali i Trilby – bohaterowie powieści gotyckiej Georgea du Mauriera pt. Trilby.

\* Fryne – słynąca z urody kurtyzana grecka z IV w. p.n.e.

\* „Panther Rag” – utwór pianisty Earla Hinesa.

## 6

*Dziewica, Nimfa i Matka to odwieczna królewska trójca z wyspy,  
A Bogini, której oddaje się cześć w każdej z tych postaci,  
Jako księżycowi przybywającemu, pełnemu i ubywającemu, jest bóstwem  
nadrzędnym.*

Graves\*

### Kreta ok. 1300 p.n.e.

Kaby odepchnęła drugą porcję chleba z oliwkami, którą podtykał jej Sid, a kiedy zmarszczył swoje krzaczaste brwi, stanowczo pokręciła głową, dając do zrozumienia, że wie, co robi. Wstała i przyjęła wojowniczą postawę. Rozmowy raptownie ucichły, nawet między Bruceem a Lili. Twarz Kaby nie była już ściągnięta, jej głos nie brzmiał ostro, ale na pewno nie czuła się jeszcze całkiem odprężona.

– Pająkom biada i Krecie! Wytrwajcie jak cne niewiasty, bo straszne wieści przynoszę. Po zdjęciu z przodka armaty słyszemy: skwierczy wodorost. Ledwieśmy zwiali za skały, już działa bielą gorzeje, trafione żarem piekielnym. Liczebną mieli przewagę, użyłam przywoływacza.

Nie mam pojęcia, jak to się jej udaje... ale udaje się nawet po angielsku. Oczywiście, wtedy tylko, gdy ma coś ważnego do powiedzenia. Może wcześniej się przygotowuje...

Beau twierdzi, że starożytni dopasowują myśli do miary wierszowej równie łatwo, jak my wybieramy właściwe słowo, ale nie wiem, na jakim poziomie stało językoznawstwo na uniwersytecie w Vicksburgu. Chociaż nie powinnam mieć wątpliwości, skoro na moich oczach Kaby ciągnęła z poetycką swadą:

– Nie dałam jednak się zabić, pragnęłam Greków rozgromić... ich własnym działem żarowym. Planuję bokiem się podkraść. Druhowie leżą tuż przy mnie i chociaż chłopcy, to

---

\* Z *Białej Bogini* Roberta Gravesa.

dzielne. Widzimy drani w ukryciu, Węży w liczbie ogromnej, parszywców w strojach kreteńskich.

Jej słowa wywołały pomruk oburzenia, bo – jak się zdażyłam dowiedzieć od żołnierzy – na wojnie zmian, choć bezlitosnej, obowiązuje pewien kodeks zasad. Ale my, mistrzowie rozrywki, nie wypowiadamy się na ten temat.

– Ledwieśmy wrogów dojrżeli – snuła wątek Kaby – mordercza salwa zagrziała. Promienie żrące, palące ognistym gradem się leją. Kreteńskiej broniąc bogini, Lunanin traci swe ramię. My tedy w nogi za wydmę i potem chyżo ku plaży. Tam rzeczy widać potworne, bo nasze zacne okręty już toną albo i na dnie! Z pomocą Wężów nikczemnych ponownie biją nas Grecy! Zbrudzone dymem niebios; pływają czarne okręty dokoła wraków jak żuki, co wstrętnym gnojem się żywią... Herosów dzisiaj krew piją. Spokojna plaża, słoneczna, aż raptem wichur nadciąga. Przeżywam zmiany głębokie, cierpienia czyjeś i smutki. W pamięci nowe wspomnienia, w przeszłości ścieżki spaczony, na rękę trzy są pieprzyki. Bogini, bogini, o wielka trójbogini! – Głos jej zadrżał. Sid wyciągnął rękę, lecz zaraz się pozbierała. – Bogini, użycz mi siły, bym wszystko mogła powiedzieć. Wpadamy tedy do wody, dajemy nura w głębiny. Akurat wtenczas nad nami piekielny żar się przelewa. Zielona, chłodna powierzchnia wybucha białą kipiela. Jak wcześniej chyba wspomniałam, użyłam przywoływacza. Po chwili wrota otwarte: w otchłani z dala od pary, co kłębem bucha śmiertelnym. Wpadamy pędem we wrota jak strachem zdjęte minogi, a z nami woda się wlewa.

W chicagowskiej dzielnicy Gold Coast swego czasu Dave przybliżał mi tajniki zawodu pletwonurka. Mogłam sobie wyobrazić, jak w ciemnej toni wyglądały wrota, którymi uciekała Kaby.

– Chwilowo chaos panował, nim wrota zgasły za nami i w mgnieniu oka nas złowił specjalny Ekspres Pająków. W Ekspresie woda do kolan, ciasnota większa jak w Miejscu. U steru stary czarodziej, ekscentryk Benson vel Carter. W te pędy wodę usuwa, używa przywoływacza. Jesteśmy wreszcie wyschnięci, czujemy przyływ energii, Lunanin ściągnął skafander, patrzmy... aż tu serwisant rozbłyska, miga, wariuje! Nasz magik trąca go palcem i zaraz pada bez czucia, zaś pustka ciemność poczyna, napierać, cisnąć, przytłaczać. Nie tracąc ani minuty, używam przywoływacza! Pewności nie ma w tej kwestii, co tak nas strasznie ścisnęło; zapewne Wężę ohydne potrafią Miejsce namierzyć i walczyć poza kosmosem. Znalazły sieci pajęcze w pustynnej szarej nicości.

Tym razem nikt nawet nie mruknął. Otrzymaliśmy cios tam, gdzie czuliśmy się bezpieczni, więc nic dziwnego, że struchleliśmy ze strachu. Może z wyjątkiem Brucea i Lili, którzy ciągle trzymali się za ręce, lekko uśmiechnięci. Prawdopodobnie należeli do ludzi, którym miłość dodaje odwagi; cóż, ja się do nich nie zaliczam. Ale musiałam mieć oko na tę dwójkę.

– Frasunek widzę na twarzach, ta sprawa wszystkich przeraża – ciągnęła Kaby. –

Chcieliśmy szukać ratunku i Ekspres introwertować, pozrywać więzy ze światem, w zupełnej głuszy się zaszyć. Serwisant stary, niestety, rozgrzany do czerwoności i pełen wielkich pęcherzy. Tymczasem pustka się zwierza, korzystam z przywoływacza.

Zacisnęłam powieki, lecz tym sposobem tylko zobaczyłam wyraźniejszy obraz zwierającej się pustki. Czy aby nasza się nie zbiesiła? Nie, i dzięki niech będą Bibi Miriam\*!

– A Carter leży, umiera i Węże winą obarcza, a bliskiej śmierci świadomy, plan tajny szeptem mi zdradza. Dokładne daje wskazówki, jak siedem czaszek nacisnąć: począwszy zaraz przy zamku: jedynkę, trójkę i piątkę, i szóstkę, dwójkę i czwórkę, na samym końcu siódmkę. Od tego czasu zostaje trzydzieści minut jedynie. Nie łapcie się już guzików, zmykajcie prędko z Ekspresu.

Pogubiłam się w tym opisie, jak wszyscy zresztą, tylko Bruce coś szeptał do Lili. Pamiętam czaszki wyryte na brązowych okuciach skrzyni. Popatrzyłam na Illy'ego, który poruszył jednym ramieniem, a dwa inne rozłożył, by potwierdzić – jak się domyślam – że owszem, Benson-Carter powiedział coś takiego, choć on, Illy, nie bardzo siedzi w temacie.

– Nim Carter ducha wyzionął, sekrety dalsze wyjawiał. Wezwanie moje odebrał, gdy własną misję wypełniał. Rozkazy jego tak brzmiały: Do Sida najpierw się zgłosisz i przejmiesz czarnych huzarów, demonów z czaszką na piersi, żołnierzy chwackich i mężnych. Następnie czekaj, aż Miejsce się zejdzie w fazie z kosmosem (dwa razy zjesz coś i faza). Północny Egipt namierzysz w epoce zmierzchu cesarzy, gdy władza Rzymu padała. Powalczysz w bitwie pod miastem, co swoją nazwę zawdzięcza Aleksandrowi Trackiemu. Tam losy wojny odmienisz, rozdepczesz Węże przebrzydłe: agentów, szpiegów, umrzyków! Bogini, wybac, pojmuję! Kierujesz moimi krokami, gdy myślę: sama zostałam. Wszak sygnał dałaś: pieprzyki. Już Miejsce Sida znalazłam, spełniona pierwsza część planu. Ot, widzę czarnych huzarów. Przybywam tutaj z orężem, a także strojem partyjskim, zabranym w porę z Ekspresu, nim twoje wrota spostrzegłam, nim Ekspres wszystkich wystrzelił i zniknął z trupem Cartera. Bogini, mleka upuśćże z mej dzielnej piersi kobiecej, w jej miejsce wstrzyknij nienawiść! Niech wywrę zemstę na Wężach, ach zemstę słodką w Egipcie! Za twoją wyspę, za Kretę! Bogini, wesprzyj Pająki, a nikt im w boju nie sprosta!

Wyciem tak głośnym, że miałam ochotę zatkać uszy palcami, tym razem nie Kaby (ta już zrobiła swoje), ale Sid się popisał. Mój drogi przyjaciel cały spurpurowiał, jakby zapomniał, że w Świecie Zmian też można mieć wylew krwi do mózgu.

– Niech mnie piorun trzaśnie! To przechodzi ludzkie pojęcie! Czy mamy tu linię frontu? Jeszcze chwila i zaczną wyprowadzać natarcia ze szpitali polowych! Kabysio Labrys, ty jesteś niespełna rozumu. Co to za szopka z tymi zamkami, zegarami, trupimi czaszkami, guzikami? Cóż to za bzdety, miszmasz, hocki-klocki? I gdzie ta broń, o której bajdurzysz? Pewnie w tej sakramenckiej skrzyni, co?

Pokiwała głową. Sprawiała wrażenie zobojętniałej, a nawet trochę zawstydzonej, gdy

---

\* Bibi Miriam (arab.) – Świętobliwa Maria.



opuściła ją poetycka wena. Jej odpowiedź zabrzmiała jak milknące echo wcześniejszej tyrady.

– To tylko mała taktyczna bomba atomowa.

# 7

*Wystarczy 0,1 ms (jedna dziesięciotysięczna część sekundy), aby promień kuli ognia osiągnął 45 stóp, a temperatura – w przybliżeniu 300 tys. stopni Celsjusza. W tym momencie jasność kuli w odległości 10 tys. jardów (5,7 mili) jest sto razy większa od jasności Słońca, obserwowanego z powierzchni Ziemi. Kula ognia osiąga swoją maksymalną średnicę 900 stóp w czasie nie dłuższym niż sekunda, licząc od chwili wybuchu.*

Los Alamos\*

## Czas do namysłu

No tak, tylko tego było trzeba, żebyśmy wszyscy zaczęli się naraz przekrzykiwać – oprócz Kaby i dwóch nieziemców. Może to się wydać dziwne, że ludzie zdolni przemierzać wzdłuż i wszerz czasoprzestrzeń, włóczyć się poza kosmosem i znać przynajmniej ze słyszenia broń z odległej o miliard lat przyszłości, choćby taką psychobombę – że tacy ludzie wpadają w popłoch, gdy zostaną zamknięci z prymitywnym urządzeniem z połowy XX wieku. A jak czułby się specjalista fizyki jądrowej, gdyby nagle u siebie w laboratorium znalazł się oko w oko z tygrysem bengalskim? Miałby prawo się bać.

Jestem na bakier z fizyką, ale wiem, że ogień pochłonałby całe Miejsce. Pamiętajcie, że i bez bomby mieliśmy dość zmartwień na głowie, zwłaszcza tę drakę z Wężami, którzy zaczęli dobierać się do naszych Miejsc, miażdżyć je po spaleniu serwisantów. W dodatku, biorąc pod uwagę Sankt Petersburg i Krete, powstawało wrażenie, że wojna przybiera dla nas niekorzystny obrót.

Tak czy inaczej, zdumiał mnie ogrom trwogi. Chcąc nie chcąc, musiałam w duchu przyznać, że wszyscy jesteśmy w podobnym stanie psychicznym co Doktorek, tyle że my nie szukaliśmy pocieszenia w kielichu. Zresztą... czy ostatnio nie sięgaliśmy częściej po alkohol?

---

\* W Los Alamos (Nowy Meksyk) znajduje się utworzony w 1942 r. ośrodek badań jądrowych.

– Wystrzelmy ją w diabły! – zawołała Maud. Wyrwała się satyrowi i odskoczyła od skrzyni.

Beau, pomny na to, co chciano zrobić w Ekspresie, gdy nie było innego wyjścia, syknął:

– Oho, czas na introwersję – i przeskoczył siedzenie przed fortepianem, by popędzić w stronę sofy sterowniczej.

– *Gott in Himmel, ja\**! – poparł go Erich z poszarzałą twarzą, trzymając w ręku wysoką szampankę z resztką różowego wina. Obok stała nadaśana, zapomniana hrabianka.

Aż mnie zmroziło, bo introwersja Miejsca jest dziesięć razy gorsza od szańcowania. Nie tylko rygluje się wrota, ale też uszczelnia, że nawet wiatr zmian się nie przecisnie. Słowem, odrywamy się od kosmosu na amen.

Jeszcze nie rozmawiałam z człowiekiem, który osobiście przeżył introwersję Miejsca.

Marek zepchnął z kolan Fryne i pobiegł za Maud. Duch Greczynki, już prawie zmaterializowany, rozglądał się z tępym przestachem, ściągając pod szyją jabłkowozielony chiton. Na chwilę przyciągnęła moją uwagę; zastanawiałam się, czy żyjący hen w kosmosie normalny człowiek lub umrzyk, z którego linii życia pobrano ducha, nie miewa dziwnych snów lub myśli, gdy coś takiego się dzieje.

Sid powstrzymał Beauego, choć przy okazji o mało się nie wywrócił. Nie dopuszczając hazardzisty do serwisanta, więził go w niedźwiedzim uścisku.

– Mości państwo, czyście poszaleli?! – huknął. – Rozum wam odjęło? Maud! Marek! Marcus! Magdalene! Puśćcie tę skrzynię, do kata!

Maud, zrzucając ze skrzyni ubrania, łuki, kołczany i inne rzeczy, wciąż wlokła ją w stronę sekcji wrót, żeby wywalić ją przy najbliższej okazji. Marek udał, że chce pomóc dziewczynie, ale w gruncie rzeczy próbował jej przeszkodzić.

Robili swoje, jakby nie słyszeli napomnienia Sida.

– Puszczaj, *meretrix*\*! – zawołał Marek. – Dzięki tej bombie Rzym odpowie Partom nad Nilem.

Kaby obserwowała ich, jakby chciała pomóc Markowi, lecz mierziło ją zadawanie się ze zwykłą – Marek nazwał ją ładniej po łacinie – dziwką na telefon.

Aż nagle na wieku skrzyni ujrzałam siedem przeklętych czaszek, z których pierwsza była przy samym zamku. Widziałam je jak przez lupę, choć z tej odległości powinnam zobaczyć rozmazany krąg. Zupełnie straciłam głowę i pobiegłam w przeciwnym kierunku, lecz Illy ogarnął mnie trzema ramionami, po dżentelmeńsku, i zaskrzeczał:

– Spokojnie, moja miła Greto, nie rób tego. Nie ruszaj się, albo tato da klapsa. No, no, ale wy, dwunożni, potraficie się wiercić, kiedy coś wam do łba wlezie!

Impet mojego zrywu pchnął go kilka kroków do tyłu, ale się zatrzymałam i częściowo odzyskałam jasność umysłu.

---

\* *Gott in Himmel, ja!* (niem.) – Boże w niebiesiech, tak!

\* *Meretrix* (łac.) – w starożytnym Rzymie zarejestrowana prostytutka.

– Puszczajcie ją, powiadam! – powtarzał daremnie Sid. Sam puścił Beauego, lecz trzymał rękę w pobliżu ramienia hazardzisty. Następnie mój gruby przyjaciel z Lynn Regis\* spojrzął na pustkę z szaleństwem w oczach i zagrzmiał:

– Niech was kaci! Myślicie, że się sprzeniewierzę woli swoich panów? Że się odwrócę od Pająków? Że skryję się w ziemi jak zaszczuty lis i zawałę wejście do jamy? Zaraza niech tchórzy wygubi! Kto z was portkami trzęsie? Introwersja nie jest ostatnią deską ratunku. Jeśli to uczynimy bez zgody, rozkazu i nadzoru, koniec z nami. A co by było, gdybym na to przystał, nimeśmy otrzymali sygnał od Kaby, he? – Wojownicza pokiwała głową z chłodną aprobata, co zauważywszy, pogroził jej i fuknął:

– Nie popieram twego szaleńczego planu z diabelską skrzynią, narwana półnagusko. Ale żeby wywalić... O bogi mocne – dodał, przecierając twarz – dajcież minutę, żebym mógł się namyślić!

Na razie czas do namysłu był czystą abstrakcją. SiedemCe, który smętnie przykucnął na swoim włochatym zadzie, tam gdzie zostawiła go Maud, rzekł ze śmiertelnie poważną miną:

– Toś im rzekł, szefciu.

Doktorek stanął przy barze wysoki niby Abuś Lincoln w swym cylindrze, szalu i XIX-wiecznych łachach. Sztywno uniósł rękę, nakazując milczenie, i powiedział coś, co brzmiało mniej więcej tak:

– Introwesz... inwesz... renkawsz... – Z dykcją bliską ideału mówił dalej: – Wiem ponad wszelką wątpliwość, co należy uczynić.

Oto dowód na to, jacy byliśmy zestrachani. W Miejscu zrobiło się cicho jak w kościele; każdy zaniechał tego, co akurat robił, czekając z bijącym sercem, aż nieszczęsny pijaczyna objawi sposób zażegnania tragedii.

On tymczasem wyseplenił jakieś – ... inwersz... krzy... – i jeszcze przez chwilę trzymał nas w napięciu. Potem zmarkotniał, bąknął: – *Nicziwo* – sięgnął po stojącą na barku butelkę i zaczęło się żłopanie. Przy tym wciąż się pochylał. Zanim wyrznął o ziemię (w tym ułamku sekundy, kiedy nasza uwaga ciągle była skierowana na bar), Bruce lotem błyskawicy wskoczył na blat, zupełnie jakby zjawił się znikąd, choć widziałam, jak rzuca się do biegu za fortepianem.

– Mam pytanie! – rzekł głosem czystym i wyraźnym. – Czy ktoś z was uruchomił bombę? A więc nie wybuchnie – stwierdził po krótkiej przerwie. Swoją żywiołowością i sympatycznym uśmiechem podnosił mnie na duchu. – Co więcej, gdyby trzeba ją było uruchomić, mielibyśmy pół godziny. Jeśli dobrze pamiętam, tak właśnie powiedziałaś, prawda? – Wskazał palcem Kaby. Gdy kiwnęła głową, ciągnął: – To oczywiste. Czas nie może być za krótki, żeby ten, kto podłoży bombę w obozie Partów, zdążył uciec. Oto nasz margines bezpieczeństwa. I drugie pytanie: Czy wśród nas znajdzie się ślusarz? – Choć wydawał się wyluzowany, przyglądał nam się niczym jastrzęb. Dostrzegł potaknięcia

---

\* Lynn Regis – jedna z dawnych nazw miasta Kings Lynn w hrabstwie Norfolk.

Beau'ego i Maud, nim zdążyli cokolwiek wyjaśnić lub się zastrzec. – Bardzo dobrze. Jeśli znajdzie konieczność, to wy zajmiecie się skrzynią. Ale zanim weźmiemy to pod rozwagę, odpowiedzmy sobie na trzecie pytanie. Czy jest wśród nas inżynier?

Wywiązała się krótka dyskusja, padły wyjaśnienia. Illy przyznał, że owszem, dawni Lunanie dysponowali energią jądrową – czyż nie wypalili życia na swoim globie i nie porobili tych upiornych kraterów? – on jednak w zasadzie nie jest inżynierem, raczej rzeczarzem (z początku myślałam, że mu szwankuje ta skrzeczająca puszcza). Kim jest rzeczarz? Ano kimś, kto manipuluje rzeczami w sposób niemożliwy do opisanie. Nie kontroluje jednak zjawisk na poziomie atomu. Sam pomysł pobudzał do śmiechu; atomowy rzeczarz, co za absurd! Oba słowa się wzajemnie wykluczały. Natomiast SiedemCe, kalendarzowo oddalony o dwa miliardy lat od Lunanina, wymamrotał, że jego lud nie wykorzystywał żadnych źródeł energii, bo satyrowie i przedmioty mogły się przemieszczać dzięki zakrzywianiu czasoprzestrzeni „... lub myślą, jeśli trza było. Pech, że w pustce się nie da. Trza by mieć... nie wiem co. Kiszka i tyle...”

– A zatem nie mamy specja od fizyki atomowej – podsumował Bruce – wobec czego majstrowanie przy skrzyni byłoby nie tylko bezsensowne, ale wręcz groźne. Nawet jeśli bezpiecznie zajrzemy do środka, co dalej? Jeszcze jedno pytanie – zwrócił się do Sida. – Długo by należało czekać przed wywaleniem na zewnątrz tego pudła?

Sid, który był chyba trochę zazdrosny, lecz przede wszystkim wdzięczny Bruce'owi za to, że ten uspokoił jego strwożoną trzódkę, zaczął tłumaczyć, wszelako Bruce nie zamierzał tracić swej widowni, więc gdy tylko Sid doszedł do słowa „faza”, natychmiast przejął pałeczkę:

– Słowem, musimy się znowu zestroić z kosmosem. Dziękuję, gości Lessinghamie. Czyli mamy przynajmniej pięć godzin, czas między dwoma posiłkami, jak wyraził się pewien kreteński oficer. – Uśmiechnął się do Kaby formalnym, żołnierskim uśmiechem. – Czy więc bomba ma eksplodować w Egipcie, czy gdziekolwiek indziej, nie zrobimy nic przed upływem pięciu godzin. No, dobrze! – Jego uśmiech zgasł jak światło. Przeszedł się tam i z powrotem po blacie, jakby badał, ile ma miejsca. Przy okazji poleciały na boki i rozbiły się dwa czy trzy kieliszki koktajlowe, lecz nie zauważył ich, a i my nie zwracaliśmy na to większej uwagi. Ciarki chodziły nam po skórze, gdy każdemu po kolei zaglądał w oczy. Patrząc na niego, musieliśmy podnosić wzrok. Za jego twarzą, obrzeżoną prostymi pasemkami złocistych włosów, była tylko pustka. – No, dobrze! – powtórzył znienacka. – Jest nas dwunastu, są nawet dwa duchy, mamy nieco czasu na rozmowę i wszyscy płyniemy tą samą parszywą łajbą, uczestniczymy w tej samej parszywej wojnie, więc nie powinno być nieporozumień. Niedawno poruszyłem ten temat, lecz skupiłem się na rękawicy i obróciłem wszystko w żart. W porządku, rękawice zdjęte! – Wyszarpnął je zza pasa, cisnął sobie pod nogi i po chwili odrzucił kopniakiem, co wcale nie było śmieszne.

– Otóż zaczyna do mnie docierać – ciągnął – jak na nasze życie wpływa wojna Pająków.

Owszem, to niezła frajda tak sobie hasać w czasie i przestrzeni, a potem, już poza czasoprzestrzenią, zabawić się po skończonej misji. Ileż słodczy w świadomości, że nie istnieje na tyle wąski zakątek świata, na tyle święta lub odludna samotnia, na tyle nikła wyrwa w murze tego, co było lub będzie, żebyśmy nie mogli wcisnąć się do środka. Wiedza to rzecz wspaniała, słodsza niż uciechy ciała, wykwintne potrawy czy gorączka bitwy, to pragnienie najtrudniejsze do zaspokojenia. Jakże dobrze być Faustem\* nawet w zgrai innych Faustów! Ileż słodczy w kręceniu światem, motaniu nici ludzkiego życia czy całej cywilizacji, wymazywaniu przeszłości i pisaniu jej na nowo, byciu tym jednym jedynym, który rozumie przemiany i triumfalnie je wprowadza... Ha! Zabijanie mężczyzn i porywanie kobiet to nędzna namiastka sprawowania władzy. Ileż słodczy w przenikliwych podmuchach wiatru zmian, kiedy człowiek wie, jakie były przeszłości, jaka jest przeszłość i jaką mogłaby być. Ileż słodczy we władaniu atroposem, wykrajaniu umrzyka lub nienarodzonego z jego linii życia, dostrzeżeniu na twarzy sobowtóra światła zmartwychwstania, werbowaniu nowego towarzysza, przyjmowaniu nowo narodzonego demona do naszych szeregów i decydowaniu, czy to dobry materiał na żołnierza, mistrza rozrywki czy jeszcze co innego... Albo decydowaniu, gdy nowo narodzony nie może znieść wskrzeszenia, zapala się bądź zamarza, czy odstawić go na jego linię życia, niech dalej śni swoje sny umrzyka, aczkolwiek będą teraz straszniejsze i posepniejsze niż ongiś, czy raczej, jeśli to kobieta i ma w sobie ów nieodparty wdzięk, przeobrazić jej powierzchowność w ducha. Ileż w tym słodczy. Nawet w tym, że wciąż pchamy się w paszczę śmierci, że przeszłość nie stanowi bezcennego zamkniętego rozdziału, jak nas uczono, że przyszłości absolutnie nie da się przewidzieć (nie wiadomo nawet, czy nastanie), że żaden fragment rzeczywistości nie jest nienaruszalny, że kosmos może zgasnąć jak zdmuchnięta świeczka, a wraz z nim Bóg, i nie zostanie nic prócz niczego. – Wyciągnął ręce do pustki. – Mając tego świadomość, dwakroć większa słodczy przekraczania wrót, ucieczki przed huraganowym porywem wiatru zmian, zażywania zasłużonych wywczasów i wspomniania tych wszystkich słodkości, o których mówiłem, rozgryzania fascynujących uczuć, które gromadzą się w nas w kosmosie, jedna czarna warstwa na drugiej, w towarzystwie i z pomocą bandy najlepszych Faustów i Faustyn, jakich można sobie wyobrazić! O tak, słodkie nasze życie, lecz pytam się – po raz wtóry dźgnął nas oczami, jednego po drugim, szybko – pytam się, co się z nami stało? Jak już powiedziałem, docierają do mnie zupełnie nowe spostrzeżenia. Jakie było moje życie i jakie mogło być, gdyby nastąpiły zmiany, których nawet demon nie jest w stanie uczynić? I jakie to życie jest dzisiaj? Pilnie obserwuję, jak reagujemy na nowiny z Sankt Petersburga, na wieści jakże pięknie przekazane nam przez oficera z Krety, choć sama treść już piękna nie była, a szczególnie na tę francowatą skrzynię z bombą. I pytam się, każdego z osobna, co się z nami stało?

---

\* Johann Georg Faust (ok. 1480-1540) – niemiecki naukowiec i alchemik. Później symbol człowieka, który wchodzi w konszachty z diabłem, aby poznać tajemnicę istnienia.

Przestał się przechadzać i zatknął kciuki za pas, sprawiając wrażenie, jakby słuchał trybów, obracających się w jedenastu przynajmniej głowach... aczkolwiek ja dość szybko wyhamowałam swoje, bo z głębokiego cienia na zakręcie wynurzał się Dave, ojciec i Gwałt na Chicago, a zaraz dalej matka, Indiana Dunes\* i „Jazz Ltd.”\*, z tyłu zaś koszmarna rzecz, którą powołał do istnienia lekarz Pająków, przez co dałam plamę jako pielęgniarza.

Nie znoszę, kiedy ktoś chce się babrać w moich myślach. Bronię się przed tym, stosując starą jak świat, niezawodną sztuczkę mistrzów ceremonii, mianowicie szybki wypad na najciekawsze ze wszystkich terytorium: troski innych ludzi.

Weźmy takiego Beauego. Wyglądał, jakby się miał rozchorować ze zgryzoty, upokorzony słowami szefa i tym, że jego dziewczyna oddała serce wojakowi. Jednakże taił swoje zmartwienia, z nikim się nimi nie dzielił. Nieziemcami nie zaprzętałam sobie głowy, zbyt trudno ich rozszyfrować. Ani też Doktorkiem; nigdy nie wiadomo, czy upadły pijacek stacza się, czy odradza. Wiadomo tylko, że wciąż oscyluje.

Maud chyba cierpiała tak samo jak Beau, zbesztana i przyłapana na panicznym strachu, co zawsze ją dołuje, bo jej epoka wyprzedza naszą o trzysta lat z okładem, toteż uważa się – niesłusznie – za mądrzejszą. Nie wspominając o tym, że ma ponad pięćdziesiąt lat, choć dzięki postępowi w dziedzinie kosmetyki, z którego korzystała w swej ojczyznej epoce, wygląda i zachowuje się jak nastolatka. Gdy cofnęła się od okutej skrzyni, żeby się wtopić w tłum, podeszła do niej Lili, stojąca do tej pory przy fortepianie.

Lili miała zmartwienia zgoła innej natury. Pałała wielkim uczuciem do Brucea, dumna niczym księżniczka z narzeczonego królewicza. Erich patrzył na nią z pochmurnym obliczem, bo i on był dumny ze swojego *Kamerada*, który z charyzmą Führera przejmował komendę nad nami, bojaźliwymi ofermami. Sid nadal czuł wdzięczność i nie miał nic przeciwko przemowom Bruce'a.

Nawet Kaby i Marek, wilczki gotowe do bitki, wysunięci przed nas dwa kroki, gdzie warowali koło skrzyni, nadstawiali ucha. Dzięki nim odkryłam jeden z powodów, dla których Sid pozwalał Bruce'owi ciągnąć swój monolog, choć Bruce prowadził nas po grząskim, niebezpiecznym gruncie. Prędzej czy później musieliśmy odpowiedzieć sobie na pytanie, co zrobić z bombą, gdy tymczasem między żołnierzami i mistrzami rozrywki zaczynało iskrzyć. Sid żywił nadzieję, że znajdzie się jakieś rozwiązanie, a przynajmniej chciał odsunąć w czasie nieuchronną konfrontację.

Pomijając to jednak, z tego jak mrużył swoje brązowe oczy i żuł zarośniętą wargę, wnosiliśmy wszyscy, że jest głęboko poruszony, a nawet wstrząśnięty słowami Brucea. Nowy czytał w naszych sercach i sondował myśli lepiej, niż sami byśmy to zrobili, a potem zamieszał nam w głowach, aż zaczęliśmy się zastanawiać, jakimi to jesteśmy niezgłami, draniami, czarnymi owcami, pomyleńcami. Chcieliśmy go słuchać dla swojego dobra.

---

\* Indiana Dunes – chroniony obszar w Indianie na wybrzeżu jez. Michigan.

\* „Jazz Ltd.” – otwarty w Chicago w 1947 r. klub jazzowy, działający do 1972 r.

# 8

*Dajcie mi punkt podparcia, a poruszę Ziemię.*

Archimedes

## Punkt podparcia

Głos Bruce'a zdawał się dolatywać z oddali, gdy tak patrzył w górę na pustkę.

– Czyście się kiedykolwiek zastanawiali, dlaczego walczące strony nazywają się Pająkami i Wężami? Węże, to nikogo nie dziwi. Zawsze nadajemy wrogom obraźliwe przydomki. Ale Pajaki? Czemu mówimy o sobie: Pajaki? Nie zrozum mnie źle, Ilhilihis. Żadne stworzenie nie rodzi się z natury podłe i wstrętne, ale tu chodzi o nasze ludzkie, tradycyjne postrzeganie świata. Wiem, Marek, że twoje legiony nazywane są czasem Ślimakami lub Pijanymi Lwami, co w niczym im nie uwłacza, tak jak żołnierzom Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego nie wadzi etykieta „żałosnych wiarusów”... Musielibyście przyjrzeć się gangom młodych chuliganów w miastach skazanych na zagładę, którzy też stroją się w szumne nazwy, choć, oczywiście, nie chcą się przy tym poniżać. Tak po prostu: Pajaki. I Węże, a trzeba wiedzieć, że sami tak się nazwali. Pajaki i Węże. Kim są nasi zwierzchnicy, że bezkrytycznie tak ich nazywamy?

Dreszcz po mnie przebiegł, a w głowie lęły się najróżniejsze myśli, lecz nie mogłam ich w sobie zdusić, co wywoływało jeszcze gorsze dreszcze.

Obok mnie stał Illy, który – chociaż nigdy się nad tym głębiej nie zastanawiałam – w pewnym sensie miał osiem nóg. Niekiedy wręcz przyrównywałam go do małpki. A czyż Lunanie nie uzyskali kontroli nad atomem, ba, nie zgromadzili ogromnej wiedzy, bogatszej od naszej o miliard lat rozwoju? Czyż nie mogliby rozpętać wojny zmian?

Albo założmy, że w odległej przyszłości ziemskie pająki wyewoluowały do rangi istot rozumnych i założyły cywilizację opartą na przemocy i kanibalizmie. Do tego doskonale zakamuflowaną. Nie miałam zielonego pojęcia, kto lub co zamieszkuje Ziemię w epoce



SiedemCe. A jeśli pajęczy umysł chyłkiem mota czarne, kosmate, trujące sieci w mentalnej tkance świata, w czasie i przestrzeni?

A taki Beau. Nie było w nim czegoś z Węża, gdy wziąć pod uwagę jego ruchy, zachowanie?

Pająki i Węże. *Spinne und Schlange*, jak nazywał ich Erich. S & S. Skrót „SS” był już zarezerwowany dla faszystowskiej *Schutzstaffel*, Czarnych Koszul. Co będzie, jeśli jeden z tych okrutnych, zwariowanych szkopów odkrył podróże w czasie i... Wzdrygnęłam się i wróciłam do rzeczywistości. Eh, Greto, tobie już całkiem odbiło!

Doktorek leżał pod barem, który pełnił funkcję płyty rezonującej, kiedy zakrzyknął na Bruce’a niczym potępieniec z dna piekieł:

– Nie narzekaj na Pająki!!! Nie bluźnij! Słyszą nawet szept nienarodzonego. Inni leją w skórę, oni przewiercają mózg i serce.

– Dosyć tego, Bruce! – poparł go Erich.

Bruce nie zaszczyił go nawet jednym spojrzeniem.

– Niezależnie od tego – rzekł – kim są Pająki i czym się posługują, dla mnie to jasne jak lampka serwisanta, że wcale nie chcą przerwać wojny zmian, wolą ją przewlekać! Weźcie pod uwagę ostatni nawał idiotycznego mordobicia i panikarskiego mieszania staroświeckości z nowoczesnością. Przecież wiadomo, że przez takie mieszanie tracimy kontrolę nad wiatrem zmian. To forsowne wplątywanie się w kreteńsko-dorskie porachunki, jakby nie było ważniejszej bitwy na świecie i innych sposobów rozwiązywania problemów. Przerzucenie Konstantyna\* z Brytanii nad Bosfor rakieta. Wysłanie łodzi podwodnej wraz z Armadą przeciwko drewnianym kryptom Drake’a. Stawiam zakład, żeście o tym nie słyszeli! I teraz, żeby ocalić Rzym, bomba atomowa... Na bogów, mogli zastosować ogień grecki, choćby i dynamit, ale nie, zachciało się broni nuklearnej! Sami pomyślcie, jak zwichrzemy i poszatkujemy resztki historii. Pewnikiem znajdzie się w niej miejsce na ucisk Grecji, zniknięcie Prowansji i trubadurów, papieską niewolę w Irlandii!

Otworzyła mu się rana na policzku, z której teraz lekko sączyła się krew. Nie zwracał na to najmniejszej uwagi (podobnie jak my), gdy ironicznie skrzywił usta, mówiąc:

– No tak, zapominam, że to kosmiczna wojna, a Pająki prowadzą operacje wojskowe na miliardach, trylionach planet i w zamieszkałych obłokach gazowych na przestrzeni milionów epok, a my jesteśmy jeno maleńkim światem (maleńkim układem słonecznym, SiedemCe) i nie powinniśmy oczekiwać od naszych tajemniczych zwierzchników, przygniecionych brzemieniem obowiązków i odpowiedzialności, taktu i zrozumienia dla naszych dziecinnych książeczek i ulubionych proroków, dla naszych tysiącleci i okresów dziejowych. Nie spodziewajmy się też przesadnej troski o wszystkie te drobiazgi, które przypadkiem są nam drogim. Kto wie, może są jeszcze romantycy, którzy woleliby sto razy umrzeć, aniżeli żyć w

---

\* Konstantyn I Wielki – cesarz rzymski. Wraz z ojcem uczestniczył w wyprawie przeciwko Piktom i Szkotom za Murem Hadriana.

świecie bez *Summy*<sup>\*</sup>, równań pola, *Procesu i rzeczywistości*<sup>\*</sup>, *Hamleta*, *Mateusza*, Keatsa czy *Odysei*, jednakże nasi zwierzchnicy traktują rzecz pragmatycznie: dbają o potrzeby nieboraków, którzy chcą żyć bez względu na wszystko.

– Powtarzam, dosyć tego! – odezwał się Erich, lecz jego słowa utonęły w powodzi słów nowego.

– Nie będę się rozwodził nad drobnymi zwiastunami wielkiej katastrofy: wstrzymaniem urlopów, niedoborem zapasów, zniszczeniem Ekspresu, przekształcaniem stacji uzdrowiskowych w obiekty strategiczne i bałaganiarskim planowaniem. Choćby ostatnia operacja. Dowalono nam trzech żołnierzy z innej galaktyki, którzy, nie umniejszając im, na Ziemi byli do niczego. Tego rodzaju rzeczy przy odrobinie pecha mogą się przytrafić na każdej wojnie i nie mają wpływu na całokształt. Ale są też rzeczy poważniejsze.

Znów przerwał, chyba tylko po to, żeby rozbudzić naszą ciekawość. Maud tymczasem podeszła do mnie, bo poczułam na ręce jej drobną, suchą dłoń.

– Co robimy? – szepnęła półgębkiem.

– Słuchamy – odpowiedziałam konspiracyjnie. Denerwowało mnie to, że zawsze chciała coś zrobić.

Uniosła przyprószone złotem brwi.

– Ty też? – mruknęła.

Co też? Czy zabijałam się w Brusie? Chyba zwariowała! Nie zdążyłam zapytać, o co jej chodzi, bo znów jak z oddali doleciał głos Brucea:

– Nie rozmyślaliście o tym, ile operacji może wytrzymać materia dziejów, nim zostanie z niej łąta na łącie? Czy kiedyś te zmiany do cna nie wystrzępią przeszłości? A także dnia dzisiejszego i całej poronionej przyszłości? Czy prawo zachowania rzeczywistości nie jest tylko pobożnym życzeniem, ładnie nazwanym, modlitwą teoretyków? Śmiertelna zmiana jest równie pewna co śmierć cieplna<sup>\*</sup>, tyle że nastąpi prędzej. Z każdą operacją rzeczywistość staje się odrobinę surowsza, odrobinę brzydsza, odrobinę bardziej szmatława i o wiele bardziej uboga w te wszystkie niuanse i wrażenia, które są naszym dziedzictwem, niczym niechlujny ołówkowy szkic na płótnie po odarciu go z farby. Jeśli tak dalej pójdzie, kosmos przeistoczy się w szkic samego siebie, a potem w nicość! Jak bardzo można rozcieńczyć rzeczywistość, ilu sobowtórów z niej wyciąć? Każda operacja pociąga za sobą jeszcze jeden skutek: dodaje życia umrzykom, a kiedy ucichnie wiatr zmian, w większym stopniu podatni są na lęki, koszmary i zmęczenie. Wy, co braliście udział w misjach w często przerabianych okresach historii, na pewno wiecie, o czym mówię. To spojrzenie, którym was mierzą z ukosa, jakby pytali: „Znowu wy? Na rany Chrystusa, odejdźcie! Umarliśmy. Nie chcemy się budzić, nie chcemy być demonami, to straszne być duchem. Przestańcie nas prześladować!”.

---

<sup>\*</sup> Summa (łac.) – Summa theologiae (Summa teologii), kompendium wiedzy teologicznej Tomasza z Akwinu.

<sup>\*</sup> *Proces i rzeczywistość* – wykład kosmologii organicystycznej Alfreda Whiteheada.

<sup>\*</sup> Śmierć cieplna wszechświata – hipoteza mówiąca, że wszechświat dojdzie do stanu równowagi termodynamicznej, kiedy zanikną wszelkie rodzaje wymiany energii.

Mimowolnie obejrzałam się na duchy dziewczyn. Znajdowały się jedna przy drugiej na sofie sterowniczej, twarzą do nas, plecami do serwisantów. Hrabianka nie rozstała się z butelką wina, którą jej wcześniej przyniósł Erich. Teraz obie na zmianę częstowały się trunkiem. Hrabianka miała dużą różową plamę na białej, marszczonej koronce bluzeczki.

– Zobaczycie – mówił Bruce – przyjdzie taki dzień, kiedy wszystkie umrzyki i nienarodzeni obudzą się, wpadną w szal i ruszą na nas nieprzeliczoną hordą, wołając: „Mamy tego dość!”

Nie od razu odwróciłam się do niego. Chiton zsunął się Fryne z jednego ramienia. Obie siedziały pochylone do przodu, z łokciami na kolanach, lekko rozkraczone (hrabianka mniej z powodu obcisłej spódnicy), i kiwały się na boki. Nadal były zdumiewająco materialne, mimo że od godziny nikt nie zwracał na nie uwagi. Przymrużonymi oczami patrzyły nad moją głową, jak gdyby – o matko! – wsłuchiwały się w słowa Bruce’a, a może nawet co nieco rozumiały.

– Staramy się rozróżnić umrzyków i nienarodzonych: tych pokrzywdzonych przez nasze działania, których linia życia leży w przeszłości, i tych, których linia życia zaczyna się w przyszłości. Ale czymże oni się różnią? Czym się różni przeszłość od przyszłości? Czy da się określić dzień dzisiejszy, prawdziwe „dzisiaj” kosmosu? Każde miejsce ma swój dzień dzisiejszy, jest dzień dzisiejszy wielkiego czasu, ale to tylko wrażenie, zwykła prowizorka. Pająki twierdzą, że prawdziwego „dzisiaj” należałoby szukać gdzieś w drugiej połowie XX wieku, co oznacza, że prawie każdy z nas może równocześnie żyć w kosmosie, mieć swoją linię życia, po której przesuwa się „dzisiaj”. Ale czy wy, Ihilihis, SiedemCe, godzicie się na taki stan rzeczy? Co na to powiedzą służki potrójnej bogini? A Pająki z Rzymu czasów Oktawiana? A demony poddane zacnej królowej Bessie? A szacowne umrzyki z Wielkiego Południa? Czy nienarodzony może być członkiem załogi statku kosmicznego, Maud? Pająki twierdzą, że chociaż w wojennej zawierusze trudno dokładnie umiejscowić terażniejszość, stanie się to proste po bezwarunkowej kapitulacji Węży i ustanowieniu kosmicznego pokoju. Dzień dzisiejszy znów będzie dostojnie płynął ku przyszłości, ożywiając po drodze całe kontinuum. Naprawdę w to wierzycie? A może wierzycie, jak ja, że zmarnowaliśmy przyszłość, roztrwoniliśmy ją w przedwczesnych doświadczeniach? Przez co prawdziwe „dziś” doszczętnie się zatarło, zostało nam odebrane, owo bezcenne „dziś” naturalnego dorastania, ów załążek, z którego rozwija się cały świat, chwila podobna rodzącej się dziecinie, maleńkiemu promyczkowi wielkiej nadziei.

Odczekał, aż jego wprowadzenie zapadnie w serca widowni, a następnie, nie zważając na protesty Ericha (Bruce, po raz ostatni cię proszę...), przespacerował się po barze i ciągnął takim tonem, jakby dodało mu otuchy samo słowo „nadzieja”:

– Chociaż obecny stan rzeczy budzi przerażenie, to jednak jest szansa, maleńka, ale zawsze szansa, że uchronimy kosmos przed śmiertelnymi zmianami, przywrócimy blask rzeczywistości, damy duchom wytechnienie, a może nawet odzyskamy prawdziwy dzień

dzisiejszy. Środki mamy pod ręką. Gdyby tak korzyści wynikające z podróży w czasie spożytkować nie na wyniszczającej wojnie, ale w celu naprawy, równomiernego ubogacenia epok, trwałej komunikacji i postępu, krótko mówiąc, przekazać orędzie pokoju...

Jednakże mój mały komendant też jest niezłym aktorem i zna kilka chwytów, pozwalających przejąć pierwsze skrzypce na scenie. Powiedział sobie, że Bruce nie może go przyćmić, jakby był drugorzędnym statystą, głosem z tłumu. Śmignął na czoło, między nas a bar, wybił się w pełnym biegu i celnie wylądował na przeklętej skrzyni z bombą.

Chwilę potem Maud w milczeniu pokazała mi białe kółko nad łokciem, gdzie ją chwyciłam. Z mojej drugiej dłoni Illy wysuptywał pęk ramion, skrzecząc z wyrzutem:

– Moja miła Greto, nigdy więcej tego nie rób.

Zauważyłam, że Erich uważnie stanął w rozkroku nad kręgiem czaszek. Zresztą, powinnam była się domyślić, że w ramach jednego skoku nie sposób ich wcisnąć we właściwej kolejności.

Wymierzywszy palec w Brucea, wołał:

– ... a to oznacza bunt, mój młody kolego! *Um Gottes willen*<sup>\*</sup>, Bruce, wysłuchaj mnie i zejdź stamtąd, nim z kretesem się pograżysz! Jestem od ciebie starszy, starszy jest również Marek. Zaufaj swoim *Kameraden*. Zдай się na ich wiedzę.

Przyciągnął do siebie moją uwagę, lecz stokroć bardziej wołałabym, żeby podbił mi oko.

– Ty starszy ode mnie? – odparł Bruce z szerokim uśmiechem. – W ciągu tych dwunastu lat szprycowałeś się ideologią rasy rozmarzonych sadystów, którym odbiła szajba, w świecie wymęczonym i ogłupiałym po długich zmaganiach wojennych. Marek niby starszy ode mnie? Poglądy i etyka wilczej zgrai bezmyślnych rębajłów, młodszych ode mnie o dwa tysiąclecia! Chcecie być starsi ze względu na instynkt zabijania? Bo tylko to się w was rozwija w Świecie Zmian. Nie rozśmieszajcie mnie! Jestem Anglikiem i pochodzę z czasów, kiedy w powszechnej wojnie widziano przejaw barbarzyństwa, a pąki i kwiaty myśli ludzkiej nie były zwiędnięte i złamane. Jestem poetą, a poeci są mądrzejsi od zwykłych ludzi, ponieważ tylko oni mają odwagę jednocześnie myśleć i czuć. Prawda, Sid? Kiedy głoszę wszem wobec orędzie pokoju, chcę, żebyście się zastanowili, jak w praktyce wykorzystać miejsca do niesienia pomocy poprzez morza czasu tam, gdzie pomoc naprawdę jest potrzebna, zamiast wspierać tych, co nie zasługują na wsparcie, lub krzewić wiedzę, gdzie jest przedwczesna lub zgubna. Lepiej się nie wtrącać i tylko sprawdzać z najgłębszą troską i czułością, czy wszystko się dobrze układa, a wspaniałości wszechświata odsłonią się przed ludźmi, jak było w zamierzeniu...

– Zaiste, Bruce, jesteś poetą – wtrącił Erich. – Potrafisz wydobyć z fletu tęskną nutę i przyprawić nas o łzy wzruszenia. Potrafisz powyciągać rejestry z organów i sprawić, że zadrżymy jak przed obliczem Jehowy. Od dwudziestu minut czarujesz nas poezją, ale kimże ty właściwie jesteś? Mistrzem rozrywki czy żołnierzem?

---

<sup>\*</sup> Um Gottes willen (niem.) – na miłość boską.

\* \* \*

Nie wiem czemu, może po chrząknięciu Sida, w każdym razie uświadomiłam sobie, że wszyscy zaczynają patrzeć nieprzychylnie na Brucea. Owładnęło mną przedziwne uczucie, jakby rzeczywistość się usztywniła, jaskrawe barwy zmętniały i przysły marzenia. Zarazem zrozumiałam, jak bardzo nas Bruce poruszył. Stanęliśmy przecież na krawędzi buntu. Byłam wściekła na Ericha za to, co robił, ale też podziwiałam jego arogancję.

Nie uwolniłam się jeszcze spod uroku słów Brucea i tego, co tymi słowami obiecywał, gdy nagle Erich przesunął się na skrzyni i stuknął obcasem blisko przycisku z trupa czaszką. Najchętniej włożyłabym szpilki i kolnęła obcasem każdą czaszkę na jego mundurze. Miałam jeszcze mętlik w głowie.

– Tak, jestem żołnierzem – odpowiedział Bruce – i mam nadzieję, że nigdy nie podasz w wątpliwość mojego męstwa, bowiem rozesłanie orzędzia do pozostałych miejsc i wszystkich punktów zapalnych w kosmosie będzie ode mnie wymagało więcej odwagi niż wszystkie operacje, jakie dotąd zaplanowano i o jakich śniono. Być może piłka od razu trafi w bramkę i zostaniemy wyeliminowani przed zdobyciem runu<sup>\*</sup>, trudno. Przynajmniej zobaczymy naszych władców, kiedy przyjdą wygarbować nam skórę. Co już będzie nie lada osiągnięciem. Może przy okazji sami sprawdzimy się w garbowaniu?

– Zatem jesteś żołnierzem. – Erich odsłonił zęby w uśmiechu. – Przyznaję, że te nieliczne operacje, w których uczestni czyłeś, były cięższe niż wszystkie, które mi przypadły w udziale w ciągu pierwszych stu snów. Tu chylę czoło przed tobą. Ale żeś stracił głowę dla dziewczyny, żeś oślepl z miłości, że nagle bredzisz o orędziu pokoju...

– Zaprawdę, Bóg mi świadkiem, odmieniła mnie miłość i dziewczyna! – krzyknął Bruce, a ja obejrzałam się na Lili i przypomniałam sobie słowa Davea: „Jadę do Hiszpanii”, zastanawiając się, czy kiedykolwiek jeszcze spłonę takim rumieńcem. – A raczej dzięki nim stanąłem w obronie czegoś, w co zawsze wierzyłem. Sprawily, że...

– *Wunderbar*<sup>\*</sup>! – zawołał Erich i odstawił blażeński taniec na bombie, czym doprowadził mnie do furii. Aktorsko wyginał ręce w łokciach i nadgarstkach, bujał biodrem, łobuzersko przekrzywiał głowę i gwałtownie mrugał oczami. – Zaprosisz mnie na wesele, Bruce? Tylko znajdź sobie innego družbę, bo ja, dziewczynka z kwiatkami, będę rozdawać śliczne bukietki co ważniejszym gościom. Łap, Marek! Dla ciebie, Kaby! Masz, Greto! *Danke schön. Ach, zwei Herzen im Dreivierteltakt*<sup>\*</sup> ... tata... ta-ta... ta-ta-ta-ta-ta...

– Jak ty traktujesz kobiety, do diabła!?! – wściekał się Bruce, – Jak lalki do zabawy w wolnych chwilach?

Erich wciąż nucił melodię z operetki „Dwa serca biją w walca takt” i – niech go kaci! –

---

\* Run – podstawowa jednostka punktowania w krykcie.

\* Wunderbar (niem.) – cudownie.

\* Danke schön. Ach, zwei Herzen im Dreivierteltakt (niem.) – Wielkie dzięki. O, dwa serca biją w walca takt.

skocznie podrygiwał. Mimochodem kiwnął głową i odpowiedział:

– Dokładnie tak.

Zatem wiedziałam, gdzie moje miejsce, choć nie była to dla mnie nowina.

– A więc dobrze – powiedział Bruce. – Niech się ta brązowa koszula, *maricón*\* jeden, wygłupia, a my przejdziemy do rzeczy. Wystąpiłem do was z propozycją i chyba nie muszę tłumaczyć, że to poważna sprawa. Ja i Lili naprawdę nie żartujemy. Trzeba nie tylko wdrzeć się do innych miejsc i wszystkich tam przekabacić, ale też zapukać do Węży i na początek nawiązać stosunki dobrosąsiedzkie z ich demonami.

Erich przestał płasnąć. Tyle westchnięć dało się usłyszeć, jakby wzdychali dosłownie wszyscy.

– Bruce! Posuwasz się w swoim szaleństwie doprawdy za daleko! Ubzdurałeś sobie, że skoro w Miejsce wszystko uchodzi płazem: pojedynki, pijaństwo *und so weiter*\*, możesz powiedzieć, co ci ślina na język przyniesie, bo lecząc kaca, i tak zapomnimy. Otóż nie. Jest rzeczą oczywistą, że w naszej zbieraninie potworów i indywidualistów, na dodatek robiących w tajnej agenturze, ciężko utrzymać wojskowy dryl, spotykany w ziemskich armiach. Wiedz jednak i wbij sobie do mózgu, że struktury dowodzenia Pająków obejmują to Miejsce tak samo, jak słowo *der Führera* dociera do wszystkich jednostek w Chicago, co mogą poświadczyć Sid, Kaby i Marek. I jeszcze jedno, Bruce, o czym chyba nie powinienem ci przypominać. Pajaki stosują szeroki wachlarz kar, na których widok moi rodacy w Belsen i Buchenwaldzie\* ... hm, mogliby zblednąć. Póki więc istnieje cień nadziei, że zinterpretujemy twoją wypowiedź jako wyjątkowo niesmaczną błazenadę...

– Bajaj-bajaj! – Bruce pogardliwie machnął ręką, nie patrząc na niego. – Złożyłem wam propozycję, ludzie. – Na moment przerwał. – Cóż ty na to, Sidneyu Lessinghamie?

Nogi się pode mną ugięły, ponieważ Sid zwlekał z odpowiedzią. Stary wyga przełknął ślinę i zaczął wodzić po nas spojrzeniem. Wrażenie sztywniejącej rzeczywistości stało się nie do zniesienia, gdy zamiast obejrzeć się za siebie, tylko się wyprostował.

W tym momencie ozwał się Marek:

– Mówię to z żalem, Bruce, ale ciebie coś opętało. Erich, trzeba go pojmać.

Kaby pokiwała głową i dodała nieobecny tonem:

– Pojmać lub ubić tchórza, nie certolić się z nim. Dziewkę wychłostać i ruszać na wojnę w Egipcie.

– Słusznie prawisz – rzekł Marek. – Poległem tam, ale może to się odmieni.

– Podobasz mi się, Rzymianinie – powiedziała.

Bruce uśmiechał się cierpko. Jego wzrok spoczął na twarzy Ilhilihisa.

– A ty co powiesz?

Po raz pierwszy wydawało mi się, że puszka Illy'ego wydaje metaliczne zgrzyty.

---

\* Maricón (hiszp.) – pedał.

\* Und so weiter (niem.) – i tak dalej.

\* Belsen (Bergen-Belsen), Buchenwald – niemieckie obozy koncentracyjne.

– O wiele dalej niż wy zabrnąłem w obce czasy, ale papa i tak chciałby jeszcze pożyć, tra, la, la. Nie licz na mnie, Brusiku.

– Panno Davies?

– Masz mnie za wariatkę? – odpowiedziała oschle stojąca obok mnie Maud.

Dostrzegłszy z tyłu Lili, pomyślałam: Mój Boże, na jej miejscu też bym pękała z dumy, ale do diaska, nie byłabym taka pewna siebie!

Zanim Bruce wypatrzył Beau’ego, ten zabrał głos niepytany:

– Nie mam powodu cię lubić, mój panie, już raczej na odwrót. Wszelako zaczynam się w Miejscu śmiertelnie nudzić, bardziej niż w Bostonie, a zawsze pociągały mnie ryzykowne przedsięwzięcia. Nawet te obarczone wysokim ryzykiem. Jestem z tobą, mój panie.

Poczułam ucisk w piersi, huk w skroniach i zdało mi się, że słyszę mruknięcie SiedemCe:

– Do luzu z tymi draniami Pająkami! Ja z wami!

Doktorek dźwignął się przy barze. Zgubił cylinder, włosy miał zmierzwiłone. Chwycił za szyjkę pustą półlitrowkę, dół butelki roztrzaskał o szynkwias, a resztą pogroził i ryknął:

– *Ubiwajcie Paukow... i Niemcow!*

– Śmierć Pająkom i Niemcom! – pośpieszył z tłumaczeniem Beau.

Doktorek nie przewrócił się, aczkolwiek musiał mocno trzymać się baru. W Miejscu, w środku i na zewnątrz, zrobiło się ciszej niż kiedykolwiek, odkąd sięgam pamięcią. Bruce jął kierować wzrok na Sida. Nim go na nim zawiesił, usłyszałam wezwanie Beau’ego:

– Panno Forzane?

Śmieszne, pomyślałam. Oglądając się na hrabiankę, poczułam na sobie spojrzenia wszystkich obecnych. Ejże, to ja! To nie powinno mnie spotkać! Innych i owszem, ale nie mnie! Ja tu tylko pracuję. Jestem zwykłą Gretą... O, nie...

Tymczasem wciąż na mnie patrzono. Drażniła przedłużająca się cisza i uczucie zastygłej rzeczywistości. Wiedziałam, że muszę coś powiedzieć, cokolwiek, chociażby słowo na cztery litery. Aż nagle rozpoznałam ten rodzaj ciszy. Jakby w centrum wielkiego miasta w ciągu sekundy wytłumiono wszelki hałas. Albo jakby Erich śpiewał dalej bez wsparcia fortepianu. Jakby wiatr zmian ścichł na amen. Kiedy odwracałam się do nich plecami, domyślałam się już wszystkiego.

Duchy dziewczyn zniknęły. Większy serwisant nie tylko został przełączony na introwersję... ale też zniknął.

## 9

*„Zbadaliśmy mech między ceglami i przekonaliśmy się, że był nietknięty”.*

*„Przejrzelście oczywiście papiery ministra i książki w bibliotece?”.*

*„Tak jest, przeglądaliśmy wszystkie zwitki i pliki; otwieraliśmy wszystkie książki i odwracaliśmy kartkę po kartce w każdym tomie..”.*

Poe\*

### Zamknięty pokój

Trzy godziny później klapnęliśmy z Sidem na kanapę najbliższą kuchni, choć byliśmy jeszcze zbyt zmęczeni, żeby myśleć o jedzeniu. W rezultacie najstaranniejszych poszukiwań, w jakich kiedykolwiek uczestniczyłam, okazało się, że serwisanta nie ma w Miejscu.

Rzecz jasna, musiał gdzieś tu być, jak sobie wmawialiśmy podczas pierwszych dwóch godzin. Po prostu musiał, jeśli wierzyć w mechanizmy i prawa obowiązujące w Świecie Zmian. Większy serwisant ma utrzymywać Miejsce w dobrym stanie. Mniejszy zajmuje się tlenem, temperaturą, wilgotnością, grawitacją i ogólnie wszystkim, co jest związane z podtrzymaniem życia i obiegiem materii, ale to dzięki większemu sufit się nie zapada i ściany nas nie zgniatają. Taki mały, a tyle robi. Nie działa w oparciu o kable czy fale radiowe, po prostu wpina się w miejscową czasoprzestrzeń.

Ktoś mi powiedział, że jego trzewia zbudowane są z olbrzymich cząsteczek, bardzo trwałych i twardych, z których każda jest praktycznie kieszonkowym kosmosem. Z zewnątrz przypomina radio z dużą liczbą wskaźników, przełączników, gniazd słuchawkowych oraz mnóstwem czujników i przystawek.

Serwisant zniknął, jednak pustka nas jeszcze nie zgmiotła. Zresztą, byłam tak skonana, że miałam gdzieś to, co się stanie.

Jedno z dwojga: serwisant został przełączony na introwersję, zanim go buchnięto, albo też

---

\* *Ze Skradzionego listu* Edgara Poe (tłum. S. Wyrzykowski).



jego zniknięcie automatycznie skutkowało introwersją. Bo z całą pewnością przeszliśmy introwersję; przecież czułam w myślach okrutny i nieustępliwy napór rzeczywistości, którego, o czym dobrze wiedziałam, nie mogła złagodzić żadna ilość wina. I ani tchnienia wiatru zmian, że aż duszno było. Szarość pustki wdzierała się do głowy, dając mglisty pogląd na to, co mają na myśli naukowcy, kiedy tłumaczą, że Miejsce powstało ze splotu materii fizycznej i psychicznej. Było gigantyczną monadą<sup>\*</sup>, jak się wyraził jeden z nich.

Tak czy owak, myślałam sobie: Jeśli to faktycznie introwersją, mamy przekichane. Wiedzieć, że się dryfuje z dala od kosmosu, to koszmarna sprawa. Mniej samotna jest szalupa błakająca się po wodach Pacyfiku czy statek kosmiczny między galaktykami.

Nieraz się zastanawiałam, czemu Pajaki wyposażyły serwisantów w przełączniki introwersji, skoro nie przeszliśmy stosownego przeszkolenia, a używać ich mieliśmy tylko w razie absolutnej konieczności, gdyby alternatywą była kapitulacja przed Wężami. Po raz pierwszy znalazłam sensowne wytłumaczenie: introwersję można przyrównać do samozatopienia okrętu, po to by wróg nie przechwycił sprzętu i tajemnic wojskowych. Miejsce znajdowało się w takim położeniu, że nawet sztab dowódczy Pajaków nie mógłby go ocalić, nie pozostawało więc nic innego, jak zapadać się głębiej (wyżej? dalej?) w pustkę.

Jeśli tak było w istocie, prawdopodobieństwo, że się z tego wykaraskamy, było nie większe niż szansa, że znowu będę dzieckiem bawiącym się na wydmach w małym czasie.

Przysunęłam się do Sida, wcisnęłam mu się pod ramię i przyłożyłam policzek do gdzieniedzie poplamionego, obszytego złotogłowie szarego aksamitu.

Gdy spojrzał na mnie z góry, powiedziałam:

– Daleka droga stąd do Lynn Regis, Siddy, prawda?

– Ano prawaś, słodziutka – odparł.

Już ja wiem, czemu ten mój stary lis nadaje swoim słowom archaiczne brzmienie.

– Na *co* ci złota nić, Siddy? – zapytałam. – Bez niej miałbyś gładszy materiał.

– O święci, mąż z natury swojej kłuć winien. Zresztą, sam nie wiem, jakoś mi z tym kruszcem poręczniej.

– Dziewki będziesz drapał. – Pociągnęłam nosem. – Wszelako nie wrzucaj jeszcze kaftana do czyszczenia. Nim wyjdziemy z tego lasu, chcę się kierować zapachem.

– O święci, czemuż miałbym to uczynić? – zapytał prostodusznie. Chyba się nie zgrywał. Podróżnicy w czasie zwykle nie przejmują się tym, jak pachną. Wtem twarz mu się zasepiła i wyglądał tak, jakby to on chciał się wcisnąć pod moje ramię. – Jeno że, słodziutko, w twoim lesie więcej drzew niż w puszczy Sherwood.

– Ajuści – zgodziłam się.

Rozmyślałam nad jego zachowaniem. Właściwie, to nie powinien się interesować moimi wdziękami. Wiedziałałam, że wyglądam jak siedem nieszczęść, a jednak w trakcie poszukiwań nie odstępował mnie na krok... Zresztą, sama nie wiem. Przypomniałam sobie, że też uciekł

---

<sup>\*</sup> Monada – w filozofii samodzielny byt duchowy, będący odzwierciedleniem kosmosu.

od decyzji, kiedy Bruce pytał nas o zdanie, co chyba zraniło jego męską dumę. Inaczej w moim przypadku: cieszyłam się, że serwisant wybawił mnie z krępującej sytuacji, mimo iż przy okazji wpakował nas w nie lada tarapaty. Miałam wrażenie, że to się stało przed wiekami.

Wspólnie doszliśmy do wniosku, że duchy dziewczyn zwały z serwisantem. Nie wiadomo dokąd i po co, ale na to wyglądało. Maud powtarzała zrzędliwie, że nigdy nie ufała duchom i zawsze wiedziała, że któregoś dnia się znarowią. Kaby zaś wbiła sobie do łba i z uporem maniaka przekonywała, że Fryne, jako Greczynka, a więc urodzona buntowniczka, zamierza siać zamęt i zniszczenie.

Kiedy po raz pierwszy zajrzeliśmy do magazynu, zauważyłam, że koperty z duchami dziewczyn są podejrzanie płaskie. Skompresowana ektoplazma nie zajmuje dużo miejsca, lecz dla pewności sprawdziłam pierwszą, potem drugą... i wtedy zawołałam o pomoc. Wszystkie koperty, co do jednej, były puste. Straciliśmy prawie tysiąc duchów dziewczyn, całą rezerwę Sida.

Cóż, przynajmniej mieliśmy namacalny dowód na coś, czego nikt z nas nie widział i o czym nie słyszał od naocznych świadków: otóż istniała zagadkowa więź, jakiś związek oparty na wietrze zmian, pomiędzy duchem i jego linią życia. Kiedy pępowina (jak ktoś ją nazwał) urywa się, część oddzielona od linii życia umiera.

Ciekawe, jednak najbardziej martwiłam się tym, czy i my, demony, nie wyparujemy, ponieważ jesteśmy sobowtórami w tej samej mierze co duchy, a przecież most został spalony także za nami. Rzecz jasna, jesteśmy bardziej materialni, ale to by tylko przedłużyło agonię. Tak na chłopski rozum...

Pamiętam, jak popatrzyłam na Lili i Maud. Bo to my, dziewczęta, zwykłyśmy sprawdzać te koperty. O tego typu rzeczy stale się troszczymy. Gdyby zajmowali się tym faceci, sypałyby się głupkowate, doprowadzające mnie do szału dowcipy o „łatwym towarze”.

Tak czy owak, popatrzyłam na nie i powiedziałam:

- Miło było was poznać.
- Czas się zbierać – odparła Lili.
- Raz kozie śmierć – dodała Maud.

Podaliśmy sobie dłonie.

Podejrzewaliśmy, że hrabianka i Fryne ulotniły się razem z innymi duchami dziewczyn, lecz dręczyły mnie pewne podejrzenia.

– Sidy – zapytałam – czy to możliwe, choćby teoretycznie, że gdy wszyscy patrzyli na Brucea, nasze dwie duszyczki uruchomiły serwisanta, przywołały wrota i dały drapaką razem z tym ustrojstwem?

– Wielce mądre słowa, słodziutka... jeno wszystko zda się im przeczyć. *Imprimis*: wiadomo każdemu, że duchy nie knują forteli i nie wdają się w spiski. *Secundo*: czas nie sprzyjał wywołaniu wrót. *Tertio*, i tu mocny argument: Bez serwisanta Miejsce się zapada.

*Quatro*: głupstwem byłoby zakładać, że nikt (a ilu nas było? dziesięciu? jedenastu?) nie będzie się wkoło rozglądał, gdy one...

– Ja tylko raz się obejrzałam, Sidy. Najpierw piły, potem własnymi siłami podeszły do sofy sterowniczej. Kiedy to było?...A tak, Bruce akurat mówił o umrzykach.

– W rzeczy samej, słodziątko. Miałem swój koronny argument wytoczyć, nimeś trajkotać poczęła. Owóz gotów jestem przysiąc, że żadna nie mogła tknąć serwisanta, a zwłaszcza już obsługiwać go i skraść bez zwrócenia mej uwagi. A jednak...

– Zawszy „jednak” – zauważyłam.

Ktoś musiał przywołać wrota i wynieść urządzenie. Na pewno nie znajdowało się w Miejscu. Poszukiwania były czystym szaleństwem. Niełatwo ukryć przedmiot wielkości maszyny do pisania, a przekopaliśmy wszystko od fortepianu Beauego po recyklingową pętlę odświeżacza. Do tego prześwietliliśmy wszystkich rentgenoskopem, choć Illy, o czym nas uprzedził, wiercił się, jakby go mrówki oblażyły. Twierdził, że strasznie swędziało. Podjęłam się gładzić mu sierść przez pięć minut, choć odnosił się do mnie z niejaką rezerwą.

Niektórym zakątkom, takim jak bar, kuchnia czy magazyn, należało poświęcić więcej czasu, lecz byliśmy skrupulatni. Kaby pomagała Doktorce zbadać sekcję szpitalną; odkąd poprzednim razem zawitała do Miejsca, pełniła straż w szpitalu polowym (okazuje się, że Pająki naprawdę rozpoczynają w szpitalach operacje wojskowe) i poznała tam kilka miłych zakamarków.

Doktorek wziął się do pracy na całego, choć oczywiście na każdym kroku towarzyszyły mu przynajmniej trzy osoby, wyłączwszy Brucea i Lili. Kiedy zniknął serwisant, otrząsnął się z pijackiego zamroczenia, co by mnie zadziwiło, gdyby nie fakt, że kiedyś już to widziałam. Zaledwie jednak skończyliśmy ze szpitalem i przeszliśmy do galerii sztuki, jał się ślaniać na nogach. Zauważyłam, jak pochyła głowę, maskuje się płaszczem, wyciąga flaszkę i przykłada ją do ust. Wiedziałam, że za chwilę znowu go zetnie.

W galerii sztuki też nam trochę zeszło, ponieważ nagromadziła się w niej masa najdziwniejszych przedmiotów. Z krwawiącym sercem patrzyłam, jak Kaby łupie toporkiem prześliczną wenusjańską meduzę, niebieską rzeźbę z drewna, bo chociaż nie byłonajdrobniejszej skazy na jej wypolerowanej powierzchni, stwierdziła, że ma odpowiednią wielkość. Doktorce trochę pokrzyczał, a później poskładał szczątki i z sentymentem obejrzał inne eksponaty.

Kiedy już uporaliśmy się z całą resztą, Marek zasugerował, żebyśmy zabrali się za podłogi. Beau i Sid próbowali mu wytłumaczyć, że Miejsce otwiera się w jedną stronę i pod spodem nie ma absolutnie nic. Starczy wgryźć się na ćwierć cała, a tworzywo staje się twardsze od diamentowego poszycia; jest odpowiednikiem pustki w stanie stałym. Jednakże Marek był uparciuchem (jak wszyscy Rzymianie, o czym poinformował mnie ukradkiem Sid) i złamał cztery wiertła z naddiamentu, nim dał sobie spokój.

Pomijając nietypowe kryjówki, pozostawała już tylko pustka, aczkolwiek nic, co się w nią

wrzuca, całkiem nie znika. Raczej nadtapia się i zamarza na zawsze – lub dopóki ktoś tego nie wyłowi. Za odświeżaczem, mniej więcej na wysokości wzroku, znajdują się trzy wenusjańskie orzechy kokosowe, które tam cisnął hetycki atleta w czasie burzliwej awantury. Nie znoszę ich widoku, bo kojarzą się z głowami wiedźm i przyprowadzają mnie o gęsią skórę. Przestrzeń w skrajnych rejonach Miejsca charakteryzuje się osobliwymi właściwościami, które wykorzystuje aparatura w sekcji szpitalnej do wstrętnych celów... ale to temat na inną okazję.

Podczas poszukiwań, żeby namierzyć serwisanta, Kaby i Erich wykorzystywali przywoływacze w charakterze przyrządów nawigacyjnych, tak samo jak używali ich do lokalizowania wrót w kosmosie... lub czasem w wielkich miejscach, z tego co słyszałam. Przywoływacze jednak wariowały – niczym kompasy, których wskazówki bez końca kręcały się wkoło – i nikt nie wiedział, skąd się to bierze.

Nietypowe kryjówki, o których wcześniej wspomniałam, to mniejszy serwisant (niezła myśl, tyle że serwisanty nie różniły się wielkością, nadto mniejszy w swoim wnętrzu chował własne tajemnice i najwyraźniej wciąż wykonywał swoją pracę, więc chociażby z tych względów nie wchodził w rachubę) i skrzynia z bombą, chociaż wątpiłam, by udało się otworzyć ją nawet temu, kto zna sekret zamka, a przecież Erich wskoczył na nią, przez co znalazła się w podwójnym blasku jupiterów. Kiedy jednak upadają wszystkie opcje, słowo „niemożliwe” nabiera nowego znaczenia.

Skoro na co dzień paramy się podróжами w czasie, ktoś mógłby podpowiedzieć wszelkiego rodzaju sztuczki, mające na celu wyprawienie serwisanta w przeszłość lub przyszłość, czasowo lub na stałe. Wszelako Miejsce w całości przynależy do wielkiego czasu, a każdy zorientowany w temacie twierdzi, że podróżowanie w wielkim czasie jest wykluczone. A oto dlaczego: wielki czas to pociąg, mały czas to kraina za oknami. Siedzimy w pociągu, dopóki nie przejdziemy przez wrota, i – jak mogłaby rzec Gertie Stein\* – nie da się podróżować w czasie w czasie, w którym podróżuje się w czasie, kiedy podróżuje się w czasie.

Chodziła mi po głowie pewna myśl. Wyobrażałam sobie jakąś oczywistą, acz niebywałą skrytkę – może coś, co ludzie mogliby przekazywać sobie nawzajem. Oznaczałoby to spisek, a przecież gdyby założyć istnienie dostatecznie dużej konspiracji, można by wytłumaczyć dosłownie wszystko, nawet sens kosmosu. Tak czy owak, przypomniał mi się szwindel z trzema kubkami, tyle że zamiast nich główna rola przypadłaby prze pastnym, czarnym czakom naszych żołnierzy. I póty nie zaznałam spokoju, póki nie ustawiłam przy sobie wszystkich trzech i nie zajrzałam na raz do środka.

– Zbudźże się, Greto! Bierz, nie będę tak stał całą wieczność.

Maud przyniosła nam tacę ze smakowitymi przekąskami, łup z rozmaitych epok, i muszę

---

\* Gertrudę Stein (1874-1946) – amerykańska pisarka, propagatorka literatury i sztuki modernistycznej, autorka znanego zdania „Róża jest różą, jest różą, jest różą”.

przyznać, że trudno było się oprzeć. Dziewczyna potrafi złożyć fantastyczny zestaw.

Przyjrzałam się tacy.

– Mam ochotę na hot-doga, Sidy – powiedziałam.

– A ja na pasztet z dzika! Niechże cię licho, rozkapryszona primadonno, rozgrymaszona lalo, rozpuszczona i bezduszna marionetko!

Pochwyciłam garść przekąsek i przytuliłam się do niego.

– Wyzywaj mnie, Sidy, proszę, nawet jeszcze dosadniej.

# 10

*Myśl moja, dla której  
Morderstwo nadal jest tylko złudzeniem,  
Tak jednak wstrząsa całą mą istotą,  
Że dusza gubi się w domysłach  
I to dostrzega tylko, czego nie ma.*

Szekspir\*

## Motywy i sposobności

Moja wielka sierotka z King's Lynn położyła sobie tacę na kolanach i zaczęła pałaszować jedzenie. Pozostali już kończyli. Erich, Marek i Kaby po cichu toczyli zażarty spór na końcu baru, koło skrzyni obitej brązem. Byłam za daleko, żeby coś usłyszeć. Illy przyssał się do fortepianu iście jak ośmiornica, nasłuchując.

Beau i SiedemCe przechadzali się w tę i we w tę nad sofą sterowniczą, czasem coś do siebie mówili. Za nimi, na kanapie naprzeciwko nas, siedzieli Bruce i Lili, pogrążeni w poważnej rozmowie. Maud przycupnęła na drugim końcu baru, zajęta dzierganiem. To jedno z naszych zwyczajowych zajęć – takich jak szachy, sączenie wina, nauka posługiwania się skrzeczącą puszką – którymi skracamy sobie czas podczas długich chwil między hulankami. Doktor szwendał się po galerii, gdzie brał w ręce przedmioty i odkładał je z powrotem. Jakoś trzymał się na nogach.

Lili i Bruce wstali, nie zaprzestając ożywionej dyskusji, a Illy jednym ramieniem jął wygrywać dziwną melodię w górnej tonacji, niepodobną do czegokolwiek, co słyszano na ziemskim padole. Zastanawiałam się, skąd u nich tyle energii.

Zaraz jednak poznałam odpowiedź, mało tego, sama poczułam się naenergetyzowana. Właściwie nie była to energia, a nerwy – zwyczajne, pocziwe zdenerwowanie.

---

\* Z *Makbeta* Szekspira (tłum. M. Słomczyński).

Uświadomiłam sobie, że zmiany działają jak narkotyki. Człowiek przyzwyczaja się do ciągłych przemian wokół, do tego jak jedna wizja przeszłości i przyszłości przeobraża się w drugą, może nie diametralnie inną, ale jednak inną. Umysł wciąż zalewają nowe pomysły i nastroje – jak gdyby prosto na mózg padały kolorowe dyskotekowe światła, przerywane tajemniczym półmrokiem.

Niekończący się dygot i kołysanie przynosi ukojenie niczym jazda pociągiem. Możecie szybko polubić ten ruch, nieświadomie go potrzebować, lecz gdy nagle ustanie i jesteście tylko sobą, a rzeczy, z których wywodzą się wasze myśli i emocje, są dokładnie takie same, kiedy do nich wracacie... Rany, życie staje się ciężkie, o czym się właśnie przekonałam.

W momencie introwersji wszystko, co zwykle przesącza się do Miejsca – czy śpimy, czy czuwamy – przestało napływać. Byliśmy, kim byliśmy: jedynie tym, kim nas drudzy widzieli i jak postrzegaliśmy samych siebie. Nie opuszczało nas dojmujące uczucie wyobcowania.

Wyobrażałam sobie, że wpadłam do basenu z cementem zamiast wody i bezsilnie czekam, aż ten cement stwardnieje.

Jeśli kogoś nosiło, to ja to rozumiałam. Aż dziw, że nikt jeszcze nie uderzył w pustkę. Maud chyba trzymała się najlepiej; może przygotowały ją na to długie wachty między gwiazdami. Poza tym jest starsza od nas, nawet od Sida, choć w tym przypadku tylko ociupinę.

Poszukiwania serwisanta były na tyle absorbujące, że niczym innym się nie martwiliśmy, teraz jednak dochodziły do głosu stłumione uczucia. Niedawna przemowa Bruce'a i przerywniki Ericha też okazały się skuteczną zasłoną dymną. Próbując sobie przypomnieć, kiedy po raz pierwszy doznałam tego niemiłego uczucia, doszłam do przekonania, że było to po tym, jak Erich wskoczył na bombę i wspomniął o poezji. Ale pewności nie mam. Kto wie, czy serwisant nie został introwertowany wcześniej, kiedy obejrzałam się na duchy dziewczyn. I tak bym niczego nie zauważyła. Czysty obłąd!

Wierzcie mi, czułam ten twardniejący cement każdym kawałeczkiem ciała. Wspomniałam słowa Bruce'a, gdy roztaczał przed nami upojną wizję wszechświata bez wielkiej zmiany. Gorszego scenariusza chyba nie można sobie wyobrazić. Jadłam, ale nie byłam pewna, czy warto uzupełniać siły.

– Czy serwisant ma wskaźnik introwersji? Hej, Sidy!

– Święci pańscy! Sikoreczko, przez miłość do mnie, ciszej! Jakaś słabość mnie zmoęła niespodzianie, jakbym bekę reńskiego wina osuszył i w niej się ułożył do spania. I owszem, modraszku. Winien mrugać krótkimi błyskami, jako piszą w instrukcji. Czemu pytasz?

– Z ciekawości. Boże, Sidy, czego bym nie dała za jeden marny powiew wiatru zmian...

– Nie za wcześnie tak mówić? – warknął. Musiałam wzbudzać litość, bo objął mnie ramieniem i szepnął ochryple: – Nie trać ducha, słodziutka. Lubo cierpieć nam przyszło, śmiertelna zmiana nas nie dotknie.

– Że co?

Nie chciałam wałęsać się bez celu jak inni, mogłoby to się dla mnie źle skończyć. Wobec tego, żeby nie zbzikować, odgrzebałam podstawowe pytanie: kto i co zrobił z serwisantem?

W czasie poszukiwań roztrząsano rozmaite, czasem dość szalone hipotezy dotyczące zniknięcia serwisanta czy chociażby jego introwersji. Znak przewagi technologicznej Węży, ocierającej się wręcz o czary. Interwencja sztabu generalnego Pająków, pragnących przekształcić Miejsce w bunkier, prawdopodobnie w odpowiedzi na utratę Ekspresu, przeprowadzona w takim pośpiechu, że nie wysłali nawet ostrzeżenia. Ingerencja Dawnych Kosmitów – zagadkowych, hipotetycznych istot, które rzekomo z powodzeniem zapobiegły rozprzestrzenieniu się wojny zmian w daleką przyszłość, poza epokę, skąd pochodzi SiedemCe... jeżeli, oczywiście, tej wojny nie toczą właśnie Dawni Kosmici.

W każdym razie, pośród tych gdybań i domniemań, jakoś nikt nie szukał winowajcy w naszej paczce – czy delikwent miałby być szpiegiem Węży, czy funkcjonariuszem policji politycznej Pająków, czy (ciągnąc domysły Bruce'a) wysłannikiem tajnego komitetu na rzecz zmiany świata i bezpieczeństwa publicznego, czy też członkiem rewolucyjnego podziemia, czy wreszcie człowiekiem działającym na własny rachunek. Podobnie jak nikt od chwili zniknięcia serwisanta nie proponował, byśmy się podzielili na zwolenników i przeciwników Brucea.

Cóż, przykład zdroworozsądkowego myślenia: zapomnieć o różnicy zdań w obliczu niebezpieczeństwa... aczkolwiek ja miałam własny pogląd na sprawę.

Kto chciałby uciec tak bardzo, że byłby gotów dokonać sabotażu, zerwać wszelki kontakt z kosmosem i wziąć na siebie wielką odpowiedzialność (bo mogliśmy już nigdy nie skomunikować się z kosmosem)?

Pomijając wydarzenia po przybyciu Brucea mąciwody, najmocniejszy motyw miałby Doktorek. Wiedział, że Sid nie może kryć go w nieskończoność, a kary Pająków za niedopełnienie obowiązków są o wiele straszniejsze niż pluton egzekucyjny, o czym łaskawie przypomniał Erich. Jednakże Doktorek leżał półprzytomny przed barem od momentu, kiedy Bruce wskoczył na górę, choć nie miałam go stale na oku.

A Beau? Beau powiedział, że nudzi się w Miejscu. I powiedział to w chwili, kiedy nikomu nie były żarty w głowie. Nie zamykałby się tu na wieki, nie wspominając o tym, że razem z nim zostałyby Bruce smałący cholewki do dziewczyny, na którą sam miał chrapkę.

Sid – jak nikt inny, kogo znam – kocha świat wraz z jego przemianami, aż po najmniejszą jego część, szczególnie ludzi. Jest jak dziecko, które z wybałuszonymi oczami sięga po wszystko w zasięgu ręki i chce to *włożyć* do buzi. Niemożliwe, żeby ryzykował utratę łączności z kosmosem.

Maud, Kaby, Marek i dwaj nieziemcy. Nie miałam pojęcia, jakimi motywami mogliby się kierować, wszelako SiedemCe, pochodzący z niewyobrażalnie odległej przyszłości, wykazywał niezdrowe zainteresowanie Dawnymi Kosmitami, natomiast między Kretenką a Rzymianinem narodziło się coś, dzięki czemu mogliby się czuć dobrze we wspólnym



więzieniu.

Trzymaj się faktów, Greto, napomniałam się w duchu.

Pozostawał więc Erich, Bruce, Lili i ja.

Erich. No, to już był jakiś trop. Mały komendant ma nerwy kojota i odwagę rozjuszonego kocura. Gdyby wpadł na pomysł, że rozstrzygnie batalię z Bruce'em na swoją korzyść, jeśli będą razem w zamknięciu, nie namyślałby się długo. Nim jednak zatańczył na bombie, nękał Brucea z tłumu. Pomimo tego między jednym a drugim nękaniem miał dość czasu, żeby cofnąć się cichcem, introwertować serwisanta i... Ha, tu właśnie zaczynały się schody!

Gdybym to ja miała być złoczyńcą, za całe wytłumaczenie starczyłaby moja głupota.

Motywy Brucea wydawały się oczywiste, zwłaszcza zaś śmiertelne (czy raczej nieśmiertelne?) ryzyko, jakie wziął na siebie, stając na czele buntu. Doprawdy szkoda, że tak długo przemawiał na oczach wszystkich. Gdyby serwisant został introwertowany, zanim Bruce wskoczył na bar, zauważylibyśmy mruganie niebieskiej lampki. W każdym razie ja bym zauważyła, kiedy obejrzałam się na duchy dziewczyn. Jeżeli, ma się rozumieć, urządzenie działało tak, jak mówił Sid, a przecież swoją wiedzę czerpał nie z doświadczenia, tylko z podręcznika. Psiakość!

Bruce jednak nie musiał szukać dla siebie dogodnej sposobności, o czym na poczekaniu zapewniliby mnie, jestem pewna, wszyscy faceci obecni w Miejscu, ponieważ usłużna Lili miała aż nadto czasu, żeby go wyręczyć. Jeśli o mnie chodzi, to podchodziłam z rezerwą do teorii, że kobieta jest bezwolnym narzędziem w rękach mężczyzny, którego kocha do szaleństwa, muszę jednak przyznać, że w tym przypadku taka teoria mogłaby mieć rację bytu. I jakoś nie wysuwałam zastrzeżeń, kiedy w trakcie poszukiwań serwisanta, na zasadzie niepisanej umowy, postanowiliśmy ponownie sprawdzić zakątki, gdzie Lili i Bruce niczego nie znaleźli.

Tak więc po odhaczeniu nas wszystkich brałam pod uwagę już tylko tajemniczego nieznanego, który wtargnął przez wrota (jak tego dokonał, nie używając serwisanta?) lub wyskoczył z jakiejś chytrej kryjówki, lub też wylazł bezpośrednio z pustki. Wiem, że ta ostatnia opcja nie wchodzi w grę (nic nie może się wyłonić z niczego), lecz gdyby człowiek szukał w myślach czegoś stworzonego wyłącznie po to, by mogło się z tego wygramolić jakieś draństwo, znalazłby właśnie pustkę: mętną, zbałwanioną jak tuman mgły, błotniście szarą...

Zaraz, moment! – eksplodowałam w duchu. Tak trzymać, Greto! Że też od razu na to nie wpadłaś!

Cokolwiek wyszło z pustki... albo inaczej: ktokolwiek potajemnie przyskoczył do serwisanta, z pewnością widział go Bruce. Przez cały czas patrzył nad naszymi głowami, więc bezapelacyjnie zauważył sprawcę.

Erich nie zauważyłby go nawet po wskoczeniu na bombę, bo z teatralną manierą zwrócił się twarzą do Bruce'a jako jego adwersarz i trybun ludu.

Co innego Bruce, chyba że tak go pochłoneła przemowa...

O nie, moja miła, demon zawsze popisuje się aktorstwem, niezależnie od tego, czy wierzy w to, co mówi. A nie narodził się jeszcze taki aktor, który nie wypatrzyłby na widowni delikwentów opuszczających salę, gdy wygłasza swój wielki monolog.

A zatem Bruce o wszystkim wiedział, co było potwierdzeniem jego wybitnych zdolności aktorskich. Tym bardziej, że nikomu nie przyszło do głowy to samo co mnie; nikt do niego nie podeszedł, nikt go nie nagabywał.

Ja też nie podeszłam, to nie w moim stylu. Zresztą, nie poczuwałam się do obowiązku. Ogarnęła mnie też – niech mnie gęś kopnie! – jakaś piekielna niemoc.

A może, pomyślałam z nadzieją... może Miejsce jest piekłem? I zaraz dodałam: Dorośnij, Greto, bądź wreszcie niepokorną, nieposkromioną i niepobłażliwą dwudziestodziewięciolatką.

# 11

*Palba z hukiem narasta. Wtem, krzywo zgarbieni,  
Z karabinem, łopata, bitewnym rozmachem,  
Ludzie lawą się garną wprost w ogień klujący,  
Sznury twarzy zszarzałych, obleczonych strachem.  
Wojsko z szanców wypada, przechodzi przez wały,  
Srogi czas już przyspiesza wskazówki zegarków.*

Sassoon\*

## Rok 1917, front zachodni

- Proszę cię, Lili, nie.
- Muszę, kochana.
- Słodziutka, zbudź się! Zaliś drżąca?

Uchyliłam powieki i z uśmiechem okłamałam Siddyego. Z kurczowo splecionymi dłońmi patrzyłam, jak Bruce i Lili spierają się przy sofie sterowniczej. Marzyłam o wielkiej miłości, która by ulżyła mej niedoli, dała mi jaką taką namiastkę wiatru zmian.

Lili postawiła na swoim, sądząc po tym, jak odrzuciła w tył głowę, wysunęła się z ramion Brucea i obdarzyła go czułym, acz zwycięskim uśmiechem. Oddalił się na kilka kroków, przy czym, co mu się chwaliło, nie wzruszył ramionami pod naszym adresem jak stary mężulo. Choć znać było, że ledwo trzyma nerwy na wodzy i źle znosi introwersję – zresztą jak każdy z nas.

Lili położyła rękę na wezglowiu sofy sterowniczej i z zaciśniętymi ustami powiodła po nas wzrokiem. Z włosami opiętymi szarą, jedwabną apaszką, ubrana w krótką, szarą sukienkę bez talii, wyglądała nie tyle na wyemancypowaną pannicę (to też), ale przede wszystkim na młodziutkiego podlotka... czemu jednak przeczył głęboko wycięty dekolt.

---

\* Z wiersza „Attack” Siegfrieda Sassoon.

Jej spojrzenie zawahało się i spoczęło na mnie. Miałam paskudne przeczucie tego, co za chwilę nastąpi, bowiem kobiety zawsze wybierają mnie z widowni. Poza tym, tworzyłam z Sidem dwuosobową partię centrową na naszej raczkującej scenie politycznej.

Wzięła głęboki oddech i z hardo wysuniętym podbródkiem, z jeszcze wyraźniejszym brytyjskim akcentem od tego, jakim się zwykle posługuje, powiedziała:

– My, dziewczyny, wołałyśmy często: „Zamykajcie wrota!”, i oto wrota zamknięte jak ta lala!

Wiedziałam, że moje przypuszczenia się sprawdzą, i poczułam się dość niewyraźnie. Też kiedyś posmakowałam tej specyficznej miłości, kiedy wydaje się człowiekowi, że jest tą drugą osobą, kiedy próbuje żyć jej życiem, głosić jej przesłanie, a przy okazji, nawet nieświadomie, przywłaszczyć należne jej zaszczyty, co zwykle przynosi opłakane skutki. Pomimo tego, musiałam to przyznać, zaczęła udanie; w każdym razie nie można było odmówić jej słuszności:

– Mój luby wciąż wierzy, że zdołamy otworzyć wrota. Ja się z tym nie zgadzam. Uważa, że jeszcze nie czas główkować, jak wybrnąć z tych paskudnych tarapatów. I z tym się nie zgadzam.

Przy barze rozległ się rechot naszych kondotierów.

Erich wysunął się na czoło z uradowaną miną.

– A więc musimy już wysłuchiwać kobiecych mów, ha?! – zawołał. – Czymże jest nasze Miejsce? Prowadzonym przez Sida Lessinghama kółkiem gospodyń wiejskich?

Beau i SiedemCe, którzy przerwali spacer w połowie drogi między barem a sofą sterowniczą, odwrócili się do Ericha. SiedemCe, ze względu na swoją zwalistą sylwetkę, bardziej przypominał konia niż satyrów, przedstawianych na mitologicznych ilustracjach. Tupnął nogą, średnio mocno, powiedziałałabym, i rzekł:

– A, dajże se siana!

Podobno uczy się ludzkiego języka od demona, który był kiedyś dokerem i wielkim zwolennikiem ruchów robotniczo-anarchistycznych.

Erich ucichł i uśmiechnął się od ucha do ucha z rękami na biodrach.

Lili podziękowała satyrowi skinieniem głowy i chrząknęła, najwyraźniej speszona. Na razie nic jednak nie mówiła. Widać było, że nie dają jej spokoju wzburzone myśli i uczucia. Na jej twarzy wybijał się brzydki wyraz udreki, jakby napastował ją wiatr zmian, który jeszcze do mnie nie dotarł. Usta się wykrzywiały, gdy walczyła ze łzami, które i tak potoczyły się z oczu. Wreszcie zabrała głos, tym razem brzmiały o oktawę niżej, przy czym do londyńskiego akcentu wmieszał się nowojorski.

– Nie wiem, jak się czuliście po zmartwychwstaniu, bo jestem tu od niedawna i nie znoszę zadawać pytań, ale dla mnie to była katorga. Żałuję, że zabrakło mi odwagi, by powiedzieć Suzaku: Jeśli nie masz nic przeciwko, to chcę zostać umrzykiem, wolę już koszmary. Ale zgodziłam się na wskrzeszenie, bo siedzi we mnie demon, którego nie

rozumiem, kochający życie. Nadto odkryłam, że nadal czuję się umrzykiem, a na dokładkę mogę fruwać tu i tam. Koszmarów też nie ubyło, a nawet stały się o wiele wyraźniejsze... Znowu byłam młoda, siedemnaście lat; kto by nie chciał mieć siedemnastu. Byłam kobietą, która zmarła na chorobę Brighta w 1929 roku w Nowym Jorku, a jednocześnie, ponieważ wielka zmiana przestawiła moją linię życia na nowe tory, kobietą, która zmarła na tę samą chorobę w 1955 roku w okupowanym przez nazistów Londynie. Umieranie trwało dłużej, jak się domyślicie, bo brakowało trunków, żeby to przyspieszyć. Musiałam żyć z dwiema wersjami wspomnień, a Świat Zmian nie wymazał ich w większym stopniu, niż to się dzieje w przypadku każdego demona, ba, nie zepchnął ich nawet w cień, na co miałam nadzieję... Kiedy ktoś z naszego bractwa mówi: „Cześć, ślicznotko, gdzie twój uśmiech?”, albo: „Kława kiecka, mała”, cofam się do Bellevue<sup>\*</sup>, gdzie patrzę na swoje napuchnięte ciało i mrużę oczy przed lodowymi igłami światła, bądź do okropnej, śmierdzącej dżinem sypialni w Stepney<sup>\*</sup>, gdzie obok mnie Phyllis kona w atakach kaszlu, a gdy dopisze mi szczęście, przez krótką chwilę znowu jestem dziewczynką w Glamorgan<sup>\*</sup>, patrzącą na stary rzymski trakt i myślącą o cudach, które czekają ją w życiu.

Spojrzałam na Ericha, przypomniawszy sobie, że i jego czeka w kosmosie długa, paskudna przyszłość. Nie uśmiechał się; być może (choć nie liczyłabym na to) trochę spokorniał, gdy się dowiedział, że jest wśród nas jeszcze ktoś obarczony rozdwojoną przyszłością.

– Bo widzicie – kontynuowała Lili – w każdym życiu z tych trzech byłam dziewczyną zakochaną we wspaniałym młodym poecie, z którym się nigdy nie spotkałam, w piewcy nowej młodości i wszystkim młodości. Dziewczyna po raz pierwszy posłużyła się kłamstwem właśnie po to, żeby dostać się do Czerwonego Krzyża, a następnie do Francji, bliżej niego. Wyobrażała sobie największe niebezpieczeństwa, czarną magię, rycerza w pełnej zbroi, a potem śniła, że będzie ranny, lecz nie za ciężko, z bandażem na głowie, a ona go odnajdzie, poda mu papierosa, uśmiechnie się łagodnie... Oczywiście, nie zdradzi swoich uczuć, ale będzie chciała pokazać się z jak najlepszej strony, zarazem śledzić przemiany w jego sercu... W Passchendaele posiekały go szkopskie karabiny maszynowe i nie było takich bandaży, którymi można go było połatać. Dziewczyna psychicznie zatrzymała się na siedemnastu latach, włóczyła się bez celu, próbowała odpłacać złem światu, choć kiepsko jej to wychodziło, a także topić smutki w kieliszku, do czego miała większy talent. I choć zapieć się na śmierć nie jest wcale tak łatwo, nawet z chorymi nerkami, udała jej się ta sztuka... I nagle pianie koguta. Podrywa się przerażona z szarego snu o śmierci, który wypełnia treścią jej linię życia. Jest zimno, wschodzi słońce. Zapach francuskiej zagrody. Dotyka łydek: nie są już ciężkimi gumowcami z wodą, ani śladu opuchlizny. Druga młodość nóg... W izbie jest małe

---

\* Bellevue Hospital Center – założony w 1796 r. nowojorski szpital, najstarsza tego typu placówka publiczna w Stanach Zjednoczonych.

\* Stepney – położona blisko centrum dzielnica Londynu.

\* Glamorgan – jedno z trzynastu historycznych hrabstw w Walii, obecnie podzielone na trzy części.

okienko. Po chwili widać wierzchołki rosnących rzędem drzew, chyba topól. Wokół mającą posłania, podobne do jej własnego, i twarze przykryte kocami, i duże cienie wiszących mundurów. Opodał kobieta chrapie. Z dali dobiega głuchy grzmot, od którego drży szyba. Wtedy przypomina sobie, że wszystkie są dziewczynami z Czerwonego Krzyża daleko, bardzo daleko od Passchendaele... i że Bruce Marchant ma zginąć tego ranka... Za kilka minut wyskoczy z okopu, znajdzie się w celowniku krótko obciętego żołnierza z karabinem maszynowym i żołnierz ten lekko przesunie lufę. Ona jednak nie umrze tego dnia. Umrze w roku 1929 i 1955... Kiedy zatracą się w rozpacz, rozlega się stukot i z cienia drobnym kroczkiem wynurza się Japoniec z kobiecą fryzurą, bieluteńką twarzą i czarniutkimi brwiami. Nadchodzi w różowej szacie, przepasany czarną szarfą, za którą zatknął dwa samurajskie miecze. W prawej dłoni dzierży dziwny, srebrzysty pistolet. Uśmiecha się do niej, jakby był równocześnie jej bratem i kochankiem. Pyta: „*Voulez-vous vivre, mademoiselle?*”. Ona patrzy na niego, a on pyta ponownie: „Panienska życzy sobie jeszcze pożyć?”

Sid bez słowa ujął moje drżące dłonie. Historia czyjś zmartwychwstania zawsze mnie wzrusza. Choć moje odbyło się w jeszcze bardziej zwariowanych okolicznościach, też maczały w nim palce szkopy. Na szczęście Lili nie streszczała reszty ceremoniału.

– Nie minęło pięć minut, a czekał pod schodami stromymi jak drabina, gdy ona się ubierała w pośpiechu. Jej ubranie stawia pewien opór, jakby ktoś je lekko przykleił do wieszaka i brudnej ściany. Ze wstrętem go dotyka. Robi się jaśniej, a jej posłanie, choć puste, wygląda tak, jakby ktoś w nim ciągle spał. Nie dotknęłaby tego posłania za żadne skarby świata. Schodzi na dół, przy czym długa sukienka wcale jej nie przeszkadza, bo wie, jak się w niej poruszać. Suzaku przeprowadza ją obok wartownika, który ich nie widzi, i pucułowatego rolnika w koszulinie, który przez całą noc charczał i kaszłał. Przecinają podwórze zalane blaskiem jutrenki. Dziewczyna widzi wschodzące słońce i wie, że Bruce Marchant wykrwawia się na śmierć... Na kogoś czeka pusty, warkoczący samochód turystyczny ze złożoną budą. Auto ma duże, ubłocone koła z drewnianymi szprychami i mosiężną chłodnicę z napisem „Simplex”. Suzaku prowadzi ją wszakże dalej, pod gnojowisko, gdzie pochyła głowę w geście przeprosin. Tam przechodzą przez wrota.

Usłyszałam, jak Erich mówi do stojących przy barze:

– Wzruszające! To co, może teraz ja opowiem wam przygodę?

Tylko tu i ówdzie odpowiedział mu śmiech.

– W taki oto sposób Lilian Foster znalazła się w Świecie Zmian, krainie wyrytych w stali koszmarów, zabójczego tempa i jeszcze bardziej zabójczych napadów zwątpienia. Czuli się w większej mierze żywa niż kiedykolwiek do tej pory, ale był to żywot nieboszczyka, którego bez końca poddaje się wstrząsom elektrycznym. Nie potrafiła skrzesać w sobie nadziei ani poczucia sensu istnienia, a Bruce Marchant wydawał się jeszcze bardziej niedostępny... Aż nagle, gdy niespełna sześć godzin temu przez wrota przeszedł żołnierz w czarnym mundurze, pomyślała: „Nie może być! Jakbym widziała jego fotografię”. Zaraz chyba ktoś powiedział:

„Bruce”, a potem on krzyknął, jakby cały świat chciał powiadomić, że jest Bruce'em Marchandem. Dziewczyna zrozumiała, że obok zmartwychwstania istnieje drugie zmartwychwstanie, prawdziwsze... Och, Bruce...

Popatrzyła na niego, a on się uśmiechał przez łzy. Na jej obliczu znów malowało się piękno młodości.

Zupełnie jak powiew wiatru zmian, pomyślałam, chociaż to niemożliwe. Prawda jest taka (tylko się nie rozklejaj, Greto), że są siły, które potrafią zdziałać większe cuda niż zmiana.

Ona zaś ciągnęła:

– Aż nagle ucichł wiatr zmian. Węże dmuchnęły serwisanta albo duchy dziewczyn go introwertowały, nim na skutek tego wszystkie trzy zniknęły tak szybko i bezgłośnie, że nawet Bruce niczego nie zauważył. Jedno z dwojga, lepszego wytłumaczenia nie widzę. Tak czy inaczej, wiatr zmian ucichł, lecz łatwiej mi zmierzyć się z przeszłością i wieloraką przyszłością, ponieważ mam przy sobie kogoś, kto mi w tym pomoże. Nareszcie nie wiem, co przyniesie przyszłość, co przede mną ukrywa, jak się w niej odnajdę. Od dziś wszyscy mamy przyszłość, zrozumcie, to nasza wielka szansa.

– Hip-hip dla sufrażystek\* Sidneya i WCTU\*! – zawołał Erich. – Hej, Beau! Zmiksujesz nam „Hearts and Flowers”\* i „Onward, Christian Soldiers”\*? Poruszyłaś mnie do głębi, Lili. Gdzie można kupić bilety na „Największy romans stulecia”?

---

\* Sufrażystki – bojowniczkami o prawa kobiet na przełomie XIX i XX w.

\* WCTU (ang.) – Womans Christian Temperance Union, Chrześcijański Ruch Kobiet na rzecz Abstynencji.

\* „Hearts and Flowers” – („Serca i kwiaty”) sentymentalny utwór z 1899 r., skomponowany przez Theodora Tobaniego.

\* „Onward, Christian Soldiers” – („Naprzód, żołnierze Chrystusa”) angielska pieśń, skomponowana w XIX w.

# 12

*Dzień dzisiejszy znieść łatwo. Uginam się jednak pod brzemieniem błędów przeszłości i obaw związanych z przyszłością.*

*Musiałem się nauczyć zamykania drzwi, tych prowadzących do jutra i tych do przeszłości, żeby skupić się na tym, co mnie teraz otacza.*

Anonim

## Wielka szansa

Nikt nie wyśmiał szyderczych, pomylnych uwag Ericha. Częściowo jednak – niech kaci mu urwą siwy łeb! – miał rację. Lili zapłonęła wielką miłością i chciała ją wszystkim serwować na tacy, zapominając, że tej potrawy nie odgrzewa się i nie dzieli się na porcje.

Jeśli chodzi o serwisanta, to mogła być bliska prawdy, zwłaszcza gdy mówiła o sabotażu dokonanym przez duchy dziewczyn – który by jasno dowodził, że nie można przećwiczyć introwersji, że mrugające lampki alarmowe to mydlenie oczu i że zniknięcie czegoś w mgnieniu oka, bez zapowiedzi, może się odbyć niezauważenie. Prawdopodobnie poddała słuchaczom dobry temat do przemyśleń, bo nikt się nie dołożył do wściekłego ujadania Ericha.

Ale tak z ręką na sercu, to nie wiedziałam, gdzie w tym szarym, pustym worze czeka na nas wspomniana wielka szansa. Gubiłam się w domysłach, aż ogarnęło mnie dziwne uczucie i powiedziałam do siebie: Nie gorączkuj się, Greto, chodzi o nadzieję.

– Najstraszniejszą rzeczą dla demona są nieograniczone możliwości podróżowania w czasie – mówiła z uśmiechem Lili. – Nie da się pozamykać drzwi do przeszłości i przyszłości, żeby żyć dniem dzisiejszym. Aż tu raptem taki prezent: wrota są zamknięte i nie musimy już nigdy przerabiać historii. Nie odnajdą nas Węże ani Pajaki, bo czy ktoś słyszał o zagubionym Miejscu, które uratowano? Ci, co się znają na rzeczy, twierdzą, że dla człowieka z zewnątrz introwersja jest niczym zagłada. A więc Węże i Pajaki przestały nam zagrażać; dosyć



zniewolenia, dosyć wrogości! Posiadamy miejsce, w którym będziemy się cieszyć nowym życiem, miejsce przygotowane dla nas dawno, dawno temu... Pojmujecie chyba, co przez to rozumiem? – ciągnęła po krótkiej chwili milczenia. – Sidney, Beauregard i Doktor Pieszkow przystępnie mi to wyjaśnili. Miejsce jest wyregulowanym akwariem, podobnie jak kosmos. Nie wiadomo, od jak dawna funkcjonuje w wielkim czasie bez uzupełniania zapasów (nie licząc ludzi i artykułów luksusowych) i bez wydalania odpadów. Nie wiadomo, jak długo jeszcze nie będzie mogło rodzić się tutaj nowe życie, ale nie słyszałam, żeby gdzieś zużył się mniejszy serwisant. Mamy przed sobą przyszłość, mamy bezpieczne życie, czego więcej nam trzeba? Mamy miejsce, w którym możemy razem mieszkać.

Rzeczywiście, święte słowa. W tym momencie uzmysłowiłam sobie, że przez cały czas głęboko w mojej podświadomości tliło się przekonanie, że jeśli nie zdołamy szybko otworzyć wrót, wszyscy się podusimy. Kto jak kto, ale ja nie powinnam się tym przejmować, bo czyż kiedyś przez bite sto snów nie siedziałam w miejscu pozbawionym wrót, gdyśmy je przerobili na schron wojskowy? Dostawaliśmy żywność z recyklingu, lecz jakoś nikt nie wybrzydzał.

A ponieważ lubię rozwijać skrzydła wyobraźni, zaraz zaczęłam przewidywać, jak będzie wyglądać nasze wspólne życie, które tak wychwalała Lili.

Zacząłam dobierać ludzi w pary, nic na to nie mogłam poradzić. Proszę bardzo: cztery kobiety, sześciu mężczyzn, dwóch nieziemców.

Greto, powiedziałam do siebie, zostaniesz panią Polly Andry\*, zobaczysz. Będziemy wydawać codzienną gazetkę, organizować kursy tańców ludowych, otwierać bar dopiero wieczorem, a Bruce zacznie tworzyć rymowaną historię Miejsca. Myślałam nawet, zdając sobie sprawę z niestosowności takiego myślenia, o szkole i dzieciach. Zastanawiałam się, jak wyglądałyby pociechy Sidy’ego albo mojego małego komendanta. „Nie podchodźcie do pustki, maluchy!”. Oczywiście, nieziemcy będą mieć o wiele cięższe życie, ale przynajmniej SiedemCe nie różnił się od nas tak bardzo. Nie dość na tym: koledzy genetycy wprowadzili u niego pewne cudowne usprawnienia, o których Maud musiała wiedzieć coś więcej. I wreszcie Doktorek po wytrzeźwieniu wyszpera w sekcji szpitalnej parę odjazdowych gadżetów. Eh, ten tupot małych kopytek...

– Mój luby mówił, że chce przesłać reszcie kosmosu orędzie pokoju – powiedziała Lili – zakończyć wielką zmianę i zaleczyć wszystkie rany w małym czasie.

Popatrzyłam na Bruce’a. Słuchał tego z twarzą ściągniętą i zasepioną; tak właśnie reaguje najszlachetniejszy mężczyzna, kiedy dziewczyna zaczyna wchodzić w jego kompetencje. Lili go katowała, przybijała do krzyża jego idei, jak często czynią kobiety z zupełnie bezsensownych powodów.

I ciągnęła:

– Szczytny to zamysł, jednakże nie możemy już przesłać żadnego orędzia, wydać żadnej

---

\* Polly Andry – zamierzona zbieżność brzmieniowa ze słowem „poliandria” (małżeństwo kobiety z kilkoma mężczyznami).

proklamacji, a nawet gdyby, to jest na to za późno. Orędzie pokoju niczego nie załatwi. Te wszystkie zmiany nadwierały kosmos, aż go doszczętnie rozmontowały. Rozpadnie się na kawałki, tak że kamień na kamieniu nie zostanie. Jesteśmy jak rozbitkowie, którym dano napić się wody życia. Niewykluczone, że z całego wszechświata uratowaliśmy się tylko my. Bo czy nie przyszło wam na myśl, że wiatr zmian ucichł u samych swoich źródeł? Może nigdy już nie odnajdziemy innego kosmosu i będziemy dryfować w pustce. Po raz pierwszy znaleźliśmy się w takiej sytuacji, więc nie mamy pojęcia, co nas czeka. Jesteśmy ziarnem, z którego wyrośnie nowa przyszłość. Kto wie, czy wszystkie wszechświaty skazane na zagładę nie sadzą ziaren jak to Miejsce. To jest ziarno, to jest embrion, pozwólmy mu rosnąć. – Zerknęła na Brucea, potem na Sida i zacytowała: – Ruszajmy, przyjaciele, jeszcze nie jest za późno, by szukać świata ze snów\*.

Uścisnęłam dłoń Sida i coś mu powiedziałam, ale nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Z otwartymi ustami i zachwytem w oczach słuchał fragmentu wiersza Tennysona, jakby w wyobraźni dokładał do niego nowe wersy. Och, Sidy!

Wtem zauważyłam, że w ten sam sposób patrzą na nią inni. Ihilihis widział pierzaste lasy, o niebo piękniejsze od tych, jakie sadzili dawno zmarli Lunanie. Maud ap-Ares Davies, dziecko szklarni, szybowiała statkiem kosmicznym do innej galaktyki lub zastanawiała się, jakie mogłaby wieść życie, jakie dzieci mieć, gdyby osiedliła się na którejś planecie, z dala od Świata Zmian. Nawet Erich stał z taką miną, jakby w marzeniach dokonywał błyskawicznej napaści na nowe wszechświaty, zajmowane następnie przez wojska okupacyjne Marka, a wszystko dla ośmionożnego *Führera-imperatora*. Beau udawał się w rejs przeogromnym bocznokołowcem po szeroko rozlanej Missisipi.

Nawet ja... Nie, nie, bynajmniej nie śniłam o Wielkim Chicago. Nie ma co się emocjonować, rzekłam do siebie. Spojrzałam wszakże na pustkę i przeszedł mnie dreszcz, bo wyobraziłam sobie, że się oddała, zostawia przestrzeń dla Miejsca.

– Mówiłam poważnie o tym ziarnie – wolno podjęła wątek Lili. – Wszyscy wiemy, że w Świecie Zmian nie ma dzieci i być ich nie może, że tutaj natychmiast stajemy się niepłodni, że zdjęta jest z nas, kobiet, tak zwana klątwa i nie jesteśmy już niewolnicami księżycy.

O tak, miała całkowitą rację. Można by podać milion przykładów na potwierdzenie jej słów.

– Ale nie jesteśmy już w Świecie Zmian – dodała spokojnie. – Wszelkie ograniczenia, łącznie z tym wspomnianym, nie powinny nas już dotyczyć. Jestem o tym głęboko przeświadczona, tym niemniej... – Potoczyła wzrokiem wokoło. – Spośród czterech obecnych tu kobiet jedna mogłaby chyba przedstawić niezbity dowód.

Jak wszyscy, tak i ja rozejrzałam się szybko. W istocie rzeczy, każdy okazywał ciekawość oprócz Maud. Na jej twarzy pojawił się wyraz krańcowego zaskoczenia. W końcu ostrożnie

---

\* Słowa Ulissesa (Odyseusza) po powrocie do ojczyzny. Z poematu „Ulisses” lorda Alfreda Tennysona (tłum. Ewa Skwara).

zsunęła się ze stołka przy barze, trzymając w ręku dziergany materiał. Spojrzała na niedokończony różowy biustonosz, przebity długimi, srebrzystymi drutami. Wytrzeszczyła oczy jeszcze bardziej, jakby się spodziewała, że lada moment przeobrazą się to w sweterek dla dzidziusia. Przeszła na drugi koniec Miejsca i stanęła przy Lili. Idąc, przywołała na usta nieśmiały uśmiech. Wyprostowała się, poza tym nie uczyniła żadnego gestu.

Ukłuła mnie zazdrość. Wszelako, biorąc pod uwagę jej wiek, dokonał się cud naprawdę niebywały, toteż moja zawiść była nie na miejscu. Szczerze mówiąc, byłam również trochę wystraszona. Nawet gdy miałam Davea u boku, bałam się tych wszystkich czynności, związanych z opieką nad dzieckiem.

Wstałam wraz z Siddym – czułam wewnętrzny przymus, chyba tak samo jak on – i trzymając go za rękę, podeszłam do sofy sterowniczej. Oczywiście, Beau i SiedemCe stanęli tam obok Brucea. Zaraz też, wielkie nieba, od baru oderwali się nasi zapaleni wojownicy, Kaby i Marek. Nie dostrzegłam w ich oczach ani śladu wiecznej chwały Rzymu czy Krety, za to mieli na twarzy wypisane coś o sobie nawzajem. Po chwili wolnym ruchem Illy odsunął się od fortepianu i poszedł w ich ślady, wlokąc po ziemi swe ramiona.

Nie łudziłam się, że pojawią się kiedyś w naszej kompanii małe illątka, chyba że w niektórych dowcipach o Lunanach tkwiło ziarnko prawdy. Cóż, Illy mógł okazywać szczerą brak zainteresowania... albo też nieszczerą. Całkiem możliwe, że postanowił opowiedzieć się po stronie dysponującej najcięższymi dywizjami.

Z tyłu doleciało szuranie butów. Z galerii wynurzył się Doktor, przyciskając do piersi abstrakcyjną rzeźbę wielkości noworodka. Był to zlepek szarych, połyskliwych kulek, idealnie okrągłych, dużych jak piłeczka golfowa, zespolonych na kształt ludzkiego mózgu, aczkolwiek tu i ówdzie widniały otwory. Rozprostował ramiona, jakby nam przedstawiał przesłaniczne dzieciątko. Zarazem poruszał wargami i językiem; pragnął nam coś oznajmić, lecz nie padło z jego ust ani jedno zrozumiałe słowo.

Aleksiej Maksimowicz\* zalał się w pestkę i w głowie dziur mu nie brakowało, ale miał wrażliwe rosyjskie serduszko, więc odzywały się w nim ludzkie odruchy.

Tłoczyliśmy się nad sofą sterowniczą niby drużyna piłkarska wokół swego trenera. Wymyśliłam sobie nazwę: Peace Packers\*. SiedemCe byłby blokującym biegaczem lub środkowym, Illy zaś lewym końcowym (ten to by szalał na skrzydle!). Mieliśmy nawet komplet graczy. Erich stał sam przy barze, i on jednak – nie do wiary! – zbliżył się do nas. Zauważyłam, że jego twarz wykrzywiają najstraszniejsze grymasy. Zreflektował się, siląc się na uśmiech, lecz skutek był żalospny. Oto mój mały komendant, pomyślałam. Nie czuje ducha zespołu.

– A zatem Lili i Bruce, ba, również *Grofimutterchen*\* Maud, uwiją tu swoje gniazdko –

---

\* Aleksiej Maksimowicz Pieszkow – właściwe nazwisko pisarza rosyjskiego Maksyma Gorkiego.

\* Peace Packers (ang.) – z połączenia „peace” (pokój), i „packers” (jak w drużynie futbolu amerykańskiego Green Bay Packers).

\* Grofimutterchen (niem.) – babunia.

powiedział i, doprawdy, nie musiałby dużo bardziej natężyć strun głosowych, żeby zaskrzeczeć. – W takim razie, kim będą pozostali? Kukułkami? – Skrzywił głowę i załopotał rękami, piszcząc: – Ku-ku! Ku-ku!

Podejrzewałam, chłopcze, żeś stuknięty, teraz mam pewność.

– *Teufelsdreck!* Tak, czarcie łajno! Wszyscyście zarażeni tymi snami o dzieciach! Nie rozumiecie, że Świat Zmian jest właściwym i naturalnym końcem ewolucji, okresem szczęścia i próby, ostatecznym rozczłonkowaniem świata, które kobiety zwą zagładą (Pomocy, gwałcą! Dzieci ratujcie, dzieci!), a które mężczyźni nazywają spełnieniem. Dali wam porządne role w *Götterdämmerung*<sup>\*</sup>, a wy nachodzicie autora i klepicie go po ramieniu: Przepraszamy, panie Wagner, ale „Zmierzch bogów” jakiś taki ponury. Nie lepiej pisać opery o kochanych maleństwach, kruszynkach z niebieskimi oczkami i słodkimi kędziorkami? Fabuła? O jeju, chłopak spotyka dziewczynę, mieszkają razem i chcą mieć dzidziusia. Coś w tym guście... Czarcie łajno, po stokroć gówniane! Pomyślcie, jak to będzie bez wrót, bez możliwości wyjścia po wolność i przygodę, bez ćwiczenia odwagi i zaradności! Chcecie, żeby wam wyrosły siwe brody, gdy będziecie zataczać się w kółko po tej asteroidzie wywróconej na lewą stronę? Snuć się tu po wiek wieków i dumać o maleńkich, słodkich kosmosikach? Nawiasem mówiąc, z uzbrojoną bombą pod nosem. Grota, łono, domek w gniazdku; oto wasze marzenie? I to ma rosnąć? No tak, niczym miasto, które wypiera dziką puszcę. *Kinder, Kirche, Küche*<sup>\*</sup> do potęgi ntej! Po moim trupie! Kobiety! Jak ja nienawidzę tych roziskrzonych oczu, kiedy patrzą na mnie spod kominka, zgarbione, kiwające się, zadowolone ze starości, gderające: Z każdym dniem słabszy, już nie ten co kiedyś, wnet trzeba będzie kłaść go do łóżka i robić koło niego. A ta twoja zafajdana potrójna bogini, Kaby: rodzicielka, uwodzicielka i grabarka mężczyzny. Kobieta: mistrzyni osłabiania, pętania i okulawiania! Kobieta i te milusienkie nowotworki, na których jej tak zależy! – Zerwał się do przodu i wskazał palcem Lili. – Nie znam takiej, która by nie chciała zgnać mężczyzny przy pierwszej sposobności. Zgnębić, zdławić, podciąć skrzydła i zmielić, żeby z tej mielonki ulepić innego mężczyznę, udomowionego, bezwolnego jak kukła. Ukryłaś serwisanta, kwoko, żeby mieć swoje gniazdko i swojego Brusika!

Zamilkł, zdyszany. Myślałam, że ktoś go zaraz strzeli w pysk, czego chyba sam się spodziewał. Odwróciłam się do Brucea, który wydawał się – sama nie wiem – skruszony, przybity, zaniepokojony, zły, poruszony, zainspirowany, wszystko na raz, aż chciałoby się, żeby ludzie czasami miewali zwykłe, czytelne emocje – niczym bohaterowie opowiadań z czasopism.

Wówczas Erich popełnił błąd, jeśli nazwać to błędem: odwrócił się do Brucea i ruszył ku niemu chwiejnym krokiem, młócąc powietrze rękami, jakby chciał mu paść w objęcia.

– Nie daj się omotać, Bruce! – ostrzegł. – Nie daj sobą pomiatać. Nie rób się potulny w

---

\* *Götterdämmerung* – upadek świata, bogów i ich siedzib na końcu czasu. Też opera Richarda Wagnera z 1876 r.

\* *Kinder, Kirche, Küche* (niem.) – dzieci, kościół, kuchnia.

słowach i w czynach. Jesteś żołnierzem. Kiedy mówiłeś o orędziu pokoju, wspomniałeś o garbowaniu skóry. Niezależnie od tego, co myślisz i czujesz, niezależnie od tego, ile kłamiesz i co ukrywasz, w gruncie rzeczy nie jesteś po ich stronie.

Miarka się przebrała.

\* \* \*

Cios nie padł od razu i chyba nie towarzyszył temu taki wybuch, jakiego bym sobie życzyła, tym niemniej Bruce nie pokpił sprawy nieudanym markowaniem lub łagodzeniem impetu. Postąpił krok do przodu, wykręcił się w tułowiu i wymierzył pięścią piękny, czysty sierpowy. Wypowiedział tylko jedno słowo: – Loki\*! – i niech mnie kaci, jeśli nie przeniosłam się wspomnieniami na wydmy w Indianie, gdzie mama opowiadała przy ognisku historii z Eddy starszej\* o złośliwym, hardym, niszczycielskim nordyckim bogu i o tym, jak inni bogowie przybyli do jego nadrzecznej kryjówki, gdy ten kończył wiązać tajemniczą sieć – na tyle wielką, że – jak sobie wyobrażałam – byłby nią zagarnął cały świat, gdyby spóźniono się bodaj o minutę.

Erich leżał na ziemi z uniesioną głową. Rozcierając szczękę, mierzył Bruce'a nienawistnym spojrzeniem. Marek, stojący koło mnie, poruszył się i myślałam, że zechce interweniować, może nawet złoć Bruce'a, żeby staroświeckim zwyczajem pomścić kolegę.

Pokręcił jednak głową i powiedział:

– *Omnia vincit amor*\*.

Trąciłam go łokciem.

– Że co?

– Miłość każdemu dopieczę.

Nie spodziewałam się usłyszeć czegoś takiego od Rzymianina, lecz po części miał rację. Lili odniosła zwycięstwo: zaślubiny przypieczętowane nokautem nienawidzącego kobiet przyjemniaczka, który próbowałby wyciągać jej oblubieńca na nocne wyprawy. Myślę, że w tym momencie Bruce bardziej pragnął żyć z Lili, niż reformować Świat Zmian. Bo nam, kobietom, też przypadają zwycięstwa... póki nie zjawi się zbrojny legion, póki Mały Kapral\* nie ustawi artylerii w szyku, póki na drodze nie zadudnią wozy opancerzone.

Erich podniósł się niezdarnie i stanął przygarbiony. Ciągłe pocierał szczękę i łypał złowrogo na Bruce'a, lecz nie zamierzał się wdawać w dalszą bijatykę.

Przypatrując mu się, pomyślałam: Jeśli skołuje pistolet, zastrzeli się, to pewne.

Bruce zaczął coś mówić, ale zawahał się – tak samo jak ja bym się zawahała, gdybym była w jego skórze. Naraz Doktorek, pod wpływem jednego ze swoich nieprzewidywalnych

---

\* Loki – nordycki bóg zniszczenia i kłótni, walczący po stronie demonów w czasie zmięzchu bogów.

\* *Edda starsza* (poetycka) – zbiór 29 pieśni epickich, znanych z manuskryptu pochodzącego z XHI-wiecznej Islandii.

\* *Omnia vincit amor* (łac.) – miłość wszystko zwycięża.

\* Mały Kapral – przydomek Napoleona I Bonaparte.

odruchów, ruszył chwiejnie w stronę Ericha; prezentując rzeźbę w wyciągniętych ramionach, wydawał odgłosy głuchoniemego. Erich spojrział na niego, jakby chciał go udusić, po czym wyrwał mu rzeźbę, uniósł ją wysoko i trzasnął nią o ziemię. Cudownym trafem nie potłukła się, tylko poturlała wprost pod moje nogi.

To, że się nie rozbiła, musiało przeważać szalę. Oczy Ericha tak nabiegły czerwienią, iż mogło się wydawać, że zaraz krew go zaleje. Obrócił się, wpadł do sekcji magazynowej, przekłusował kilka kroków i dopadł skrzyni z bombą.

Chociaż nawet nie drgnęłam, mój świat zaczął biec w spowolnieniu. Prawie każdy rzucił się za Erichem. Wszelako nie Bruce, a i Sidy, mimo że zrazu się poderwał, odwrócił się w drugą stronę. Illy przykucnął, szykując się do skoku. W prześwicie między włochatym zadem SiedemCe i białymi portkami Beauego dostrzegłam – jakbym patrzyła przez mikroskop – krąg trupich czaszek, które Erich wciska w kolejności opisanej przez Kaby: jeden, trzy, pięć, sześć, dwa, cztery, siedem. Zmówiłam siedem pacierzy z intencją, żeby się pomylił.

W końcu się wyprostował. Illy wylądował przy skrzyni niczym olbrzymi, srebrzysty pająk, daremnie chłoszcząc ramionami wieko skrzyni. Pozostali zatrzymali się wokół jak wryci.

Erich ciężko oddychał, lecz odezwał się głosem chłodnym i opanowanym:

– Wspomniałaś, panno Foster, że mamy przyszłość, co? Otóż można już wyrazić się precyzyjniej. Jeżeli nie połączymy się z kosmosem, żeby wywalić bombę, lub nie znajdziemy specja od broni atomowej, lub nie uzyskamy ze sztabu wskazówek, jak ją rozbroić, nasza przyszłość potrwa dokładnie pół godziny.

# 13

*Z jakich stron on pochodzi, z kiego łona zrodzon,  
Z ziemi wziął się czy zwierza, tego żem nie czytał,  
Mleko wilków, tygrysów pewno w usty chwycił.*

Spenser\*

## Tygrys na wolności

Wydaje mi się, że kiedy naprawdę zostaje wciśnięty guzik, przesunięty przełącznik, uruchomiony potrzask, nakierowany promień ksera, człowiek nie mdleje, nie wariuje, nie traci panowania. Przynajmniej mnie to nie spotkało. Każdy gest, każde słowo, wszyscy i wszystko było dla mnie tak samo boleśnie podkreślone, jak obca ręka, która ściska i wywraca wnętrzności. Najmniejszy szczegół jawił się powiększony i podświetlony, jak gdybym miała siedem par oczu.

Erich stał obok skrzyni z bombą. Niewyraźny uśmiech przemykał po jego ustach. Nigdy nie widziałam go w tak dumnej pozie. Illy stał przy nim, ale ma się rozumieć, że nie trzymał jego strony. Mark, SiedemCe i Beau też stali nad skrzynią, choć w pewnym od nich oddaleniu. Beau przyklęknął i pieczołowicie badał wzrokiem wieko; z trudem panując nad strachem, pochylał czoło niżej, niż to było konieczne. Dłonie splótł na plecach chyba po to, żeby nie ulec odruchowi wciskania wszystkiego, co wygląda jak guzik anulujący odliczanie.

Doktorek położył się na brzuchu na najbliższej kanapie, gdzie, jak przypuszczam, momentalnie zasnął.

My, cztery kobiety, zostałyśmy przy sofie sterowniczej. Wśród nas Kaby, co mnie zdumiało, bo wojowniczką wcale nie truchlała ze strachu, lecz podzielała entuzjazm Ericha.

Sid odwrócił się, jak już wspomniałam, i wyciągnął rękę po mniejszego serwisanta, chociaż go nie dotknął. Na jego brodatej twarzy ukazał się wyraz wściekłości, jakby życzył

---

\* *Z The Faerie Queene* Edmunda Spensera.

wiekuistego potępienia wszystkim gamoniowatym opojom, którzy kiedykolwiek wyprowadzili się z King's Lynn do Cambridge i Londynu. Dlaczego? Bo gdyby pomyślał o mniejszym serwisancie odrobinę wcześniej, mógłby przygwoździć Ericha zwiększoną grawitacją, nim ten dobrał się do guzików.

Bruce, oparty o sofę sterowniczą, obserwował towarzystwo zebrane wokół skrzyni, a szczególnie Ericha – i to takim spojrzeniem, jakby Erich wyświadczył mu nieocenioną przysługę. Osobiście nie wyobrażam sobie, żeby rajcował mnie udział w przyjęciu, w którym gwoździem programu jest zbiorowe samobójstwo. Bruce był wyraźnie rozmarzony – niech go Brahma trzaśnie! – aż za bardzo, jak na kogoś, komu musiała kołatać w głowie ta sama pokraczna myśl, która – niech szczenę, jeśli się mylę! – męczyła nas wszystkich. A dałoby się ją wyrazić tak: za niecałe trzydzieści minut Miejsce będzie workiem ze słońcem...

Erich pierwszy przeszedł do natarcia; głowę bym dała, że tak właśnie robi. Miał nad nami przewagę i ani myślał jej tracić.

– No więc kiedy zamierzacie nakłonić Lili, żeby powiedziała, gdzie ukryła serwisanta? Ani chybi to ona, wszak mówiła o nim z taką pewnością siebie. Bruce musiał widzieć z góry, kto go skradł. Kogóż innego chroniłby przed zdemaskowaniem, jeśli nie swoją dziewczynę?

Splagiatował moje przemyślenia, ale chyba zrzekłabym się ich całkowicie, gdyby dzięki temu zastopował czasomierz bomby.

Spojrzał na przywoływacz.

– Wychodzi na to – oznajmił – że wliczając czas potrzebny do otwarcia wrót i skontaktowania się ze sztabem, zostało wam dwadzieścia dziewięć i pół minuty. Kiedy zamierzacie przycisnąć dziewczkę?

Bruce parsknął śmiechem – miałam nadzieję, że pełnym dezaprobaty! – i ruszył ku niemu.

– Słuchaj no, papciu – rzekł – nie ma sensu naprzykrzać się Liii i mieszać w to sztabu, nawet gdyby to było teoretycznie możliwe. Naprawdę. Tak na marginesie, chłopie, to twoje pomysły są całkiem bezpodstawne, i dziwię się, że je forsujesz. Ale mniejsza o to, bo przypadkiem tak się składa, że jestem inżynierem atomistyki i nawet pracowałem nad tą konkretnie bombą. Żeby ją rozbroić, wystarczy pobawić się anchami\*, czyli tymi krzyżykami z pętelką. Pozwólcie no. *Allah il allah*\*. Wszystkich to poraziło, nie tylko mnie, było to bowiem zapewnienie zbyt niewiarygodne, zakrawające raczej na bezwstydną blef, całkiem w angielskim stylu. Erich nawet nie musiał się odzywać. Kiedy Bruce pochylał się nad skrzynią, Marek i SiedemCe bez ceregieli chwycili go pod pachy.

Dopiero wtedy Erich przemówił:

– O, nie, Bruce. Bardzo to szlachetne, że próbujesz odsunąć podejrzenia od swojej dziewczyny, ale my nie chcemy zostać rozerwani na gołe atomy dwadzieścia osiem minut

---

\* Anch – starożytny krzyż egipski, znak życia, dający nieśmiertelność i wieczne zdrowie.

\* Allah il allah (arab.) – Nie ma boga prócz Allacha. Fragment muzułmańskiego wyznania wiary w nieco zmienionej formie.



przed czasem, gdy będziesz, modląc się o cud, gmerał przy guzikach, przed czym wyraźnie ostrzegął Benson-Carter. Łatwo cię przejrzeć, Bruce. Pochodzisz z 1917 roku, nie byłeś w wielkim czasie przez sto snów, a parę godzin temu sam twierdziłeś, że nie ma wśród nas specja od fizyki atomowej. Naprawdę, marny blef. Słuchaj, zaraz coś się wydarzy i obawiam się, że nie będzie ci miło, ale musisz się jakoś z tym pogodzić. No, chyba że panna Foster pójdzie na współpracę.

– Chłopaki, puście mnie, dobrze? – Bruce chwilę poszamotał się na próbę. – Wiem, że to brzmi niewiarygodnie i że zmyliła was moja wzmianka o tym specjalście, ale wtedy po prostu chciałem przykuć waszą uwagę. Nie chciałem, żeby zaistniała taka sytuacja. Zastanów się, Erich, czy kazano by Bensonowi-Carterowi skontaktować się z nami, gdybyśmy mieli eksperta od bomb atomowych? Nie wysłano by dwóch na tę francowatą misję.

– A to ich bałaganiarskie planowanie, co z nim? – przypomniał mu Erich prześmiewczo.

– Benson-Carter był wybitnym czarownikiem – odezwała się przy mnie Kaby. – Uczestniczył w misji przebrany za staruszkę. Zachował się płaszcz z kapturem i inne części ubrania.

Niesamowite, że ta oziębła oficerka była tą samą kobietą, która dziesięć minut temu pochłaniała Marka łakomym wzrokiem.

– To jak będzie? – Erich zerknął na przywoływacz i nagle ogarnął nas spojrzeniem, jakby szukał resztek żelastwa po Wehrmachcie. My zaś patrzyliśmy na Lili, która wydawała się podminowana, sprężona do skoku, gotowa gryźć i kąsać. Nie wiem jak inni, w każdym razie ja wierzyłam już bez zastrzeżeń w teorię Ericha na temat serwisanta.

Bruce chyba się zorientował, dokąd zmierzają nasze myśli, bo zaczął się miotać w uwięzi.

– Na miłość boską, zostawcie w spokoju Lili! – wrzasnął. – I puście mnie wreszcie, debile! Mogę zapobiec eksplozji, nie kłamie! SiedemCe, walczyliśmy ramię w ramię z Pająkami, co masz do stracenia? Sid, jesteś Anglikiem. Beau, jesteś dżentelmenem i też ją kochasz! Na miłość boską, przemówcie im do rozumu!

Beau z pokerową twarzą zerknął przez ramię na Bruce'a i innych, którzy kłębili się za jego plecami. Sid prawdopodobnie znowu przechodził męki podejmowania decyzji. Beau prędzej przemyślał sprawę i trzeba mu przyznać, że umiał działać szybko i z rozmysłem. Dopiero co kłęczał z nie całkiem odwróconą głową, a już rzucał się na Ericha.

W kosmosie oprócz człowieka działają wszakże inne siły, które potrafią włączyć się do sporu po konkretnej stronie. Illy wpadł na Beauregarda, owinął go swymi giętkimi ramionami i razem zatoczyli się niczym pijany słupek fryzjerski w białoszare paski\*. Beau zakleszczył rękami dwa ramiona nieziemca, aż cały posiniał na twarzy. Wzdrygnęłam się, wyobrażając sobie, przez co muszą przechodzić.

Być może satyrowi udzieliło się niezdecydowanie Sida, bo nagle Bruce wyrwał mu się i

---

\* Słupki fryzjerskie – rodzaj sztyldów, pomalowanych w skośne pasy, oznaczających w średniowieczu zakład cyrulika. Stosowane po dzień dzisiejszy.

spróbował obalić Marka. Rzymianin jednak wykręcił mu rękę, ustrzegłszy się powalającego ciosu.

Erich, mój mały komendant, nie brał czynnego udziału w awanturze, co wcale mnie nie zdziwiło. Uważa, że podnoszenie pięści na ludzi (ja to co innego) jest poniżej jego poziomu.

Sid wreszcie powziął decyzję, choć nie wiadomo, co postanowił, bo kiedy chwycił mniejszego serwisanta, Kaby wzgardliwie wyrwała mu go z ręki i walnęła go z kolana w brzuch tak mocno, że runął na czworaki w kłęb walczących. Aż mnie zemdlilo na ten widok. Zaraz też lekko, jakby od niechcenia, strzeliła na odlew Lili, która też drapieźnie wyciągała palce. Lili padła na sofę.

Twarz Ericha rozświetliła się niczym szyld sklepowy. Nie spuszczał wzroku z Kaby.

Skuliła się, przenosząc część ciężaru ciała na palce stóp. Ściskając w lewej ręce mniejszego serwisanta, kojarzyła się z kapitanem koszykówki, planującym akcję pod koszem przeciwnika. Nagle zdecydowanym gestem wskazała coś po prawej stronie. Nie rozumiałam, o co jej chodzi, lecz Marek i Erich byli bardziej domyślni. Erich skoczył do sekcji odświezacza, a Marek puścił Brucea i poszedł w jego ślady, unikając ramion Siedem – Ce, który wracał do walki po stronie... sama nie wiem czyjej. Illy odwinął się od Beauego i jednym potężnym susem podążył za żołnierzami.

Kaby obróciła pokrętło, jak daleko się dało, przez co Bruce, Beau, SiedemCe i nieszczęsny Sidy rozpląszczyli się na ziemi, przygniecenii ośmiokrotnie większą siłą ciężenia.

Bliżej mnie siła powinna być łagodniejsza, czemu jednak przeczyło położenie Sida: padł plackiem na ziemię z rozrzuconymi rękami i nogami, przy czym wyciągnął ramię tak daleko, że mogłam go dotknąć (tyle że nie sposób byłoby go puścić!), oddychał kącikiem ust rozdziawionych przy podłodze. Kręgosłup chyba wgniałał mu się w brzuch. Brucebwi udało się nieco dźwignąć głowę. Nasuwało się skojarzenie z ilustracjami Gustave'a Dore, przedstawiającymi najgłębszy krąg piekieł, gdzie najwięksi złoczyńcy pokutują skuci lodem po szyję.

Nie objęła mnie zwiększona siła ciężenia, lecz czułam ją w lewej ręce. Wprawdzie znajdowałam się głównie w sekcji odświezacza, to jednak wolałam położyć się na ziemi – po części z głupio pojmowanego współczucia, a po części dlatego, żeby Kaby nie zwała mnie z nóg.

Erich, Marek i Illy zmierzali już w naszą stronę. Maud postanowiła wreszcie wykonać swój ruch. Jeśli chciała coś zrobić, musiała zrobić to teraz. Starsza rzeczywiście wyglądała na niemłodą, ale świadomość cudu, którego była sprawczynią, w połączeniu ze strachem przed słońcem w worku musiała dopingować ją do działania, bo zaatakowała błyskawicznie: jedną ręką pchnęła Kaby w strefę zwiększonej grawitacji, drugą chwyciła mniejszego serwisanta.

# 14

*Tak nas, jak i diamenty rozcina własny proch*

Webster\*

## Będiesz mówić czy nie?

Kreteńczycy nie muszą mieć oczu dokoła głowy; wystarczy, że mistrzowie rozrywki nie są żołnierzami. Kaby zakołysała się i energicznie machnęła ręką. Maud poleciała tam, dokąd chciała posłać Kaby. Zrobiło mi się niedobrze, gdy patrzyłam, jak siła ciężenia obala ją i miażdży.

Mogłabym się zerwać i przeprowadzić kolejny zamach na Kaby, ale kiedy stawką jest moje życie, opuszcza mnie odwaga.

Lili próbowała się podnieść, cokolwiek oszołomiona. Kaby lekko pchnęła ją z powrotem i zapytała spokojnie:

– Gdzieś go schowała? – Wzięła szeroki zamach i trzasnęła ją w twarz.

Z niesmakiem obserwowałam jej zimne wyrachowanie. Owszem, rozumiem, że czasem wleje się komuś, jeśli ten ktoś cię wkurzy albo rozmyślnie doprowadzi do szału... lecz ten automatyzm przyprawiał mnie o mdłości.

Lili wyglądała tak, jakby jej twarz miała zalać się krwią, jednak otrząsnęła się z odrętwienia i zacisnęła zęby. Kaby capnęła jej perłowy naszyjnik i zerwała go jednym szarpnięciem, aż perły zatańczyły na ziemi jak piłeczki pingpongowe. Następnie zsunęła jej na szyję jedwabną apaszkę i silnie ją ściągnęła. Lili zaczęła rzezić. Erich, Marek i Illy stanęli w pobliżu. Podobały im się metody działania Kaby.

– Słuchaj no, zdziro – warknęła – czas ucieka! Macie tu lecznicę, więc może się zrobić dla ciebie nieciekawie.

No to się zaczyna, pomyślałam, marząc o zemdeniu. Na domiar wszystkiego, jakby sama

---

\* Z dramatu *Księżna D'Amalfi* Johna Webstera.

śmierć nie wystarczała, musieli przywołać koszmar specjalnie skrojony na moją osobę, horror nazwany od mojego imienia. Nie dane mi było spokojnie spłonąć. Ci, dla których bomba atomowa to za mało, umieścili w scenariuszu moje własne piekło.

– Jest taka rzecz, która się nazywa inwerter – mówiła Kaby dokładnie tak, jak tego oczekiwałam, mimo że właściwie mało co słyszałam (za moment wyjaśnię tę pozorną sprzeczność). – To aparat chirurgiczny, który otwiera ciało bez przecinania skóry i bez powodowania krwawienia. Wyciąga ze środka wszystkie organy, ale nie naczynia krwionośne. Cała skóra: oczy, uszy, nos, palce, dosłownie wszystko, staje się podszewką przewleczoną przez maleńki otworek, który można zatkać dwoma włoskami. Tymczasem lekarz ma swobodny dostęp do wewnętrznych organów. Powietrze przechodzące przez dziurkę wystarcza tylko na chwilę, dlatego lekarz podaje specjalny środek nasenny. Inaczej w ciągu pięćdziesięciu uderzeń serca człowiek postrada zmysły. Zobaczmy, jak się poczujesz po dziesięciu uderzeniach serca bez środka nasennego. A więc będziesz mówić czy nie?

No więc starałam się puszczać te słowa mimo uszu, inaczej zwariowałabym i sama potrzebowała kuracji. Swego czasu Doktorek mówił o wątrobie, że jest bardziej tajemnicza i oddalona aniżeli gwiazdy, bo nawet jeśli przez całe życie ma się ją blisko siebie, nie można jej zobaczyć, nikt też nie umie odruchowo wskazać jej położenia. Dlatego tak odrażająca jest myśl, że ktoś miałby ingerować w tę zagadkową, lecz jakże osobistą część ciała.

Wiedziałam, że muszę szybko coś zrobić. Do diabła, gdy tylko pojawiła się możliwość inwersji, zanim jeszcze Kaby o niej wspomniała, Illy wzdrygnął się tak, że wszystkie jego ramiona zbiegły się niczym tłuste, puchate parówki. Erich popatrzył na niego pytająco, a wtedy ten baran z Księżyca zaskrzeczał antypatycznie:

– Mną się nie przejmujcie, po prostu jestem wrażliwy. Biermy się za nią, ma gadać.

Wiedziałam, że muszę szybko coś zrobić, lecz tutaj, na ringu, należało maksymalnie wyteńczyć umysł, przełączyć go na najwyższe obroty. Cudaczne dzieło sztuki, które Erich próbował roztrzaskać, leżało na wyciągnięcie ręki. Zauważyłam nikły, biały ślad, jaki toto zostawiło, gdy ślizgało się po ziemi. Namacałam delikatny proszek, coś jakby zmielone szkło. Przewróciłam rzeźbę i *co* się okazało? Spodnia część była nienaruszona, nawet nie zmatowiona; szare kulki jak zawsze błyszczały. Doszłam do wniosku, że ślad w istocie jest pyłem wytartym z diamentów w podłodze przez jeszcze twardszy materiał.

Skoro tak, była to szczególna rzeźba. Kto wie, czy w zamroczonym mózgu Doktorka nie narodził się świetny pomysł. Dlatego nam ją wręczył, próbując coś wyjaśnić. Nie udało mu się nic powiedzieć, ale przecież zabierał głos wcześniej, kiedy usiłował podsunąć nam rozwiązanie problemu z bombą. Może był jakiś związek.

Pogrzebałam w pamięci, aż coś we mnie zaskoczyło. „Inwersz... krzy...” „Krzy” jak krzywe ryje tych wszystkich pijusów, ruskich i nie ruskich!

Znowu pośpiesznie przekopałam pamięć i odnalazłam „renkawsz”. Zgarnęłam odrobinę diamentowego proszku i omal nie kichnęłam, patrząc, jak cała układanka uzupełnia się z

szybkością filmu puszczanego z przyspieszonego projektora.

Wszystko sprowadzało się do tej czarnej, prawej huzarskiej rękawicy, którą Lili przyniosła Bruce'owi. Z pewnością nie znalazła jej w magazynie, bo gdy później zaglądaliśmy do każdej mysiej dziury, nie zauważyliśmy żadnych rękawic, nawet lewej do pary, która powinna tam być. Na początku Bruce posiadał właśnie dwie lewe rękawice. Nie uszłyby naszej uwagi żadna niteczka czy ździebełko, więc w grę wchodziły tylko i wyłącznie te rękawice, które Bruce stracił z baru: lewa, przyniesiona z zewnątrz, i prawa, znaleziona przez Lili.

W takim razie zniknęła lewa rękawica. Lili położyła ją na tacy i już jej nie widziałam. Za to pojawiła się prawa. Wniosek sam się narzucał: Lili zamieniła lewą w jej prawy odpowiednik. Nie mogła tego dokonać zwykłym sposobem, wywracając ją na drugą stronę, ponieważ podszewka różniła się od wierzchu.

Wiedziałałam wszakże – mdliło mnie od tej wiedzy! – że istnieje pewna nieszablonowa metoda wywracania rzeczy na drugą stronę... nawet takich jak ludzie. Wystarczy umieścić je w inwerterze i ustawić program na pełną inwersję.

Można by zaprogramować częściową inwersję i zamienić przedmiot w jego trójwymiarowe lustrzane odbicie, takie jakim prawa rękawica jest dla lewej. Rotacja w czwartym wymiarze, mówią koledzy naukowcy. Słyszałam, że stosuje się tę metodę podczas operowania silnie asymetrycznych Marsjan, a nawet żeby przyszyć człowiekowi nowiusienką prawą dłoń w miejsce utraconej poprzez amputowanie i poddanie inwersji lewej dłoni.

Zazwyczaj w szpitalu poddajemy inwersji żywą tkankę i nikomu nie przychodzi do głowy robić tego z przedmiotami martwymi, zwłaszcza tu, w Miejscu, gdzie Doktorek zalewa się w trupa, a ze szpitala nie korzystano od setek snów.

A jednak ten, kto się zakocha bez pamięci, potrafi realizować zadziwiające, zwariowane pomysły. Pijana miłością, Lili zabrała do szpitala niepotrzebną lewą rękawicę Bruce'a i w celu uzyskania prawej poddała ją częściowej inwersji.

Kiedy Doktorek bełkotał: „inwersz... krzy...”, chodziło mu o to, żeby poddać inwersji skrzynię! Gdybyśmy ją poddali pełnej inwersji, bomba znalazłaby się na wierzchu, łatwiejsza do rozbrojenia. A zatem i Doktorka nauczyła czegoś sztuczka Lili z rękawicą. Nie miałam zielonego pojęcia, jak wygląda wybebeszona taktyczna bomba atomowa, i nie bardzo chciałam na nią patrzeć. Choć zdawałam sobie sprawę, że być może mnie to nie ominie.

Tymczasem przyspieszony film nadal wyświetlał się w mojej głowie. Nieco później Lili zrozumiała, że jej kochany nie zdoła nakłonić nas do buntu, chyba że widownia oniemieje z wrażenia. Może już wtedy kombinowała, jak stworzyć gniazdko dla przychówku Bruce'a, i myślała o tych wszystkich rzeczach, w które i my uwierzyliśmy przez chwilę. Dlatego zabrała większego serwisanta, przypomniała sobie o rękawicy i chwilę potem postawiła na półce w galerii przedmiot, który nie wzbudziłby niczyich podejrzeń... chyba że kogoś, kto znał galerię na pamięć...

Przyglądałam się abstrakcyjnej bryle z szarych kulek wielkości piłeczki golfowej. Wiedziałam, że w środku serwisanta mają znajdować się niezwykle twarde olbrzymie cząsteczki, ale nie przypuszczałam, że okażą się takie wielkie.

Greto, powiedziałam do siebie, będzie to dla ciebie traumatyczne przeżycie, lecz musisz to zrobić, bo nikt nie wysłucha cierpliwie twoich argumentów, tym bardziej że wszystkim pali się grunt pod nogami.

Podniosłam się cichutko, jakbym wstawała z łóżka, w którym nie powinno mnie być; w pewnych sprawach mistrzowie rozrywki są nieźrównani. Akurat Kaby mówiła:

– Za pięćdziesiąt uderzeń serca zwariujesz.

Kto tylko stał, ten patrzył na Lili. Sid chyba się poruszył, ale chwilowo nic mnie nie obchodził, bylebym przez jego zachowanie nie znalazła się w centrum uwagi.

Zdjęłam buty i szybko podreptałam do sekcji szpitalnej. Jedną z zalet tej supertwardej podłogi jest to, że nigdy nie skrzypi. Zatrzymałam się przed ekranem, wyglądającym jak mętny obłok bezwonnego dymu papierosowego, i spróbowałam sobie przypomnieć swój chałturniczy kurs pielęgniarstwa. Chyżo, żeby nie wpaść w panikę, położyłam rzeźbę na lśniącej płycie inwertera.

Na moment znieruchomiałam, sięgając do przełącznika. Rozmyślałam o pełnym grozy widoku mózgu wywróconego na lewą stronę, pozbawionego oczu, powiększonego, aż wreszcie przegnałam ów koszmar na cztery wiatry lub – też możliwe – zamknęłam się na głos rozsądku, bo gwałtownym ruchem przekręciłam przełącznik do samego końca. I proszę, większy serwisant w pełnej krasie mrugał niebieskim światłem trzy razy na sekundę.

Musiał działać jak cacuś przez cały czas, odkąd poddano go inwersji, tyle że wprowadzał w błąd urządzenia namiarowe.

# 15

*Pająków czarne nogi, piekielna czerwień ich serc*

Don Marquis\*

## Lord Pająk

– Chryste! – Odwróciłam się i ujrzałam twarz Sida, wylaniającą się z ekranu niczym barwny relief, zawieszony na szarej ścianie. Wyobraziłam sobie, że zniecka zajął przez dziurę w arrasie do sypialni królowej Elżbiety.

Nie miał czasu nacieszyć się wrażeniami, nawet gdyby chciał, bo oto przez ekran przebiło się ramię z miedzianą bransoletą. Kaby dała Sidowi sójkę pod żebra i wprowadziła Liii, którą trzymała za kark. Tuż za nią wkroczyli Erich, Mark i Illy. Zauważyli niebieskie światełko i osłupieli, gapiąc się na obiekt swoich długich poszukiwań. Erich zaszczyił mnie krótkim spojrzeniem, mówiąc: A więc to ty; cóż, to już nieistotne. Postąpił krok do przodu, chwycił serwisanta, przycisnął go do lewego boku i z miną człowieka, który otwiera butelkę whisky, sięgnął do przełącznika introwersji.

Niebieskie światełko zgasło. Wiatr zmian uderzył we mnie niczym kieliszek wódki, na który czekałam wieki, albo jazgotliwy grzmot trąbek nie wiadomo skąd.

Czułam, jak przewiewa mnie na wylot zmieniająca się przeszłość, jak z gwizdem odlatuje nawał niepewności, jak topnie je zmrożona na kość rzeczywistość wraz z bagażem obowiązków i powinności, jak posiekane wspomnienia tańczą na podobieństwo jesiennych liści, nie zostawiając za sobą być może nawet duchów. Ogarniały mnie zwariowane nastroje jak w tłusty wtorek wieczorem, gdy tancerze wylegną na ulice. Jakaś częśćka mojej natury odważyła się powiedzieć, że nieważne, czy wiatr niesie śmierć Grety Forzane, i tak jest wspaniale.

Zauważyłam, że inni reagują w podobny sposób. Nawet poobijana, zacięta w sobie Lili

---

\* Z wiersza „Archy Declares War” Don Marquisa.

zdawała się mówić: Zmuszasz mnie, bym to piła! Nienawidzę cię, choć to takie dobre... Chyba wszyscy obawialiśmy się, że nawet jeśli znajdziemy i ekstrawertujemy serwisanta, nie połączymy się już z kosmosem i nie pocujemy tego wiatru, który tak kochamy i nienawidzimy.

Wtem, gdyśmy tak stali rozanieleni, coś nas brutalnie otrzeźwiło. Nie był to wcale strach przed bombą (który i tak dopadłby nas już niedługo), lecz głos Sida.

Odwrociwszy się w ekranie w ten sposób, że widzieliśmy jedynie tył jego szarego kaftana, zakrzyknął:

– Jezu! – co zabrzmiało tak wyraźnie, jakby wrzeszczał nam do uszu. – Miłościwy panie... – Na początku nie wiedziałam, do kogo się zwraca, choć słowo daję, nigdy nie słyszałam w jego głosie tyle dworskiej uniżoności: niezwykle silnej, a jednak połączonej z bojaźnią, ba, nawet nutą śmiertelnej trwogi. – Wielcem skonsternowany, żeś zaszczycił wizytą moje niskie progi. Gdzieżby tam moje! Służbę tu pełniąc wytrwale, nawet nie marzyłem, że pewnego dnia raczysz... Wiedząc wszelako, że zawsze mnie wzrokiem dosięgniesz... Chociem proch marny, rzucon między gwiazdy... Czoło chylę... Co rzekniesz, panie, rad uczynię. Jak najgodniej zwracać się do ciebie? Miłościwy panie? Królu? Jaśnie oświecony cesarzu Pająku?

Czułam się coraz mniejsza, chociaż wolałabym się całkiem zapaść pod ziemię. Co prawda wiatr zmian dodawał mi sił, pomyślałam jednak, że to już naprawdę przesada, że za dużo tych przygód. Należało nam się trochę spokoju. Równocześnie doszłam do wniosku, iż nie ma nic dziwnego w tym, że odkąd przeprowadziliśmy introwersję, generalicja bacznie nam się przygląda swoimi czarnymi, paciorkowatymi ślepiami, chcąc nam się dobrać do skóry przy najbliższej okazji. Wyobrażałam sobie, co znajduje się po drugiej stronie ekranu, i wcale a wcale mi się to nie podobało.

Mimo że paraliżował mnie strach, to jednak z trudem hamowałam się od śmiechu – niczym wesolek na egzaminie maturalnym – widząc, jak pozostali radzą sobie z nową sytuacją. A ściślej żołnierze. Każdy z nich stał sztywno, jakby połknął wycior armatni. Z napuszoną miną, nie pochylając głowy, patrzyli na ziemię i na siebie wzajemnie, jak gdyby sprawdzali, gdzie mogą stawiać kroki, i obmyślali strategię poruszania się. Erich i Kaby, trzymający z namaszczeniem większego i mniejszego serwisanta, spoglądali na przywoływacze i kiwali uspokajająco głowami, aż wydawało się, że przekazują sobie wiedzę tajemną. Nawet Illy wyglądał jak na paradzie.

Aż raptem zza ekranu doleciał nas, jakby z wielkiej dali, najstraszniejszy odgłos – biorąc pod uwagę okoliczności – jaki kiedykolwiek słyszałam, płaczące wycie z pozoru pozbawione sensu. Dźwięczała w nim wszakże groźba, od której ciarki szły po plecach, mimo że dało się wychwycić dziwną, ohydnie znajomą nutę.

Rozległy się słowa Sida: głośnie, prędkie, pełne strachu:

– Racz wybaczyć, panie, nie myślałem... Z pewnością grawitacja... Zajmę się tym



niezwłocznie... – Nie odwracając się do nas, przebił ekran dłonią i połową głowy, pstryknął palcami, na co Kaby migiem wcisnęła mu w dłoń mniejszego serwisanta.

Sid zniknął z naszych oczu i wycie ustało. Przyszło mi do głowy, że jeśli w ten sposób lord Pająk wyraża swoje zdenerwowanie niewłaściwą siłą ciężenia, to nie chcę, by szefostwo ucięło sobie ze mną pogawędkę.

Erich wydał usta, skinał głową na pozostałych żołnierzy i cała czwórka przeszła przez ekran, jakby długie lata ćwiczyła ten manewr. Pomyślałam naiwnie, że Erich poda mi ramię, ale minął mnie, jakbym była... mistrzynią rozrywki.

Zawahałam się, ale przecież musiałam zobaczyć, co się dzieje z drugiej strony, choćby przyszło mi za to słono zapłacić. Miałam świadomość, że jeśli formalności będą się przedłużać, lord Pająk odczuje żar eksplodującej bomby atomowej.

Przeszłam przez ekran w towarzystwie Lili.

Żołnierze zatrzymali się kilka kroków przed nami. Wyteżałam wzrok, przygotowana na każdy widok, sposobiąc się do dygnięcia czy czegokolwiek, bez wyjątku, co będzie ode mnie wymagane.

Miałam kłopoty z namierzeniem bestii. Zauważyłam, że niektórym też się nie powiodło. Doktorek zataczał się jak idiota wokół sofy sterowniczej, za którą w głębi stali Bruce, Beau, SiedemCe i Maud. Zastanawiałam się, czy nie mamy do czynienia z niewidzialnym monstrem. Cóż to za trudność dla szefostwa opracować tak proste sztuczki jak niewidzialność.

Nagle pobiegłam wzrokiem w lewo, dokąd też wszyscy, nawet Doktorek z mętnymi oczami, prędzej czy później kierowali spojrzenie: na sekcję wrót. Nie było tam jednak żadnego potwora, samych wrót też nie, a jedynie Sidy z serwisantem w rękę; szczyrzył zęby jak wtedy, gdy groził mi gilgotaniem, tyle że teraz było w tym więcej diabelskiej satysfakcji.

– Mości państwo, ani kroku dalej! – krzyknął z wesołym błyskiem w oczach. – Bo jak amen w pacierzu, przygniotę was wszystkich do ziemi. Prędzej dopilnuję, żeby Miejsce rozleciało się w drobny mak, nim dam sobie wydrzeć ten przyrząd.

Pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy: Ten Sidy, choinka, jest świetnym aktorem! Cóż z tego, że nie pobierał nauk od nikogo po Burbage'u\*? Dowodziło to tylko wielkości Burbage'a.

Sid wpoił w nas przeświadczenie, że przybyły prawdziwe Pajaki, mało tego, wcześniej przekonał nas, że na granicy z magazynem siła ciężenia jest o wiele silniejsza niż w rzeczywistości. Wyprowadził w pole żołnierzy, łącznie z moim butnym, przebojowym małym komendantem. Na długo zapamiętam, z jak dużym wyczuciem chwili Sid wyciągnął rękę i bez oglądania się pstryknął palcami. Niesamowite!

– Beauregard! – zawołał teraz. – Podejź do większego serwisanta i połącz się ze

---

\* Richard Burbage (1568-1619) – angielski aktor i współwłaściciel teatru, występował w trupie aktorskiej razem z Williamem Szekspirem.

sztabem. Jenó nie waź mi się przechodzić przez sekcję wrót, racz przejść przez odświeżacz. Nie zaufam w tej sekcji żadnemu demonowi, póki tego i owego sobie nie wyjaśnimy i spraw nie zamkniemy.

– Sidy, jesteś cudowny! – stwierdziłam, ruszając w jego stronę. – Zaledwie rozpracowałam serwisanta, rozejrzałam się i spostrzegłam twe słodkie oblicze...

– Ty dokąd, podstępna ladacznico?! Ta stópka z krasnym paznokietkiem ani na włos niech się do mnie nie zbliża, królowo forteli, przeoryszo oszustwa! – ryczał. – Tobie najmniej ufam! Zaiste nie wiem, czemuś skryła serwisanta, aliści całą prawdę wyjawisz, inaczej flaki ci wypruję!

Najwyraźniej należało mu się parę słów wyjaśnienia.

Doktorek, chyba rozeźlony tym, że Sid mi wygraża, zadarł głowę i wydobył z gardła przeraźliwe wycie syberyjskiego wilka, które pierońsko dobrze naśladuje. Sid gniewnie machnął ręką, na co ten się uciszył z promiennym uśmiechem. Przynajmniej wiedziałam już, kto jest odpowiedzialny za wściekle wycie Pajaka, które Sid albo wymusił, albo – co pewniejsze – dostał w prezencie od bogów i wykorzystał w swoim przedstawieniu.

Beau łukiem zbliżył się do Ericha, a ten bez szemrania wepchnął mu w ręce większego serwisanta. Czwórka żołnierzy miała minorowe nastroje po przegraniu tej wielkiej batalii.

W galerii sztuki Beau zepchnął jakieś klamoty z szerokiego taboretu i szybko, acz ostrożnie, ustawił na nim serwisanta. Potem od razu przykucnął, porwał za słuchawki i rozpoczął strojenie. Wprawa, z jaką zabrał się do rzeczy, sprawiła, że raz-dwa zapomniałam o swoim genialnym pomysłe z inwersją. W moich myślach niepodzielnie panowała okuta brązem skrzynia z bombą.

Zastanawiałam się, czy nie zaproponować, żeby poddano ją inwersji, ale powiedziałam do siebie: Oj, Greto, jaki ty im dyplom pokażesz? Zresztą, nie było czasu na wypróbowywanie dwóch sposobów.

Erich wreszcie uczynił coś, czego od niego oczekiwałam. Nawet się nie przejmowałam, jak zniosą to moje nerwy. Zerknął na przywoływacz i oświadczył:

– Zostało dziewięć minut, jeżeli czas w Miejscu jest zsynchronizowany z czasem w kosmosie.

Beau, obojętny jak skała, pracował nad ustawieniami tak zwinnie, że nie widziałam ruchu jego palców.

Bruce, znajdujący się w głębi Miejsca, zrobił kilka kroków w naszą stronę. SiedemCe i Maud też drgnęli w ślad za nim. Przypomniało mi się, że Bruce jest jednym ze świrów, którzy zakodowali sobie, że wysadzą Miejsce.

– Sidney! – zawołał i ciągnął, kiedy ten zwrócił na niego uwagę: – Pamiętaj, Sidney, że obaj przyjechaliśmy do Londynu z Peterhouse.

Nie rozumiałam tego. Wtem Bruce spojrział na Ericha z szatańsko wyzywającą miną, a potem popatrzył na Lili, jakby chciał ją prosić o wybaczenie. Nie mogłam nic wyczytać z jej

twarzy; miała ciemne sińce na szyi i opuchnięty policzek.

Bruce po raz wtóry posłał Erichowi wyzywające spojrzenie, po czym obrócił się, szarpnął za nadgarstek Wenusjanina i podstawił mu nogę. Półkonie chyba nie celują w walce wręcz, a satyr – jak i ja – miał pełne prawo poczuć się zaskoczony. Zatoczył się na Maud i oboje grzmotnęli o ziemię w gąszczu włochatych nóg i szaroniebieskiej sukni. Bruce pomknął do skrzyni z bombą.

– Zatrzymaj go, Sid! – krzyčeliśmy jeden przez drugiego. – Zmiażdż go!

Też się przyłączyłam, nagle zrozumiawszy, za co przepraszał Lili. Zamierzał detonować bombę i wszystkich pozabijać, parszywiec zaślepiony miłością!

Sid od dawna miał go na oku. Teraz przysunął dłoń do mniejszego serwisanta, lecz nie dotykał pokręteł, tylko patrzył i czekał.

Czarci nadali! – pomyślałam. Czyżby Sidy też się pisał na śmierć? Zbrzydło mu życie?

Bruce kucnął i majstrował przy skrzyni, której pokrywa rozgorzała, jakby zapalono nad nią jupitery. Na próżno wmawiałam sobie, że jeśli wystrzeli kula ognia, niczego nie zauważę: wciąż miałam wątpliwości. SiedemCe i Maud pozbierali się w końcu i ruszyli do Bruce'a, a reszta krzyczała na Sida. Tylko Erich przyglądał mu się w milczeniu, z uśmiechem na twarzy. Sid nadal powstrzymywał się od działania.

Sytuacja była nie do zniesienia, aż poczułam, jak drobne arterie pękają w moim mózgu niczym sznurek petard, jak rwie się staruszka aorta i jak w pikawie – jakby tego było mało – wypadają z zawiasów zastawki.

Cóż, pomyślałam, przynajmniej już wiem, jak wygląda umieranie z powodu nadciśnienia i choroby serca. Uśmiechnęłam się, zadowolona, że wykiwałam bombę, gdy nagle Bruce zerwał się na równe nogi i odskoczył od skrzyni.

– Gotowe! – oświadczył wesoło. – Zabezpieczona jak Bank Anglii.

SiedemCe i Maud zatrzymali się tak blisko, że omal go nie staranowali.

Ejże! – powiedziałam do siebie. Weź się w garść! Atak serca miałby skutek natychmiastowy.

Zanim ktokolwiek zabrał głos, odezwał się Beau. Odwrócił się od większego serwisanta i zdjął jedną słuchawkę.

– Połączyłem się ze sztabem – rzekł ostro. – Poinstruowali mnie, jak rozbroić bombę. Powiedziałem im tylko, że powinniśmy to wiedzieć na wszelki wypadek. Cóżeś zrobił, mój panie!?! – krzyknął do Bruce'a.

– Poniżej zamka są w rzędzie cztery anchy. Pierwszy od lewej przekręcasz w prawo ćwierć obrotu. Drugi: ćwierć obrotu w lewo. To samo czwarty. Trzeciego nie ruszasz.

– Zgadza się – potwierdził Beau.

Nie mogłam znieść przedłużającej się ciszy. Wychodzi na to, że najkrócej ze wszystkich potrafiłam w milczeniu cieszyć się zwycięstwem. Odbudowanymi arteriami przekazałam komórkom mózgu trochę pożywienia i wrzasnęłam:

– Sidy! Wiem, że jestem podstępą ladacznicą i królową lisiego plemienia, ale co to jest Peterhouse, do licha ciężkiego?

– Najstarszy college w Cambridge – odpowiedział dość chłodno.

# 16

*„Słyszałeś o warstwach nieskończonego wszechświata, otwartych zbiorach aksjomatów?...*

*Zakładam, że wszystko jest możliwe, dosłownie wszystko, i że wszystko już się kiedyś zdarzyło. Wszystko”.*

Robert Heinlein

## Spoiwo możliwości

Godzinę później w półmroku, na kanapie daleko od fortepianu, sączyłam słabego drinka i okładałam podbite oko, popatrując od czasu do czasu na hulaków bawiących się przy barze. Miejsce czekało na połączenie z Egiptem i bitwą pod Aleksandrią.

Sid wepchnął nasze nierozwiązane problemy do jednego wora, a ponieważ trzymał w ręku asa w postaci mniejszego serwisanta, traktował nas arbitralnie, jakbyśmy byli bandą przedszkolaków.

Sytuacja przedstawiała się następująco: przez większość czasu, kiedy miały tu miejsce skandaliczne wydarzenia, byliśmy w stanie introwersji, a więc prawdopodobnie nikt inny o nich nie wiedział. Nadto wszyscy – z takich czy innych powodów – siedzieliśmy w tym po same uszy, wobec czego musieliśmy się hamować, inaczej skończyłoby się ogólnym mordobiciem.

Erich uruchomił bombę, owszem, z drugiej strony jednak Bruce namawiał do buntu, co się ładnie zerowało. Doktorek nadużywał alkoholu, a ci, którzy opowiedzieli się za orędziem pokoju, też bynajmniej nie mieli powodu do chluby. Marka i Kaby darzyłam względnym zaufaniem, Maud – bezgranicznym, a i o Ericha, niech go licho weźmie, byłam raczej spokojna. Illy stanowił wielką niewiadomą, ale trudno, zawsze się trafi łyżka dziegiu w beczce miodu... Tym razem w beczce pływał stwór pokryty sierścią.

Sid nie wywlekał swoich żalów, choć wiedział, że my wiemy, że dał plamę jako szef

Miejsca, by zrehabilitować się dopiero w ostatnich minutach dzięki sprytnemu szachrajstwu.

Wspominając sztukę Sida, pomyślałam o prawdziwych Pająkach. Zanim wypadłam z sekcji szpitalnej, wyrysowałam sobie w wyobraźni dokładny ich wizerunek, lecz potem się rozmazał. Dołowało mnie to, że nie pamiętam... A może tylko mi się zdawało, że kiedyś coś sobie wyobrażałam? Jak ćpunowi, który w swoich zwidach rozwiązuje zagadki wszechświata. Miałabym poznać bliżej Pajaki? Śmiechu warte. Co najwyżej mogłam sobie pofantazjować, jak podczas ostatniej draki.

Najzabawniejsze jest to, że na koniec tej przygody stałam się osobą najmniej godną zaufania. Sid nie chciał nawet słuchać, jak drogą dedukcji zorientowałam się, co się stało z serwisantem. Liii przyznała się, że to ona go schowała, lecz zrobiła to z taką nonszalancją, że chyba nikt jej nie uwierzył. A przecież zdradziła dość intrygujący szczegół: nie zastosowała częściowej inwersji wobec rękawicy. Po prostu wywróciła ją na lewą stronę i poddała pełnej inwersji, żeby schować podszewkę do środka.

Próbowałam nakłonić Doktora, by potwierdził, że i on szedł tym samym tokiem rozumowania. Niestety, utrzymywał, że urwał mu się film i pamięta jedynie początek poszukiwań. Ale czy wpadł na jakiś dobry pomysł, tego już nie pamiętał. Właśnie na jego prośbę Maud po raz drugi z detalami opisywała przebieg zdarzeń. Zdawałam sobie sprawę, że minie sporo czasu, nim zdobędę reputację wybitnego detektywa.

Przenosząc wzrok za brzeg kanapy, wypatrzyłam w pomroce jedną z czarnych rękawic Brucea. Pewnie ktoś ją tam kopnął. Sięgnęłam po nią. Pasowała na prawą rękę. Mój wielki dowód, niech go szlag! Chroń nas, Boże, od rękawic! Wyrzuciłam ją ze złością. Tymczasem Illy, odpoczywający na sąsiedniej kanapie, o czym nie wiedziałam, niby przyuczajona ośmiornica wydłużył ramię i capnął rękawicę, jakby to był pyszny morski ochłapek. Nieziemcy potrafią być czasem zatrwającąco nieludscy.

Rozmyślałam, jakim to małodusznym, zimnym draniem jest Illy, o Sidzie i jego durnych podejrzeniach, o Erichu i moim podbitym oku i tym także, że zawsze na końcu wszyscy się na mnie wypinają. I jak tu polegać na mężczyznach!

Bruce wyjaśnił, jakim trafem został inżynierem fizyki jądrowej. Podobnie jak wielu z nas, w ciągu pierwszych tygodni w Świecie Zmian miał się rozmaitych robót. Między innymi był asystentem w zespole naukowców związanych z Projektem Manhattan i projektem budowy sztucznych satelitów. Zapewne udzieliły mu się ich fiksacje. Jeszcze nie rozstrzygnęłam, do której kategorii bohaterkich łotrów go przypisać, w każdym razie znów trzymał sztamę z Markiem i Erichem. Niestale te chłopcy!

Sid nie musiał się z nikim spierać. Bojowe zrywy i wielkie postanowienia umarły... a przynajmniej zapadły w długi, głęboki sen. Ho, ho, sama bym się przespała.

Impreza przy fortepianie rozkręcała się coraz bardziej. Lili wskoczyła na pokrywę instrumentu, odtańczyła taniec brzucha i ze zmysłową flegmą zeskoczyła prosto w ramiona Sida i SiedemCe. Wlała w siebie masę alkoholu, przez co wyglądała w swej szarej sukience

tak samo niewinnie jak Nell Gwynn\* w pieluszcze. Nadal tańczyła, okazując przychylność po równi Sidowi, Erichowi i satyrowi. Beau nie był temu przeciwny, lecz ze stoickim spokojem bębnił po klawiszach, grając melodię z „Tonight’s the Night”\*, do której Lili hałaśliwie śpiewała przed dwiema minutami.

Cieszyłam się, że nie biorę w tym udziału. Któż się może równać z doświadczoną przez życie i obdartą ze złudzeń siedemnastolatką, która po raz pierwszy pozbywa się wszelkich zahamowań?

Poczułam czyjeś dotknięcie. Illy rozciągnął ramię na kształt futrzanego drutu, żeby oddać mi czarną rękawicę, choć powinien wiedzieć, że jej nie potrzebuję. Odepchnęłam ramię, nazywając go w duchu sflaczałą, głupawą tarantulą. Zaraz poczułam wyrzuty sumienia. Kto mi dał prawo krytykować Ill’ego? Czy ja pokazałabym się w dobrym świetle, gdyby za miliard lat zamknięto mnie z jedenastoma ośmionogami? Skąd ta chęć oceniania innych?

W każdym razie, cieszyłam się, że nie uczestniczę w zabawie, choć nadal śledziłam wydarzenia. Bruce przy barze samotnie pił drinka. Raz tylko, gdy Sid podszedł do niego i strzelili po kielichu, przytoczył Ruperta Brooke’a\*, jego rozmyślnie siermiężne rymy: „Bo Anglia, wiadomo, to kraj doskonały, gdzie pragną żyć ludzie o sercach wspaniałych. Tam hrabstwo jest Cambridge, co w kraju angielskim dla ludzi roztropnych jest hrabstwem wręcz sielskim”. Przypomniałam sobie, że także Brooke zginął młodo w czasie I wojny światowej, co dawało do myślenia. Przeważnie jednak Bruce pił w samotnej zadumie. Raz na jakiś czas Lili, patrząc na niego, raptownie przerywała taniec i śmiech.

Na tyle, na ile starczyło mi odwagi, rozszyfrowałam związki między Bruce’em, Lili i Erichem. Lili żyła marzeniami o rodzinnym gniazdku i tylko to ją mogło usatysfakcjonować, a tymczasem musiała znów przechodzić przez piekło i prawdopodobnie po raz trzeci umrzeć w Świecie Zmian na chorobę Brighta. Bruce nie bardzo chciał siedzieć w gniazdku z Lili, mając do wyboru Świat Zmian, szansę na żołnierskie wariactwa i popijawy z poezją w tle. Nie wierzył, że lekarstwem dla kosmosu będzie ziarno, o którym mówiła Lili. Może pewnego dnia stanie na czele prawdziwego buntu, choć przypuszczam, że prędzej zostanie barowym gawędziarzem.

Wzajemne zauroczenie Lili i Bruce’a całkiem nie wygaśnie, mimo że na razie ich związek przechodził kryzys. Wielka mi łość odejdzie w ką, za to pod wpływem wiatru zmian w pełni rozkwitnie romans. Jeśli kiedyś dojdzie do spotkania, ani chybi rzuca się w wir miłosnych przygód.

Erich cieszył się, że jego *Kamerad*, stosownie urobiony, okazał się na tyle sprytny i odważny, że rozbroił bombę, którą on, Erich, też popisując się odwagą, uruchomił. Nie można mu było odmówić heroizmu, skoro celowo doprowadził do sytuacji, w której musieliśmy odnaleźć serwisanta albo się usmażyć. Nie umiałam mu przypisać, tak dla równowagi,

---

\* Nell Gwynn, a właściwie Eleanor „Neli” Gwynn – XVII-wieczna aktorka angielska, kochanka Karola II.

\* „Tonight s the Night” – tytułowa piosenka z musicalu komediowego z 1914 r.

\* Rupert Brooke (1887-1915) – angielski poeta, twórca wierszy poświęconych I wojnie światowej.

żadnego wielkiego świństwa.

Co prawda, próbowałam. Trochę wcześniej zaszłam go od tyłu i spytałam:

„Jak się czuje mój przewrotny mały komendant? Zapomniał o swoim *und so weiter?*”. Kiedy się odwrócił, nastawiłam pazury i trzasnęłam go w twarz. Stąd moje podbite oko. Maud chciała przyłożyć mi elektroniczną pijawkę, wolałam jednak umoczyć chustkę w wodzie z lodem. Tak czy owak, Erich dorobił się blizn porównywalnych do tej Brucea. Nie tak głębokich, za to w liczbie czterech. Cieszyłam się na myśl, że może wda się infekcja, gdyż od wielkich poszukiwań nie umyłam rąk. Z drugiej strony, Ericha kręcą blizny.

Kiedy mnie znokautował, pomógł mi wstać Marek.

„Masz na to jakieś *omnie?*” – burknęłam.

„Na co?”

„Na wszystko, co nas spotyka” – odpowiedziałam z niechęcią.

Wydawało się, że zastanawia się nad odpowiedzią.

„*Omnia mutantur, nihil interit*” – stwierdził.

„Czyli?”

„Wszystko się zmienia, nic nie ginie”.

Taka filozofia stanowiła cudowną przeciwwagę dla wiatru zmian. I była cholernie naiwna. Zastanawiałam się, czy Marek naprawdę w nią wierzy. Szkoda, że ja nie mogłam uwierzyć. Czasem wydaje mi się, że jest rzeczą frajerską starać się być przyzwoitym demonem, nawet dobrym mistrzem rozrywki. A potem tłumaczę sobie: Takie jest życie, Greto. Musisz lubić to, co masz.

Cóż, kiedy w życiu trafiają się ciasteczka, których nie sposób polubić...

Illy znowu musnął moją dłoń. Włos na końcu jego ramienia zjeżył się jak szczoteczka. Już-już miałam cofnąć rękę, gdy zauważyłam, że Lunaninowi po prostu doskwiera samotność. Wyczuliłam dłoń na miękkie jak puch słowa sierściomowy.

– Nie czujesz się samotna, moja miła Greto? – odczytałam.

Mówię wam, o mało nie padłam z wrażenia. Nagle rozumiałam sierściomowę, której przecież nie powinnam rozumieć, a do tego rozumiałam ją w swoim ojczystym języku, co już w ogóle nie mieściło się w głowie.

Przez chwilę nawet wydawało mi się, że Illy wypowiada się na głos, lecz szybko zrozumiałam, że tak nie jest. Podejrzywałam go jeszcze o telepatię, sądząc, że posłużył się sierściomową w charakterze hasła. Wnet jednak dotarła do mnie cała prawda: pisał po angielsku na mojej dłoni jak na klawiaturze swojej skrzeczącej puszki, a ponieważ umiałam obsługiwać tę puchę, mój umysł dokonał natychmiastowego tłumaczenia.

Świadomość tego trochę mnie zdeprimowała, ale byłam zbyt zmęczona, żeby dać się tremie. Rozparłam się wygodnie w kanapie i pozwoliłam myślom na swobodny przepływ. Zawsze to miło z kimś porozmawiać, choćby z lekką jak piórko ośmiornicą, a bez skrzeczenia przekaz Illy'ego nie wydawał się już komiczny. Tym bardziej, że treść stała się poważna.



– Smutno ci, moja miła Greto, bo nigdy się nie dowiesz, co się dzieje z nami wszystkimi – rzekł. – Zawsze będziesz tylko cieniem, który walczy z cieniami i w przerwach próbuje je kochać między jedną bitwą a drugą. Pora, byś zrozumiała, że mimo wszelkich pozorów nie bierzemy udziału w wojnie, ale przechodzimy proces ewolucji, choć nie do końca takiej, o jakiej myśli Erich... W językach Ziemi jest na to słowo i jest teoria, która sprawdza się na wielu światach. Chodzi o cztery poziomy życia: rośliny, zwierzęta, ludzie, demony. Rośliny są spoiwem energii: nie przemieszczają się w czasoprzestrzeni, lecz chwytają energię i ją przetwarzają. Zwierzęta są spoiwem przestrzeni: przemieszczają się w niej. Ludzie (Ziemianie i nieziemcy, Lunanie i nie-Lunanie) są spoiwem czasu: posiadają pamięć. Demony są czwartym fundamentem ewolucji, spoiwem możliwości: potrafią uczynić wszystko, co mogłoby zaistnieć, częścią tego, co istnieje. Taką rolę pełnią w procesie ewolucji. Zmartwychwstanie jest jak przeistoczenie się gąsienicy w motyla. Byt trzeciego rzędu wychodzi z linii życia, swoistej poczwarki, żeby rozpocząć żywot w czterech wymiarach. Przeskok z rozerwanego kokonu niezmiennej rzeczywistości jest niczym przeskok pierwszego zwierzęcia, gdy przestawało być rośliną. Świat Zmian jest centralną osią, wokół której powstawały mity o nieśmiertelności... Każda ewolucja na pierwszy rzut oka przypomina wojnę: ośmionogów z jednonogami, ssaków z gadami. Występuje tu oczywista dialektyka: musi być teza (zwiemy ją Wężem) oraz antyteza (Pająk), zanim dojdziemy do ostatecznej syntezy, gdzie wszystkie możliwości zostaną w pełni zamknięte w jednym ostatecznym wszechświecie. Wojna zmian nie polega więc na ślepym niszczeniu. Pamiętaj, że wąż jest symbolem mądrości, a pająk oznacza cierpliwość. Jeden i drugi słusznie napętnia cię strachem, ponieważ wyższa egzystencja zawsze jest połączeniem szczęścia i grozy. Nie dziw się, moja miła Greto, głębokości mojej myśli i słowa. Bądź co bądź, miałem miliard lat na badanie Ziemi, jej mitów i języków... Kim są naprawdę Pająki i Węże, albo inaczej: kto był pierwszym spoiwem możliwości? Kim był Adam, moja miła Greto, a kim Kain? Kim były Ewa i Lilith\*? Spajając możliwości, demony łączą świat ducha i materii. Istoty czwartego rzędu żyją wewnątrz wszechumysłu i poza nim, rozproszone po całym kosmosie. Nawet nasze Miejsce na swój sposób wyobraża gigantyczny mózg: podłoga jest czaszką, obrzeże pustki jest korą mózgową z substancją szarą, ba, nawet większy i mniejszy serwisant są odpowiednikami szyszynki i przysadki mózgowej, które w pewnej mierze wspierają cały układ nerwowy. Oto jak się sprawy mają, moja miła Greto.

Sierściomowa ustała. Końcówki wąsików zbiegły się w miękką podkładkę, na której napisałam palcem:

– Dzięki ci, długonogi.

Roztrzęsając w myślach to, co powiedział mi Illy, spojrzałam na hulaj dusze przy fortepianie. Towarzystwo zaczynało się wykruszać; ten i ów nie miał już ochoty się bawić. Sid odszedł do sofy sterowniczej, gdzie szykował się do zestrojenia z Egiptem. Tuż za nim

---

\* Lilith – wg legendy hebrajskiej, pierwsza żona Adama, porzucona przez niego.

Marek i Kaby tryskali entuzjazmem, wyobrażając sobie, jak tysięczne szeregi konnych łuczników pochłonie chmura w kształcie grzyba. Uśmiechnęłam się na wspomnienie słów Illy ego. Widocznie musimy wygrać i przegrać wszystkie bitwy, stoczyć je w każdy możliwy sposób.

Mark właśnie włożył swój partyjski strój, marudząc żartobliwie:

– Znowu spodnie!

Paradował w kapeluszu, wyglądającym jak podbity futrem rożek do lodów, pobrząkując rękawami pancerza łuskowego. Machnął krótkim pałaszem z tarczką w kształcie serca, dając znak Erichowi i Brucebwi, żeby się pośpieszyli.

Kaby wybierała się na operację odziana w strój starej kobiety, pierwotnie przeznaczony dla Bensona-Cartera. Ucieszyła mnie myśl, że będzie musiała uginać się pod ciężarem ukrytej skrzyni.

Bruce i Erich jeszcze nie przyjmowali rozkazów Marka. Erich podszedł do Brucea i szepnął mu słówko, na co ten opuścił bar i razem zbliżyli się do fortepianu. Erich poklepał po ramieniu Beauego, który pokiwał głową, pośpiesznie zakończył „Limehouse Blues”<sup>\*</sup> i rozpoczął następny kawałek, wolniejszy i nostalgiczny.

Erich i Bruce pomachali do Marka z uśmiechem, jakby chcieli utwierdzić go w przekonaniu, że niezależnie od tego, czy przyłączy się do nich, wszyscy trzej – legat, porucznik i komendant – są razem na dobre i na złe. SiedemCe obściskał Lili z takim wigorem, że aż się dziwiłam, czemu tyle razy wyobrażałam sobie genetyczną terapię, której miałby się poddać.

Dwaj żołnierze zaśpiewali:

*Legionom straceńców, armii potępionej,  
Druhom w rzece czasu stokroć rozwidlonej,  
Śpiewają umrzyki i drwią ze zmian.  
Wyrwani ze śmierci, uzbrojeni po zęby,  
Gwardziści Pająków piją za występki,  
Piją za zbrodnie i idą w tan!  
Trzy ślepe myszki, drogi nie szukajcie, hejże, hejże, hej!  
Dzień dzisiejszy stracony, już się nie odnajdzie, hejże, hejże, hej!  
Gwardziści Pająków, wokół wojna wre,  
A ty wietrze zmian, jak wiałeś, tak wiej!  
Dziewczynki duszyczki, nie sądzcie nas źle,  
Hejże, hejże, hej!...*

Spojrzałam na swoją ciemnoszarą spódniczkę, a potem na Maud i Lili. Trzy szare hurysy

---

<sup>\*</sup> „Limehouse Blues” – standard jazzowy, skomponowany w 1922.

dla trzech czarnych huzarów, pomyślałam. Oto nasze przeznaczenie. Nigdy nie czułam się powołana do wyższych celów, do wygrywania wielkich wyścigów. To nie moja rola. Swoją drogą, prędzej czy później musimy wygrać i przegrać wszystkie wyścigi. Tak jest w harmonogramie.

Napisałam palcem wiadomość dla Illyego:

– Piękna scena, Pajączku, nie ma co...